

# Zakleci

**Masterton Graham**



calibre 0.9.43

**GRAHAM MASTERTON**

# **ZAKLEŃCI**

**(PRZEŁOŻYŁ: JULIUSZ GARZTECKI)**

**SCANDAL**

*Na stopniach świetlistego domu wariatów Słyszę, jak brodaty dzwon wstrząsa trawnikiem lasu*

*W podzwonnym dla mego świata. Gregory Corso „In the Fleeting Hand of Time”*

*Jeśli umrzeć muszę... Oto będzie  
W tej żyznej ziemi żyźniejszy pył ukryty  
Rupert Brooke „The Soldier”*

*„Memmack” brzmi tak, jak gaelickie słowo mor-riomach,*

*oznaczające „z wielkiej głębiny”.  
Berry Fell „America BC”*

## **ROZDZIAŁ I**

Ledwie na moment oderwał wzrok od jezdni, sięgając do schowka na rękawiczki po kasetę Santany, gdy coś niewyraźnego i szarawego, jak dziecko zakutane w płaszcz przeciwdeszczowy,

przeleciało przez szosę tuż przed nim.

Wrzasnął: „ach!” i kopnął stopą hamulec. Ześlizgnęła się, więc kopnął ponownie. Na mokrym asfalcie kombi obróciło się w poprzek szosy, piszcząc oponami. A potem podskoczyło, opadło na zaścielone liśćmi pobocze i z głośnym trzaskiem walnęło w pień dębu.

Jack zgasił silnik i trzęsąc się siedział na miejscu. *Jezu Chryste! Jezu Chryste Wszechmogący!* Kapuśniaczek zaczął osiadać kropelkami na przedniej szybie. Oczywiście jechał szybko, pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt mil na godzinę, w kierunku niewyraźnie majaczącego, wznoszącego się po zboczu pagórka zakrętu. Ale przecież widzialność nie była aż tak zła, on zaś skierował wzrok na bok na nie dłużej niż ułamek sekundy. Nie rozumiał, jak, u diabła, mógł przeoczyć dziecko, wybiegające z pobocza szosy.

- Jezu Chryste - powtórzył głośno. Głos miał słaby i nie przekonywający. Ciągle jeszcze trząś się nieopanowanie.

Nabrał pełne płuca powietrza, odpiął pas bezpieczeństwa i wysiadł z samochodu. Wóz stał teraz obrócony maską w kierunku, z którego przybył, karoseria u jego końca była wgnieciona z lewej strony od zderzenia z drzewem. Teraz, gdy umilkł odgłos silnika, droga i otaczający ją las wydawały się dziwnie ciche. Żadnych odgłosów prócz skapywania kropli ze zwisających nad głową gałęzi i od czasu do czasu dalekiego popiskiwania czajki.

Lasy, lasy i jeszcze lasy. To z ich powodu ojciec jego matki zawsze nienawidził Wisconsinu. Ojciec matki był farmerem i dla niego drzewa oznaczały pniaki.

- Te wszystkie pieprzone drzewa - skarżył się, nawet po odejściu na emeryturę.

Jack pociągnął nosem, zadrżał i rozejrzał się wokół. Na drodze nie leżało dziecko, dzięki Bogu, a także nie było śladu niczyjej obecności na jej skraju. Żadnego szarobiałego płaszcza przeciwdeszczowego, usmarowanego krwią. Żadnego zgniecionego pantofla treningowego.

Podniósłszy kołnierz sportowego płaszcza pobrnął z powrotem przez zmacone błoto, usiłując nie pobrudzić swych nowych płytych brązowych pantofli. Ponieważ krople drobnego deszczu nie osiadały na śladach opon, widział dokładnie, w którym miejscu nacisnął hamulec i gdzie wpadł w poślizg. Cztery krzyżujące się ósemki, poprzecznie przecinające smołowaną nawierzchnię. Przykucnął, by przyjrzeć im się z bliska. Nic nie wskazywało, by uderzył kogokolwiek.

Zresztą nie myślał, że kogokolwiek uderzył. Nie przypominał sobie żadnego zderzenia prócz końcowej kolizji z drzewem. Odwrócił się, osłaniając oczy przed deszczem i przyjrzał się z przodu swemu kombi. Nie było wgniecenia na przednim zderzaku, reflektory pozostały nienaruszone. Miał nadzieję, że nie otarł się bokiem o kogoś i nie odrzucił go w ten sposób w paprocie i krzaki leśnego poszycia. Słyszał już o ofiarach piratów jezdni, leżących w krzakach o kilka jardów od ruchliwej autostrady i umierających choćby z zimna.

Przeszedł szosą kilka kroków do tyłu. Stulił dłonie przy ustach i zawołał:

- Halo? Jest tu kto? Halo?!

Stał całkiem nieruchomo, nasłuchując. Czajka krzyczała pii-uu, pii-uuu, a potem piiuiddi. Deszcz padał na ziemię tak miękko, jak woal umierającej oblubienicy. Trudno było uwierzyć, że znajdował się ledwie o dwadzieścia minut jazdy od stolicy stanu, Madison, i o mniej niż dwie godziny jazdy od Milwaukee.

Zawołał „Halo?” jeszcze trzy czy cztery razy. Nadal żadnej odpowiedzi. Serce przestało tłuc mu się w piersi, oddech wrócił do zwykłego rytmu. Powoli się uspokajał. Wyciągnął chusteczkę do nosa, otarł twarz i wydmuchał nos. Pomimo chłodu koszulę i całą bieliznę miał przesiąkniętą zimnym potem.

*Musiła to być sarna, prawda? Albo może kozioł. W każdym razie jakieś zwierzę. Nie przyjrzałeś mu się dość dobrze, co? To znaczy, Jack, dajże spokój, bądźmy poważni, cóż by dziecko robiło tutaj, tak daleko w lesie, w deszczowe czwartkowe popołudnie, o całe mile od jakiegokolwiek miejscowości? Sam byś się tutaj nie znajdował, nieprawdaż, gdybyś nie musiał sprawdzić starej chatki letniej taty nad Diabelskim Jeziorem, a jedyna przyczyna, dla której pojechałeś tą drogą, jest taka, że przypadkiem skraca ci o piętnaście mil przejazd do szosy numer pięćdziesiąt jeden.*

*Chciałem powiedzieć, że cóż, u diabła, robiłoby dziecko tutaj tak daleko?*

A jednak niepokojące w tym wszystkim było to, że Jack z całą pewnością widział biegnące nogi, wymachujące ręce i podniesiony kaptur. Zdrowy rozsądek mówił mu, że musiało to być zwierzę. Ale nadal miał przed oczami dziecko, zakutane w szarobiały płaszcz przeciwdeszczowy, wyskakujące tuż przed nim w ten dziki, właściwy dzieciom, źle wyliczony sposób.

Odczekał jeszcze parę chwil. A potem powoli, odwracając się kilka razy, wrócił do swego kombi. Była to electra, model z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, czerwony metalik, teraz pokryty drobnymi kropelkami deszczu. Ostatni wóz jego ojca. Jack odziedziczył go wraz z letnią chatką i pokojami pełnymi kwaśnego zapachu książek oraz gazetami w większej liczbie, niż ktokolwiek potrafiłby policzyć. Zmuszony został do sprzedania apartamentu w Jackson Park, aby opłacić podatki taty oraz koszty pogrzebu - choć przecież nie mógłby za nic przekonać Maggie, by tu zamieszkała, za żadne brylanty, ponieważ Maggie zawsze wierzyła, że rak jest w jakiś sposób zaraźliwy. Całe życie spędzone na pracy i marzeniach nie przyniosło nic bardziej spektakularnego, niż coś, czym można było jeździć, oraz czegoś do czytania.

Tylne światła samochodu były rozbite; na zbutwiałych liściach leżały rozrzucone odłamki czerwonego plastiku. Tylne drzwi zostały tak wgniecione, że wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu jak warga Elvisa Presleya i bez względu na to, jak ostro Jack próbował wbić je na miejsce, nie chciały się zamknąć jak należy. Przyszło mu na myśl, że mogło być gorzej. Mógł zderzyć się z dębem czołowo i zranić się poważnie, nawet zabić. Chyba dobrze się stało, że nie potrafił opanować poślizgu przednich kół. Kierowca lepszy od niego mógł tu zginąć.

Wsiadł do wozu i uruchomił silnik. Pasek klinowy chłodzenia piszczał, ale poza tym wyglądało, że samochód nadaje się w pełni do jazdy. Gdyby tylko dowiózł go z powrotem do Milwaukee - było mu obojętne, czy będzie takie nawet wydawał dźwięki, jak orkiestra w Pfister Bierkeller.

Już miał włączyć przednie wycieraczki, gdy wydało mu się, że coś dostrzegł przez srebrzystą mgiełkę kropel mżawki, pokrywającą szybę. Białawy błysk w lesie po prawej stronie. Przetarł przednią szybę i przyjrzał się ponownie, ale zjawisko znikło. Otworzył drzwiczki i wychylił się do połowy, by lepiej widzieć. I znowu leciutki ruch, ledwie widoczna szarobiała plama, tego był pewien.

Sięgnął do tylnego siedzenia i wyciągnął płaszcz przeciwdeszczowy. Bez wątpienia był tam ktoś w głębi lasu; ktoś albo coś. A cokolwiek to było, prawie załatwiło ich oboje. Jeśli to zwierzę, nie będzie w stanie nic już zrobić, tylko o tym zameldować. Ale jeśli to dziecko, chciał, do jasnej cholery, dowiedzieć się, co ono zamierza, biegając samotnie po lesie.

Wysiadł, zatrzasnął drzwiczki i zaczął ukosem schodzić z pagórka. Pod stopami miał grubą warstwę mokrych, zbutwiałych liści, więc co drugi krok ześlizgiwał się w bok. Gdy już dotarł do bardziej płaskiego terenu, jego pantofle pociemniały od wilgoci, a ciernie jeżynowych krzaków powyciągały mu nitki ze spodni moherowego garnituru. Zatrzymał się na moment, by odzyskać oddech.

- Gównno - mruknął pod nosem. Co też go opętało, by wyruszyć w dół po mokrym, nierównym skłonie w pogoni za dzieckiem, które prawdopodobnie dzieckiem nie było w ogóle, lecz głupią

zabłąkaną kozą. Mógł sobie w tej chwili siedzieć w suchym, ciepłym samochodzie w drodze do domu, słuchając „Abraxasa” Santany, włączonego na cały regulator, by zagłuszyć odgłosy piszczącego paska klinowego.

*/ mam nadzieję, że czujesz się lepiej... i mam nadzieję, że dobrze się czujesz!*

Czekał wężąc i rozglądając się wokoło. Z tyłu ledwie mógł dostrzec matowoczerwony tylny zderzak swego kombi stojącego wysoko w górze na poboczu szosy. Przed nim teren nadal opadał w dół, teraz już w stronę ciemnego i zarośniętego jaru, pełnego jeżyn i ociekających wilgocią paproci. Usłyszał, że gdzieś płynie woda, klekocze strumyczek. Ale tego mokrego popołudnia pod ciężko zwisającym szarym niebem szmer potoczka zamiast być wesoły, brzmiał głucho i przygnębiająco.

Powinien zawrócić. *Kontynuowanie tego jest nielogiczne, kapitanie.* Nawet, jeśli szarobiała postać jest dzieckiem, z całą pewnością go nie zabił. A jeśli to koza, z łatwością potrafiła go przegonić i skakać po górach i dolinach, w których jego obuwie nie tylko było nieprzydatne, ale wręcz niebezpieczne.

- Halo! - zawołał po raz ostatni. - Jest tam kto?

Znów zadrzał, tym razem z zimna. A prócz tego pilnie musiał zrobić siusiu. Przysunął się do kępy paproci i jego mocz okrył się parą w popołudniowym chłodzie. Zdawało mu się, że trwa to wiecznie. Ale nie był nawet w połowie, gdy znów ujrzał szarawobiałą postać, ledwie na sekundę, daleko w dole wąwozu, między drzewami.

- Hej! - zawołał. - Hej, ty! - Zapiął spodnie na suwak i zaczął się przedzierać w tamtą stronę. - Hej, dziecko, poczekaj trochę!

Grunt pod jego stopami nagle zaczął stromiej opadać. Poślizgnął się ze trzy czy cztery razy, aż został zmuszony do pochwycenia paproci, by uchronić się od upadku. We wnętrzu dłoni rozciął sobie skórę do krwi. Wysysając krew, kulejąc, klnąc pod nosem przepychał się coraz dalej w głąb wąskiego wąwozu.

*Ty głupi skurwysynu* - pomyślał pod własnym adresem. - *Wspinanie się pod górę, by powrócić do wozu, zajmie ci całe godziny, i do diabła, deszcz pada coraz gęściejszy.*

Ześlizgnął się w dół po naniesionych potokiem, mokrych kamieniach, chwycił za paprocie, by odzyskać równowagę, a potem padł ciężko na plecy.

*Gówno* - wściekł się. - *Gówniane gówno!*

Powoli, z wysiłkiem stanął na nogach. Spodnie miał z tyłu przemoczone i oblepione błotem. Jego nowe pantofle nadawały się tylko do wyrzucenia na śmieci. Prawa ręka nadal mu krwawiła, do tego nabił sobie siniaka na lewym łokciu.

*No to koniec. Dziecko czy nie dziecko, tu zawracam i jadę do domu.*

Wyprostował się, nabrał głęboko powietrza, a potem wrzasnął:

- Dziecko! Słyszysz mnie? To już koniec! Daj sobie spokój! Jeśliś się zgubiło, to twoje gówniane szczęście! Słuchaj, co ci mówię! - Zaczął nasłuchiwać, ale dolatywało do niego tylko echo własnego głosu, padający deszcz i szemrzący strumyk. - Cholerne, głupie dziecko - mruknął pod nosem. - Cholernie głupie... cokolwiek to jest: gówno, koza. Kogo to obchodzi?

Rozpoczął wspinaczkę po zboczu wąwozu. Ale właśnie wówczas kątem oka dostrzegł na brzegu, na lewo od siebie, ledwie ze dwadzieścia jardów dalej - szarobiałą postać. Nie poruszała się, nie biegła, po prostu stała z pochyloną głową wśród chwiejących się paproci. Zatrzymał się i wpatrzył w nią, szcękając z zimna zębami. Tym razem z jakiegoś powodu nie miał ochoty wołać.

- Dobra, teraz cię dopadłem, skurwysynu - mruknął pod nosem i zaczął się przedzierać do góry przez paprocie i jeżyny. Tym razem postać pozostała na miejscu, odziana w szarawobiały płaszcz przeciwdeszczowy, podniósłszy szpiczasty kaptur i opuściwszy ramiona. Jack pomyślał, jakie to



dziwne, że nie odwróciła się i w ogóle nie drgnęła. Przecież musiała go słyszeć. Pchał się w górę zbrocza tak subtelnie, jak to robił we Francji generał Patton ze swą Trzecią Dywizją Pancerną.

Już prawie dotarł do postaci, ale nadal się nie poruszyła. Stała tuż przy płocie z drutu kolczastego, biegnącym ukośnie wzdłuż boku doliny. Zdecydowanie było to dziecko, a nie zwierzę. Ale wyglądało na dziecko dziwacznie przygarbione, dziecko zdeformowane i po raz pierwszy Jack poczuł autentyczny niepokój.

- Hej, dziecko! - zawołał ochryple, bardziej by popisać się odwagą niż ze złości. - Hej, dziecko, prawie zabiłeś nas dwoje tam na drodze.

Stało nieporuszone, oparte o płot. Jack dotarł wreszcie do niego i chwycił za górny drut płotu, by uchronić się przed ześlizgnięciem z pagórka.

Dopiero w chwili gdy prawie go dotykał, zorientował się, że to w ogóle nie jest dziecko. I nawet nie zwierzę. Chwycił za jego „kaptur” i oderwał je od płotu. A w ręce miał tylko przemoczony egzemplarz gazety „Milwaukee Sentinel” z zeszłej niedzieli. W jakiś sposób rozwinął się i niesiony wiatrem przybrał na jednym z słupów płotu kształt dziecka w kapturze.

Jack długo stał w deszczu. Miał srogą minę, a w każdej dłoni trzymał mokry kłęb stronic działu sportowego dziennika. Nie mógł nic z tego zrozumieć, a w jakiś szczególny sposób wydarzenie okazało się bardziej niepokojące, niż gdyby znalazł prawdziwe dziecko. Widział przecież przebiegającą tuż przed nim przez szosę taką samą postać. Widział, że pomknęła w dół po zboczach aż do doliny. Z dołu, z wąwozu, wyglądała dokładnie tak, jak zakapturzone dziecko. Czy naprawdę, u diabła, mogła stać się niczym więcej, tylko gazetą?

Rozwinął mokre stronic i sprawdził datę. Ostatnie piątkowe wydanie. Nic w nim szczególnego. Zmiał je powoli, a potem machnął ręką do tyłu i wyrzucił papier. Po raz ostatni rozejrzał się po lesie. Nie było tam niczego nawet odlegle przypominającego dziecko, które - jak sądził - ścigał. Żadnych zwodniczych przeblysków widoku szarobiałego płaszcza przeciwdeszczowego wśród paproci. Wciągnął powietrze, otarł czoło wierzchem dłoni i zaczął przygotowywać się do długiej, męczącej drogi do swego auta.

Ale właśnie w tym momencie dostrzegł wśród drzew coś przypominającego szczyt dachu. Wszedł o parę jardów wyżej po zboczach pagórka i wkrótce ujrzał go całkiem wyraźnie - potężny budynek z wieżycami z żółtej cegły, dachem krytym błyszczącymi, niebieskoszarymi płytkami i z wieloma rzędami gotyckich okien. A cóż, u diabła, to była za budowla?

Jack rozsunął druty kolczaste ogrodzenia, schylił głowę i przecisnął się na drugą stronę. Budynek stał, patrząc od strony szosy, po przeciwnej stronie doliny. Wieże miał przesłonięte ogromnymi białymi dębami. W rezultacie choć zbudowano go w taki sposób, by górował nad otaczającymi lasami, prawie nikt nie mógł go dostrzec od strony szosy.

Od świata zewnętrznego - jak zamek Śpiącej Królowej - chroniło go dzikie otoczenie naturalne. Jack ocenił, że las został prześwietlony jeden raz, dwadzieścia, może trzydzieści lat temu. Obecnie jednak by posuwać się naprzód, musiał walczyć z cierniami i krzakami dzikich róż. Zanim osiągnął kępę dębów o jakieś dwieście jardów poniżej na południowy zachód od budowli, poły jego płaszcza zostały dwukrotnie rozdarte, a skarpetki miał w strzępach. Pantofle za sto siedemdziesiąt dolarów można było spisać na straty.

Ale najbardziej zaintrygował go sposób, w jaki został tu zwabiony: tak jakby przez całe życie przeznaczony był do odkrycia owego budynku, tego właśnie popołudnia, o tej właśnie godzinie. Jakby czekał on na niego.

Jako chłopiec spędzał niemal każde wakacje letnie w tej okolicy, nad jeziorem Mirror, nad

Diabelskim Jeziorem lub jeziorem Wisconsin. W towarzystwie przyjaciół przemierzał te lasy podczas setek wycieczek pieszych albo „wypraw badawczych”.

Ale nigdy dotychczas nie widział tego budynku, o tak przecież imponującej wielkości. Nigdy nie dowiedział się o jego istnieniu. Był tak wspaniały i otaczała go tak tajemnicza aura, że Jack poczuł się prawie dotknięty, iż nie odkrył go, gdy miał jedenaście lat. Pomyśleć tylko, w jakie gry mogli się tutaj bawić z Dougiem McLeishem! W Księcia Niezłomnego! Żelazną Maskę! Drakulę! Bawiliby się fantastycznie! Czemu musiał z tym odkryciem czekać aż do dziś, gdy jest czterdziestotrzyletnim żonatym mężczyzną i mieszka w Milwaukee, kierując przedsiębiorstwem, posiadającym sieć warsztatów natychmiastowego montażu tłumików?

Budowla wyglądała jak zamek lub hotel albo imponujący dworzec kolejowy. Zbudowano ją z takiej samej jasnożółtej cegły, jak stary browar Pabsta w zachodniej części Milwaukee; tej samej, dzięki której Milwaukee zyskało przezwisko „Kremowego Miasta”. Stworzono ją w stylu gotyku austriackiego, z kwadratowymi wieżami na obu końcach dwustustopowej fasady, oba skrzydła zwieńczono grupami pięciu iglic, dekoracyjna balustrada z kutego żelaza ciągnęła się przez całą długość rynien.

Wszędzie były twarze. Szare twarze, odlane z ołowiu, u wylotów wszystkich rynien. Wykute z kamienia koloru żółtej ochry twarze nad oknami. Czarne, żelazne twarze w załomach balustrady. Chyba razem ponad setka. Lecz w przeciwieństwie do większości chimer na świecie żadna z nich nie była brzydka ani groteskowa. Wszystkie cechował wyraz spokoju, pogody, nawet świątobliwości. Co dziwniejsze, wszystkie miały zamknięte oczy, jakby były ślepe, śpiące lub martwe.

Jack utorował sobie drogę między drzewami, aż wreszcie wydostał się na wysypaną białym żwirem drogę, okrążającą cały budynek. Żwir poprzerastał bluszcz i plusznik. Na zachodniej wieży bluszcz wspiął się aż po okna drugiego piętra, tuląc się do cegieł jak mroczna i zaborcza kochanka.

Nie ulegało wątpliwości, że budynek stoi pustkami od lat, może nawet dziesięcioleci. Rynny były fatalnie skorodowane, a woda sączyła się po bokach głównego wejścia, pozostawiając na cegłach smugi rdzy, sięgające całej wysokości fasady. Wszystkie okna były ciemne, zakurzone i puste, a całe tuziny oprawnych w ołów, kwadratowych szybek popękane. W prawie wszystkich kominach tkwiły porzucone ptasie gniazda; podobne gniazda widniały wciśnięte między dekoracyjne iglice na dachu.

Cała ta budowla, trwając tak wśród padającego drobnego deszczu, tchnęła atmosferą cichej rozpacz, dawno utraconej pamięci oraz wytwornego ubolewania.

Jack podszedł do głównego wejścia, wspiął się po kamiennych stopniach i spróbował pociągnąć za masywną klamkę z brązu. Okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz, być może także na sztaby. A przecież nie groziło budowli niebezpieczeństwo zniszczenia przez wandalów, nie tutaj w głębi lasów, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć.

Obok drzwi wisiał staromodny dzwonek odlany z brązu, ozdobiony wizerunkiem twarzy - twarzy świętego z zamkniętymi oczami. Jack pociągnął za rączkę, ale jedynym tego skutkiem była opadająca chmura rdzawego pyłu. Pociągnął po raz drugi mocniej i tym razem usłyszał ostre dzwonienie gdzieś w głębi gmachu, dzwonienie długie i uporczywe, jakby ktoś wściekle wymachiwał ręcznym dzwonkiem.

Cofnął się zakłopotany. Wielki Boże, a jeśli w środku ktoś tam jest? Niemalże oczekiwał, że twarz na dzwonku otworzy oczy i spojrzy na niego z dezaprobatą.

Ale dzwonienie wewnątrz wreszcie zamarło i budynek znów stał cichy. Twarz na dzwonku pozostała nie zmieniona: błoga i ślepa. Jack potrząsnął głową i powiedział pod własnym adresem: „duppek”, drwiąc ze swego zaniepokojenia.

Odszedłszy od głównego wejścia skierował się aż do narożnej wschodniej wieży. Spróbował zajrzeć do środka przez któreś z okien, ale szyby okazały się tak ciemne, że prócz niejasnego konturu czegoś, co mogło być kanapą, nic innego nie dojrzał. Z boku budynku trawa i chwasty wyrosły prawie na wysokość piersi. Znalazł więc jakąś gałąź i odłamawszy parę bocznych gałązek, użył jej do walki z podszyciem. Indiana Jones. Stanley w poszukiwaniu doktora Livingstone'a.

Cisza, przejmująca wilgoć i osamotnienie w lesie wzbudziły w nim uczucia, jakich nie doznawał od wieku chłopięcego. Zaczął cicho pogwizdywać przez zęby - dramatyczna ścieżka dźwiękowa, towarzysząca jego przedzieraniu się przez zarośla chwastów. Gdy spłoszył wiewiórkę, podrzucił do ramienia swój kij jak strzelbę i udał, że strzela za nią, uciekającą na jeden z pobliskich dębów. Bum! Bum! Bum!

Minął drzwi, pomalowane niszczącą się teraz niebieską farbą. Musiały prowadzić do kuchni budynku. Przycisnąwszy czoło do okna dostrzegł wewnątrz potężny, staromodny trzon kuchenny i dwa wielkie zlewy z prostopadłymi kurkami. Przy ścianie stał oszklony kredens, nadal wypełniony stosami białych talerzy obiadowych oraz filiżanek.

To było niesamowite. Wszystko wyglądało tak, jakby budynek opuszczono pozostawiając to, co się w nim znajdowało - meble, zastawę i dywany. Na parapecie okna kuchennego stał nawet szklany wazon, a w nim bukiet wyschniętych chryzantem.

Jack dotarł do tylnej fasady budynku. Przez całą jej długość ciągnęła się cieplarnia o szkielet z kutego żelaza, teraz paskudnie zardzewiałego, z tuzinami potłuczonych szyb i szklanym dachem zasłanym grubą warstwą liści i brudów. Z cieplarni kamienne stopnie prowadziły w dół, do położonego w zagłębieniu terenu ogrodu, w którym zwirowane ścieżki biegły zgodnie z konwencjonalnym wzorem liści koniczyny. Wszystkie klomby były teraz zapuszczone i zarośnięte, a pergola dla róż, stojąca pośrodku ogrodu, częściowo się zawaliła. Za zagłębieniem ogrodu teren wznosił się tarasami w kierunku lasu. Dalej na zachód na części terenów zbudowano korty tenisowe, a zaraz koło nich znajdował się otwarty basen pływacki, obramowany pasami ceramicznych płytek.

Idąc wzdłuż szklarni dotarł aż w okolice kortów. Całą dolinę wypełniała padająca mżawka, przykra i chłodna, ale Jack osłonił stuloną dłonią czoło, by ochronić oczy przed kroplami deszczu, i stał tak prawie przez pięć minut, patrząc w dal. W letni dzień widok na lasy musiał być zapierającej dech w piersi piękności.

Po trawiastym zboczu ześlizgnął się do samych kortów. Ze słupków zwisały przegniłe siatki, z wplątanymi w oczka zeschniętymi ciałkami ptaków. Ale czerwona nawierzchnia była nadal w dobrym stanie i niewiele trzeba by włożyć pracy, by doprowadzić korty do pierwotnego stanu.

Zbliżył się do basenu. Wyłożono go białymi płytkami, przy brzegu miał pasek płyt w brązowy wzór pnący, w stylu edwardiańskim, tak że przypominał wyglądem umywalnię. W jednej czwartej wypełniała go zielonkawoczarna woda. W wodzie, tuż pod powierzchnią, leżało coś nieokreślonego, bezkształtnego i bladego. Próbował to przyciągnąć swym kijem, ale było zbyt daleko. Poruszyło się, zahustało i podryfowało w wodzie. Mogło to być cokolwiek.

*Wiesz co - rozmyślał sobie Jack - tu tkwią ogromne możliwości. Piękny budynek. Z gruntu zdrowy. Wspaniałe położenie. Masa przestrzeni dla urządzeń sportowych. Mądrze odrestaurowane, to miejsce może stać się najlepszym hotelem wypoczynkowym na całym Środkowym Zachodzie.*

Wolnym krokiem przeszedł przez korty i wrócił przed front budynku. W jego głowie zrodził się pomysł. Pomysł na biznes. Pomysł na karierę. Pomysł, który wyzwoli go z ciasnych granic miasta i codziennej nudy Towarzystwa Tłumików i Opon Reeda. Pomysł, który da mu wolność, spełnienie, prestiż i także radość - wszystko za jednym zamachem.



Jeśli budynek pozostawiono tak długo pusty, oznaczało to w oczywisty sposób, że nikt go nie chciał albo nikt nie pojął kryjących się tu możliwości. Powinno być możliwe zdobyć go za - ile? - pół miliona? Trzysta tysięcy? Może nawet mniej. Jego przyjaciel Morris Tucker z banku Menomonee Savings z pewnością pomoże mu w sfinansowaniu transakcji. Obaj byli absolwentami College'u Biznesu. Wisconsin, rocznik sześćdziesiąty siódmy, i każdego lata nadal wyprawiali się trzy albo cztery razy na ryby nad zatokę Whitefish, nosząc na głowach obwisłe kapelusze przeciwsłoneczne i zabierając sześciopuszkowe transportery piwa Pabst Blue Ribbon oraz taśmy Beatlesów do potężnego odtwarzacza stereo.

Bez wątpienia na doprowadzenie wszystkiego do poziomu międzynarodowego wczasowiska potrzeba będzie milionów. Ale gdyby Morrisowi udało się zgromadzić odpowiedni kapitał... - no cóż, to by było cholerne ryzyko. Naprawdę cholerne ryzyko. Ale co miał do stracenia, nawet jeśli wszystko pójdzie nie tak? Dom na przedmieściu Milwaukee, powgniatane kombi oraz druzgocąco łatwą do przewidzenia przyszłość, polegającą na instalowaniu tłumików w cudzych autach? To nie będzie strata, to będzie wyzwolenie, nawet jeśli wszystko się zawali, on zaś zostanie zmuszony do powrotu do pracy biurowej.

Dotarł do zwirowanego podjazdu, podszedł wprost do budynku i przycisnął dłoń do mokrych cegieł. *Jeden raz przez całe życie człowieka, tylko jeden raz, nadarza się wielka okazja.* Jack żywił pewność, że odnalezienie tego budynku było jego wielką okazją. Musiało nią być. *Tylko popatrz, jak dziwnym sposobem zostałeś tu doprowadzony. Przez niesioną wiatrem gazetę, wyglądającą jak biegnące dziecko. Jeśli to nie jest przeznaczenie, przyjacielu, to nie wiem, czym, u diabła, ono jest.*

Miał już wszystko w oczach. Budynek odremontowany, teren całkowicie uporządkowany, elegancko ubrane pary wchodzące i wychodzące z oranżerii. Lądujące na tarasach helikoptery, niosące gości wprost z Chicago czy Milwaukee. Kort do squasha, szklany dach nad basenem pływackim, tor golfowy wycięty poprzez las.

Nazwie to Klubem Wiejskim Merrimac Court. Właściciel i prezes John T. Reed, Jr.

Powoli odsunął się od budynku, zacierając ręce i pociągając nosem z zimna. Gdy tylko dotrze do domu, dowie się, kto jest właścicielem budynku oraz za ile gotów będzie go sprzedać. Następnie każe go zbadać, po prostu by upewnić się, że konstrukcja nie ma żadnych defektów, których naprawa kosztowałaby więcej niż to wszystko warte. *Dalejże, okażesz się rozsądny i praktyczny w całej tej sprawie. Nie dasz się ponieść emocji.*

Ale wiedział, że już nie ma odwrotu. Jego życie już zostało wywrócone do góry nogami. Nawet jeśli ten budynek okaże się nie do naprawy, znajdzie sobie inny w dobrym stanie i tak czy inaczej otworzy swój klub wiejski, choćby miał przy tym zginąć.

Posuń się, Leono Holmsley. Jack Reed zwycięży.

Po raz ostatni obdarzył budowlę długim spojrzeniem, starając się na zawsze zapamiętać jej wygląd, i właśnie w tym momencie dostrzegł twarz w jednym z mansardowych okienek, wysoko na dachu. Białą, małą twarz, jak dziecka.

Stał nieruchomo, wpatrując się w okno, mrugając od wpadających mu do oczu kropli deszczu. Przejęło go ostre zimno, czuł się bardzo zmęczony. Ale to nie było złudzenie. Widział ją zupełnie wyraźnie. Oczywiście tylko przez moment. Ale widział twarz dziecka wysoko w oknie, spoglądającą na niego z góry.

Nie bardzo wiedział, co zrobić. Musiało to być dziecko ujrane na szosie, które teraz przywiodło go tutaj. Gazeta przyklepiona do płotu - to przecież nie mogło być nic więcej jak zbieg okoliczności. Ale nawet jeśli w budynku znajdowało się dziecko, cóż, u diabła, on miał z tym zrobić? Nie jego

budynek, nie jego dziecko. Być może powinien zadzwonić do miejscowej policji na wypadek, gdyby dzieciak okazał się uciekinierem albo groziło mu jakieś niebezpieczeństwo moralne czy fizyczne. Ale nie uważał, by jego odpowiedzialność miała sięgać dalej.

Niemniej... dziecko musiało się dostać do domu w jakiś sposób, to zaś oznaczało, że gdzieś są otwarte drzwi albo okno, przez które można wejść do środka. Nawet jeśli nie uda mu się odnaleźć dziecka, może przynajmniej rozejrzeć się we wnętrzu i przekonać, w jakim jest stanie.

Znów poszedł na tyły budowli. Spróbował oszklonych drzwi obok zachodniej wieży, ale były zamknięte i dostrzegł także, że zaryglowane.

Dotarł do drzwi oranżerii i znów spróbował. Początkowo nie drgnęły, ale kiedy nacisnął klamkę do samego dołu i pociągnął, jedno ze skrzydeł zadrżało i otwarło się.

Zawahał się. Formalnie rzecz biorąc, już wdarł się do cudzej posiadłości przez sam fakt, że bez zaproszenia spacerował po terenie; ale jeśli wejdzie do środka, popełni czyn nielegalnego wkroczenia. Bo pomimo zaniedbanego wyglądu, budynek mógł być przez kogoś zamieszkały, a jeśli okaże się, że ten ktoś jest w środku, Jack będzie musiał tłumaczyć się gęsto i niezręcznie.

- Halo? Jest ktoś w domu?! - zawołał, zastukawszy kłtykiem w okno.

Za oknem oranżeria stała cicha, mroczna i grubo przysypana kurzem. Stolik z lanego żelaza leżał przewrócony na bok, obok niego pozostały rozsypane odłamki zielonego, ceramicznego wazonu, który roztrzaskał się spadając. Pod przeciwległą ścianą znajdowała się cała kolekcja wielkich kamionkowych donic, z których wychylały się martwe, żółkłe rośliny. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i jeszcze czegoś ostrzejszego, jakby octu.

- Jest tu kto? - powtórzył Jack. Ale oranżeria milczała, jeśli nie liczyć uporczywego kapania deszczówki przez skorodowane obróbki blacharskie.

*Rusz mózgiem, Reed - powiedział sobie Jack. - Nikt tu nie mieszka. Może co najwyżej dzicy lokatorzy, włóczędzy albo dzieci na gigantach. Nikt nie ma większego prawa przebywania tutaj niż ty. Nikt nie jest uprawniony.*

Popchnął drzwi odrobinę szerzej i wszedł do środka. Podłoga była zapiaszczona i spod jego pantofli wydobywał się zgrzytliwy, piszczący odgłos. Wstrzymał krok na chwilę, a potem przeszedł przez całą oranżerie i wspiął się po dwóch schodkach do drzwi prowadzących do wnętrza samej budowli. Te także stawiły mu opór, ale udało mu się je otworzyć.

*Uwaga, pustka - pomyślał, otwierając drzwi nieco szerzej i przepychając się do wewnątrz.*

Znalazł się w sali wyglądającej jak wielka świetlica czy pokój wypoczynkowy. Wokoło stały pomalowane na kremowy kolor trzcinowe fotele, z pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt, i równie kremowe trzcinowe stoły. Na niektórych stolikach stały filiżanki ze spodkami, noszące na dnie mahoniowe ślady dawno wyschniętej kawy. Na pokrytej zieloną wykładziną dywanową podłódze wałały się magazyny i gazety. Jack schylił się, by podnieść egzemplarz „Collier's”. Wstępniak nosił tytuł „Wszechamerykańska drużyna Waltera Campa” i miał datę z tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku. Podniósł z kolei gazetę z wielkim napisem na tytułównie: ZACZYNA SIĘ PROCES HALLA-MILLSA O MORDERSTWO. Dwudziesty pierwszy czerwca tego samego roku.

Przez chwilę stał na środku pokoju, a potem starannie odłożył oba egzemplarze na pobliski stół. Odczuwał niewytłumaczalną klaustrofobię, jak gdyby pokój począł go uciskać. Pierwszą jego reakcją była chęć natychmiastowego powrotu na dwór. *Ponieważ, Jezuu, w czerwcu tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku w tym pokoju musiał znajdować się tłum ludzi i z jakiegoś powodu wszyscy oni wstali i wyszli, a budynek zamknięto na klucz, dokładnie zamknięto, i przez sześćdziesiąt dwa lata nikt tu niczego nie dotykał.*

Wziął głęboki oddech. Powietrze w budynku było jeszcze zimniejsze niż na zewnątrz i ciągle

czuło się w nim ów ostry, wyraźny zapach octu.

Zaczął nasłuchiwać, ale budynek milczał. Usłyszał tylko, jak deszcz bębni o dach oranżerii. Rozejrzał się po świetlicy i pomyślał: *To się nadaje na fantastyczny koktajlbar*. Długie stylowe lustro przez całą szerokość tylnej ściany, kontuar z marmurowym blatem, stylowe, połączane fotele. Przeszedł przez świetlicę w stronę lekko uchylonych drzwi wewnętrznych. *To może być lokal z klasą*.

Otworzył drzwi i znalazł się w olbrzymim, przepastnym holu, otoczonym w górze przez długość wszystkich ścian galeriami. Po dwóch stronach holu prowadziły na drugie piętro marmurowe schody. Cóż za westybul recepcyjny! Z wysokiego sufitu zwisała potężna, żelazna, latarnia. Otulały ją płachty pajęczyn, jakby pokrowiec z całunu. Podłoga holu, ułożona w szachownicę z czerwonego i białego marmuru, była grubo zasłana kurzem, piaskiem, odłamkami tynku i gałązkami z ptasich gniazd.

U stóp schodów stały naturalnej wielkości kamienne posągi jakichś świątobliwych osobistości w strojach biblijnych, dwie identyczne statuy, obie z zamkniętymi oczami. Jack podszedł do jednej z nich i długo się przyglądał. Nie wiedział, czemu te wszystkie twarze z zamkniętymi oczami robią na nim tak niepokojące wrażenie, ale właśnie tak było. *Chciałbym zapytać, kto, u diabła, robi posągi z zamkniętymi oczami? Czy to dlatego, że zakłada się, iż te postacie są martwe lub śpiące, czy też po prostu dlatego, że nie chcą one patrzeć na nas, gdy my na nie patrzymy?*

Bez, względu na to, jaki był powód, nie podobało mu się to. Powodowało niemiłe wrażenie, że gdy odwraca się do nich plecami, otwierają oczy i śledzą człowieka wzrokiem.

Wszedł na dwa czy trzy schodki i zawołał:

- Halo? Halo? Jest tam kto na górze?!

Nie było odzewu. Ale usłyszał cichy odgłos jakby szurania gdzieś wewnątrz budynku. Może wiewiórka. Albo ptak. Albo mały chłopiec, który wiedział, że źle zrobił przebiegłszy szosę nie rozglądając się i ukrył się w jednym z pokoi na górze.

- Halo! - wrzasnął Jack. - Czy mnie słyszysz? Bo wchodzę na górę i złapię cię, chcesz czy nie chcesz!

Wszedł na schody i po dwa lub trzy schodki naraz wspiął się na pierwsze piętro. Gdy dotarł do podestu, obejrzał się na dwa posągi stojące w holu. Światło zaczęło blaknąć, ale statuy błyszcząły, jakby wydzielaly prawie nienaturalne promieniowanie barwy kości słoniowej. Żadna nie otworzyła oczu, żadna się nie poruszyła.

*Jack, przyjacielu, musisz okiełznać wyobraźnię.*

Z podestu biegły w dwóch przeciwnych kierunkach dwa długie korytarze, jeden w kierunku wieży zachodniej, drugi wschodniej. Oba były mroczne, ale na ich wyłożonych linoleum podłogach Jack mógł z trudem dostrzec połyskiwanie odbitego światła. Wyjął dziesiątaka z kieszeni płaszcza i podrzucił. *Orzeł zachód, reszka wschód* - powiedział sobie. Dycha padła na podłogę reszka do góry.

Poszedł korytarzem prowadzącym na wschód. Był długi, wąski i ciemny, ale osądził, że zawsze może kazać wybić tu dodatkowe okna. Po obu stronach widział szeregi pomalowanych na kremowo drzwi, wszystkie zamknięte na klucz. A w każdym mały judasz, przykryty ruchomą mosiężną klapką. Zajrzał do trzech czy czterech pokoi. Ujrzał tylko łóżka i krzesła, w jednym zaś z nich nic, prócz materaca.

Co szóste drzwi odchodził w bok krótki boczny korytarz prowadzący na tyły budynku i zakończony oknem. Ale każde z okien zakrywała czarna, stalowa siatka w romby, bardzo gęsta, która zatrzymywała prawie połowę światła. Co więcej, siatka nie była po prostu umocowana na sworznie, lecz zaspawana. Uderzyło Jacka jako całkiem absurdalne, że właściciel budynku chciał zabezpieczyć

wszystkie okna na piętrze, nie przyszło mu natomiast do głowy, by zrobić to z parterowymi.

Skręcił w pierwszy boczny korytarz, doszedł do samego okna i wyjrzał przez nie. Przez pozatykane kurzem oczka siatki i brudne szyby udało mu się dostrzec część kortów tenisowych oraz narożnik basenu i ów zarośnięty, opuszczony ogród. Pozostał przy oknie ze dwie czy trzy minuty, wyglądając na zewnątrz. Deszcz nadal padał, i niebo miało kolor szarego granitu, trawa jadowitej zieleni. Popatrzył na zegarek i stwierdził, że jest już czwarta trzydzieści po południu. Nie uda mu się dotrzeć do domu wcześniej jak dobrze po zmroku.

Na końcu korytarza znalazł się przed podwójnymi drzwiami z bejcowanego dębu, nie tylko zamkniętymi na klucz, ale dodatkowo zabezpieczonymi stalową zasuwą i ciężką, pancerną kłódką. Szarpnął ją, ale nawet nie drgnęła. Jasne było, że cokolwiek przechowywano we wschodniej wieży, jego właściciele życzyli sobie, aby tam pozostało. Może cenna biblioteka albo zbiory sztuki? A może zaważyły się stropy i po prostu chciano, dla ich własnego bezpieczeństwa, odciąć ludziom możliwość wejścia? Ale dalej, na lewo, inne węższe schody wznosiły się w ciemności, prowadząc na następne piętro.

Na ścianie z lewej strony znalazł wyłącznik światła, nacisnął go w górę i w dół, ale oczywiście bez rezultatu. Prawdopodobnie w całym budynku, od strychu do piwnic, trzeba będzie wymienić instalację elektryczną.

W połowie wysokości schodów dostrzegł okno, również zakryte stalową siatką. Była wgięta w wielu miejscach, jakby ciskano w nią wielokrotnie czymś ciężkim.

Jack postawił nogę na stopniu, a potem zawahał się. Robiło się coraz później i ciemniej, a on nie miał latarki. Być może powinien uznać, że zrobił dość jak na dziś i pomyśleć o powrocie do domu. Wiedział, że Maggie zacznie się o niego martwić, a indyk na kolację będzie zupełnie wysuszony. Był zawsze tak punktualny, zawsze dzwonił do Maggie, by ją uprzedzić, jeśli sądził, że się spóźni.

Z drugiej jednak strony nigdy jeszcze nie natknął się na coś takiego jak ten budynek, tę szansę całego jego życia. Była warta wszystkiego. I czym, u diabła, była jedna wysuszona kolacja Głodnego Mężczyzny w wielkim planie ludzkiego przeznaczenia?

Zaczął wspinać się wyżej, szurając butami po marmurze. I wtedy znów wydało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk. Stanął więc, wstrzymał oddech i wytężył słuch.

Był to ponury, drapiący, ciągnący się odgłos, trochę podobny do hałasu przy mieszaniu betonu, bardzo jednak niewyraźny i Jack nie mógł zorientować się, skąd dolatuje. Zresztą niemal natychmiast ucichnął, więc nie miał pewności, czy naprawdę go usłyszał, czy nie.

Stał w miejscu nieruchomo, wsłuchując się, aż kark zaczął mu trzeszczeć z wysiłku, ale hałas się nie powtórzył. Mogła to być woda deszczowa bulgocząca w rynnach. Mogły to być wiewiórki, harcujące pod okapami.

Zaczął kontynuować wspinaczkę, ciszej tym razem. Na następnym podejściu panowały jeszcze większe ciemności i jeszcze mocniej pachniało octem. Zapewne mocz jakichś zwierząt. Cały budynek był pewnie ogromnym hotelem dla tchórzy, skunksów, wiewiórek i ptaków. Przypominał sobie, jak pewnego razu oglądał zrywanie dachu z domu na przedmieściu Madison. Przez pięć lat gnieździły się tam wiewiórki i pod okapami dało się widzieć masę twardo ubitych kawałków wyrwanej izolacji z waty szklanej, w niej zaś mnóstwo na pół zgniłych trupów młodych wiewiórek. Smród śmierci był przejmujący i od tej pory Jack nigdy nie potrafił patrząc na wiewiórkę pomyśleć, że jest ładniutka.

Rzucił okiem wzdłuż korytarza drugiego piętra. Ale przecież to w jednym z mansardowych okien ujrzał twarzyczkę dziecka - jeśli to rzeczywiście była twarz małego dziecka, a nie sowa, gołąb czy przypadkowe odbicie światła w szybie okiennej, czy coś podobnie fantastycznego. Udał się więc schodami dalej, na samą górę. Znów w połowie ich wysokości znajdowało się okno i znów chroniła

je gruba, stalowa siatka.

Nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl. Stalową siatkę umieszcza się zwykle na zewnątrz okien, aby nie można było stłuc szyb rzuconym kamieniem, a przede wszystkim aby nie można było ich dosięgnąć z parteru. Natomiast tą siatką okryto okna tak, by ich nie można było stłuc z wewnątrz. Ale ktoś mieszkający w tak wspaniałym budynku miałby chronić okna przed samym sobą?

Dotarł do najwyższego podestu schodów. Tutaj połacie dachowe nachylały się do środka, tworząc mansardy. Ale choć znalazł się na samym szczycie domu, Jack czuł się jeszcze bardziej przytłoczony niż dotychczas. Gdyby miał stąd umknąć z pośpiechem, musiałby przebiec w dół trzy kondygnacje schodów, długi i wąski korytarz, znów kondygnację schodów, pobiec przez hol, przez świetlicę i przez oranżerię.

Odczekał chwilę głęboko oddychając. Nigdy dotychczas nie cierpiał na klaustrofobię, ale coś w tym budynku, powodowało, że czuł się jak schwyty w pułapkę. Zapewne przyczyną były okna, sposób, w jaki wszystkie zabezpieczono siatką. A do tego pozamykane na klucz drzwi. Do tej pory nie znalazł powyżej parteru ani jednego nie zamkniętego pokoju.

Ruszył korytarzem, ciągnącym się pod dachem przez całą długość budynku. Teraz było ciemniej i przed sobą widział nie dalej niż na dwanaście stóp. Sunął dłonią po górnym skraju boazerii z barwionej dębiny, by nie tracić orientacji. Przy każdym drzwiach zatrzymywał się i próbował klamkę. Jeśli dziecko pojawiło się w jednym z mansardowych okien, musiało jakoś dostać się do któregoś pokoju. A jeżeli nie miało klucza i wobec tego nie mogło zamknąć drzwi za sobą - odnajdzie jego kryjówkę.

- Halo! - zawołał. - Jest tu kto?

Szarpnął kolejną klamkę. Zamknięte. Zrobił kilka kroków i szarpnął kolejną. Także zamknięte. Znajdował się w połowie korytarza, gdy wydało mu się, że znowu słyszy ów drapiący odgłos. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. To było z tyłu, za nim. Głęboki, niski odgłos, jakby ciągniętego worka cementu. To było za nim i zdawało się przybliżać. Odwrócił się czując, jak włos mu się jeży z trwogi. Nie zobaczył nikogo. Widział przecież, że korytarz jest kompletnie pusty. A mimo to odgłos nadal się rozlegał. Szszszszsz-szszsz-szszszszsz; ochrypty, niski i nieustęplicy.

Jack przez chwilę stał cicho, przysłuchując się. A potem szybciej ruszył korytarzem, oddalając się od głosu w stronę zachodniego skraju domu. Jeszcze próbował dwóch czy trzech klamek, ale odgłos nadal postępował za nim, więc zignorował resztę z nich i zaczął biec truchtem. Szszszszsz-szszszszsz-szszszszsz wzduż ścian, przerywane dziwnym, głuchym stukaniem przy każdym drzwiach.

Brzmiało to tak, jakby coś ogromnego i niewidzialnego goniło go po korytarzu, ciągnąc swe ciało po ścianach i grzechocząc o drzwi. Zaczęło rozbrzmiewać głośniejsze i głośniejsze, szybciej i szybciej, szszszszsz--knokk! Szszszszsz-knokk! Szszszsz-knokk!

Jack rzucił się do biegu. Korytarz tańczył w ciemności przed jego oczami. Miał w Bogu nadzieję, że na tamtym końcu znajdzie drugie schody. Gdy zaczął biec, nie przyszło mu do głowy, że mogą być tylko jedne.

Dźwięk puścił się w ślad za nim, szszsz-knokkk! Szszszsz-knokkk! Nie wiedział, co by to mogło być i co, u diabła, mogło mu zrobić, ale chciał się wydostać z tego domu tak szybko, jak go nogi poniosą.

Niemal dotarł do końca korytarza. Były tam drugie schody, dzięki Bogu! Dał w nie nura, przeskakując po cztery i pięć schodków naraz, za każdym skokiem z trudem chwytając powietrze. Ale dźwięk podążał za nim, szakka-takka, szakka-takka, w dół po schodach.

Chwycił za poręcz i skoczył w dół przez ostatnie pół tuzina schodków, ślizgając się i naciągając ścięgna w kostce. A potem na pół biegnąc, na pół skacząc korytarzem pierwszego piętra do podestu,

w dół ostatnią kondygnacją schodów, przez hol, przez świetlicę, przez oranżerię wypadł na mokrą, wieczorną mżawkę.

Odwrócił się ciężko dysząc. Cokolwiek to było, mógł teraz stawić mu czoło, tu na otwartej przestrzeni. Ale na wszelki wypadek wyciągnął z ziemi cegłę z obramowania zwirowanej ścieżki i zważył ją w dłoni.

Zdawało mu się, że słyszy dolatujący ze świetlicy dźwięk szszszsz. Usłyszał, jak jej drzwi otwierają się hałaśliwie. A potem dach oranżerii zagrzechotał i zatrzęsł się, jakby zderzył się z nią samochód, i kilka szyb roztrzaskało się hałaśliwie na marmurowej posadzce.

Jack cofnął się o krok i zamachnął cegłą. Ale wtedy nastąpiła cisza. Dźwięk przestał się rozlegać. Jack czekał i czekał, ale hałas już się nie powtórzył. Słyszał przelewający się rynnymi deszcz i daleką czajkę, wyśpiewującą piiiuuu, piiiuuu! Ale niczego więcej.

Zrobił parę ostrożnych kroków w stronę oranżerii i zajrzał do środka. Zawołał: - Halo? - ale nikt nie odpowiedział, bo nikogo tam nie było.

Przez chwilę przysłuchiwał się biciu własnego serca, a potem znów wszedł do środka. Nie da się wystraszyć temu budynkowi, a w szczególności nie pozwoli się zastraszyć własnej wyobraźni, od której dostawał małego rozumu. Został przyprowadzony tutaj, prawda, przez los i ten budynek będzie Klubem Wiejskim Merrimac Court, właściciel i prezes John T. Reed, Jr, albo się rozleci.

*Dupku - powiedział do siebie. - To był twój własny oddech, twoja krew pulsująca w uszach. To tak samo, jak słuchanie szumu morza, gdy przyciśnię się muszlę do ucha. Po prostu pozwoliłeś sobie zbyt się podkręcić.*

Podniósł jedną ze stłuczonych szyb, które spadły z dachu oranżerii. *W tym także nic tajemniczego. Drzwi zatrzęsły się za mną, a te żelazne ramy są tak cholernie skorodowane. Wcale mnie nie dziwi, że parę szyb wypadło.*

Wrócił do świetlicy. Pusta. Nie zmieniona. Ani jednego przewróconego krzesła. Gdyby go naprawdę coś goniło, musiałby je zobaczyć. Podniósł jakąś gazetę, zawrócił do oranżerii i zamknął drzwi za sobą.

No dobrze, jeszcze nie do końca przekonał sam siebie, że to, co słyszał, nie było niczym więcej niż jego własnym pulsem, szumiącym w uszach. *Ale spójrz na to racjonalnie, Jack. Coś takiego jak duchy nie istnieje, a coś, czego nie widzisz, nie jest w stanie zrobić ci krzywdy, nieprawdaż? W najgorszym razie mogła to być wiewiórka, biegnąca równoległe z tobą wewnątrz muru szczelinowego. Tak, to właśnie to. Wiewiórka, niech ją cholera, goniąca za tobą, Jack, by obronić swe młode. Potrafią być tak zawzięte, prawda? Szczególnie tutaj, wśród lasów.*

Teoria wiewiórki uspokoiła go. Gdy da budynek do zbadania, poleci rewidentom sprawdzić szczeliny izolacyjne w ścianach.

Teraz już robiło się całkiem ciemno, choć deszcz zaczął ustawać. Jeszcze raz obszedł w koło budynek, próbując ocenić go tak pesymistycznie jak tylko możliwe, przyglądając się jego najgorszym stronom, załamany rynnom, brakującym płytkom dachowym, zardzewiałym stalowym ozdobom.

*Dajże spokój, Jack, to wymaga piekielnej pracy, a ile piekielnych zmartwień, nim zostanie ukończone. Możesz sobie odejść i zostawić to jak jest i tak się to skończy. Z powrotem do Milwaukee, z powrotem do Tłumików i Opon Reeda.*

Ale wiedział, że nigdy już nie będzie takim człowiekiem, jakim był dotychczas. Został uwiedziony przez podstarzałą, lecz powabną panią i nigdy już nie potrafi przestać o niej myśleć.

Prześlizgując się i ostrożnie przeciskając między drzewami, oddalał się od budynku, a potem w dół, przez paprocie i jeżyny do płotu z drutu kolczastego. Prawie dotarł już do ogrodzenia, gdy zauważył tablicę, płasko leżącą wśród chwastów. Przykuśtykał bliżej i już miał ją podnieść, gdy



dostrzegł, że pokrywają ją w całości czarne połyskujące ślimaki bezskorupowe. Wobec tego odwrócił ją nogą.

Przez zielonawoczarne porosty, zasłaniające większą część tablicy, Jackowi udało się odczytać tylko słowa WŁASNE RYZYKO. Upuścił ją z powrotem w podszycie. Po raz ostatni spojrzął na szczyt dachu przyszłego Klubu Wiejskiego Merrimac Court, a potem dał nura między druty kolczaste i podążył z powrotem do swego kombi.

## ROZDZIAŁ II

Przez całą drogę do domu przepowiadał sobie w myśli stosowne przemówienie, ale pomimo tego Maggie była ciągle wściekła. Gdy siedział na ławie śniadaniowej z piwem Pabst przed sobą, maszerowała tam i z powrotem po kuchni. Kompletna kolacja Głodnego Mężczyzny, wraz z indykiem oraz czekoladą orzechową, została odesłana dwie godziny wcześniej do nieba, w którym spoczywają nietknięte, gotowe do spożycia po podgrzaniu potrawy.

- Powiedz mi! - domagała się. - Powiedz mi! Powiedz mi choć jedną znaną ci rzecz o kierowaniu klubem wiejskim! Tylko jedną rzecz i to wystarczy, a być może wówczas będę mogła zacząć brać cię na serio!

Jack wzruszył ramionami. Usilnie starał się pozostać opanowany, rzeczowy i nie oszaleć. Po pierwsze Randy już spał. Po drugie zawsze przegrywał w sporach z Maggie, jeśli zaczął się wściekać, bo musiał ją przeproszać za to, że się wściekł, a z jej punktu widzenia oznaczało to także przeproszenie za sam spór, bez względu na to, że racja była po jego stronie.

- Punkt pierwszy, wiem, jak się kieruje dochodowym interesem - powiedział jej.

„Dochodowym” odpowiedziała jej milcząca twarz, natychmiast wyrażając pogardę.

- Punkt drugi, tak się składa, że mam bardzo dobre wyobrażenie o tym, czego powinienem oczekiwać po klubie wiejskim jako jego płacący klient.

- A niby jak to możliwe, żebyś miał jakiegokolwiek wyobrażenie, czego wymagasz od klubu wiejskiego? - odparowała. - Nigdy nawet nie postawiłeś nogi w klubie wiejskim.

Jack skierował spojrzenie na swe piwo.

- Cóż - powiedział - przykro mi, ale właśnie z tego widać, co ty wiesz. Byłem w Klubie Golfowym Kenosha z Harrym Whitemanem i byłem w Klubie Tenisa i Raketek Mud Lake, gdy mieliśmy tam w Madison zjazd dealerów tłumików.

- Och, zapomniałam - stwierdziła Maggie. - Klub Tenisa i Raketek Mud Lake. Pół tuzina brzuchatych panów w hawajskich koszulkach, próbujących przerzucić raketami pozbawione lotek piłeczki do wolanta nad szeregiem składanych krzeseł.

- Siatka była w naprawie - odwarknął, a potem pomyślał: *Gównno, ona zawsze próbuje złapać mnie na szczegółach.*

- I to jest twoje bardzo dobre wyobrażenie, czego oczekujesz po klubie wiejskim? Mud Lake? Podniósł głowę i popatrzył na nią złym wzrokiem. Ale udało mu się opanować.

Rozczarował ją i wiedział o tym. Rozczarowywał ją od chwili, gdy się pobrali. Wyobrazila sobie, że on jest kimś innym, innym gatunkiem mężczyzny, i przez jedenaście lat nie potrafił wykryć, jakim to innym gatunkiem mężczyzny miał być.

Czego, u diabła, ty ode mnie chcesz? - ryczał po zbyt wielu piwach. Ale nigdy mu nie

powiedziała. Po prostu zamykała się na klucz w swej sypialni i zakładała podgrzane lokówki. Było bardziej niż prawdopodobne, że sama nie wiedziała, czego po nim oczekuje.

Oczywiście nadal łączyła ich miłość, choć Jack odczuwał trudności w określeniu jakiego rodzaju. Gdy wychodzili razem, nadal wyglądali na „szykowną parę”. Jack był wysoki, o drugich kończynach; miał kasztanowate włosy, zawsze wyglądające tak, jakby wymagały przycięcia, oraz podłużną, przystojną twarz jak Dick van Dyke, z powodu której ludzie nigdy nie traktują cię do końca poważnie. Miał nawyk noszenia się w zbyt oficjalny sposób, choćby zakładania krawata, gdy wszyscy inni występowali w rozpiętych pod szyją koszulach - nawet teraz, gdy osiągnął wiek czterdziestu trzech lat, trudno mu było otrząsnąć się z przemożnej ceremonialności, narzuconej mu przez ojca.

Zbyt późno pojął, że sztywność manier ojca nie była objawem tradycjonalizmu ani siły, lecz bojaźliwości i nieustannego poczucia zagrożenia.

Maggie - albo Margaret-Ann - jak ją nazywał, gdy czuł prawdziwą wściekłość - była w drugim pokoleniu Niemką z Milwaukee. Platynowa blondynka z oczami zielonymi jak winogrona, miała mocny germański podbródek z głębokim pionowym dołkiem, podobnie jak jej ojciec. Szczęśliwa - promieniowała kobiecością. Gotowa wówczas była tańczyć na swych bosych, pulchnych stopach. Ale zła - nabierała odpychająco męskiego wyglądu. Miała wielkie piersi, ale i grube ramiona. W lecie obsypywały ją piegi, a zawsze skarżyła się na swe zbyt ciężkie uda.

Ojciec jej, emerytowany drukarz, zawsze oddawał się mglistym złudzeniom, iż jest kimś w rodzaju europejskiego intelektualisty. Miał regały wypchane nigdy nie przeczytanymi egzemplarzami dzieł takich, jak „Narcyz i Złousty” czy „Podróż na okręcie Beagle”, prenumerował również czasopismo „Współczesna Psychologia”. Palił cygaretki i opowiadał o „światach wewnątrz światów”.

Maggie, niegdyś całkiem zadowolona ze swej półetatowej pracy nauczycielki gry na fortepianie na Uniwersytecie Marquette, ostatnio wykazywała objawy podobnych omamów. Zapisła się na wieczorowy kurs o ekspresjonizmie, który miał się rozpocząć w marcu. Jack zupełnie nie wiedział, co to jest ekspresjonizm. Zapytywał nieustannie: - Co to jest, u diabła, ten ekspresjonizm? Ale ona nie chciała albo nie potrafiła mu powiedzieć.

- Będziemy żyli na stopie, jakiej sobie nigdy nie wyobrażałaś - oznajmił.

- Czy nie uważasz, że nasza obecna jest wystarczająco zła? - odparła. Pomaszerowała w kąt kuchni, zawróciła i pomaszerowała z powrotem.

- Uważasz, że jest zła? - zapytał. - Uważasz, że źle żyjemy?

- Na litość boską, Jack, nie miałam na myśli źle. Nie... źle źle. Chciałam powiedzieć, no nie wiem... stresująca.

- Co za stres? - zażądał wyjaśnienia. - Jaki stres? Jedynym naszym stresem jest brak stresu. Nie stoją przed nami żadne wyzwania.

- A ty uważasz, że prowadzenie klubu wiejskiego stanowi wyzwanie? Jezu! Niektórzy mają ładne wyobrażenie o wyzwaniu.

Maszerowała sześć kroków w jedną stronę, sześć z powrotem. Pięć miesięcy i cztery dni temu rzuciła palenie, bez ostrzeżenia. Przody dębowych szaf w stylu kolonialnym były zeszpecone plamami od wody, a elektryczny zegar na ścianie nigdy nie wisiał całkiem prosto i nigdy nie był należycie wyregulowany.

Jack potrząsnął głową, starając się zrobić taką minę, jakby żałował jej, że nie potrafi zupełnie zrozumieć.

- Ten dom, kochanie... to coś jak z bajki. Pamiętasz Śpiącą Królową? Zamek ściśle otoczony

ciemniami i tym podobnym? Będziesz musiała go obejrzeć, by w to uwierzyć.

- Nie chcę tego oglądać - oświadczyła Maggie. - Nie interesuje mnie w najmniejszym stopniu. To wszystko, cały ten pomysł... to coś, jakbyś postradał zmysły. Jakbyś wrócił do domu i zawiadomił mnie, że zaraziłeś się AIDS czy coś w tym rodzaju.

- AIDS! - prawie na nią wrzasnął. - AIDS? To jest budynek, Maggie. Fantastyczny, stary budynek w samym sercu puszczy. Stwarza możliwości, w jakie nigdy byś nie uwierzyła! Ma w sobie wszystko, o czym można zamarzyć! Na litość boską, czy nie dasz mi szansy? - Przerwał cały drżący, a potem powiedział: - Na litość boską AIDS.

Maggie przerwała marsz i przycisnęła dłoń do czoła. - Nigdy nie słyszałam czegoś tak głupiego - stwierdziła, jakby mówiła przez telefon do kogoś innego. - Nie mogę uwierzyć, że wróciłeś do domu spóźniony o dwie i pół godziny i powiedziałeś mi, że chcesz otworzyć klub wiejski. Być może obudzę się jutro i okaże się, że tego nie mówiłeś.

Jack wstał z miejsca. *Boże, użycz mi trochę siły, proszę.* Był o włos od wybuchu wściekłości.

- Maggie - zaczął tonem tak łagodnym, jaki tylko udało mu się wydobyć - czy myślisz, że zrezygnowałbym z dwudziestu pięciu lat istnienia Tłumików i Opon Reeda dla czegoś, co miałoby się nie udać? Czy doprawdy tak myślisz? Maggie, nie jestem durniem. Jestem człowiekiem praktycznym. Ale musisz zrozumieć, że mam także wyobraźnię. Mam wizję. Mogę mieć czterdzieści trzy lata, ale nadal pozostała mi moja ambicja.

- Ambicja - powtórzyła kiwając głową, jakby nadal rozmawiała przez wymyślony telefon. - Czy to tak źle mieć ambicję?

Nagle zwróciła na niego swe zielone oczy.

- Mówisz o swojej ambicji, przyjacielu. Twojej ambicji. Nie o mojej. Jack rąbnął pięścią w stół kuchenny, rozlewając piwo.

- Dobra, do jasnej cholery! To moja ambicja! Ale jak, u diabła, mogę dopomóc twojej ambicji, kiedy nie wiem, do jasnej cholery, na czym ona polega?

Trzasnęły drzwi sypialni. Z sufitu posypał się tynk. Jack siedział samotnie w kuchni, gapiąc się na rozlane piwo. *Znów wszystko zepsułem* - powiedział sobie, czując znajomy, mdlący smak goryczy w gardle. - *Znów wszystko zepsułem. Teraz pozostały mi tylko do wyboru: a) rezygnacja z klubu wiejskiego albo b) rozwód.*

Ciągle jeszcze siedział na miejscu, gdy drzwi otwarły się ponownie. Przez jeden irracjonalny moment myślał, że może to Maggie, wracająca, by mu powiedzieć, że go przeprosza. Ale był to Randy, rozczochrany, z zapuchniętymi oczami, ubrany w piżamę z napisem „A-Team”, dźwigający to okropne, beżowe, bezpłciowe stworzenie, które jedna z feministycznych przyjaciółek Maggie zrobiła mu na drutach, ponieważ było totalnie obce dyskryminacji seksualnej.

Randy nazywał to Waflem, bo powierzchnia tego czegoś miała fakturę taką jak wafel. Jack nazywał to Kupą.

- Jak ci idzie, kumplu? - spytał Jack syna, sadzając go na stole.

- Ty i mama obudziliście mnie - odparł oskarżycielsko Randy.

- No cóż, śpiewaliśmy - rzekł Jack.

Randy potrząsnął głową. - Kłóciliście się.

- Niii. To nie była kłótnia, to coś, co można by nazwać dyskusją.

- Mama zamknęła drzwi na klucz, a kiedy zajrzałem przez dziurkę, zakładała lokówki.

Jack westchnął.

- Dobrze, panie posterunkowy, nie będę stawiał oporu. To była kłótnia.

- A tym razem o co?

Jak na dziewięciolatka, Randy był bardzo znużony życiem.

- Och, nie wiem. To i tamto. Jak zwykle. Niemożliwość wspólnego przyjemnego i pełnego zadowolenia życia dwojga dorosłych, którzy mają własne zdania wykraczające poza opinię o stanie pogody. Czy wszechświat ma kształt pączka, a jeśli tak, to gdzie jest nadzienie. Twoja mama i ja potrafimy się sprzeczać o cokolwiek. - Przerwał na chwilę, wypił duży łyk piwa, a potem odezwał się: - Randy, czy chciałbyś się stąd wyprowadzić?

Randy mocniej przytulił Kupę i spojrzał na ojca ze zmarszczonymi brwiami.

- Masz na myśli w jakieś inne miejsce?

- No pewnie. Na przykład... nie wiem... może do lasu.

- Lasu?

Jack energicznie skinął głową.

- Zgadza się, do lasu. Zaczynasz mówić, jak twoja mama. Ja mówię „lasu”, ona mówi „lasu?” i ja mówię „lasu”, i tak kontynuujemy, *ad nauseam, ad infmitum* i już na zawsze.

Zdumiony Randy popatrzył na niego. W końcu Jack pozwolił sobie na uśmiech i powiedział:

- Słuchaj uważnie, Randy. Teraz opowiem ci wszystko o lesie.

Następnego ranka, gdy Jack jechał do Tłumików i Opon Reeda na West Good Hope Road, tuż obok Wisconsin Cuneo Press, nadal padało. Zaparkował na miejscu oznaczonym ZAREZERWOWANE i pośpieszył do warsztatu po pełnej kałuż betonowej płycie. Wyglądało na to, że jego mechanicy mają pełne ręce roboty. Dwa samochody stały na podnośnikach i wymieniano ich układ wydechowy, natomiast z boku, gdzie reperowano opony, dolatywał wibrujący pisk wiertarek elektrycznych i ogłuszający hałas nadmuchiwanym opon.

Brygadzieta warsztatu Jacka, Mike Karpasian, zasałutował mu zaolejoną pięścią, a potem podszedł przez warsztat, kołysząc w biodrach swym muskularnym ciałem, odziany w ogromnego rozmiaru kombinezon. Mike uprawiał przedtem boks i gdy się odzywał, mówił bełkotliwie. Ale z pewnością był najodpowiedzialniejszym i najbystrzejszym członkiem całej załogi.

- Co się stało z twoim wozem? - dowiadywał się, kiwając głową w stronę powgniatanego kombi Jacka.

- Wpadłem w poślizg i uderzyłem w drzewo - powiedział Jack. - Będiesz zajęty przez cały dzień?

- Tak to wygląda. Na dziś rano mamy pięć nowych zgłoszeń, dwie wymiany tłumików i trzy badania spalin. Boks opon nie jest tak zapchany, ale nigdy nie wiadomo. Ludzie zaczynają martwić się oponami, gdy robi się ślisko. - Pociągnął nosem, a potem zaproponował: - Mój kuzyn Waldo może ci naprawić ten tył. Prowadzi warsztat karoserii w Cudahy. Ceny preferencyjne.

- Jeśli jest podobny do twego kuzyna, który naprawiał mój ubijak śmieci, to myślę, że się obejdę. Posiadam obecnie jedyny na całą Amerykę ubijak, który powoduje, że śmieci zwiększają objętość.

Jack przedostał się przez warsztat do biura. Karen zajęta była wypisywaniem faktur na składopisie, ale popatrzyła na niego, gdy otwierał drzwi i uśmiechnęła się.

- Nie spodziewałam się ciebie tutaj w dniu dzisiejszym - powiedziała. - Myślałam, że pojedziesz do Wauwatosa.

- Przyszedłem, by się z tobą zobaczyć - odparł, zamykając drzwi biura za sobą.

Karen pracowała u niego od trzech lat. Była dwudziestosześcioletnią pulchną brunetką, bardzo ładną, urodą typu laleczka z odętymi wargami plus cztery pary sztucznych rzęs. Ubierała się zawsze

w głęboko wycięte sweterki i nie zakładała do nich stanika oraz krótkie, obcisłe spódniczki, idąc zaś kręciła tyłeczkiem. To przede wszystkim ona przyciągała męską klientelę do Tłumików i Opon Reeda, ale ją interesował tylko Jack.

Co nie oznaczało, by romansowali. Karen właśnie uzyskała wyrok rozwodowy w sprawie przeciw swemu drugiemu mężowi, trzystofuntowemu kierowcy ciężarówki imieniem Cecil, który złamał jej szczękę w dwóch miejscach, i w tej chwili była, jak to określała, „na uczuciowych wakacjach”, lecząc swe złamane serce i opiekując się córką z pierwszego małżeństwa, Sherry (co stanowiło zdumiewający skrót imienia Sherrywine).

Od czasu do czasu po zamknięciu warsztatu Karen i Jack szli razem do położonej po drugiej stronie ulicy piwiarni, by pogadać sentymentalnie o tym, co się zdarzyło, i o tym, co się nie zdarzyło, oraz tym, co nigdy się zdarzyć nie mogło, ale dalej się nie posunęli.

- Znow pożarliście się z Maggie? - zapytała go.

- No, niezupełnie. - Jack zasiadł za biurkiem i przetarł twarz dłońmi. Za jego głową wisiał kalendarz z gołą dziewczyną, wychwalający zalety opony HRS-71 o płytko rzeźbionym bieżniku.

- Chcesz kawy? - spytała Karen. - Wyglądasz, jakbyś przejechał czterdzieści mil ciężkiej drogi. Jack potrząsnął głową.

- Czego mi potrzeba, to Jacka Danielsa, popitego piwem Blue Ribbon.

- Życie nie może być aż tak złe - orzekła Karen, obciągając sweterek z różowej angory, tak że ukazała jeszcze głębiej bruzdy między piersiami oraz pozłacany naszyjnik z własnym imieniem.

- Nie wiem - odrzekł Jack. - Może jednak może. To znaczy... pomyśl, że przypadkiem natrafiłaś na coś, czego zawsze pragnęłaś, nawet o tym nie wiedząc, ale nie możesz tego mieć, przynajmniej nie tracąc wszystkiego, co masz.

- To jakaś zagadka czy co? - zapytała Karen.

- No, coś w tym rodzaju - przyznał Jack.

Karen patrzyła na niego przez długi czas żując gumę i nie odzywając się. W końcu zaproponowała:

- Chcesz mi powiedzieć, co tu nie gra?

- Nie jestem całkiem pewien, czy potrafię - odparł Jack. Nagle zdał sobie sprawę, że jeśli powie Karen o zamiarze sprzedania Tłumików i Opon Reeda i otworzenia klubu wiejskiego, wyrwie jej spod nóg pewność posiadania posady, jakby to był tani nylonowy dywanik sprzed kominka. Przecież musiała zajmować się Sherry, zresztą wszyscy mężczyźni w firmie Reeda również mieli rodziny na utrzymaniu. Gdzie znajdzie pracę Mike Karpasian, bełkoczący pięćdziesięciosiedmiolatek, obdarzony talentem ograniczającym się wyłącznie do instalowania nowych tłumików przy samochodach?

Być może zachowywał się bardziej samolubnie, niż myślał. W „Reader's Digest” czytał o męskim klimakterium. Po latach trzeźwej odpowiedzialności mężczyźni w średnim wieku mogli niespodzianie dać dęba jak rozpieszczeni młodzieńcy w wieku dojrzewania. Gonić za kobietami, prowadzić samochody z nadmierną szybkością. I snuć rojenia o nieosiągalnych wspianiałościach, jak posiadanie klubu wiejskiego.

- Rozwiązałam zagadkę - odezwała się Karen. - Natrafiłeś na coś, czego zawsze pragnąłeś. Być może nie wiedziałeś, że tego chcesz, w każdym razie zanim na to natrafiłeś, ale kiedy już tak się stało, pomyślałeś: to jest to, to jest coś, czego zawsze pragnąłem.

Jack potwierdził ruchem głowy, a potem uśmiechnął się.

- Więc co to jest? - chciała wiedzieć Karen. - Będiesz mnie trzymał siedzącą jak na szpilkach? Jack zastanowił się przez chwilę, a potem powiedział:

- Wczoraj pojechałem nad Diabelskie Jezioro, tylko po to, by sprawdzić, w jakim stanie jest letni domek mego taty. W drodze powrotnej rozbiłem samochód. Nic poważnego. Z poślizgu uderzyłem bokiem o drzewo, to wszystko. Ale gdy wysiadłem, by obejrzeć szkody, trafiłem na ten nieprawdopodobny budynek.

Karen nic nie powiedziała, tylko przesunęła gumę do żucia pod drugi policzek, co oznaczało, że słucha i że interesuje ją to, co jej opowiada.

- Trudno opisać, jak on wygląda - kontynuował Jack. - Jest ogromny, naprawdę ogromny i stary. Ale także wręcz imponujący. Nie był zamieszkały przez całe lata.

- A ty go zapragnąłeś - powiedziała cichutko Karen.

- Tak - odrzekł. - Zapragnąłem go.

- Potrafię zgadnąć, że go pragniesz - rzekła. - Mówiłeś takim samym tonem zwierzenia, jakiego używał Cecil opowiadając o sześćdziesięcioośmiokonnej barrakudzie.

- Coś ci powiem, Karen - Jack uśmiechnął się z przymusem. - Gdybym miał ten budynek, zmieniłoby się całe moje życie.

- Ale Maggie nie życzy sobie, abyś go kupował, mam rację? Ale czemu ona tego nie chce?

- Bez powodu. Po prostu nie chce, bym go kupił.

- Aha - powiedziała Karen i kiwnęła mocno utapirowaną głową do góry i w dół, a potem powtórzyła: - Aha. - W końcu jednak odezwała się: - Wybacz, że pytam, ale właściwie dlaczego chcesz go kupić?

- Ja, aaa... chcę rozszerzyć działalność, rozumiesz? Zróżnicować, tak to się określa. W tej chwili, z powodu TiOR, stawiam wszystko tylko na jedną kartę. Chcę także zacząć przyjmować gości.

- Zamierzasz otworzyć przytułek?

- Nie, nie, hotel. Klub wiejski. Miejsce, gdzie ludzie odbywaliby zjazdy, grali w tenisa, pływali w basenie i chodzili do sauny. Gdzieś w eleganckim otoczeniu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, z doskonałą kuchnią i doskonałymi winami.

- Brzmi to, jakbyś mówił o raju na ziemi - zauważyła Karen.

- Tak - zgodził się Jack. - Tak to brzmi, prawda? Ale Maggie jest temu w stu procentach wroga. W stu procentach. Ona uważa, że prowadzenie klubu wiejskiego jest ponad moje możliwości. Karen przyglądała mu się, żując gumę.

- Więc co zrobisz? - odezwała się w końcu.

- Nie wiem - przyznał. Widział przez okno biura, jak z podnośnika opuszczają na pokrytą plamami oleju podłogę warsztatu rivierę, widział sylwetki swych mechaników pod szare światło deszczowego dnia. Zgoda, tamten dom go uwiódł. Mógł go sobie z łatwością wyobrazić, stojący wśród mżawki, opuszczony.

*Ocal mnie* - błagał go ten obraz. - *Przywróć mi wspaniałość. I być może w tym głosie rozpoznawał echo własnego pełnego rezygnacji życia, swych nigdy nie urzeczywistnionych ambicji.*

- Pójdźmy na tego drinka, co? - powiedziała Karen. - Zdaje się, że jest ci potrzebny. Wyglądasz jak żywy trup.

Ramię w ramię przeszli przez jezdnię West Good Hope Road, Jack podniósłszy kołnierz, Karen stukając swymi absurdalnie wysokimi szpileczkami.

- Zawieź mnie, bym go obejrzała! - zawołała Karen, w chwili gdy wśród deszczu przeleciała obok nich ciężarówka.

- Co?! - odwrzasnął.

- Budynek! Zawieź mnie, bym go obejrzała!



Więszą część popołudnia przesiedział w biurze, telefonując do rozmaitych pośredników handlu nieruchomościami w Madison, zanim wreszcie odkrył, kto zajmuje się tym budynkiem. Nikt z pytanych nie okazał się pomocny. Gdy tylko wyjaśniał, co go interesuje, odpowiadali: - Och, ten budynek - jak gdyby wspomniał o jakimś grzesznym krewnym, którego portret odwrócono twarzą do ściany.

- Tak, ten budynek - odpowiedział mówiącej łamiącym się głosem kobiecie w biurze nieruchomości Capitol. Poprosiła go, by nie odkładał słuchawki i wysłuchiwał przez trzy minuty zdartej, sklezionej w pętle taśmy z „Galopem Pocztyliona”, nim powróciła, by mu oświadczyć, że ta-a-a-k, ten budynek jest w gestii Capitolu, przynajmniej w pewien sposób, ale najpierw będzie musiał umówić się na spotkanie z panem Danielem Bufo.

- Zgoda, świetnie. Umówię się na spotkanie z panem Danielem Bufo.

Tego wieczoru wrócił wcześniej do domu, przynosząc kwiaty. Przypominały aż nazbyt mocno owe pośpiesznie wybierane bukiety, które mężowie przynoszą żonom na przeprosiny, ze zbyt wielką ilością zieleni i zbyt wielu szklarniowymi różami. Maggie weszła przez drzwi i stojąc w niekorzystnym świetle holu patrzyła na nie przez chwilę, jakby oczekując, że zwiędną pod jej spojrzeniem. Potem powiesiła swój beret koloru liści mirtu oraz płaszcz z dzianiny, który Jack zawsze nazywał jej strojem mudzahedina, i szybkim krokiem przeszła do kuchni, pozostawiając kwiaty tam, gdzie były.

- Kwiaty - powiedział Jack, skinąwszy głową w stronę holu. Obdarzyła go sztywnym uśmiechem.

- Nie zaczęłaś kolacji?

Rzucił okiem na Randy'ego, siedzącego na stołku kuchennym przed telewizorem.

- Randy dostał miskę lucky charms. Nie wiedziałem, kiedy wrócisz.

- Sekcja kobieca kończy zebranie o szóstej trzydzieści, wiesz o tym. Nie przyniosłeś do domu nawet pizzy?

- Przepraszam. Myślałem, że może zjemy na mieście. Może u Schneidera, hę? Kielbasa, *sauerkraut*? *Deutschland uber alles*? Nic nie może się równać z podładowaniem etnicznych akumulatorów.

Prawda była taka, że w ogóle nie pomyślał o jedzeniu, zbyt zajęty Klubem Wiejskim Merrimac Court oraz jutrzejszym spotkaniem z panem Danielem Bufo o jedenastej rano. Już zdążył nabazgrać skomplikowany nagłówek papieru firmowego dla klubu wiejskiego: litera M jak Merrimac, a za nią wznoszące się iglice budynku.

- Zamówiłaś baby-sitterkę? - chciała wiedzieć Maggie. Zielone oczy bez wyrazu, czekające. Randy odwrócił się i zobaczył, że wróciła, ale się nie odezwał. Wiedział, że najpierw musi odbyć się kłótnia, zanim on uzyska priorytet. Popatrzył z nadzieją na ojca.

- Nooo... nie złożyłem definitywnego zamówienia - przyznał Jack.

- Planowałeś zabranie mnie do Schneidera, ale nie złożyłeś definitywnego zamówienia?

- Pomyślałem, że może Randy mógłby pójść z nami.

Głos Maggie przybrał ów okropny, protekcjonalny ton, który zawsze doprowadzał go do skrajnej furii.

- Jack, on jest w piżamie. Jutro idzie do szkoły. Ty zamierzasz zabrać go do Schneidera?

- A co, u diabła? - odciął się Jack. - Mówię: co, u diabła? Ma już dziewięć lat, może pójść do Schneidera.

- Jack, on chodzi do szkoły.

- Może jeden dzień opuścić.

- Jack - oświadczyła - oszalałeś.

O mały włos nie odpowiedział: *Tak, oszalałem* - trzasnął szklanką piwa o stół i spoliczkował Maggie. Zamiast tego pochylił głowę i głęboko odetchnął, by nie dopuścić do realizacji owego alternatywnego scenariusza.

Randy popatrzył na matkę, potem na ojca. Z oczekiwaniem, ale bez lęku.

- Zgoda - wyrzekła Maggie po długiej chwili, jak gdyby w ogóle nie obchodziła ją dotychczasowa sprzeczka. - Ale jeśli opuści szkołę, ty będziesz musiał się nim zająć. I będziesz musiał napisać list do jego nauczyciela.

- Na litość boską, zrobię to - zapewnił ją Jack. - Chcesz listu, napiszę ci list. Na litość boską.

- Piłeś - skarciła go Maggie.

Zakrył dłonią oczy, jakby był zmęczony i światło go raziło. *Ale nie oszukujmy się, Jack, masz nadzieję, że gdy otworzysz oczy, wszystko się zmieni. Maggie będzie uśmiechnięta, Randy szczęśliwy i okaże się, że tych wszystkich złośliwości w ogóle nie było.*

- No cóż - powiedziała Maggie - jeśli naprawdę mamy pójść do Schneidera, muszę się odświeżyć. Randy, idź się przebrać. I na litość boską, włóż coś przyzwoitego. Nie twoją koszulkę tenisową z Alfem.

Randy zgasił telewizor i pobiegł do swego pokoju, by się przebrać. Jack popatrzył na Maggie, a Maggie popatrzyła na Jacka.

- Wiesz co? - zaczął Jack. - Nie takie z nas złe małżeństwo, ty i ja. Nie jesteśmy niedopasowani. Oddaliśmy się po stycznych i to wszystko. Jakoś nie trafiamy do siebie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Takiego jesteś zdania, nieprawdaż? - zapytała Maggie.

W jej czystych, zielonych oczach nie dostrzegł niczego, co mogłoby mu powiedzieć, że ją sobie pozyskał.

Kiwnął głową. Nie potrafił wymyślić żadnej odpowiedzi. Maggie stała patrząc na niego przez parę krótkich chwil, a potem poszła do swej sypialni, by się odświeżyć. Słyszał, jak przekręca klucz w zamku.

*Jezu, to małżeństwo się skończyło. Martwe i pogrzebane. Powiniennem dokończyć to piwo, pomaszerować natychmiast do drzwi i nigdy już nie wracać.*

Ale w tym momencie zjawił się Randy w nowych lewisach i jaskrawoczerwonym golfie, cały w uśmiechach i gotów do wyjścia do Schneidera. Jack wyciągnął do niego ramiona i objął go mocno, czując ów właściwy chłopcom zapach gorących biskwitów i przeklął Boga za to, że kazał ojcom kochać swych synów.

Padał gęsty deszcz, gdy dotarli do pochyłego odgałęzienia o milę za Lodi. Oczywiście pan Daniel Bufo czekał na nich w swym ciemnobrązowym sedanie de ville. Jack zatrzymał się za nim i zgasił silnik. Ponieważ na przedniej szybie pojawiło się zamglenie, opuścił boczne okno o kilka cali. Deszcz szeleścił głośno w przydrożnych krzakach laurowych i bębnił nierówno po dachu samochodu. Przez chwilę nic się nie działo, a potem drzwiczki sedana otworzyły się i wysiadła potężna postać w szarym plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym i szarym plastikowym kapeluszu przeciwdeszczowym. Podeszła do nich kulejąc.

- O, mój Boże! - powiedziała Karen. - To Moby Dick.

Daniel Bufo doszedł do ich wozu i wsadził ociekającą deszczem twarz w otwarte okienko Jacka. - Pan Reed? Jak się żyje? I pani Reed? Miło mi panią spotkać, ma'am.

Karen założyła nogę na nogę, potem znów je wyprostowała, obciągnęła rąbek swej

minispódniczki i roześmiała się wyjątkowo piskliwie.

- A kogóż my tam mamy z tyłu? - zapytał Daniel Bufo. - Czy to najmniejszy Reed?

- To Randy - odrzekł Jack.

Daniel Bufo wytarł twarz wierzchem dłoni.

- Randy, hej? Miałem kiedyś psa imieniem Randy. Bez obrazy. Fantastyczny pies. Przysięgam, że on zacząłby mówić, ów pies, gdyby na dość długi czas przestał jeść.

Jack spostrzegł serdelkowate palce z grubymi, złotymi pierścieniami.

- Państwo jedźcie za mną w dół, bardziej z lewej. Łatwo wypaść z zakrętów, więc bez pośpiechu.

Powrócił do swego wozu; obaj włączyli silniki i zaczęli powoli zjeżdżać wijącą się między drzewami drogą. Pod koronami robiło się od czasu do czasu tak ciemno, że samochód Jacka automatycznie włączał światła. Trudno było uwierzyć, że jest dopiero jedenasta rano.

Wystające gałęzie piszczały i szorowały o boki kombi. Wreszcie droga zrobiła się nieco szersza i Jack mógł już dojrzeć czarną żelazną bramę, zamkniętą na łańcuch i kłódkę. Daniel Bufo zatrzymał swój wóz, wygramolił się na zewnątrz i podszedł do bramy, by ją otworzyć. Nim po powrocie wtłoczył się znów na miejsce, dał Jackowi znak, że wszystko w najlepszym porządku.

Pojechali długą aleją, w tunelu okalających ją drzew.

- Jakby trochę tu ponuro, co? - zauważyła Karen.

- Nie dbano o tę drogę od niepamiętnych czasów - odparł Jack. Z emocji oczekiwania zaschło mu w ustach. - Gdyby tylko te drzewa przycinać, a trawę kosić...

Aleja zdawała się ciągnąć i ciągnąć przynajmniej przez milę. A potem, znenacka, ukazał się budynek, jeszcze większy i bardziej imponujący, niż go zapamiętał, i w jakiś niewytłumaczony sposób bardziej cierpki, jakby miał za złe Jackowi, że przywiózł ludzi, by zakłócali mu spokój. Karen oświadczyła: - Jest fan-tas-tyczny - ale Randy siedział wyprostowany na tylnym siedzeniu, z szeroko otwartymi oczami, jakby ten widok zupełnie mu się nie podobał.

Zaparkowali przy głównym wejściu, a Daniel Bufo sapiąc wspiał się po schodach do drzwi i głośno zaczął przebierać w pęku kluczy, którym nie pogardziłby Jacob Marley.

- To wspaniały, zabytkowy budynek, naprawdę wspaniały, teraz już tak nie budują. Nie można znaleźć odpowiednich rzemieślników.

- Więc od jak dawna stoi pusty? - spytał Jack. Pytał go już raz przez telefon, ale odpowiedź Daniela Bufo była nieprzekonywająca. „Przez pewien czas - powiedział wtedy. - Może ktoś inny wie dokładnie”.

Daniel Bufo znalazł właściwy klucz i podniósł go w górę. Nie był podobny do żadnego klucza, który Jack kiedykolwiek widział; przypominał raczej jeden z owych falistych mieczy z wyspy Bali niż klucz.

- Takich kluczy też już nie wyrabiają. Czy to jest klucz, czy to nie jest klucz?

- Od jakiego według pana czasu, dwudziestu, trzydziestu lat? - nalegał Jack.

Daniel Bufo wzruszył ramionami.

- No, mój wspólnik twierdzi, że powstało to na przełomie wieków. Najpierw była tu prywatna rezydencja, wybudowana przez Adolfa Krögera, który założył firmę Piwo Krögera. Zdaje się, że sprzedał ją tuż po pierwszej wojnie światowej, a potem przebudowano ten dom na klinikę.

Przekręcił klucz w drzwiach i otworzył je. Nie zapiszczały ani nie zatrzęsły się. Obracały się na zawiasach tak bezdźwięcznie, jakby były nowe.

Gdy weszli do środka, Randy obejrzał ślepe twarze na płaskorzeźbach i szeptem zapytał:

- Czemu wszystkie mają zamknięte oczy?

Daniel Bufo podniósł wzrok, popatrzył, a potem potrząsnął głową, tak że zatrzęsły się jego obwisłe policzki.

- Obaj możemy tylko zgadywać, przyjacielu.

- Wyglądają, jak te maski - wtrąciła się Karen. - Wiecie, gdy ktoś umarł i robi się jakby odlew z jego twarzy.

- Maski pośmiertne - powiedział Jack.

- O, właśnie, maski pośmiertne. Skóra cierpnie, no nie? Mam na myśli: a co, jeśli one takie są? Cały budynek pokryty twarzami naprawdę kiedyś żyjących osób?

Weszli do ogromnego, odbijającego echem każdy dźwięk holu, gdzie stały posągi koloru kości słoniowej. Jedyne słyszalnym odgłosem w kompletnie cichym budynku było szuranie ich obuwia po podłodze. Randy trzymał ojca za rękę, a Karen przeszedł lekki nerwowy dreszczyk.

- No, przytulnie to tu nie jest - zauważyła.

- Panie Reed, sądząc z tego, co powiedział mi pan przez telefon, przemyśliwuje pan nad pomysłem przebudowania tego lokalu na coś w rodzaju... co to było?... ośrodka wypoczynkowego? - zapytał Daniel Bufo, rozglądając się w koło.

- Zgadza się - odparł Jack, stojąc nieruchomo i nasłuchując. *Czego nasłuchując?* - zapytał sam siebie. - *Nasłuchując szeptów? Nasłuchując, czy do środka nie przecieka woda deszczowa? Czy też nasłuchując owego dźwięku szszszsz, który ścigał go, gdy zbiegał po schodach?*

- W takim wypadku ta posiadłość otwiera wszelkie potrzebne możliwości - oświadczył Daniel Bufo. - Bardzo bogate pomieszczenia recepcyjne, doprawdy imponujące. Macie je państwo przed oczami, prawda? Światła, ludzi.

- Ja widzę tylko kurz i śmiecie - wtrąciła Karen.

- Aaaależ! - zaśmiał się Daniel Bufo. - Pan Reed bardzo jasno rozumie, że by doprowadzić to miejsce do porządku, potrzeba nieco wyobraźni, nie mówiąc już o poważnym wkładzie finansowym. Stało puste od lat dwudziestych, tak mi powiedział mój wspólnik. Więc żaden z nas nie ma w związku z tym jakichkolwiek złudzeń, prawda, panie Reed? Będzie pan musiał dać nową instalację elektryczną, wodnokanalizacyjną, zrobić remont, zerwać dach, doprowadzić budynek do stanu wymaganego przepisami lokalnymi, stanowymi i federalnymi. Kto wie, co jeszcze będzie trzeba przebudować. Ja sam jestem tu po raz pierwszy.

Jack rozejrzał się i odchrząknął.

- Donaldowi Trampowi udało się. Nie ma powodu, bym ja tego nie potrafił.

Daniel Bufo zerknął na Karen i skrzywił się lekko. Już zdał sobie sprawę, że Karen nie jest żoną Jacka, więc nie namawiał jej bezpośrednio do kupna. Jednak oczywiste było, że Jack snuje jakieś marzenia w związku z tym miejscem i że pragnie go bez względu na okoliczności. Takiego nabywcę należy traktować delikatnie.

Jack podszedł do rzeźby, umieszczonej u stóp wschodnich schodów. Wysoka postać okryta fałdzistą szatą, z zamkniętymi oczami. *Czego byłeś świadkiem?* - pomyślał Jack. - *Co tutaj się takiego zdarzyło, że musiałeś na zawsze zamknąć oczy?*

- Wspomniał pan Donalda Trumpa - przerwał mu te rozmyślenia Daniel Bufo. - Jest taka możliwość, że stan Wisconsin zwolni pana z podatków od nieruchomości na tej podstawie, że remontuje pan historyczną budowlę i stwarza nowe miejsca pracy dla tutejszej ludności.

Przynajmniej na określony czas. Taką umowę Donaldowi Trampowi udało się wydusić od władz stanu Nowy Jork. Proszę oczywiście nie mówić nikomu w Madison, że to podsunąłem, ale...

Jack potwierdził ruchem głowy. Klekot szpilek Karen odbijał się echem ze wszystkich stron, bo zdarła już obcasy do samego metalu. Randy obracał się w kółko, gapiąc się na sufit i na ogromną,

obwieszoną pajęczynami lampę. Zatrzymał się, bo zakreśliło mu się w głowie.

- A więc? - zapytał Daniel Bufo. - Chce się pan rozejrzeć? Proszę się nie krępować. Ja tylko sprawdzę piwnicę, zobaczę, w jakim stanie są tam urządzenia gospodarcze.

Rozwinął ogromny, poślizgnięty plan sutereny i rozłożył go na stole w holu. Randy zaczął wdrapywać się na schody, a Jack i Karen ręka w rękę krążyli po holu.

- Jack, ty naprawdę, poważnie chcesz to kupić? - zapytała Karen marszcząc nos. - To takie stare. I takie zapuszczone.

Jack przesunął dłoń po szacie posągu barwy kości słoniowej, prawie spodziewał się, że zamiast marmuru poczuje tkaninę.

- To pochłonie masę pieniędzy, Karen, ale zastanów się nad tym. Postaraj sobie wyobrazić, jak to miejsce będzie wyglądało po ukończeniu remontu. Ludzie będą się tu zlatywać z całego świata. Klub Wiejski Merrimac Court, miejsce, w którym obowiązkowo trzeba być.

- Tak myślisz? - Rozejrzała się po holu i stało się oczywiste, że niczego takiego nie potrafi sobie wyobrazić. Większą część życia przemieszkała w przyczepie kempingowej; widziała tutaj tylko to, co istniało w tej chwili.

Jack uśmiechnął się i skinął głową.

- To urzeczywistnione marzenie, Karen. Uwierz mi.

- A co będzie z Tłumikami i Oponami Reeda? - zapytała. - To znaczy zachowasz to sobie, czy jak? Nie zamkniesz ich? To znaczy dla t e g o?

- Jeszcze nie wiem - skłamał. - Trochę za wcześnie, by podejmować takie decyzje. Ale chcę tej posiadłości, Karen, wierz mi. Coś w niej jest.

- Twój pogrzeb - odparła Karen, demonstracyjnie żując gumę balonową.

Randy wspiał się aż na otoczony balustradą podest i popatrzył w dół, machając ręką do ojca, ale nie zawołał go, bo w holu było zbyt silne echo. On zaś uważał, że echo jest przerażające; tak jakby inni wykrzykiwali do ciebie z powrotem twoje własne słowa.

Jack pomachał mu w odpowiedzi, tak samo zrobiła Karen. Z góry wyglądali całkiem maleńcy. Randy lubił Karen. Była zabawna, ładnie pachniała i zawsze częstowała go gumą balonową; ale nie mógł się tak naprawdę zorientować, jakie miejsce przysługiwało jej w życiu jego ojca. Niekiedy ojciec odnosił się nawet serdeczniej do Karen niż do matki. Raz czy dwa Randy widział, jak ją całował. Ale nic więcej. Ojciec wracał co wieczór do domu i matkę także całował, i mówił, że ją kocha. Czasami wrzeszczał, że ją kocha. Tego Randy nie potrafił do końca zrozumieć, ale nic nie mówił i zdawało mu się, że ojciec oczekuje, aby nic nie mówił.

Zajrzał do długich, wyłożonych linoleum korytarzy, prowadzących od podestu do krańców gmachu na wschód i na zachód. Korytarze były ciemne, ale Randy poczuł, że go dziwnie nęcą. Nigdy dotychczas nie nęciły go ciemności. Zwykle uważał je za przerażające. Co wieczór upierał się, by ojciec zostawiał mu w korytarzu palące się światło (choć tajemniczym sposobem rano zawsze było zgaszone). Zbliżył się do korytarza wschodniego i długo do niego zaglądał. A potem powiedział pytająco:

- Halo?

Żadnej odpowiedzi. Ale także żadnego echa. Zawołał „Halo!” po raz drugi, nie wiedząc czemu spodziewając się, że ktoś mu odpowie. Brak odzewu w jakiś sposób go rozczarował.

Właśnie odwracał się, by podążyć na dół do holu, gdy kątem oka dostrzegł małą, szarobiałą figurkę, uciekającą od niego w sam koniec korytarza. Odwrócił się wstrząśnięty, a serce biło mu łup-łup, łup-łup, łup-łup. Znikła. Ale to musiało być dziecko, musiało. Mała dziewczynka w kapturze i

szeleszczącej pelerynie przeciwdeszczowej. Nie tyle słyszał ten szelest, co czuł: szszszsz, szszszsz, szszszsz wzdłuż korytarza. - Tato - zawołał i w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że zamiast zawołać głośno, zaszeptał. - Tato - powtórzył, ale jego głos był cichy jak poprzednio.

Ostrożnie zaczął posuwać się korytarzem, ciągnąc końcami palców po ścianach i drzwiach po obu stronach. Szarawobiała figurka zniknęła z pola widzenia, ale był w pełni przekonany, że jeszcze jest tutaj - czeka na niego gdzieś w ciemnościach i nie ma się czego bać.

- Dziewczynko? - zawołał. - Dziewczynko?!

Przechodził obok szeregu okien. Każde z nich ochraniała stalowa siatka. Wreszcie dotarł do końca korytarza i znalazł się na podeście. Kolejne schody wznosiły się na lewo od niego, słabo oświetlone przesłoniętym siatką oknem. Słyszał, jak o szyby szepcze deszcz. Czekał i słuchał. Tym razem nie zawołał „halo”. Przed nim znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi. Spróbował je otworzyć, ale oczywiście były zamknięte na klucz. Dziewczynka musiała pobiec schodami w górę. Szybko rzucił okiem w głąb korytarza, a potem postanowił podążyć za nią. Nie mogła zbyt się oddalić.

Idąc po schodach usłyszał, a przynajmniej zdawało mu się, że słyszy, jak ktoś bardzo daleki śpiewa.

*Lavender blue, dilly-dilly;*

*Lavender green.*

*Here I am king, dilly-dilly;*

*You shall be queen.*

Od małości lubił tę piosenkę. Z jakiejś przyczyny uszczęśliwiała go i zasmucała

równocześnie. A ktoś ją tu śpiewał! Dotarł do następnego podestu. Tu także nie było nawet śladu dziewczynki, ale był przekonany, że wspięła się wyżej, do najwyższego piętra i tam ją znajdzie.

Zasapał się osiągnąwszy kondygnację strychową. Stał z opuszczonymi rękami, chwytając oddech. A potem rozejrzał się wokół mrugając, jak mrugają dzieci, gdy chcą naśladować zaniepokojonych dorosłych.

- Więc gdzie jesteś? - zapytał.

Ruszył wzdłuż korytarza. Jego czerwone trampki piszczały po linoleum podłogi. Spróbował otworzyć jedne drzwi, potem drugie, ale były mocno zamknięte. Wciąż słyszał, jak ktoś śpiewa *Lavender blue, dilly-dilly... lavender green...*

W połowie długości korytarza zatrzymał się. Drzwi przed nim stały uchylone. Tylko odrobinę, lecz wystarczająco, by rzucić na linoleum ostry jak płetwa rekina trójkąt wyblakłego światła. Poczul się niepewnie, choć nie lękliwie. Przysłuchawszy się odgłosom domu stwierdził, że trzeszczy w nim i kapie wszędzie dookoła, jak w arce Noego. Słyszał własny oddech. Słyszał głos ojca, odbijający się echem po korytarzach i schodach. A tu, przed nim, były na pół otwarte drzwi, trójkąt rekiniej płetwy światła na podłodze i odczucie, że słyszy: *Tu jestem, Randy, tu jesteśmy!*

Życie, trwające z różnymi szybkościami. Powolne pchnięcie drzwi. Powolne wstąpienie do wewnątrz. Niewyraźny dźwięk, zamazana wizja. *Tu jestem, Randy! Tu jesteśmy!* Mały pokójk wytapetowany w brązowe kwiaty; żelazne łóżko pomalowane na kremowo, z wgniecionym materacem, zaplamionym przez niezliczone noce bezsilnej niemożności utrzymania wydaliny. Na ścianie krzywo wiszący obraz „Zuzanna i starcy” Thomasa Harta Bentona - wyskubane brwi, wypukłe piersi, bruzda sromu i patrzący mężczyźni. *Randy! Tu jestem, Randy!*



Odwrócił oczy. Popatrzył na ścianę. W połowie jej wysokości ujrzał w mglistym, ukośnym świetle poranka, że tapeta wydyma się na kształt twarzy mężczyzny, nieomal tak, jakby tapeciarze zakleili czyjąś głowę papierem w brązowe kwiaty. Mężczyzna miał zamknięte oczy, ale uśmiechał się. Wyglądał przyjacielsko, choć tak, jakby nie można mu było w pełni ufać; podobnie jak owym dowcipnisiom, którzy z nagłą odsuwają ci krzesło w chwili, gdy masz usiąść.

Randy wpatrywał się w niego drżąc. Nie wiedział, czy jest to prawdziwy człowiek, czy nie. Bo jak mógł być prawdziwym, będąc zatapetowanym? Nie można oddychać, kiedy się jest pokrytym tapetą, prawda? Do tego nie ruszał się, nie był rzeczywisty, tkwił absolutnie nieruchomo - płaskorzeźba w brązowej tapecie.

Idąc po linoleum podłogi Randy zbliżył się do niego. Linoleum miało wzór w zielone prążki oraz białe i czarne kwadraty, które wyglądały jak zezujące kocie oczy. Mężczyzna uśmiechał się, nie poruszając, a najdrobniejsze szczegóły jego twarzy uwięzione były w tapecie: powieki, wargi, rowek w podbródku. Randy gapił się na niego i nie wiedział, co robić.

*Boisz się, Randy? Nie masz się czego bać.*

- Czy jesteś prawdziwy? - zapytał, głosem piskliwym ze strachu. Nie usłyszał odpowiedzi. Randy stał, wpatrywał się w twarz mężczyzny i naprawdę nie wiedział, co zrobić dalej. On nie mógł być prawdziwy, no nie? Ale jednak wydawało się, że oddycha. To znaczy, nie mógł tak naprawdę przyłapać go na oddychaniu, ale pewne było, że to robi. Dało się to usłyszeć, wyczuć. Wdech, wydech, wdech, wydech. Płytki, zduszony oddech, jak kogoś ukrytego w komórce podczas niebezpiecznej zabawy w chowanego.

- Nie jesteś prawdziwy! - krzyknął głośno. - Nie możesz być!

*Co nazywasz prawdziwym, Randy? Czy uważasz, że ty, stojąc tak na zimnie, jesteś prawdziwy?*

Randy zagryzł wargi. Był o krok od wyskoczenia z pokoju i zbiegnięcia w dół po schodach. Ale choć mężczyzna w tapecie wyglądał dziwnie, jakoś nie wydawał się groźny. Było w nim coś dziecinnego, jak u tego przygłupka George'a, chłopca pracującego u starego Hamnera w narożnym sklepie.

- Czy możesz mówić? - zapytał Randy, robiąc ostrożnie krok do przodu. - Czy możesz otworzyć oczy?

*Nie ma potrzeby, bym otwierał oczy, Randy. Nikt nie jest tak ślepy, Randy, jak ci, którzy nie chcą widzieć.*

- Kim jesteś? - zapytał Randy. - Jakim sposobem twoja twarz znalazła się w ścianie?

*Nazywam się Lester. No, czasami Lester. Kiedy indziej Belfegor. To jest imię, co? Belfegor.*

- Jakim sposobem twoja twarz znalazła się w ścianie?

*Jakim sposobem ty w ogóle tu się znalazłeś, Randy? Bo nazywasz się Randy, prawda?*

*Słyszałem, jak twój tata nazywał cię Randy.*

- Mój ojciec chce kupić ten budynek i zrobić z niego hotel.

*Doprawdy? No cóż, jest parę osób, którym to sprawi przyjemność. Trochę takich, którym nie sprawi, to tym, którym podoba się, jak jest. Ale będzie paru zadowolonych.*

- No, nie wiem. Nie podoba mi się to miejsce. Jest stare i jakoś śmierdzi.

*Cóż, możliwe. Ale jeśli tu zamieszkaasz, będziesz miał nowych przyjaciół. Tuzinami.*

- Przecież tu jest daleko, na wsi - sprzeciwił się Randy. - Kto tu mieszka?

*My mieszkamy. My wszyscy. I możemy być twoimi przyjaciółmi. A ja mogę być twoim szczególnym przyjacielem.*

Randy zawahał się. Słyszał kroki ojca, zbliżające się po schodach, w ślad zaś za nimi postukiwanie zdartych obcasów Karen.

- Muszę już iść - zawiadomił twarz.

*Chodź tutaj, chodź bliżej* - zażądała twarz.

- Raczej nie.

*Podejdź bliżej. Chcesz, byśmy byli przyjaciółmi?*

- Z pewnością, ale...

*Podejdź bliżej.*

Randy podszedł do ściany i lekko położył dłoń tuż pod twarzą. Twarz zapytała:

*Lubisz tajemnice, Randy? Lubisz sztuki magiczne? Lubisz nagie kobiety?*

Randy nie wiedział, co odpowiedzieć. Na twarz wypełznął powolny, tajemniczy uśmiech.

*Randy, mogę pokazać ci tajemnice. Mogę pokazać ci sztuki magiczne, o jakich ci się nie śniło.*

*Mogę także pokazać ci nagie kobiety.*

Randy zadrżał, nie wiedząc dlaczego.

- Randy? Jesteś tu? Randy, gdzie ty, u diabła, jesteś? - Głos Jacka niósł się echem po korytarzu.

*Chcesz to zobaczyć, Randy, to wróć tutaj, Randy, wróć do tego pokoju i rozmawiaj ze mną. Ale nie mów nikomu, że mnie widziałeś. Nie mów nikomu na świecie. Ani tatusiowi, ani mamusi, nikomu. A szczególnie nikomu innemu, kto jest w ścianie.*

- Randy! - wrzasnął Jack, tym razem znacznie ostrzej.

- Co to znaczy nikomu innemu, kto jest w ścianie? - spytał pośpiesznie Randy.

*Mądrej głowie dość dwie słowie. Niektórzy z nich nie są tak przyjaźni jak ja. Niektórzy są wprost paskudni. Niektórzy są wprost niebezpieczni. Powinno się ich trzymać pod kluczem.*

W tym momencie Jack rozepchnął drzwi na całą szerokość i głośno zapytał:

- Randy? Jesteś tu w środku?

Twarz, która nazwała się Lesterem, rozplynęła się w niebyt, jakby zrobiona została z galaretki, i w chwili gdy Jack wszedł do pokoju i zauważył Randy'ego, tapeta była gładka, całkowicie gładka.

- Czy nie możesz odpowiedzieć, gdy cię wołam? - zapytał Jack. - Szukałem cię wszędzie.

Wzdłuż boazerii dało się słyszeć słabe szszszsz... szszszsz. Jack położył Randy'emu dłoń na ramieniu.

- Posłuchaj!

Randy podniósł wzrok w oczekiwaniu.

- Słyszałeś to? - zapytał Jack. - Taki szeleszczący dźwięk. Dogonił ich Daniel Bufo, skrzypiąc na linoleum podeszwami na słoninie.

- Szczury, prawdopodobnie - orzekł, wycierając kark chustką.

- No, mogą być też wiewiórki - zauważył Jack. Daniel Bufo rozejrzał się po pokoju i zmarszczył nos.

- Z pewnością przydałoby się tutaj gruntownie posprzątać. Podeszli do drzwi; Randy odwrócił się i popatrzył na ścianę w brązowe kwiaty. Nie miał pojęcia, czy powinien powiedzieć tatusiowi o Lesterze, czy nie. Gdy o tym pomyślał, wyglądało to na wariactwo. A tata pewnie zrobi z tego aferę. Najpierw zacznie obmacywać ściany, a kiedy niczego nie znajdzie, pomaca jego głowę i spyta, czy nie ma gorączki. A jak mógłby wyjaśnić sprawę z nagimi kobietami? Ojciec z pewnością nie pozwoliłby mu oglądać żadnych nagich kobiet, to było pewne.

Zdecydował, że będzie siedzieć cicho, przynajmniej na razie. Być może nigdy tu nie powrócą. Ale Lester prosił go, by nikomu o tym nie wspominał. *Niektórzy z nich są wprost paskudni.*

*Niektórzy są wprost niebezpieczni.*

- A więc da mi pan znać? - zapytał Daniel Bufo.

- Z pewnością dam znać - przytaknął Jack.

Stali na dworze, w deszczu, a Karen i Randy czekali w samochodzie. Karen malowała usta w lusterku wstecznym, Randy na zamglonej powierzchni okna rysował palcem zawijasy.

- Dziś rano rozmawiałem z obecnymi właścicielami - zawiadomił Jacka Daniel Bufo, mrugając lekko. - Muszę panu powiedzieć, że ich postawę można by określić jako powściągliwą.

- Chce pan powiedzieć, że nie zależy im na sprzedaży?

- Trudno wyczuć. Nie są skłonni do jasnych odpowiedzi, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Przekazałem, że mam klienta z Milwaukee, który mógłby być zainteresowany w dojściu do pewnego rodzaju porozumienia, a oni nie powiedzieli nic. Tylko „hmmm” i odłożyli słuchawkę.

- Tylko „hmmm”? - upewnił się Jack.

Daniel Bufo przysunął się bliżej. Na końcu nosa kołysała mu się kropla deszczu, jego oddech zalatywał węgierskim salami.

- Może ułatwiłoby sprawę, gdybym mógł znów się do nich zgłosić z jakąś propozycją co do ceny.

- Chce pan powiedzieć, że oni nie myślą o żadnej określonej cenie?

- Nie jestem całkiem pewien, czy oni w ogóle mają na myśli sprzedaż, prawdę mówiąc.

- Ale nie powiedzieli panu wprost, że nie sprzedadzą?

- No nie. Powiedzieli „hmmm”.

- Dobra - odparł Jack. - Myślałem o czymś w przedziale pięciuset, może pięciuset pięćdziesięciu.

Daniel Bufo skrzywił się.

- Bardzo nisko ustawia pan poprzeczkę, panie Reed - powiedział bez większego przekonania. - Tu jest siedemnaście akrów lasu, jak również budynek.

- Czy ktokolwiek inny składał już ofertę?

- Nie.

- No więc taka jest moja oferta. Proszę spytać właścicieli i przekonać się, co o tym myślą. W najgorszym razie powiedzą „hmmm”.

- Mnie też się tak zdaje. - Daniel Bufo wyciągnął chustkę i wytarł nos. - Proszę mi wierzyć, że bylibyśmy bardzo zadowoleni, mogąc wykreślić ten budynek z naszych spisów. Wie pan, mamy taki żart wewnątrzbiurowy. Jeśli ktokolwiek skarży się, że nie może pozbyć się jakiejś nieruchomości, mawiamy, że jest z tym prawie tak trudno, jak z Dębami.

- Ten gmach tak się nazywa? Dęby?

- Tak go nazwano, gdy był prywatną lecznicą.

- Dęby - powtórzył Jack. Cofnął się i raz jeszcze popatrzył na budynek i jego ciemne, błyszczące od deszczu iglice. Nie potrafił wyjaśnić, czemu tak do niego przemawiał. Ale zakochał się w nim, w jego podupadłej elegancji i tajemniczości. Zwrócił się w stronę samochodu, a Karen lekko kiwnęła na niego palcem. Randy siedział z nosem żałośnie przyciśniętym do tylnej szyby. Prawdopodobnie teraz żałował, że nie poszedł do szkoły.

- Dobra - powiedział Jack, potrząsając dłonią Daniela Bufo. - Pan przekaze moją propozycję właścicielom, a potem zobaczymy, co się da zrobić. Nawiasem mówiąc, czy może mi pan powiedzieć, kto jest właścicielem?

Daniel Bufo potrząsnął głową.

- Niestety, panie Reed. Proszę mi wierzyć, że chciałbym. Ale z klientami żądającymi poufnego traktowania, sam pan wie, jak jest.

- Ale to nie są jacyś cwani naciągacze?

Daniel Bufo wydał taki dźwięk, jakby ktoś grał na kobzie i równocześnie próbował się zaśmiać.

- Nie. To nie są cwani naciągacze.

Jack wsiadł do wozu i trzasnął drzwiami.

- Co powiedzielibyście na hamburgera? - zaproponował, włączając równocześnie silnik.

- Co tylko zechcesz - odparła Karen, obciągając rąbek spódniczki. - Widzisz, co z moimi włosami?

Pojechali powoli aleją ociekających deszczem drzew. Randy wykręcił się na miejscu, by móc przyglądać się, jak zarysy gmachu stopniowo pożerają czarne, cieniste liście. Prawie dotarli do bramy, gdy zauważył szarawobiałą postać małej dziewczynki, stojącej między dwoma pniami drzew i machającej do niego ręką. Jedną ręką uniesioną, machającą.

Dziwne jednak było to, iż miała nasunięty z przodu kaptur, jakby jej głowa została osadzona na korpusie twarzą do tyłu. Tak, albo to, albo w ogóle nie miała twarzy.

## ROZDZIAŁ III

Trzy dni później, powróciwszy do domu, zastał Maggie oczekującą go w salonie, ubraną w płaszcz przeciwdeszczowy, z niebieską, winylową walizką równiutko zaparkowaną koło jej nogi.

- Co to ma znaczyć? - zapytał, jakby odpowiedź nie była oczywista.

- Sądzę, że nazywają to zaczerpnięciem świeżego powietrza - odpowiedziała z dobrze przećwiczoną śmiałością.

- Doprawdy tak to nazywają? - odpalił. - Aha, doprawdy tak to nazywają? - Wypił o jednego blue ribbona za dużo w Hunting Lodge. - To zabawne. A ja to nazywam ucieczką od męża.

- Jack... - powiedziała, a gdy podniosła głowę, po raz pierwszy dostrzegł, co awantury, toczone przez lata ich wspólnego życia, uczyniły z jej twarzą. A może to było tylko niekorzystne sufitowe oświetlenie.

Nie odpowiedział. Rozejrzał się po pokoju. Ten pokój zupełnie pozbawiony był charakteru. Mdłe, beżowe ściany; kosmaty, wełniany dywan w kolorze, który miał jakoby być miodowy, ale okazał się także beżowy. Bezbarwne obrazy na ścianach, beżowa kanapa w brązowobiałe ciapki.

I siedząca na beżowej kanapie w brązowobiałe ciapki żona, której tak naprawdę nie kochał, ze spakowaną walizką.

Wygłosiła przygotowaną mowę, skubiąc paznokcie:

- Bardzo się starałam zrozumieć cię, Jack. Starałam się zrozumieć, czego chcesz od życia i dać ci to. W każdym razie pomóc ci to odnaleźć. Ale wygląda, że ty sam nie wiesz, co to ma być. A jeśli ty nie wiesz, co to jest, jak mogę dopomóc ci to odnaleźć? Czuję się, jakbym marnowała cały mój czas i całą moją drogocenną energię, pomagając ci odnaleźć coś, co w ogóle nie istnieje.

Czekał. Być może ona oczekiwała odpowiedzi. Powiedział więc:

- Tak?

- Nie staję się coraz młodsza - kontynuowała ze łzami w oczach. - Chcę cieszyć się życiem,

zanim nie będą zbyt stara, by się nim cieszyć.

- Ooooooch... - zaczął Jack. - Do głowy mi to nie przyszło! Chcesz cieszyć się życiem! Czemu, u diabła, nie powiedziałaś mi tego wcześniej? Nie pozwoliłbym ci, na litość boską, prac moich koszul ani gotować moich kolacji, ani sprzątać mego domu! Nie dałbym ci Randy'ego! Mam na myśli, że nie możesz cieszyć się życiem mając dziecko uwieszone u szyi, prawda?

- Randy czeka w samochodzie na dworze - oświadczyła Maggie wstając i biorąc walizkę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czyim samochodzie?

- Będziemy mieszkać u mojej siostry.

- O, Boże! Błogosławiona Velma. Nie mówiąc już o błogosławionym Hermanie.

- Jack, muszę od ciebie odejść. Duszę się przy tobie. Nie chcę cię opuszczać, nie na zawsze.

Kocham cię, ale doprowadzasz mnie do szaleństwa. Od chwili gdy znalazłeś ten budynek, stałeś się gorszy niż kiedykolwiek. O czym ty bez przerwy opowiadasz? Jak znajdziesz fundusze, jak oczyścisz basen kąpielowy, jak zawiadomisz wszystkich w warsztacie, że myślisz o jego sprzedaniu, jak wypolerujesz marmury, jak zerwiesz dach. Jack, dłużej tego nie potrafię znieść. Jack chwycił ją za nadgarstek.

- Maggie, na litość boską, czy zechcesz posłuchać?

- Velma czeka.

- Posłuchaj mnie, na rany Chrystusa! Wyrwała mu rękę.

- Wysłuchiwałam cię przez całe lata, Jack. Nie wynikało z tego nic dobrego, a teraz jest jeszcze gorzej. Jeśli chcesz stworzyć ten... ten hotel wczasowy, czy jak go tam nazywasz, to proszę bardzo, buduj. Ale nie oczekuj, że ja i Randy będziemy cierpieć z tego powodu. Żyj własnym życiem! Rób to dalej! Ale nie oczekuj, że będę z tobą żyła! Jesteś zbyt cholernie marnym człowiekiem, zbyt cholernie opętany i zbyt cholernie wszystko! I spałeś z Karen, no nie?

- Co? - ryknął na nią Jack. - Co? Myślisz, że spałem z Karen?!

- Jesteś pijany - syknęła przez zaciśnięte wargi. - Wyjeżdżam. Nie mogę o niczym dyskutować, gdy jesteś pijany. Do widzenia, Jack.

Złapał ją za mankiet i wykręcił rękę. Patrzył płonąącym wzrokiem prosto w jej twarz i czuł, że byłby w stanie ją zabić, właśnie w tej chwili.

- Puść mnie - powiedziała.

Usłyszał w jej głosie przestrach i to go tylko mocniej rozżłościło.

- Myślisz, że sypiam z Karen? - powtórzył tak cichym i trzeźwym głosem, że przeraziło ją to jeszcze bardziej.

- Randy powiedział... - Odwróciła twarz. Sama myśl o tym spowodowała, że się wzdrygnęła.

- Randy powiedział co? Gadaj, co powiedział Randy?

- Randy powiedział, że zabrałeś z sobą Karen na oględziny budynku. Randy powiedział... że ją pocałowałeś.

Jack bez słowa wypuścił mankiet Maggie, podniósł ręce do góry gestem kapitulacji i cofnął się. Już nie czuł złości. Decyzja Maggie, że wyjeżdża, sprawiła mu niemal ulgę. Nie spał z Karen i było prawdopodobne, że nigdy to nie nastąpi. Nie potrafił już odczuwać gniewu. By wywołać gniew, potrzeba poczucia winy. Winy, frustracji i rozpacz, on zaś nie odczuwał nic z tych rzeczy.

Wręcz przeciwnie, jedyną jego myślą było: *Jeśli Maggie i Randy pozostaną przez pewien czas u Velmy, będę mógł skoncentrować całą uwagę na Dębach. Będę mógł doprowadzić umowę do końca. A gdy to nastąpi, gdy już otworzymy hotel, nie mówcie mi, że Maggie nie poczuje się uszczęśliwiona. Nie opowiadajcie, że nie zacznie dumnym krokiem przechadzać się po werandzie*

*jako Królowa Klubu Wiejskiego Merrimac Court; a słońce będzie świecić, basen połyskiwać i goście pozdrawiać ją skinieniem głowy.*

- Aha, jakiś Bufo telefonował do ciebie - poinformowała go Maggie. - Mówił, że jacyś tam ludzie przyjęli ofertę.

- Daniel Bufo, pośrednik handlu nieruchomościami - odrzekł Jack. - Przyjęli? Dokładnie tak powiedział?

Maggie otworzyła frontowe drzwi i przyglądała mu się przez chwilę.

- Niech ci Bóg dopomoże - rzekła, a potem wyszła, zamykając za sobą drzwi z chwalebny spokojem.

Jack nie ruszył się z miejsca. Dopiero później, usłyszawszy, jak volkswagen Velmy odjeżdża od krawężnika, poszedł do lodówki, otworzył ją i zbadał wzrokiem zawartość z filozoficzną miną człowieka zdającego sobie sprawę, że zapewne będzie musiał przez dłuższy czas jadać na mieście.

Bo przecież co najlepszy nawet kuchmistrz mógłby stworzyć z połowy paczki kiełbasy mieszanej Oscar Mayer, pięciu małych pomarańczy, pojemnika bitej śmietany w aerozolu i odrobiny bardzo starego rokfora? Wpatrywał się jeszcze filozoficznie w otwartą lodówkę, gdy usłyszał znów podjeżdżającego volkswagena. Zamknął chłodziarkę, ale nie podszedł do drzwi. Czekał stojąc w kuchni, podczas gdy Maggie otworzyła drzwi wejściowe własnym kluczem i wmaszerowała do środka. Jedną ręką ciągnęła za sobą Randy'ego, w drugiej niosła jego torbę typu Rambo. Randy miał rzęsy zlepione łzami. Twarz Maggie była blada i napięta.

- On chce zostać z tobą - obwieściła głosem brzmiącym, jakby ktoś upuścił kosztowny kielich do wina na betonowe patio.

Jack nie odpowiedział, lecz odwrócił się w jej stronę.

- Mówi, że lubi ten budynek, że zyskał tam przyjaciela i że chce zostać.

Jack zmarszczył brwi patrząc na Randy'ego.

- Przyjaciela? Jakiego przyjaciela? Randy wzruszył ramionami.

- Był tam jakiś człowiek i to wszystko. Jack popatrzył na Maggie.

- Co zrobił Randy, urządził scenę?

- Scenę? Gliniarz podszedł i zażądał naszych dokumentów. Myślał, że może... porywamy go, na miły Bóg. - Parsknęła wściekle.

Jack kiwnął głową. Nie odczuwał zupełnie tryumfu. Prawdę mówiąc, wolałby, aby Maggie zabrała Randy'ego ze sobą. Ale nie chciał się kłócić, nie teraz. *Zaczynał* rozumieć, że po części przyczyną jego porażki życiowej była niezdolność do stawiania czoła więcej niż jednemu problemowi naraz. Był całkowicie zdolny do roli oddanego małżonka, natchnionego kochanka i solidnego ojca. Potrafił też być godnym zaufania pracodawcą i pełnym wyobraźni inwestorem w nieruchomości. Ale każde z tych zadań mógł podejmować tylko pojedynczo. Usiłowania równoczesnego kochania żony, wychowywania syna, uspokajania pracowników i budowania przyszłości jedynie wprowadzały go w zakłopotanie, a kończyło się to wszystko piciem w towarzystwie Karen i nierobieniem niczego w ogóle.

Tym razem Maggie zatrzasnęła za sobą drzwi z taką siłą, że szyby zadrżały. Randy stał zakłopotany w holu, z opuszczonymi rękami. Miał na sobie sportowy pulower z nadrukiem z przodu: DOŚWIADCZENIE TO TO, CO NAZYWAMY NASZYMI BŁĘDAMI.

- Ile masz lat? - zapytał go Jack. Po raz pierwszy w życiu dostrzegł w Randym osobną istotę ludzką, kogoś patrzącego na niego w taki sam sposób, jak on patrzył na Randy'ego.

- Dziewięć - odrzekł Randy.

W przeciwieństwie do dorosłych dzieci nie dziwią się, jeśli zadasz im pytanie, na które

oczywiście znasz odpowiedź. Nauczyciele zawsze to robią.

- Dziewięć - powtórzył Jack. - Jezu. Gdybym tylko miał tyle odwagi co ty, mając dziewięć lat.

Podniósł torbę Randy'ego i otworzył z suwaka. Wewnątrz znajdowały się piżamy, para czystych dżinsów, czerwony sweter, koszulka tenisowa oraz trzy pary starannie zwiniętych skarpetek.

- Jeśli zostajesz ze mną, będziesz musiał sam trzymać porządek w twoich skarpetkach, kapujesz?

- Tak jest!

- Chcesz hot-doga z chili?

- Myślę, że tak.

Pod świetlówkami w barze restauracyjnym Cap'n Dogg, ostentacyjnie oparłszy łokcie na plastikowym blacie stołu, przy grającej szafie rozbrzmiewającej przestarzałymi szlagierami w rodzaju „Salisbury Hill” czy „Bummer in the Summer”, fantastycznie bawili się w ojca i syna niszcząc gigantyczne chili-dogi z frytkami, kończąc zaś „Kolacją Obżartucha” (dziewięć rodzajów lodów z czekoladą, syropem, siekanymi orzechami i innymi dodatkami, pływających na wpół roztopione w salaterce).

- Mdli mnie - powiedział Jack, dopijając piwo.

- A mnie nie - oświadczył Randy.

- Masz dziewięć lat, dlatego cię nie mdli. Nikogo w wieku dziewięciu lat nie mdli, chyba że je potrawę dla dorosłych, jak kalmary albo winniczki. Wtedy go mdli.

- Co to jest winniczek?

- Ślimak. Francuski ślimak. Smaży się je w skorupkach z masłem czosnkowym, wiesz? I są naprawdę świetne. Mniemam! Powinieneś ich spróbować!

- A ty je kiedykolwiek jadłeś? Ślimaki?

- Nie, od chwili gdy się zapisałem do Greenpeace. Przysiągłem, że nie będę jadł niczego powolniejszego ode mnie.

Randy zgarnął łyżką resztę „Kolacji Obżartucha”. Jack popatrzył na niego z dumą, ale i z niepewnością. Odebranie syna matce to nie takie łatwe. Jeśli się to zrobiło, trzeba było stać się delikatniejszym niż zwykle; trzeba było stać się matką i ojcem, i jeszcze czymś na dodatek.

Przyjacielem, doradcą duchowym oraz kimś, kto daje poczucie bezpieczeństwa.

Gdy Randy skończył, Jack odchylił się na oparcie krzesła, popatrzył na niego i uśmiechnął się.

- Co za przyjaciel? - zapytał wreszcie. Randy zaczerwienił się.

- No dalej - powiedział Jack. - Co za przyjaciel? Wiesz, o czym mówię. Powiedziałaś matce, że tam w Dębach masz przyjaciela. Toż to było najbezczelniejsze zalewanie, jakie w życiu słyszałem.

- Mam ci o tym nie mówić - oświadczył Randy.

- Co to znaczy, że masz mi o tym nie mówić?

Randy bardzo długo nie wydobył z siebie ani słowa. Podeszła kelnerka i spytała:

- Rodzinka skończyła już z tym wszystkim?

Miała bardzo krótką spódniczkę, bardzo wysoko podniesione stanikiem piersi, czarne, mocno kędzierzawe włosy i nos, którym można by otwierać puszkę z sokiem pomidorowym. Gdy pochyliła się przed Jackiem, by zebrać ich talerze, zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek już się z nią kochał,

a jeśli tak, jakie miała zdanie na ten temat. Jakaż przepaść dzieli zbieranie talerzy po „Kolacji Obzartucha” od osiągnięcia orgazmu.

W tym momencie zrozumiał, że jego frustracja staje się widoczna. Wyprostował się na krześle i bardzo starał się wyglądać na kogoś w średnim wieku i nie zainteresowanego.

- Czy naprawdę cię mdli? - zapytał Randy.

Niech będą przeklęte dzieci za ich spostrzegawczość. Jack potrząsnął głową.

- Chcę wiedzieć, co to za przyjaciel. I kto mówił, że nie powinienes mi o tym powiedzieć?

- Lester - wyznał niechętnie Randy.

- Lester? Kim, u diabła, jest ten Lester?

- No, czasami nazywa się Lester, a czasami ma imię podobne do... Belfry.

Jack obracał w palcach łyżeczkę do lodów.

- Randy... chcę, byś mi powiedział prawdę. Ten... jakże mu tam... Lester, ty go sobie wymyśliłeś, prawda? Wymyśliłeś go, by mama pozwoliła ci zostać ze mną?

Randy pokręcił głową.

- Widziałem go.

- W Dębach? Randy skinął głową.

- Powiedział, że nie powinienem nikomu o tym mówić. Ani ojcu, ani matce, ani nikomu.

- Czemu nie?

- Nie wiem. Dlatego. Powiedział, że nie powinienem o tym mówić żadnym innym ludziom, bo są paskudni i niebezpieczni. Powiedział, że niektórych z nich powinno się trzymać pod kluczem.

W głowie Jacka rozbrzmiał ojcowski dzwonek alarmowy. Przyszło mu na myśl, że może Randy mówi prawdę albo częściowo zniekształconą historię, która może być półprawdą. Dzieci w jego wieku nie używają zwykle takich zwrotów, jak „trzymać pod kluczem”, jeśli jakiś dorosły ich tego nie nauczył.

Całkiem możliwe, że Randy naprawdę kogoś spotkał, gdy odwiedzili Dęby. Gmach był bardzo duży, a Randy włożył się po nim na własną rękę. Ale kto to, u diabła, był? Może dziki lokator? Jakiś wędrowny zboczeniec? Cisnęło mu się na myśl pytanie, gdzie podziewają się homoseksualiści, Aniołowie Piekła czy maniakalni mordercy, gdy pada deszcz?

Ten szelest szszsz... może to był on, może to był Lester, biegający tajnymi przejściami. Cholerny zboczeniec imieniem Lester, który już zaczął nagabywać Randy'ego słodkimi słówkami i dziwnymi groźbami.

I święty Jezu Chryste, kto wie, jaką czarną intrygę może zamyślać ktoś taki?

- Randy - powiedział Jack - jesteś tego pewien? Widziałeś człowieka wtedy w Dębach? To poważna sprawa, nie żartujesz ze mnie?

Randy kiwnął głową.

- Z ręką na sercu i żebym zdechł, jeśli kłamię.

- No, aż czegoś takiego nie musisz mówić - zapewnił go Jack, kładąc mu dłoń na ramieniu dla dodania otuchy. - Ale myślę, że ty i ja razem znowu odwiedzimy Dęby. Co myślisz? Niespodziana wizyta, aby Lester nie wiedział, że przyjeżdżamy.

- Kiedy? - zapytał Randy.

Jack spojrzął na swego rolexa. Niegdyś należał do jego ojca i zawsze się spóźniał. Ojciec mawiał, że ten zegarek zapewnia mu nieśmiertelność, bo kiedykolwiek nastalby moment jego śmierci, zawsze pozostaną mu jeszcze dwie minuty życia.

- Jest ósma trzydzieści wieczorem. Jeśli wyruszymy w drogę teraz, możemy tam być na dziesiątą. Nie zaśniesz do tej pory?



- Nie powiesz Lesterowi? - Randy spuścił głowę.

- Czego? Że go zakapowałeś? Na miłość boską, jestem twoim ojcem. A ten budynek teraz do mnie należy. No, prawie. Daniel Bufo przyjął moją ofertę, muszę go zwodzić przez tydzień czy dwa, póki nie uporządkuję spraw finansowych, i już jesteśmy w domu i szczęśliwi. A wtedy lepiej będzie dla tego Lestera, Belfry czy jak tam go nazywasz, aby nie czał się w tym miejscu. Bo będę miał uprawnienia, by go legalnie usunąć.

- Czy musimy tam pojechać? - błagał Randy.

Jack wyciągnął dwa banknoty dolarowe i wsunął je pod swój spodek.

- Jest coś, czego musisz się nauczyć, Randy: stawiać czoło wszystkiemu, co cię przeraża. To mogą być szczury, mogą być psy, mogą być pająki. W tej chwili musisz stawić czoło Lesterowi, kimkolwiek jest, i powiedzieć mu: nie. A ja tam będę, tuż obok ciebie, by cię poprzeć.

- Ale on... - zaczął Randy.

- Nie jest nikim, komu ty i ja nie dalibyśmy rady - przerwał Jack.

- On jest w ścianie - dokończył przygnębiony Randy, lecz zbyt cicho, by Jack mógł usłyszeć.

Kierując się na zachód Jack nagle zmienił zamiar i skręcił na północ, w Siedemdziesiątą Szóstą Ulicę i wzdłuż niej w stronę West Good Hope Road. Wycieraczki sunęły po przedniej szybie z drżącym odgłosem przesuwanej gumy. Padało zbyt mocno, by ich nie używać, ale zbyt mało, by należycie zwilżyć szkło. Przed nimi szkarłatne tylne światła innych wozów odbijały się w czarnej nawierzchni jak ognie wylotowe rakiet Bucka Rogersa.

- Pomyślałem, że zabierzemy Karen - wyjaśnił Jack, kierując jedną ręką.

Randy kiwnął głową. Ostatecznie niczego innego nie mógł zrobić. Zabierają Karen, co oznacza, że zostanie odesłany samotnie na tylne siedzenie. Wyglądał przez okno na sklepy, stacje benzynowe i jasno oświetlone skrzyżowania ulic i tęsknił za matką bardziej, niż zdołałby wyjaśnić; w każdym razie wyjaśnić nie płacząc, a płakać nie chciał.

Jack wepchnął kasetę do odtwarzacza. The Eagles, śpiewający „Hotel California”.

Dojechali do domu Karen. Znajdował się dokładnie na rogu jednej z bocznych ulic, dwie przecznice na północ od West Good Hope Road. Był mały i odrapany, w kolorze groszkowej zieleni, z ogromną anteną telewizyjną i wyglądał bardziej na barak niż na dom. Na chodniku stał porzucony dziecięcy rower trójkołowy. Jedyнным znakiem życia było migotanie telewizora poprzez zasłony.

- Zaczekaj, kumplu. To nie potrwa nawet sekundy - powiedział Jack.

Randy siedział i czekał. Deszcz padał uporczywie i miarowo na przednią szybę, niczego więc przez nią nie widział. Nie pamiętał, by przez całe swoje życie czuł się bardziej przygnębiony niż teraz.

Po dziesięciu minutach w przedSIONKU ukazał się jego ojciec, pod rękę z Karen. Szybko podbiegli do samochodu, by uniknąć przemoczenia. Nie czekając, aż mu to powiedzą, Randy odpiął pas bezpieczeństwa i przelał na tylne siedzenie. Ojciec zachowywał się tak, jakby tego w ogóle nie zauważył. Karen wskoczyła do wozu z cichym piskiem i powiedziała:

- Moje włosy.

- Twoje włosy są w zupełnym porządku - zapewnił ją Jack, ruszając z miejsca.

Karen zapięła pas, a potem odwróciła się na siedzeniu.

- Cześć, Randy! Nocna przygoda, he? Randy bez słowa kiwnął głową. Jack powiedział:

- Jest zmęczony. Nie zaskoczony, biorąc pod uwagę rozwój wypadków. - Skierował kombi

znowu na południe w stronę dziewięćdziesiątej czwartej szosy. - Gdybym tylko wiedział, jakie były odczucia jego matki. Gdybyż mi tylko powiedziała. No, wiesz, zakomunikowała.

- Cóż, niektóre kobiety po prostu tego nie potrafią - stwierdziła Karen, krzyżując nogi odziane w czarne, siatkowe rajstopy. Jej kolczyki - złote koła - odbijały pomarańczowe światła kolejnych latarni ulicznych. - Moja siostra taka była, nigdy nie potrafiła się komunikować.

Jack spojrział we wsteczne lustro.

- Cały kłopot w tym, że kierowanie klubem wiejskim wymaga komunikowania się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. No wiesz, kontaktu. Ludzie przyjeżdżają do takich miejsc po to, by ich rozpieszczano, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. To zupełnie tak samo, jak gdy przyjeżdżają w sprawie tłumika. Nie chcą usłyszeć, że być może albo że trzeba poczekać, albo proszę przyjechać we wtorek. Życzą sobie odpowiedniego tłumika i żądają go natychmiast. Karen oblizwała wargi, aby błyszczały.

- Sądysz, że sam-wiesz-kto nie dałby temu rady? Jack wzruszył ramionami.

- Ja jej nie krytykuję. Wierz mi, ja jej nie krytykuję.

Skręcili na dziewięćdziesiątą czwartą szosę i w deszczu podążyli na zachód. Waukesha, Oconomoc, Johnson Corner, drogowszaki przepływały obok jak w długim śnie. Randy położył się na tylnym siedzeniu i zamknął oczy, słuchając świstu opon po nawierzchni szosy, skrobienia gumowych wycieraczek o przednią szybę i szelestu wiatru we wgnieceniach z tyłu wozu, gdzie samochód Jacka zderzył się w drzewem.

Jack też był zmęczony, ale odczuwał determinację, jakby dla odmiany robił wreszcie coś pozytywnego. Jeśli ktoś mieszkał na dziko w Dębach, jakiś zboczeniec seksualny czy ktokolwiek inny, był zdecydowany wywalić go na zbity pysk i spuścić manto, jakiego w życiu nie odebrał. Zacznie kierować własnym życiem, a także całym swym otoczeniem. Być może Maggie nie zależało na nim, ale zależało Karen, a także Randy'emu. Już koniec gadania o tłumikach i oponach, teraz mówimy o inwestycjach w nieruchomości oraz notowaniach giełdowych. Do jasnej cholery, rozmawiamy o powodzeniu.

Przed Madison skręcił na północny wschód, a o dwadzieścia mil dalej w lewo, w stronę Lodi. Przednie światła wozu podskakiwały w deszczu, opony parskały rozjedżdżając kałuże na drodze.

Wreszcie dotarli do żelaznych wrót i Jack zaparkował wóz tuż przy nich. Otworzył drzwiczki samochodu. Deszcz zmniejszył się już do maleńkiej, cichej mżawki. Jack ważył kłódkę w dłoni. Była zbyt wielka, by mógł otworzyć ją siłą, zresztą lepiej będzie, jeśli podejda do gmachu piechotą. W ten sposób będą mogli sprawdzić, czy ktoś mieszka tu na dziko, a sami pozostać nie zauważeni.

Tutaj, w głębi mokrych lasów stanu Wisconsin, o całe mile od najbliższego osiedla, pomyślał, by wypłoszyć z ciemnego i opuszczonego budynku człowieka ze społecznego marginesu, nie wydawał się już tak pociągający. Nie pomyślał o tym wcześniej, ale może ten Lester jest uzbrojony? Jack wyobrażał go sobie jako pociągającego nosem, czołgającego się człowieczka. A co, jeśli ma sześć stóp i jeden cal wzrostu, jest zbudowany jak Arnold Schwarzenegger, przy każdej klapie ma uwieszony granat ręczny i używa takiego noża-piłki, którym komandosi zwykli odcinać sobie zgangrenowane stopy?

Karen obeszła samochód i stanęła przy nim, drżąc w swym krótkim, szkarłatnym płaszczku przeciwdeszczowym.

- Czy naprawdę tu wejdziesz?

Odchrząknął.

- Oczywiście, wejść. Czy chcesz na mnie zaczekać?

- Zartujesz sobie? Nie mam zamiaru wysiadywać tutaj samotnie.

- Zastanawiam się właśnie, czy warto to zrobić.

Otoczył ręką jej ramiona. Pocałowała go w policzek. Odwrócił głowę i pocałował ją w usta. Smakowały kredką do warg Peach Surprise oraz solą. Poczuł przez cienki płaszcz nacisk jej ciężkich piersi na swej ręce i w tym momencie zrozumiał, jak bardzo jej pragnie. No, przynajmniej jak jej potrzebuje.

- Hej, dosyć - oświadczyła i wykręciła się.

Randy się obudził. Włączył światło wewnątrz wozu i siedział z nastroszonymi z tyłu głowy włosami, przyglądając się im poważnie z pobladłą twarzą.

- Karen, aaa... czemu nie miałabyś po prostu poczekać tutaj - zaproponował Jack. - Wezmę latarkę, dobrze, i zrobię szybki rekonesans.

- Nie ma mowy - odparła Karen. - Gdzie ty idziesz, tam i ja. Randy także wygramolił się z wozu.

- Hej, kumplu - powiedział Jack - zniknij drzwiczki po cichu. Nie chcemy, by oni wiedzieli, że nadchodzimy.

- Pić mi się chce - powiedział Randy.

- Dobra, posłuchaj, tylko rozejrzemy się, by sprawdzić, czy jest tu kto, a potem znajdziemy sobie jakieś miejsce, gdzie można się napić, w porządku?

Randy skinął głową.

- W porządku.

Jack ścisnął go za ramię.

- No to w porządku. Ruszajmy. Ale na najmniejszą oznakę, że ktoś tu jest, wycofujemy się, rozumiesz to?

Ze schowka na rękawiczki Jack wyjął latarkę elektryczną, a potem jedno za drugim precyzyjnie się przez lukę w żywopłocie tuż koło bramy. Ruszyli gęsiego ciemną aleją obrzeżoną drzewami. Ich stopy chrzęściły po żwirze. Karen, która nosiła pantofle na wysokich obcasach, dwukrotnie niemal straciła równowagę, Jack czekał więc, aż go dogoni, wreszcie wziął ją pod rękę. Randy włókł się za nimi z podniesionym kołnierzem wiatrówki. Bez przerwy zerkał ku drzewom, gdzie wówczas ujrzął dziewczynkę bez twarzy. Bardzo nie chciało mu się spotykać jej ponownie.

Jack świecił latarką tu i tam, głównie oświetlając żwir przed stopami Karen, by wiedziała, gdzie idzie.

Stopniowo wyłoniła się sylwetka Dębów. Ich iglice i kominy rysowały się na tle nocnego nieba jak skomplikowane części wyjątkowo trudnej układanki. Do tej pory Jack już otrzeźwiał, całkowicie otrzeźwiał i zaczął boleśnie żałować, że w ogóle ich tutaj przywiózł.

Mógł sobie siedzieć w domu oglądając show Billa Cosby i dzieląc się miską świeżo uprażonego domowego popcornu, zamiast skradać się w nocy niszcząc obuwie.

Obeszli budynek od tyłu, kierując się ku oranżerii. Karen podniosła głowę, popatrzyła na zmyty deszczem dach i skorodowane żelazne konstrukcje i przytuliła się ciasno do ramienia Jacka.

- Ależ ten dom musi być nawiedzony. Boże, naprawdę. Widziałam już niejedno nawiedzone miejsce.

Dotarli do drzwi oranżerii. Zastali je zamknięte. Daniel Bufo musiał je zamknąć. Być może na klucz. Jack zdał sobie sprawę, że wolałby, aby tak się okazało. Wewnątrz było bardzo ciemno, taką czernią, jaką ma kaptur staromodnego fotografa; a co jeśli Lester widział zbliżających się i czekał na nich?

Co dziwaczne, choć budynek przerażał Jacka, równocześnie go pociągał. Był w ruinie,

wywoływał klaustrofobię, ale przez ubiegłe cztery dni Jack nie potrafił myśleć o niczym innym. A teraz, wróciwszy, czuł się tak samo podniecony, jak podczas swej pierwszej wizyty. Zbliżenie się do drzwi oranżerii wywoływało takie samo wrażenie, jak podejście na sam brzeg dachu piętnastopiętrowego budynku, spojrzenie na ulicę i odczucie irracjonalnej chęci skoku w dół. Albo wzięcie do ręki ostrego jak brzytwa noża kuchennego i rozmyślanie, jakby to było, gdyby odciąć nim kawałek własnego języka.

Chwyciwszy za klamkę zdał sobie równocześnie sprawę, że bynajmniej nie przyjechał tu szukać dzikiego lokatora imieniem Lester, wcale nie. Przyjechał dlatego, że po prostu nie potrafił trzymać się stąd z dala.

Nacisnął klamkę. Z cichą, niemelodyjną skargą drzwi się otwały.

*Witamy ponownie, Jack.*

Zaczerpnął głęboko powietrza i poczuł ów wyraźny kwaśny zapach octu, pomieszany z kurzem i wilgocią. Był niemiły, ale i dziwnie apetyczny, jak zapach marynowanego śledzia.

Poświecił latarką do środka, ale ujrzał tylko potłuczone szkło i przewrócone doniczki.

Randy i Karen trzymali się z tyłu. Jack odwrócił się i oświadczył:

- Jak dotąd wszystko w porządku. Wchodzicie?

Wkroczył do środka, przeszedł przez oranżerię i znalazł się w świetlicy. Randy i Karen ostrożnie podążyli za nim.

- Czy możesz poświecić w tę stronę? Ni cholery nie widzę. Dotarli do holu, w którym stały dwa ślepe posągi. Jack rzucił snop światła na sufit. Na chwilę ogarnął latarnię, wybielając welon pajęczyn; przez ułamek sekundy wyglądała, jakby jakiś ogromny, przeświecający, podobny do pająka szkielet przycupnął na dnie zakurzonej szklanki.

- Niczego nie słyszę - powiedział Jack wyęzając słuch. Karen otworzyła swój portfelik i wyciągnęła ze środka paczkę cytrynowej gumy balonowej. Dała jedną Randy'emu, rozwinęła drugą dla siebie. Stali w olbrzymim, ciemnym holu, słysząc tylko, jak padają krople deszczu i jak Karen żuje gumę.

- Gdzie, jak powiedziałaś, spotkałeś Lestera? - spytał Jack, oświetlając schody po lewej.

- Na górze - szepnął Randy. - Na samej górze.

- W porządku - odparł Jack. - Idziemy na górę, by powiedzieć mu „cześć”.

Wszedł na schody, Karen i Randy niechętnie podążyli za nim. Stukot wysokich obcasów Karen odbijał się wielokrotnym echem w budynku.

- Ja bym to określiła jako robienie z siebie wariata - orzekła Karen, podciągając do góry spódniczkę, by łatwiej jej było iść po schodach. - Musiałam zwariować, żeby wyjść z domu w taką noc jak ta i pojechać do takiego miejsca jak to. Wiesz? Musiałam dostać fioła.

Randy nie odzywał się. Teraz, gdy naprawdę znaleźli się w Dębach, był straszliwie zaniepokojony myślą, że Lester może zrobić się niemiły z powodu tego, że powiedział o nim ojcu. A co dopiero ci inni ludzie, ci paskudni i niebezpieczni, których powinno się trzymać pod kluczem?

Dotarli do podestu. Przez chwilę Randy'emu zdawało się, że słyszy, jak ktoś śpiewa:

*Lavender blue, dilly-dilly;*

*Lavender green.*

*Here I am king, dilly-dilly;*

*You shall be queen.*

Jack zatrzymał się z głową pochyloną na bok, nasłuchując.

- Słyszysz to? - zapytał Karen.

- Jack, kochanie, to twoja imaginacja - odparła Karen. Ale Randy powiedział:

- Ja coś słyszałem. Śpiewanie.

- Ja też. - Jack skinął głową. Zaczął się powoli posuwać wschodnim korytarzem, próbując wszystkich klamek u drzwi, choć przecież wiedział, że wszystkie są zamknięte. Od czasu do czasu świecił latarką przez judasz i zaglądał do środka.

- Ktoś tu jest - powiedział cicho. - Jestem tego pewien.

- No to kto? - chciała wiedzieć Karen. - I gdzie? - Ale pomimo swych wątpliwości zbliżyła się, stukając obcasikami i biorąc Jacka za rękę. - Wiesz, że naprawdę nienawidzę tego miejsca. Jest takie jak szpital, gdzie umarła moja babcia.

Ale Jack nie przestawał iść przed siebie korytarzem, szarpiąc klamkami, zaglądając przez judasze, coraz szybciej i szybciej.

Wyczuwał, że ktoś tu jest. Cały gmach wydawał się żywy, jak budynek podczas trzęsienia ziemi. Jego ściany wibrowały niskim rezonansem, tajemniczym, wzbudzonym czymś dudnieniem. Uczucie oczekiwania na coś było tak dojmujące, że prawie wdychał je z powietrzem.

- Tato! - wrzasnął Randy, a Jack skierował promień latarki na koniec korytarza. Akurat na czas, by dostrzec w przelocie szarawobiały płaszczyk, pośpiesznie zdążający ku schodom.

Karen go nie widziała.

- Co tam widzieliście? - krzyknęła z rozszerzonymi strachem oczami.

Ale Jack już chwycił ją za rękę i ciągnął korytarzem, biegnąc na łeb na szyję. Randy za nimi, dysząc ze strachu i wysiłku.

Dobiegli do stóp schodów. Jack ujrzał błysk szarawej bieli, a potem dziecko uciekło po stopniach do góry. Chciał za nim pobiec, ale Karen pociągnęła go za rękaw i powstrzymała.

- Moje pantofle! - poskarżyła się, podskakując na jednej nodze i próbując zdjąć bucik. - Nie potrafię biegać na wysokich obcasach.

- Dobrze, dobrze. - Jack chwycił poręcz i podtrzymywał ją, gdy zdejmowała pantofle. Randy stał obok nich, starając się złapać oddech.

- Czy wcześniej widziałeś już to dziecko? - zapytał Jack. Randy kiwnął głową.

- Widziałem ją na górze i widziałem ją w ogrodzie, gdy odjeżdżaliśmy. Machała do mnie ręką, ale nie miała twarzy.

- Nie miała twarzy? - zapytała Karen, marszcząc nos. - Co to znaczy, że nie miała twarzy?

- Nie wiem. Nosila kaptur czy coś.

- Widziałem dokładnie to samo dziecko - oświadczył Jack. - Jeśli to jest dziecko. Najpierw na szosie. Opowiadałem ci o nim. Spowodowało mój wypadek.

- Mówisz o dziecku, które okazało się gazetą? - zapytała Karen.

- Zgadza się - odparł Jack.

- A jeśli się okaże, że to także jest gazeta? Albo sowa? Albo, co najprawdopodobniejsze, szczur?

Jack popatrzył na Randy'ego, a potem wzruszył ramionami.

- Być może masz rację, być może jest to to samo. Tylko parę arkuszy papieru.

- Ale ono pobiegło do góry - zaprotestował Randy. - Widziałem je. Pobiegło do góry.

- Mogła to być wiewiórka, ciągnąca w górę gazetę do swego gniazda - powiedział Jack.

Randy popatrzył na niego w świetle latarki. Jack dobrze wiedział, że Randy mu nie wierzy. Wiewiórka, ciągnąca papier po schodach? Ale cóż, u diabła, innego mogło to być? *Nie opowiadaj mi, że mieszka tu jakieś dziecko, biegające po piętrach w szarawobiałym płaszczu przeciwdeszczowym. Nie mów mi, na miłość boską, że to jakiś duch.*

- Chcę jechać do domu - oświadczyła Karen. - To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórę. Jack ujął jej dłoń i ścisnął. A potem zaświecił latarką w górę schodów.

- Dajże spokój, to nic nie było. A jeśli nawet jest to dziecko, czy boimy się dziecka?

- Jack - sprzeciwiła się Karen - jeśli to jest dziecko, to nie mieszka tutaj samotnie, prawda? Mieszkałoby z rodzicami. Albo przynajmniej jednym z nich. Może z tym obrzydliwym Lesterem. Jack wszedł na pierwszy schodek.

- Chodźże - próbował ją nakłonić. - Nie ma się czego bać. To tylko stary budynek, to wszystko.

- Jack, nie - zaprotestowała, próbując wyrwać dłoń. - Ja się boję.

Jack znów pociągnął ją za rękę, ale znów się oparła. Zwrócił się do Randy'ego:

- A jak ty, Randy? Boisz się?

Randy przełknął ślinę.

- Nie, ojczy - powiedział cienkim, bezbarwnym głosem.

- No to załatwione - uśmiechnął się Jack. - Dwa do jednego, że się nie boimy. Przegłosowane. Nie boimy się, więc śpieszymy naprzód.

- Jack... - upierała się Karen.

- I co zrobisz? - zapytał. - Wrócisz samotnie schodami, nie mając latarki?

Zawahała się, i wreszcie odparła:

- No dobra. Ale ja ci tego nie zapomnę. Nigdy nie lubiłam ciemności. Mój tatuś miał w zwyczaju zamykanie mnie w ciemnym miejscu, a ja wrzeszczałam i wrzeszczałam, ale on nigdy nie przychodził.

Poszli następną kondygnacją schodów i jeszcze następną, aż dotarli do poziomu strychu. Octowy zapach prawie dusił, w powietrzu czuło się niezwykle, drżące napięcie. Jack skierował promień latarki wzdłuż korytarza. Odbijał się zygzakiem od drzwi, ścian, sufitu.

- To było gdzieś w połowie - powiedział Randy. - To były pierwsze otwarte drzwi.

- Jeśli tam ktoś jest, to ja znikam, Jack - oświadczyła Karen. - Spadam stąd, z latarką czy bez latarki.

Uspokajająco wziął ją za ramię.

- Dajże spokój, Karen, wszystko będzie dobrze. - On też był bez tchu, ale równocześnie czuł przymus posuwania się dalej. Jeśli ktoś tu jest, chce z nim porozmawiać. Chce się od niego dowiedzieć, co tu robi i co wie o tym budynku. Tyle tu było nieodgadnionych tajemnic. Czemu wszystkie rzeźbione twarze mają zamknięte oczy? Czemu okna są zakratowane? Czemu wszystkie drzwi pozamykane na klucz?

I czemu nagle, w czerwcu tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku, opróżniono cały budynek i do tej pory pozostał on nie sprzedany i porzucony?

Szli we troje korytarzem z Jackiem na czele. Wreszcie dotarli do na wpół otwartych drzwi do pokoju, w którym Randy spotkał Lestera.

Zatrzymali się.

- To tutaj? - spytał Jack i poświecił latarką do środka. Wyglądało, że pokój jest pusty.

- Halo? - zawołał. - Jest tu kto?!

- O, z pewnością - odezwała się Karen - Duch Bożego Narodzenia Które Ma Nadejść. Jack wyciągnął lewą rękę i lekko nacisnął drzwi. Ustąpiły bez trudności, cichutko tylko

zaskrzypiały zawiasy. Zaczekał. Pokój milczał. Deszcz cicho szeptał po oknach, *Lavender blue, dilly-dilly, lavender green...* Wkroczył do pokoju, odwrócił się, cofnął szybko o dwa kroki na wypadek, gdyby Lester ukrywał się za drzwiami i zaczął omiatać pomieszczenie światłem latarki.

- Jest puste - powiedział z uśmiechem. - Nikogo tu nie ma i nikogo nie było.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała Karen.

- Och, dajże spokój, pomyśl tylko. Czy nigdy nie widziałaś, jak mieszkają dzicy lokatorzy? Wszędzie śmiecie: koce, puste butelki, brudne pieluchy, kuchenki kempingowe. Tego pokoju nie używano od sześćdziesięciu lat.

Randy stał w drzwiach z poważną miną, szeroko otwartymi oczami i nie odzywał się. Jack przykucnął przed nim i zmierzwił mu włosy.

- Może Lester nie był tak całkiem realny, jak myślałeś, hę?

- Jesteś zły? - zapytał Randy. Jack potrząsnął głową.

- Oczywiście nie jestem zły. To wspaniała przygoda, prawda? I wierz mi, kumplule, wolę, że nikogo tu nie ma, niż gdyby ktoś tu był.

- Ja też tak myślę - powiedział Randy. Minę miał rozczarowaną. Może rzeczywiście wymyślił sobie tego Lestera. I małą dziewczynkę bez twarzy, machającą ręką spośród drzew.

- Przejdźmy się do samego końca, po prostu dla pewności - powiedział Jack.

Randy zmarszczył brwi i rozejrzał się po pokoju.

- Czy mogę tu poczekać?

- Samotnie? W ciemności?

- Jest dosyć światła.

- A co tu będziesz robił zupełnie sam?

- Odpoczywał i tyle. Nogi mi się zmęczyły.

By zademonstrować, że mówi poważnie, zaczął się zsuwać oparty plecami o ścianę, aż usiadł na podłodze. Jack popatrzył na Karen.

- Będzie dobrze - orzekła Karen - nieprawdaż? Musi być skonany. A my odejdziemy tylko na minutkę.

- No, dobra - przystał Jack. - Ale ty zostaniesz tu, gdzie jesteś. Żadnego włóczenia się. Część podłogi nie jest tak bezpieczna, jak powinna być, szczególnie tam przy końcu. Zgoda?

- Zgoda - potwierdził Randy. Objął kolana dłońmi i złożył na nich głowę. Wyglądał na tak małego i zmęczonego, że Jack poczuł się jak samolubny, głupi, machający maczugą troglodyta, ponieważ zawiózł go tak daleko i tak późną nocą w porze, kiedy powinien leżeć opatulony w łóżku.

- Posłuchaj - zaczął Jack. Wyciągnął zwierzaka zwanego Kupą z kieszeni kurtki Randy'ego i przytulił mu go do policzka. - My na minutkę. Wafel zaopiekuje się tobą, a jeśli będziesz czegoś potrzebował, zawołaj. Chcę się na mur-żelazobeton przekonać, że nikogo tu nie ma.

- Zgoda - powtórzył Randy i ziewnął.

Trzymając się blisko siebie Jack i Karen poszli dalej korytarzem. Po kolei naciskali wszystkie klamki i zaglądali przez wszystkie judasze.

- Ty nie myślisz naprawdę, że ktoś tu jest, co? - odezwała się Karen, gdy byli prawie przy końcu. - Trzeba by mieć kuku na muniu, żeby zamieszkać w takim miejscu jak to.

- Nie wygląda na to, prawda? - odparł Jack. - Domyślam się, że ów „Lester” to po prostu produkt wyobraźni Randy'ego. Biedny dzieciak. Maggie odeszła... no, cholernie mocno to przeżył. Być może „Lester” to jakby jakiś imaginacyjny przyjaciel, ktoś, z kim mógłby rozmawiać prócz mnie.

- Z pewnością - zgodziła się Karen. Obejrzała się na część korytarza, przez którą przeszli. - Rozchodzenie się najbardziej przeżywają dzieci. Pamiętam, jak odbiło się to na Sherrywine. Płakała

przez cały tydzień, a potem zaczęła kraść różne rzeczy z Piggly-Wiggly.

Niespodziewanie podniosła dłoń i musnęła policzek Jacka. Najpierw drgnął, nie wiedząc o co chodzi, ale ona zaczęła głaskać go delikatnie, potem dotknęła jego włosów, on zaś przekreślił głowę na bok i pocałował ją w nadgarstek.

- A jak to się na tobie odbiło? - zapytała. Znow ucałował jej kiść.

- Daję sobie radę.

- No, nie wiem - powiedziała. Jej oczy zabłyśły w ciemności. - Czasem dawanie sobie rady nie wystarczy.

Chwycił ją za nadgarstek. A potem niezdarnie przyciągnął bliżej, zawahał się na moment i pocałował w usta. Był to lekki pocałunek, taki na początek, badawczy. Ale ona szeroko rozsunęła wargi, on zaś wsunął koniuszek języka między jej zęby i zaczęli się całować gwałtownie i łapczywie.

- Nie powinniśmy - wyjąkała Karen. - Jack, nie powinniśmy. - Ale nie próbowała ani trochę się od niego odsunąć i nie przestawała całować jego ust, twarzy i szyi. - Boże, nie masz pojęcia od jak dawna cię pragnę - wyznała.

Zaczął gmerać przy guzikach jej sweterka. Promień z latarki tańczył tu i tam, wyławiając z ciemności to twarz Karen, to ścianę, sufit, wreszcie połyskującą czerń jej stanika. Jack wsunął dłoń pod sweter i objął jej pierś. Rozpięła guziki jeszcze dalej i rozsunęła poły szeroko. Potem podciągnęła stanik w górę, obnażając pierś. Jack czuł dłonią jej ciepło i ciężar. Sutka zmarszczyła się od nocnego chłodu.

- Nie tutaj - szepnęła. - Nie możemy robić tego tutaj.

Krótką, obcisłą spódniczka podjechała jej do pół uda. Jack podciągnął ją jeszcze wyżej, do samej talii. Pod spodem nie miała nic, prócz siatkowych rajstop. Przesunął prowokacyjnie palcami po jej udach. Karen zadrżała i przygryzła mu skórę na szyi. Zaczął ją pieścić między nogami. Jej nabrzmiące wargi sromowe uwypuklały się rombami przez oczka siatki. Wsunął palec do jej środka. Była śliska, gorąca i mokra.

- Karen - westchnął. - O, Boże, Karen.

I wówczas usłyszeli ciągnący się obok nich odgłos. Szszszszsz--szszszszsz--szszszszsz. Ów powolny, niski, podobny do mieszania betonu dźwięk.

Zamarli oboje. Ich oddechy parowały w ciemności.

- Co to było? - zapytała Karen.

- Nie wiem - odparł Jack, nadal nasłuchując, nadal czujny. Erekcja ustąpiła, wyjął palec z pochwy Karen.

- Randy? - zawołał. A potem głośniejsze: - Randy?! Nie było odzewu. Czekał nasłuchując.

Wreszcie wrzasnął:

- Randy!!!

- O, mój Boże - powiedziała Karen. - Co się z nim stało? Jack pobiegł ciemnym korytarzem. Karen obciągnęła spódniczkę i wepchnęła piersi do-stanika i pobiegła za nim.

- Randy! Jesteś tam? - wołał Jack.

Dobiegli do otwartych drzwi pokoju, gdzie siedział Randy. Był pusty. Jack machał latarką na wszystkie strony, oświetlając kąty i sufit. Brązowa tapeta w kwiaty, zapleśniała reprodukcja „Zuzanny i starców”. Zaplamione łóżko, dające świadectwo niemożności utrzymania odchodów. I ani śladu Randy'ego.

- Randy! - wrzasnął Jack w korytarz. Jego głos zabrzmiał głucho w martwym powietrzu.

- Pewno mu się znudziło - podsunęła Karen. - Nie mógł odejść daleko.

- Powiedziałem mu, żeby czekał tutaj - odrzekł Jack. - Powiedziałem, żeby czekał tutaj i nie



ruszał się z miejsca. Jezusie! Powinien pójść razem z nami.

- Jack, to nie twoja wina.

- Nie wiem, gdzie ja, u diabła, miałem głowę, pozwalając mu tu samotnie zostać.

Karen wyciągnęła rękę i przytrzymała go za rękaw.

- Daj spokój, Jack, wiesz dobrze, co miałeś w głowie. I ja także. Jack wrzasnął z całej siły:

- Randy! Randy!!! Czy mnie słyszysz?! Randy!

Zaczął nasłuchiwać. Żadnej odpowiedzi. Jedynymi dźwiękami, które do niego dolatywały, było gulgotanie deszczu w rynnach i ciche trzaski budynku, zaniedbywanego przez sześćdziesiąt lat.

*Witamy z powrotem, Jack* - szeptał budynek.

- Musimy zacząć go szukać - powiedział Jack. - Wielki Boże! Ile czasu nas nie było? Dwie minuty, trzy? Czyż nie powiedziałem mu, że ma tu siedzieć, czekać i nie ruszać się?

Czy nie słyszałaś, jak mu to mówiłem? Randy!

Poszli korytarzem do samych schodów. Jack czuł zimne dreszcze i nie potrafił się powstrzymać, by stale nie przełykać. A co, jeśli Randy miał słuszość i rzeczywiście w tym budynku czaił się zboczeniec? Do tej chwili mógł już zamordować Randy'ego i odciągnąć gdzieś jego ciało. I jak go wtedy znajdą!

A nawet jeśli go znajdą, może być już za późno. Do tej pory Randy mógł być torturowany, zniewolony, uduszony; a przez cały ten czas Jack wsadzał palec swej sekretarce. Co może powiedzieć policji? Co powiedzieć Maggie?

Zbiegli ze schodów. Ich kroki stuknęły w przytłaczającej ciszy. Karen ostatkiem tchu powiedziała:

- On tu gdzieś jest, Jack. Po prostu powędrował sobie.

- Randy! - wrzasnął Jack i skierował światło latarki wzdłuż korytarza drugiego piętra. Zaczekał, ale ciągle nie było odpowiedzi. - Czy wiesz, ile cholernych pokoi jest w tym budynku? - spytał Karen.

- Przykro mi, Jack - odparła. - To także moja wina.

- Oczywiście to nie twoja wina. Jestem jego ojcem. Nie powinienem był go tutaj przywozić. Nie powinienem był w ogóle przyjeżdżać. Nie wiem, co, u diabła...

Gdzieś daleko usłyszał coś jakby stłumiony krzyk małego dziecka, wpadającego do czarnej jak smoła studni, głos wołający: *ammiiioouuu*, a potem milknący.

- Słyszałaś to? - spytał Karen.

- Coś słyszałam. Nie wiem. Może kota - odparła.

- Kota? To był Randy. Randy!

Żadnej odpowiedzi. Jack pobiegł korytarzem drugiego piętra aż do samych schodów na jego końcu. - Randy? Randy? Randy, tu tata!

Spędzili dwie godziny na przeszukiwaniu wszystkich pięter, szarpaniu wszystkich klamek u drzwi. W budynku było ponad sto pokoi i tylko tego, w którym zostawili Randy'ego, nie zamknięto na klucz. Nigdzie ani śladu Randy'ego. Ani w korytarzach, ani w kuchni, ani na podeście pierwszego piętra.

W końcu zeszli schodami do holu. Była prawie druga rano, a latarka Jacka zaczęła słabnąć.

- Muszę zatelefonować do Bessy, powiedzieć jej, że nie wracam - rzekła Karen.

Bessy była kelnerką, miała opuchnięte kostki u nóg, mieszkała u Karen od chwili jej rozvodu i opiekowała się Sherrywine, gdy Karen chciała pójść potańczyć lub popić.

- Tu nie ma telefonu - powiedział Jack.

- Telefon jest na stacji benzynowej w Lodi.

- Więc co, według ciebie, mam zrobić? Myślisz, że zostawię tu Randy'ego, abyś mogła zatelefonować do twojej baby-sitterki? Jezu, Karen, mogli go zamordować!

- Jack, jego tu nie ma! On sobie poszedł! Przeszliśmy te korytarze od góry do dołu tuzin razy! Prawdopodobnie poszedł do samochodu, by się przespać. Jeszcze nie sprawdzaliśmy w wozie.

- Ale nie sprawdzaliśmy także w piwnicy.

Karen mocno roztarła przedramię. Był to gest skrywanej nerwowości.

- Jack, boję się - przyznała. - Bo co, jeśli Lester naprawdę istnieje?

- Sprawdzenie piwnicy nie zajmie nam wiele czasu.

- Jack, nienawidzę piwnic. Naprawdę ich nienawidzę.

- Więc chcesz zaczekać tutaj?

Karen popatrzyła na ślepe i milczące posągi, stojące u stóp kondygnacji schodów.

- Tutaj? W ciemności?

- To zaczekaj na dworze. Karen zagryzła wargi.

- Nie, pójdę z tobą. Dopóki ta latarka nie wysiadzie.

Drzwi do piwnicy mieściły się po zachodniej stronie holu. Były szersze niż większość drzwi w budynku i obite poszarzałą dębową boazerią. Jack nacisnął klamkę, oczekując, że będą zamknięte na klucz; mając nadzieję, że będą zamknięte. Ale otworzyły się łatwo. Z ciemności powiało piwnicznym chłodem i Karen zadrżała.

- Doprawdy myślisz, że on jest tam w dole?

Jack skierował żółknące światło latarki w otwór drzwi. Ukazała się kondygnacja kamiennych schodów i wzdłuż niej zwykła dębowa poręcz.

- Randy?! - zawołał. Jego głos nie wzbudził w ogóle echa. Równie dobrze mógł krzyczeć w poduszkę. - Randy?

- On by tam nie zszedł - powiedziała Karen, chwytając Jacka za rękę.

- Nie ma go nigdzie indziej - odparł Jack, wyężając wzrok w ciemności.

- Musiał wrócić do samochodu. Tutaj by nie zszedł.

- Karen, przykro mi, ale muszę popatrzeć. Karen wzięła głęboki oddech.

- W porządku. Wiem, że musisz. Przepraszam.

Trzymając się blisko siebie przeszli przez drzwi i dalej, w dół, po schodach. W słabnym świetle latarki Jack dostrzegł, że piwnice są kolosalne. Ciągnęły się przez całą długość budynku i miały łukowe sklepienia z pobielanej wapnem cegły, podtrzymywane masywnymi, również ceglanyimi filarami. Pod podłogą holu stał jak potężny dinozaur bojler Kenwooda, z mosiężnymi rurami pokrytymi gryszańową korozją i wskaźnikami zaciągniętymi bielmem kurzu. Pozostałe piwnice zawałone były skrzyniami, zwojami sznurów, puszkami wyschniętej farby, wypłowiałym brązowym papierem do pakowania, pustymi gąsiorami z napisem „Ocet do marynat”, pudłami gwoździ, skrzyniami pełnymi zmętniałego oleju lnianego, zapadniętymi kanapami, rozmontowanymi żelaznymi łózkami, pobrudzonymi materacami, kołami rowerowymi oraz kolekcją pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu szklanych akumulatorów.

Po Randym ani śladu.

- Zawołaj go. Zawołaj go znowu - powiedziała Karen.

- Randy! - wrzasnął Jack. - Randy! Jesteś tu gdzieś w dole? Światło latarki na moment zabłysło jaśniej, a potem zbladło.

Gdzieś w tych piwnicach musiało być otwarte okno, bo czuło się przeciąg pełen wilgoci, chłodu i zapachu deszczu.

- Tu go nie ma - orzekła Karen. - Lepiej poszukajmy na dworze.

Ale Jack, już zawracając, nagle dostrzegł na ścianie piwnicy coś beżowego i bezkształtnego, tuż koło tylnej ściany bojlera. Najpierw pomyślał, że to grzyb, ale gdy latarka znów się rozjaśniła, zauważył w tym kształcie coś dziwnie znajomego.

- Zaczekaj - powiedział i ostrożnie zszedłszy po kilku ostatnich schodkach piwnicznych, zaczął przeciskać się między sprzętami, prosto do narośli na ścianie. Oświetlił ją latarką.

- Co to takiego? - spytała Karen głosem drżącym z niepokoju.

Jack podniósł rękę i dotknął wypukłości. Była beżowa, wełniana i guzowata. Miała fakturę wafla. Zwierzak, zwany Kupą, wrosnięty w ścianę w połowie jej wysokości.

- To przytulanka Randy'ego! - zawołał w odpowiedzi Jack. Karen powoli zbliżyła się do niego. Stała obok i w zdumieniu skierowała spojrzenie na Kupę.

- Co ona tu robi?

Jack pociągnął za zabawkę. Nie była po prostu wetknięta w mur, była wrosnięta w cegłę, jakby jej atomy mieszały się z atomami ściany.

- Widziałaś kiedyś coś podobnego? - zapytał Jack. - Nie mogę jej wydobyć.

Pociągnął ponownie. Tym razem rozerwał zabawkę na dwoje, w dłoni została mu garść poszarpanej włóczki i kapokowego wypełnienia.

*Boże* - pomyślał - *Randy mnie zabije*. - Jak on to zrobił? - spytała Karen. - I czy wiesz po co?  
- Ważniejsze, gdzie on jest? - odparł Jack.

- Może lepiej wrócimy, gdy będzie jasno - zaproponowała Karen. - Myślę, że on może być gdziekolwiek. Jestem pewna, że tutaj go nie widzę.

Jack oderwał ostatnie kawałki włóczki, jeszcze zwisające ze ściany.

- Uważam, że powinniśmy wezwać policję. Im szybciej zaczną szukać, tym lepiej.

Omiótł promieniem latarki piwnicę. Podniósł parę arkuszy płyty pilśniowej, przesunął dwie czy trzy skrzynie. Modlił się, by nie znaleźć leżących zwłok Randy'ego. Poruszył szeszlony z zapadniętym siedzeniem i właśnie miał odepchnąć kilka rolek linoleum, gdy usłyszał znajomy dźwięk.

Szszszsz... szszszsz... szszszsz... - ciągnące się wzdłuż ściany.

Zesztywniał, poczuł, jak drętwieje mu skóra na karku. Dźwięk przesunął się powoli wzdłuż całej długości piwnicy, a potem zaczął zawracać.

- Chodź... Uważam, że lepiej będzie, gdy stąd wyjdziemy - powiedział Jack.

Zaczęli wycofywać się z piwnicy, początkowo ostrożnie. Ale drapiący dźwięk był coraz bliższy, coraz szybszy, jak mieszanie betonu, jak ciągnięcie ciała po żwirze - chrapliwy, zgrzytający, a równocześnie w jakiś sposób miękki.

- Co to takiego? - wyjąkała Karen, rozglądając się w przerażeniu wokoło.

- Nie mam zamiaru zostawać tu, by się przekonać - wydyszał Jack. - Dalejże, wydostaniemy się stąd!

Potyając się wbiegli na schody. Dźwięk prawie ich doganiał, ogłuszający jak hałas nadjeżdżającej lokomotywy. Jack popychał Karen przed sobą, trzymając się drewnianej poręczy i biorąc po trzy i cztery stopnie naraz. Prawie osiągnęli szczyt schodów, gdy latarka zgasła i w tym samym momencie bez ostrzeżenia drzwi piwnicy zatrzasnęły się.

W jednej chwili pochłonęła ich ciemność. Karen wrzasnęła: - Nie! - a dźwięk skoczył za nimi w górę schodów: szszszakkkk--attakka--szszszaaakkk-attakkkka.

Jack potknął się na najwyższym stopniu i ciężko padł na ścianę. W tej samej chwili poczuł, że ktoś go chwyta za kostkę lewej nogi. Najpierw pomyślał, że to Karen, próbująca w ten sposób powstrzymać się przed upadkiem; ale zaraz chwycono go za prawą kostkę i poczuł, że czyjeś dłonie ciągną go w dół po schodach.

- Karen! - wrzasnął. - Karen, coś mnie złapało!

Wielkie, silne ręce, szarpiące go do tyłu. Chwycił się poręczy, ale nie zdołał dość mocno zacisnąć dłoni i został ściągnięty w dół o cztery czy pięć stopni, przy czym otarł sobie policzek i ostro uderzył się w podbródek.

- Karen! - wrzasnął ponownie.

W tej samej chwili Karen dotarła do drzwi piwnicy i odepchnęła je. Ledwie widoczne światło padło na schody.

Jack wił się i wrywał, wymierzając kopnięcia dłoniom chwytającym go za kostki u nóg. Te dłonie były szare i zakurzone, koloru betonu i wyrastały wprost z betonowej podłogi.

Nieco dalej z podłogi wynurzyła się twarz. Wyglądała jak osypana suchym cementem. Wokół ust miała omączona cementem zmarszczki i pęknięcia. Jej oczodoły były całkowicie czarne - czarne jak noc, pozbawione białek i wyglądały jak otwory pustej w środku czaszki. Ale należała do kogoś żyjącego, to nie budziło żadnych wątpliwości. Powstała prosto z betonowej podłogi takim ruchem, jakim pływak wynurza się z pokrytej kurzem powierzchni jeziora.

*Żyła, szczerzyła do niego zęby i radośnie szykowała się do wciągnięcia go pod powierzchnię betonu.*

## ROZDZIAŁ IV

Przez dłużący się moment paniki wierzył, że jest zgubiony. Dłonie zaciskały się tak mocno, że jego nogi prawie utraciły czucie. Lewą piętę przyciągano mu coraz bliżej i bliżej do podłogi, aż obcas oparł się ściśle o beton. Odczuwał rozdzierający ból, jakby nagą piętę przyciśnięto mu do trącej, wirującej ściernicy. Wrzeszczał, kopał i wił się, ale dłonie pociągnęły go jeszcze bardziej w dół, aż wreszcie obie pięty zagłębiły się w podłogę.

Szukał palcami drewnianej poręczy. Za pierwszą próbą nie trafił, ale zaraz wygiął plecy w łuk i wreszcie udało mu się zahaczyć czubkami palców o najniższy wspornik, mocujący poręcz do ściany. Wyciągnął się ze wszystkich sił i ostatecznie udało mu się mocno chwycić drewno.

Karen wrzeszczała: - Jack! Jack! - ale ból w stopach był tak dojmujący, że ledwie ją słyszał.

Kopał i kopał, i jeszcze kopał. Na chwilę kleszcze na jego prawej kostce popuściły. Obrócił i wyszarpnął stopę, a potem wymierzył kopniaka dłoni ściskającej lewą nogę. Zapyłona cementem twarz jeszcze bardziej dziko wyszczerzyła zęby, jakby walka sprawiała jej przyjemność, jak gdyby uniesiona radością uczestniczyła w jego bólu. A potem szeroko otworzyła usta i wydała dźwięk, który zmroził Jacka do szpiku kości.

Brzmiał jak zmieszane wrzaski trzystu pasażerów w spadającym samolocie pasażerskim. Brzmiał jak wypadający z tunelu pociąg kolejki podziemnej. Wyrażał strach, wściekłość i cierpienie przekraczające ludzką zdolność pojmowania.

- Jack! - wrzeszczała Karen, lecz jej głos był ledwie słyszalny w tym ogłuszającym hałasie. Zasypując trzymające go dłonie kopniakami prawej nogi, Jack zdołał się uwolnić.

Przekoziółkował po podłodze, potykając się dopadł schodów i skoczył w górę, ostro uderzywszy się w kolano.

Karen otoczyła go ramionami i wyszarpnęła poza drzwi piwnicy. Chciała rzucić się do biegu i uciec z domu, ale Jack powiedział:

- Wstrzymaj się, zaczekaj, stój! - Zatrzasnąwszy drzwi do piwnicy przekręcił klucz w zamku. - To powinno je powstrzymać - wydyszał.

- Ale one wylazły prosto z podłogi! - zaskowytała Karen. - Wylazły prosto z podłogi!

Jackiem wstrząsały dreszcze. Nie wiedział, czy zostać na miejscu, czy rzucić się do ucieczki. Nie był pewien, czy będzie w stanie pobiec, nawet jeśli zechce. Jego ciało utraciło zdolność koordynacji ruchów. Karen stała nieco dalej od niego, ciasno obejmując swe piersi dłońmi i patrząc na niego z niepewnością i przestraszaniem.

- To musiało być to, o czym mówił Randy - powiedział Jack. Nawet jego głos brzmiał jak głos kogoś obcego. - Wiesz, ten Lester.

- Ale jak mogło wyleźć z podłogi? Jak potrafiło coś takiego zrobić? Jack potrząsnął głową.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Ale i mnie do niej wciągało. A przynajmniej próbowało. Czulem to nogami, to znaczy ten ból. Nigdy jeszcze nie odczuwałem takiego bólu. Chcę ci powiedzieć, że ono naprawdę próbowało wciągnąć mnie w głąb podłogi.

- To niemożliwe! - zaprotestowała Karen.

- Oczywiście. To niemożliwe! Logicznie i naukowo niemożliwe. Ludzie nie mogą przechodzić przez lite ściany i ludzie nie mogą wynurzać się z litych podłóg.

- Co zrobimy? - spytała Karen. - Czy myślisz, że to schwytało Randy'ego?

Jack oparł się plecami o drzwi piwnicy i zacisnął powieki. Widział tylko ową zielonkawoszarą twarz koloru cementu. Nie chciał nawet myśleć, co mogła zrobić Randy'emu.

- Jack, jeśli to schwytało Randy'ego... - powtórzyła Karen. Otworzył oczy.

- Mogę tylko modlić się, by tak nie było. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak ta rzecz była silna? On nie miałby żadnych szans.

- Więc co zrobimy?

- Nie wiem. Chyba wezwiemy policję. - Bardzo chciał przestać się trząść. *Randy, mój biedny Randy! Spraw, Boże, by to cię nie złapało; spraw, Boże, byś nie cierpiał, jeśli to robi.* Po chwili udało mu się uspokoić. - Chodźmy - powiedział do Karen. Pociągnął nosem i odchrząknął. - Poszukajmy tego telefonu. O własnych siłach niczego więcej dokonać nie możemy.

Przeszli przez hol w świetlicy, kierując się ku oranżerii. Gdy przeciskali się między stolikami w świetlicy, Jackowi wydało się, że znów słyszy ów ciągnący się dźwięk. Szszszszsz... szszszszsz...szszszszsz wzdułuż ścian.

- Posłuchaj - powiedział, kładąc rękę na ramieniu Karen. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Dźwięk umilkł, jakby ktoś ich tropił, a teraz zatrzymał się, czekając, co zrobią. Czekając, przyglądając się, wstrzymując oddech.

- Tylko się stąd wydostańmy - nalegała Karen.

- Nie, zaczekaj, Karen. Czy słyszysz coś?

- Nic nie słyszę i niczego nie chcę słyszeć. O, Boże, Jack, jestem przerażona.

Ale Jack stanął absolutnie nieruchomo. Deszcz kapał przez potłuczone szybki oranżerii i szeleścił w krzakach laurowych ciemnego ogrodu. Ale był też inny dźwięk: cichy, sypki, jak starego gipsu, osuwającego się za zeszywniałą ze starości tapetą; jak kogoś ukrywającego się za kotarą i nie śmiejącego nawet odetchnąć.

Powoli, powoli Jack się odwrócił. Świetlicę zalegał taki cień, że prawie niczego nie było

widać. Plecione fotele, przewrócone stoliki. Półki na czasopisma, pełne pożółkłych gazet. Ale wydało mu się, że między szafą na książki i drzwiami dostrzegł coś guzowatego na kremowo pomalowanej ścianie.

- Jack - błagała Karen. Była już tak przerażona, że niemal w szoku.

Ale Jack bez słowa zrobił parę kroków z powrotem, w stronę drzwi, nie spuszczać z oka wypukłości w ścianie. Oddałby wszystko za działającą latarkę.

- Jack, proszę - błagała go Karen.

- Czy masz może zapalniczki? - spytał Jack. Usta miał tak wyschnięte, że mówił szeptem.

- Zapalniczki?

- Wiesz, o czym mówię: zapalniczki. Takie do zapalania papierosów.

- Zdaje się, że mam je w torebce. Ale zostawiłam ją w samochodzie.

Jack zrobił jeszcze krok w kierunku drzwi. Nie chciał zbliżyć się za bardzo. Ciągle bolały go kostki od uścisku dłoni, które złapały go w piwnicy.

Karen grzebała w kieszeniach płaszcza.

- Mam jakieś zapalniczki zapalniczek.

- To świetnie, to znakomicie. - Jack sięgnął ręką za siebie, by wziąć zapalniczki, ale nie spuszczał oka ze ściany. Otworzył zapalniczkę, przygął zapalniczkę i kciukiem zapalił wszystkie naraz. Wybuchnęły jasnym płomieniem. Podniósł zapalniczkę tak wysoko, jak tylko zdołał.

W jej drżącym, krótkotrwałym świetle ujrzał, że pomalowana na kremowo ściana uwypukliła się w płaskorzeźbę w kształcie młodej, nagiej kobiety. Miała szerokie biodra, duże piersi, wąskie ramiona i twarz typu negroidalnego. Włosy sterczały jej z głowy, jakby promienie słońca.

- O, mój Boże - szepnęła Karen. - O, mój Boże, ona jest wprost w ścianie.

Rzeczywiście, wyglądało to tak, jakby ściana była zaledwie cienkim arkuszem błyszczącej, kremowej gumy, na którą z drugiej strony napierała dziewczyna. Rozwarte oczy kremowej barwy patrzyły na Jacka nieruchome; nie oddychała.

- Kim jesteś? - wyszeptał. Przez całe życie nie wyobrażał sobie, że można tak się bać.

Dziewczyna nadal na niego patrzyła, bez mrugnięcia, bez słowa.

- Kim jesteś? - powtórzył Jack.

Była żywa, bez żadnych wątpliwości. Była żywa i patrzyła na niego. Ale jak mogła znajdować się w ścianie?

Jack z wahaniem podszedł o dwa kroki bliżej. Płomyk zapalniczki zapalniczek dogasał.

- Kim jesteś?! - krzyknął do niej. - Gdzie jest mój syn? Nagle odwróciła się z lekkim dźwiękiem szszszszsz. Jack odskoczył przerażony. Ale nie próbowała go schwytać. Po prostu odwróciła się. Ujrzał jej nagie plecy, a potem ściana wygładziła się, zapalniczki sparzyły mu palce, a dziewczyna zniknęła.

Dotknął ściany wnętrzem dłoni. Mur był zimny i twardy. Jack poczuł nawet smugi od pędzla na farbie. Ściana i koniec. Usłyszał ginący w oddali dźwięk szszszszsz.

- Widziałaś to? - zapytał Karen drżącym głosem.

- Widziałam - potwierdziła. - Dziewczynę. Po prostu stojącą tutaj. A potem zniknęła.

Jack cofnął się od ściany i wziął Karen za rękę.

- Jak myślisz, czy zjedliśmy coś i dostaliśmy od tego bzika? A może w tym budynku wycieka jakiś gaz, coś, co powoduje u ludzi halucynacje.

- Widziałam - upierała się Karen. - Była rzeczywista. Rzeczywista kobieta, po prostu stojąca w tamtym miejscu.

Wydostali się ze świetlicy i przeszli przez oranżerię. Na dworze, na zwirowanej ścieżce, Jack

popatrzył na zegarek. Dochodziła trzecia. Przez parę minut stali na deszczu, wdychając zimne, nocne powietrze. Jack podniósł wzrok na iglice budynku, przymykając powieki przed kroplami deszczu. Teraz już nie wiedział, co myśleć; nie wiedział, czy nadal pragnie mieć ten gmach, czy raczej się go obawia. Wiedział tylko, że bez względu na to, co się wydarzy, musi odzyskać Randy'ego. Z jego powodu czuł się tak desperacko nieszczęśliwy i przestraszony, że zbierało mu się na płacz.

- Czy myślisz, że to były duchy? - zapytała Karen.

- Nie wiem. - Jack otarł dłonią twarz z kropel deszczu. - Może. Jeszcze nigdy nie widziałem ducha, ani nie znam nikogo, kto by widział. A kto odważy się powiedzieć, że nie mogą wychylać się ze ścian? Mam na myśli, że jeśli wszyscy twierdzą, że duchy przechodzą przez ściany, to może robią to właśnie w taki sposób.

- Wiesz - powiedziała Karen - gliniarze nam w to nie uwierzą. Powiedzą, że zwariowaliśmy do reszty.

- Ależ to prawda, to było, widzieliśmy to na własne oczy.

- Zapomnij o tym - poradziła Karen. - Miałam po uszy gliniarzy, gdy Cecil zaczął mnie lać. Najczęściej próbowali uzasadniać, że to wszystko moja wina, ponieważ go sprowokowałam. Trzeba ci było widzieć rozmiary tego człowieka... I ja go prowokowałam? Jeden gliniarz powiedział mi, że jego zdaniem zasłużyłam na wszystko, co Cecil ze mną robił, a gdybym była jego żoną, spuściłby mi takie lanie, że popamiętałabym do końca życia.

- Musimy im powiedzieć, Karen. Jeśli ktoś zabrał Randy'ego albo jeśli jest ukryty gdzieś w tym budynku, bez glin nigdy go nie znajdziemy.

- No i co masz zamiar im powiedzieć? Ze jest tu mężczyzna w podłodze, który próbuje chwycić cię za nogi oraz naga kobieta w ścianie?

- Szukamy jakiegoś włóczęgi imieniem Lester, pamiętasz?

- O, z pewnością. Jakiegoś dzikiego lokatora. Ale sam widziałeś, że nikt tu nie mieszka, prawda? Jak więc się stało, że zostawiliśmy Randy'ego samego?

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Tego nie musimy policji mówić.

- Oczywiście nie. Ale jakim sposobem zostawiliśmy go samego?

- Był zmęczony i już. Dajże spokój, Karen, na miłość boską, on jest moim synem. Ja tylko mam nadzieję i modlę się, że nie zszedł do piwnicy. Policjanci sami się przekonają, jak bardzo mnie to martwi.

- Oczywiście, że to cię martwi, ale martwienie się zupełnie nam nie pomoże. Glinom przede wszystkim przyjdzie do głowy, że zabraliśmy tu Randy'ego, by się go pozbyć. Zerwałeś z Maggie, chciałeś ją zranić i w rezultacie znalazłeś się z nie chcianym dzieckiem na karku. Resztę możesz sobie dośpiewać.

- Zapominasz tylko o jednym - przerwał jej Jack. - Że to nieprawda.

- Tym nie przejmował się żaden glina, jakiego w życiu spotkałam.

- O glinach pomyślimy później, dobrze? - Przesunął gestem zmęczenia dłonią po mokrych włosach. - Teraz powinniśmy rozejrzeć się koło basenu pływackiego. Może aż tam zawędrował.

- Jack... przepraszam - powiedziała Karen. - Proszę, kochanie, nie gniewaj się na mnie. Tak samo zależy mi na odnalezieniu Randy'ego, jak tobie. Ale wiem, jak to jest, gdy się wezwie gliny. Wszystko zaraz stawiają na głowie. Po chwili sam już nie wiesz, co zrobiłeś, a czego nie.

- Jezus, on może być gdziekolwiek. - Jack mówił bardziej w przestrzeń niż do Karen. Mokry połysk na jego policzkach nie pochodził od deszczu. - Rozejrzyjmy się koło basenu, a potem wrócimy do samochodu.

Trzymając się za ręce przeszli przez korty tenisowe w stronę basenu. W panujących ciemnościach Jack, by orientować się, musiał sunąć dłonią po wierzchu siatki do tenisa. Materiał był zimny, mokry i niemiły w dotyku. Milczeli, póki nie doszli do skraju basenu. Ledwie widzieli powierzchnię wody, a na niej kółeczka za kółeczkami od kropli deszczu.

Woda stała czarna, martwa i śmierdziała amoniakiem.

- Nie masz przypadkiem jeszcze trochę tych zapalek? - zapytał Jack.

- Z pół książeczki - odrzekła Karen, znów grzebiąc w kieszeni płaszcza. - Wiesz, zawsze je zabieram, z przyzwyczajenia. Kiedyś je zbierałam. Wiesz, miałam nawet jedną z domu Williama Holdena. Z czasów, zanim się upił, rozwalił sobie łeb i zabił się.

Wyciągnęła książeczkę zapalek. Pierwsza była zbyt mokra i główka po prostu rozmazała się, gdy Jack spróbował ją potrzeć. Druga zabłysła stłumionym światłem. Podniósł ją wysoko, próbując w słabym płomyku spenetrować wodę na dnie basenu.

- Tam coś jest w środku - powiedziała Karen. - Popatrz, o tam! Jack wpatrywał się w drgające cienie, ale zapalka zgasła. Potarł następną, lecz ta nie chciała się zapalić, a potem jeszcze jedną. Ostatnia paliła się tyle tylko czasu, ile potrzebował, by ujrzeć leżący w wodzie ciemny wypukły kształt.

- Nie sądzisz, że to może być Randy? - zapytała Karen zdławionym głosem. - Być może ujrzał to coś w budynku, bardzo się przestraszył, pobiegł tutaj nie zdając sobie sprawy, że tu, w dole, jest basen?

Jack stał w miejscu, trzęsąc się z zimna i niezdecydowania.

- Gdy znalazłem się tutaj po raz pierwszy, widziałem już coś w basenie. Tylko jakiś kształt, nie wiem, co to było. Może to jest to samo. Może pień drzewa albo ktoś wepchnął coś do wody, ot, tak sobie.

- A jeśli to Randy? - spytała Karen.

Jack wahał się jeszcze przez chwilę. A potem szybko rozpiął płaszcz i zrzucił go. Zdjął sportową marynarkę, krawat, koszulę. Deszcz rozpryskiwał się na jego nagiej piersi. Zdjął pantofle i skarpetki, potem spodnie i slipy.

- Och, Jack, kochanie - zaczęła błagać go Karen - proszę, uważaj na siebie.

- Uważać? Żartujesz sobie? - Zadrzał. Odpiął swego rolexa i wręczył jej. - Nie upuść go, należał do mojego ojca. - Nagi pobiegł na przeciwną stronę basenu, gdzie znajdowało się zejście.

- To było prawie tutaj - powiedziała Karen. - Może osiem czy dziesięć stóp od miejsca, gdzie stoisz.

Szczękając nieopanowanie zębami zaczął schodzić po metalowej drabince, aż dotknął stopą wody. Była śmiertelnie zimna i śmierdziała tak bardzo, że odbiło mu się głośno. Popatrzył w dół, w ciemności. Bóg jeden wiedział, co tam czaiło się pod powierzchnią. Zszedł dwa szczeble niżej. Woda ścisnęła jego łydki jak podwiązki z zimnej stali. Moszna skurczyła mu się tak mocno, że jądra prawie znikły w pachwinach.

Przytrzymując się jedną ręką drabiny, wychylił się nad basenem, zagarniając palcami powierzchnię wody, próbując wyczuć w ciemności tajemniczy kształt.

- Chyba go widzę - stwierdziła Karen. - Jest o jakieś trzy stopy od ciebie. Będziesz musiał po to popłynąć.

Przełknął ślinę. A potem powiedział:

- Dobrze, spróbuję.

Zrobił jeszcze krok w dół po drabince, ale ku jego zaskoczeniu nie było tam więcej szczebli i nagle pogrążył się prosto w wodzie, wyżej głowy. Wrzasnął pod powierzchnią wody i z gardła



wydobyły mu się z bulgotem bańki powietrza. Poczul, jak objają się o niego w ciemności jakieś duże, miękkie kształty. Wskoczył na powierzchnię ze strachem, obrzydzeniem i rozpaczą.

- Ach! - wrzasnął, chwytając powietrze.

- Jack, z tobą wszystko dobrze? - zawołała Karen. - Jack!

- Ach! - powtórzył. - Ach! Ach! Gówno, topię się! Gówno, to jest wstrętne!

- To jest tam - krzyknęła Karen - ja to widzę! Popatrz, właśnie tam, jesteś tylko o parę stóp od tego.

- Ni cholery nie widzę.

- Tam! Popatrz tam!

Jack sztywnymi ruchami popłynął ku miejscu, wskazanemu przez Karen. Woda lepiła mu się do nagiej skóry, podobniejsza do galarety niż wody; między nogami przesunęło się coś śliskiego, powodując, że zaczął młócić kończynami z obrzydzeniem.

Wreszcie dotknął palcami czegoś pływającego w szlamie. Czegoś krytego grubym bawełnianym płótnem - jak wiatrówka Randy'ego. Czegoś, co podskakiwało na powierzchni wody miękko i martwo, jak utopiony chłopiec.

Jack chwycił tę rzecz. A potem, powoli, ramionami sztywniejącymi w kurczach, popłynął z powrotem do wyjścia z basenu, ciągnąc za sobą przemokły przedmiot.

Karen podeszła, by mu pomóc. Trzęsąc się od zimna i wstrętu wspiał się po drabinie, a potem wywindował przedmiot na wyłożone płytkami obrzeże. Rozległ się niski, chlupoczący odgłos, po nim zaś drugie, ciche kapanie wody.

Nie był to chłopiec lecz worek pocztowy, wystarczająco jednak ciężki, by zawierać zwłoki chłopca. W środku leżało coś odpychająco miękkiego i bezkształtnego, tak mocno śmierdzącego rozkładem, że Jack zwymiotował kwaśnymi resztkami lunchu.

- To nie Randy - szepnęła Karen z twarzą zbielełą w deszczowej ciemności. - To nie może być Randy.

- Ubiorę się teraz - oświadczył Jack. - A potem po prostu otworzymy to skurwysyństwo i zobaczymy, co tam jest.

Karen nie odpowiedziała; wyjęła odzież Jacka spod swego płaszcza i wręczała mu wszystko po kolei. Przemarzył do szpiku kości i zmarzył tak, że ledwie mógł myśleć. Koszula i spodnie przylepiły mu się do mokrej skóry. Ale gdy już naciągnął skarpetki, włożył obuwie i zapiął płaszcz, zrobiło mu się nieco cieplej, nie czuł się też już tak mocno wstrząśnięty.

- No dobra. - Pociągnął nosem, kucając obok worka. - Przekonajmy się, co, u diabła, tutaj mamy.

Zeszywniałymi palcami rozsznurował koniec worka i szeroko go otworzył.

- O, Jezu - powiedział. Smród zgniłego mięsa wypełnił mu usta i nos mdlącą słodyczą. - Nie widzę - wykrztusił dusząc się. - Nawet nie widzę, co to takiego.

Zakrył twarz ręką i z wysiłkiem wpatrzył się w ciemne wnętrze otwartego worka. Dojrzał coś połyskującego, ale to wszystko. Karen trzymała się zupełnie z daleka.

- O, mój Boże - szepnęła - cokolwiek to takiego, jest okropne. Jack wstał.

- Nie masz już więcej zapalek?

Pokręciła przecząco głową. Ale potem zawołała:

- Moje kółko na klucze! Czemu o tym wcześniej nie pomyślałam? Słuchaj, mam miniaturową latarkę przy kółku do kluczy! - Brzęczała nimi, aż znalazła maleńką latarkę i nacisnęła guzik. - Cecil mi ją kupił. Na ganku jest zawsze tak ciemno, że nigdy nie mogłam znaleźć dziurki od klucza.

Jack wziął kółko i uklął ponownie koło worka pocztowego. Skierował cienki jak igła promień

do środka i próbował rozpoznać, co tam widzi.

Bryła szaroróżowego mięsa, splamionego tu i ówdzie jaskrawą zielenią i błękitem rozkładu. Kłęb cętkowanej sierści, podniesiona łapa z ciałem przegniłym od skóry do samej kości. Jakiś pies, prawdopodobnie owczarek alzacki. Z pewnością nie chłopiec.

Ale dopiero gdy zaświecił głębiej do worka, włosy stanęły mu dęba. Był tylko jeden korpus i dwie patrzące na niego, na pół zgniłe głowy - dwa pyski, dwa komplety wyszczerzonych zębów, dwa czarniawe języki. Czworono żółtych oczu, przesłoniętych śluzem. Zgasił gwałtownie latarkę i wstał.

- Pies - powiedział do Karen. - Ktoś utopił swego psa.

- Jak ktokolwiek mógł to zrobić? - Karen zadrżała.

Jack przez chwilę nie był w stanie odpowiedzieć. Usta zalała mu żółć ze śliną.

- To był kaleka od urodzenia. Myślę, że z jakiegoś powodu tak było dla niego lepiej.

Karen ujęła go za ramię.

- Przynajmniej to nie Randy.

- Wracajmy do samochodu - powiedział.

- A co z tym zrobisz? - Karen popatrzyła na worek.

- Nie wiem. Chyba tak zostawię. Cóż innego mogę zrobić? Ale właśnie w tym momencie zaświecono im w oczy potężną latarką i suchy głos oznajmił:

- Może go pan wyrzucić, proszę pana, i nie wtrącać się w nie swoje sprawy.

Latarka podskakując zbliżyła się. Jack osłonił oczy dłonią, ale nie zdołał dostrzec nic więcej poza sylwetką człowieka w czarnym przeciwdeszczowym płaszczu strażackim i ogromnym kapeluszu przeciwdeszczowym ze zwisającymi kresami. Obok niego na krótkiej smyczy widać było coś przypominającego dobermana, charczącego i skomlało proszącego, by go spuścić.

- To był mój pies - stwierdził sucho brzmiący głos, a promień latarki na chwilę omiótł przeciwną stronę basenu. - Słyszeliście, jak szczęśliwy jest pies z dwoma ogonami. Ale pies z dwiema głowami to żadna przyjemność. Żył siedem miesięcy, a ja nigdy nie widziałem nieszczęśliwszego bożego stworzenia. - Nastąpiła chwila przerwy, wreszcie człowiek powiedział: - Nie macie nic przeciw temu, jeśli spytam, co robicie tutaj, na cudzym terenie, o wpół do czwartej rano?

- Kim pan jest? - zapytał Jack.

- Przykro mi, przyjacielu. Ja pierwszy zapytałem.

- Nazywam się Jack Reed. Kupuję Dęby.

Nastąpiła kolejna przerwa, tym razem znacznie dłuższa. A potem:

- Kupuje pan Dęby?

- Zgadza się. Może pan sprawdzić u pana Bufo w biurze handlu nieruchomościami Capitol.

- Pan Bufo nic mi o tym nie mówił.

- No, zapewne dlatego, że umowa nie została jeszcze formalnie zawarta. Ale właściciele przyjęli moją ofertę.

- Mm! - powiedział mężczyzna. - Oczywiście.

- A to co ma znaczyć!

- Znaczy to, co znaczy. Oczywiście można się tego po nich spodziewać. Założę się, że nie wierzą własnemu szczęściu.

- Czy zechce mi pan powiedzieć, kim pan jest? - spytał rozdrażniony Jack.

- Na pewno - odparł człowiek. Nagle oświetlił latarką swoją twarz.

Był bardzo stary, jak domyślał się Jack, dobrze po siedemdziesiątce. Przypominał Niemca, a

może też niejasno Słowianina. Miał bardzo jasne niebieskie oczy, cerę koloru kiszki wątrobianej, a po obu stronach nosa po dwie pionowe, purpurowe blizny.

- Nazywam się Joseph Lovelittle - oświadczył. - Podczas pierwszej wojny światowej rodzice zmienili w ten sposób swe nazwisko Kleinlieb. *Kleine liebe, love linie*. Chyba jedyna rodzina w Milwaukee, która to zrobiła. Większość była dumna ze swej niemieckości i jest do dziś. - Zniżył latarkę. - Widziałem wasz wóz, tam na drodze. Ja już prawie nie sypiam, w tym mój kłopot. I nigdy nie mogłem, dlatego dali mi posadę nocnego stróża. Obchód około drugiej nad ranem, zwykle zabieram tego tutaj Boya na spacer. Lubi spacerować w nocy, tak samo jak ja. W nocy widzi się więcej.

- Czy widział pan w moim wozie małego chłopca? - spytał Jack. - Wiek dziewięć lat, blondynek, niebieska wiatrówka?

Joseph Lovelittle zastanowił się.

- Tego bym nie powiedział - odrzekł wreszcie. - Zajrzałem także do środka. Zginął wam? Jack kiwnął głową.

- No cóż - powiedział Joseph Lovelittle. - Dęby nie są idealnym miejscem na nocne spacery. Od czasu do czasu miewamy dzikich lokatorów, a raczej, powiedzmy, niedoszłych dzikich lokatorów. Hipisi, narkomani, członkowie band motocyklowych, zna pan ten gatunek. Ale Boy i ja robimy co w naszej mocy, by ich zniechęcić do pozostania tutaj. Proszę zapamiętać, że Dęby nie są takim miejscem, w którym chciałoby się zatrzymać, nawet jeśli się jest z bandy motocyklowej.

- Czy może ma pan jakiś pomysł, gdzie mój syn mógł się ukryć? - zapytał Jack. - Przeszukaliśmy budynek.

Zerknął na Karen, zastanawiając się, czy powiedzieć Josephowi Lovelittle o dłoniach wyskakujących z podłogi w piwnicy i odcisku kobiety w ścianie, ale ona leciutko potrząsnęła głową. Jeszcze niezupełnie wiedzieli, kim jest ten „Joseph Lovelittle”, a nie chcieli zrobić na nim wrażenia osób ekscentrycznych albo niezrównoważonych. Z łatwością mógł wezwać policję i kazać ich zatrzymać za wejście na teren cudzej własności. Prócz tego Jack mógł mieć słuszność, może był tutaj jakiś wyciek gazu albo osobliwość atmosferyczna wewnątrz budynku, powodująca krótkie, ale przerażające halucynacje.

Na dworze, na splekowanym deszczem korcie tenisowym, Jackowi trudno było uwierzyć, że rzeczywiście schwytał go człowiek o szarej twarzy, który nagle przedarł się z litego betonu.

Joseph Lovelittle podniósł przemoczony worek pocztowy i jedną ręką wrzucił go na powrót do basenu. A potem zawrócił w stronę budynku, ciągnąc za sobą na wpół uduszonego dobermana. Jack i Karen poszli za nimi.

- Na nic się nie przyda szukanie po nocy w budynku - orzekł Joseph Lovelittle. - I na nic także szukanie bez kluczy.

- Randy nie mógł dostać się do zamkniętego pokoju - wytknął mu Jack.

Płaszcz przeciwdeszczowy idącego obok Josepha Lovelittle wydawał dźwięk piszczącej gumy.

- Tego nie byłbym taki pewien - odparł. - Wszystkie te drzwi są samozatraskujące się, jeśli pan wie, co mam na myśli. Zatraskują się automatycznie, gdy się je zamyka, a otworzyć je można tylko z zewnątrz i tylko mając klucz. Więc pański chłopiec mógł znaleźć otwarte drzwi, wejść do środka, one się za nim zamknęły i już nie mógł wówczas wydostać się na zewnątrz.

- Pewien jestem, że usłyszeliśmy, jak woła albo stuka, gdyby tak zrobił.

Joseph Lovelittle chrząknął rozbawiony.

- Te pokoje są absolutnie dźwiękoszczelne, gdy tylko się je zamknie. Zostały tak zbudowane, specjalnie.

Kiedy dotarli do zwirowanej ścieżki na tyłach oranżerii, Jack popatrzył na zegarek.

- Słuchaj pan... jeśli wrócimy, gdy będzie jasno, czy mógłby pan nam pomóc przeszukać budynek?

- Będzie kosztować - odparł natychmiast Joseph Lovelittle. Jack sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wydobyl portfel. Wyjął banknot dwudziestodolarowy i bez słowa wręczył Josephowi Lovelittle. Joseph Lovelittle obejrzał go starannie w świetle swej latarki.

- W porządku, wróćcie o siódmej. Będzie już jasno i przyjemnie. To znaczy, zakładając, że deszcz przestanie padać. - Kichnął dwa razy w dłoń. A potem zaproponował: - Spotkamy się dokładnie tutaj. Nie spóźnijcie się, dobrze? Mam dość do roboty bez szukania dzieci, które przede wszystkim nie powinny były tu się znaleźć.

- Zawsze mogę wezwać policję - zagroził mu Jack, choć nie mówił tego poważnie. Joseph Lovelittle roześmiał się.

- Glinom musiałby pan zapłacić pięć razy tyle za samo przybycie tutaj. Tfu! Nienawidzę tego miejsca. Naprawdę go nienawidzę.

- Zobaczymy się o siódmej - potwierdził Jack. - Tymczasem... trzymaj pan oczy otwarte. Może zobaczy pan mego chłopca, słyszy pan? Joseph Lovelittle poświecił Jackowi latarką prosto w twarz.

- Jest pan całkiem przemoczony, no nie? Lepiej niech pan sobie weźmie gorący prysznic, nim przyplącze się zapalenie płuc. - Przerwał, a potem dodał: - Wie pan, kogo mi pan przypomina? Dicka van Dyke'a, oto kogo mi pan przypomina.

- Jestem nieco młodszy niż Dick van Dyke - powiedział Jack.

- Miałem na myśli Dicka van Dyke'a z okresu, gdy nadawano show Dicka van Dyke'a. Wie pan, z Morey Amsterdam, Rosemary jak jej tam oraz Mary Tyler Moore.

Doberman imieniem Boy zaskomlał na smyczy, tłukąc ogonem o płaszcz Josepha Lovelittle.

- Więc spotkamy się - rzekł Jack. Czuł się pokonany, bardzo przemarznięty i bardzo zmęczony. Zrobiłby wszystko, by Randy powrócił bezpiecznie, a także by móc wpełznąć do łóżka i spać przez następne dwie doby.

- Będę tu - oświadczył Joseph Lovelittle. - Może pan na to liczyć.

Uprzejmie skierował światło latarki wzdłuż alei dębowej, prowadzącej do ich samochodu. Jack odwrócił się raz czy dwa razy, by popatrzeć na niego, ale ujrzał tylko oślepiającą soczewkę latarki.

- Można się go bać, no nie? - spytała Karen, balansując na swych sześciocalowych obcasach po niezbyt dobrze oświetlonej drodze.

Ale Jacka zaprzętało co innego.

- Ja osobiście chciałbym się dowiedzieć, dlaczego właściciele byliby tak cholernie szczęśliwi, sprzedając to miejsce?

- Daj spokój, Jack - powiedziała Karen. - Widziałeś, co się zdarzyło w piwnicy. Nie mów mi, że właściciele nie wiedzą niczego na ten temat.

- Nie jestem pewien... Jeśli ktokolwiek już to widział, czy nie sądzisz, że skontaktowałby się z prasą albo telewizją? Przecież to jest naprawdę nawiedzony budynek.

- Być może to wszystko nam się przyśniło. Czy oglądałeś kiedyś „Koszmar na Elm Street”?

- Na miłość boską, Karen, tanto to był film. A to rzeczywistość. Przecisnęli się przez dziurę w płocie i Jack otworzył samochód. Jak powiedział Joseph Lovelittle, był pusty. Wsiedli do suchego wnętrza, Jack zapalił silnik i włączył wycieraczki. Była trzecia trzydzieści siedem rano.

- Przy dziewięćdziesiątej czwartej, w stronę Madison, jest motel Howard Johnson - zauważył Jack. - Możesz zadzwonić do Bessy, a potem oboje możemy wziąć gorący prysznic i złapać trochę snu.

Karen pochyliła się i pocałowała go.

- Przykro mi, Jack. Przykro mi, że tak wyszło. Ale wierz mi, znajdziemy Randy'ego. Jeśli czeka tam, by go znaleźć, to go znajdziemy.

- A co z duchami? - spytał Jack. Przejrzał się we wstecznym lusterku: pobladła, wyczerpana twarz. - Co z tym, co wyłaził z podłogi, by cię złapać? Co z kobietami w cholernych ścianach?

- Jack, kochanie, znajdziemy sposób, by sobie z tym poradzić, dobrze? Ten okropny dozorca miał całkowitą rację. Lepiej poszukać rano.

Jack włączył bieg, cofnął kombi i wykręcił.

- Wiesz co? - powiedział. - Nigdy nie przestanie już padać. Nigdy, do końca naszych dni. Nigdy.

Jack wniósł żółty plastikowy stołek barowy pod prysznic i usiadł w strumieniu gorącej wody z podniesioną twarzą i mocno zaciśniętymi powiekami. Karen rozpakowała nową gumę balonową, ulokowała się na końcu łóżka, mając na sobie tylko czarny nylonowy stanik i zaczęła rozmawiać przez telefon z Bessy o spuchniętych kostkach.

- Wierz mi, Bessy... gdybym tylko wiedziała, co się zdarzy! Bessy! Bessy, jesteś aniołem, wiesz, że nim jesteś! Pamiętasz ten naszyjnik, który ci się podobał? Kupię ci ten naszyjnik, który ci się spodobał. Obiecuję! Wiem, że to męczące! Bessy, przepraszam! Ale Sherrywine tak bardzo cię kocha! - Wreszcie, właśnie gdy Jack wychodził spod prysznica, odłożyła słuchawkę. - Pierdolić ją - oświadczyła, głośno żując.

- A co, miałaś ciężką przeprawę? - spytał Jack, wycierając włosy do sucha.

- Och, niezupełnie. Nie aż do tego stopnia. Ale bez przerwy próbuje spowodować, abym poczuła się złą matką, to wszystko.

- Nie jesteś złą matką.

- Masz posiniaczone kostki. Obejrzałeś je?

Jack popatrzył w dół. Obie kostki u nóg miał pokryte czerwonawoniebieskimi znakami.

- Więc to się zdarzyło naprawdę, tak? Jack skinął głową.

- Tak, to było naprawdę. To nie był duch. To była rzeczywistość. Usiadł tuż koło niej na zielonej kołdrze z taniego nylonu. Odwróciła się, by na niego popatrzeć, nie przestając żuć. Była bardzo ładna, nawet teraz, gdy odlepiła się jedna z jej sztucznych rzęs i zawisała nad oknem. Karen sięgnęła za plecy i rozpięła stanik. Miała jędrne, szpiczaste piersi z brązowaworóżowymi sutkami wielkości spodków od filiżanek do kawy, a nawet jeśli jej brzuch trochę zwiotczał od ciąży, nadal była bardzo cienka w pasie. Jack po raz pierwszy zobaczył, że Karen starannie przycinała włosy łonowe w kształt serca. Skopiowała to z „Playboya”.

- Możesz zawołać gliny, jeśli chcesz - powiedziała. - Mam na myśli, że to twój syn i nie powinieneś mi pozwolić, bym cię od tego odmówiła. Gdyby to samo przytrafiło się Sherrywine...

- Przede wszystkim chcę, aby Dęby zostały gruntownie przeszukane - stwierdził Jack. Jego głos brzmiał chrapliwie i groźnie, jak głos Richarda Burtona w agonii. - Nie wiem... ale jestem po prostu przekonany, że on nadal tam jest. Ci ludzie w ścianach. I Kupa, sposób, w jaki była uwięziona w ceglach.

- Ten dozorca... jak mu tam... - powiedziała Karen.

- Littlelove, Lovelittle?

- O, właśnie, Lovelittle. Czy słyszałeś, co powiedział? Nawet gliny nie lubią odwiedzać Dębów. Musiałbyś zapłacić im pięć razy tyle. Więc czemu tak ma być, jeśli tam nie dzieje się nic niesamowitego? To znaczy coś, czego się boją?

Jack cisnął szorstki motelowy ręcznik na podłogę i położył się na plecach na łóżku. Przez chwilę

patrzył w sufit, a potem zamknął oczy. Była za dwadzieścia piąta rano. Za luźno udrapowanymi, barwy mandarynki zasłonami było już jasno, choć szarawo, bo deszcz ciągle padał.

Karen przez chwilę klęczała przy nim, przyglądając się. Przesunęła gumę do żucia z boku na bok. Lubiła go. Pomyślała, że zapewne mogłaby go pokochać, gdyby przeznaczenie na to pozwoliło. Co niedziela wyczytywała swój horoskop w gazecie, ale nie wierzyła w przeznaczenie. Po paru minutach zauważyła, że Jack śpi. Rozprostował palce i zaczął chrapać.

Jack pomrukiwał przez sen. Ale nic zrozumiałego. Karen pogłaskała go po twarzy czubkami palców, dotknęła jego powiek, przesunęła palcami po wargach. Przez sen posłał pocałunek w powietrze. Musnęła paznokciami jego mostek od góry do dołu, lekko drapiąc go po brzuchu. Potem wzięła do ręki jego członek, ścisnęła i powoli zaczęła masować w górę i w dół. Wyprostował się i zeszywniał, a Karen ścisnęła go jeszcze mocniej. Ale Jack się nie obudził. Był zbyt wyczerpany szokiem, niepokojem i brakiem snu.

Karen czubkiem palca robiła kółeczka po wilgotnym końcu jego członka, aż wreszcie cofnęła rękę i położyła się sama, patrząc, jak światła przejeżdżających ciężarówek przesuwają się po suficie.

Zerknęła na Jacka. Nigdy nie będzie jej. Nie była pewna, czy potrafi dać sobie radę z mężczyzną posiadającym sumienie. Pokój rozjaśniał się coraz bardziej, a ona przytuliła się do niego i nie zasnęła. A gdy dwadzieścia po szóstej otworzył oczy i popatrzył na nią, uśmiechnęła się, pocałowała go i powiedziała:

- Dzień dobry, kochanku.

W świetle dziennym Joseph Lovelittle wyglądał jeszcze starzej i nędzniej. Czekał na nich pod osłoną oranżerii, z podniesionym kołnierzem strażackiego płaszcza. Obok siedział doberman Boy, trzęsąc się jak w gorączce. Niebo było zupełnie jasne, lecz szare, a deszcz lał się z niego pionowo jak woda z ozdobnej fontanny. Pod podeszwami obuwia Jacka i Karen żwir wydawał mokry chrzest.

- Dobra - parsknął Joshep Lovelittle. - Myślałem, że nie przyjdziecie.

- Szukam mego syna - przypomniał mu poważnie Jack.

- Tak-tak, tak-tak. - Joseph Lovelittle zwrócił się ku drzwiom oranżerii. Z zakrzywionego nosa zwisała mu kapka przezroczystego śluzu. - Tędy dostaliście się wtedy do środka? Czasem drzwi są zamknięte na zamek, czasem nie.

- Pan je zamyka? - spytał Jack.

Joseph Lovelittle odwrócił głowę bez drgnięcia ramion. Ten widok był mocno denerwujący.

- Czasem to robię. Czasem nie. - Rozepchnął skrzydła drzwi.

- Kto je zamyka, gdy pan tego nie robi? - zapytał Jack. - Daniel Bufo?

- Niekiedy.

- I kto jeszcze?

Joseph Lovelittle wyzywająco popatrzył na niego bladoniebieskimi oczami.

- A kogo ma pan na myśli?

Weszli do oranżerii. Joseph Lovelittle wziął ogromny, głęboki oddech.

- Powinien był pan widzieć tę oranżerię, jak wyglądała w dwudziestym piątym. Rośliny tropikalne, kaktusy, w życiu nie oglądał pan czegoś podobnego. Duma i radość doktora Estergomy'ego.

- Kim był doktor Estergomy?

Joseph Lovelittle odwrócił się i znów wbił z niego wzrok.

- Kupuje pan to miejsce i nie zna doktora Estergomy'ego?

- A czy z jakiegokolwiek powodu powinienem?

Stróż nocny zastanowił się, a potem wzruszył ramionami.

- Po namyśle uważam, że nie.

- Ale kim on był? - zapytała Karen.

- Wiecie, że tu znajdowała się prywatna klinika? To wam powiedział pan Bufo?

- Zgadza się. Prywatna Klinika Dęby, tak to nazwał.

- Dobrze... Estergomy był najważniejszym lekarzem. Rozumiecie, co mam na myśli? Głównym szefem.

- Rozumiem - powiedział Jack. - A ta tutaj oranżeria... Joseph Livelittle uśmiechnął się do niego, jak do człowieka nie przy zdrowych zmysłach.

- Zgadza się, panie Reed, skapował pan. Duma i radość doktora Estergomy'ego.

- Pamięta pan ją? - zapytał Jack, rozglądając się. Ujrzał pomarszczone liście, potłuczone szkło i popękane doniczki.

- Pewnie. Zacząłem tu pracować w dwudziestym trzecim, gdy miałem dwanaście lat. Sprzątanie, zmywanie, pomaganie. Można to nazwać: chłopiec okrętowy. Czytywałem też pacjentom opowiadania, tym, którzy mogli je zrozumieć. - Zdjął kapelusz, a jego oczy wydały się bledsze niż zwykle. - Duma i radość doktora Estergomy'ego. Hodował tutaj winogrona. Małe zielone winogrona. Pamiętam, jak przychodziłem tu latem i kradłem je. - Otworzył drzwi do świetlicy, przepuszczając Karen i Jacka przed sobą.

Doberman Boy wepchnął Karen pysk z tyłu pod spódniczkę, a ona warknęła:

- Zjeżdżaj, smarkaczu!

Stary człowiek zarechotał i puścił do niej oko.

Weszli do holu. Joseph Lovelittle rozpiąwszy swój płaszcz przeciwdeszczowy, powiesił go na poręczy. Nosił pod nim workowatą, pomarańczową kamizelkę i obwisłe na tyłku dzinsy.

- Najlepiej będzie zacząć od strychu, a potem schodzić coraz niżej. - Podniósł do góry kółko z półtuzinem kluczy dziwacznych kształtów. - Klucze uniwersalne, po jednym na każde piętro.

Weszli po schodach na samą górę. Po drodze Joseph Lovelittle opowiadał:

- Gdy ten dom należał do pana Krögera, nazywał się Labirynt. Nikt nie wiedział czemu, bo nie było tu żadnego labiryntu. Dlatego doktor Estergomy po przejęciu zmienił nazwę. Doktor Estergomy należał do ludzi myślących praktycznie, nie lubił niczego, czego nie można wytłumaczyć.

- Kiedy zamknięto klinikę? - spytał Jack. - W świetlicy widziałem trochę gazet z tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku.

- No, to się zgadza, piętnasty czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego. Jedenasta trzydzieści wieczorem.

Jack popatrzył na Karen, marszcząc brwi.

- To bardzo dziwaczna godzina na zamykanie kliniki, ta jedenasta trzydzieści wieczorem.

Dotarli do podestu drugiego piętra. Joseph Lovelittle spuścił dobermana ze smyczy. Pies rzucił się po schodach w górę, skrobiąc pazurami po linoleum.

- Jeśli pański syn jest gdziekolwiek tutaj, panie Reed, może pan się założyć o swego ostatniego dolara, że Boy go wywęszy.

- Nie zrobi mu krzywdy?

- Żartuje pan sobie ze mnie, panie Reed? Ten kundel?

Słyszeli, jak Boy w szaleńczym tempie pcha się aż na górę. Gdy tam dotarli, szczeknął dwa razy, by im zasygnalizować, że jest tutaj. Powlekli się za nim. Joseph Lovelittle zadyszał się okropnie i musiał od czasu do czasu przystawać z wytrzeszczonymi oczami, ze świszczącym w płucach oddechem.

- Wypalałem sto dziennie, gdy byłem młodszy, wiele bym dał, by nigdy nie zacząć.

- Czy widział pan kiedy bawiącą się tutaj małą dziewczynkę? - zapytał Jack. - Pewno nosiłaby coś w rodzaju białawego płaszcza przeciwdeszczowego z kapturem.

Joseph Lovelittle zatrzymał się parę stopni poniżej górnego podestu, ciężko oddychając i gapiąc się na Jacka.

- Małą dziewczynkę? Mówi pan, zupełnie samą?

- Zgadza się. Wyobrażam sobie, że nie starszą niż sześć do siedmiu lat.

Joseph Lovelittle pociągnął nosem.

- Co dziecko w tym wieku robiłoby tu samotnie?

- Nie wiem. Pytałem tylko, czy pan ją widział. Czy też jego. Nie jestem całkiem pewien, czy to dziewczynka.

- Cóż, panie Reed, nie wszystko jest tym, na co wygląda.

- Tak, myślę, że tak to jest.

Joseph Lovelittle wydobył klucze i zaczął jedno po drugim otwierać drzwi, pozostawiając je otwarte. Jack i Karen podążali za nim korytarzem, zaglądając do każdego kolejnego pokoju.

Większość była zupełnie pusta, choć w niektórych zachowały się łóżka i nocne stoliki. W jednym pokoju wisiała nawet korkowa tablica ogłoszeniowa, z przypiętymi widokówkami oraz zagięty plakat pin-łup girl, z napisem „Egipska hurysa, 1926”.

Karen rozprostowała plakat i uśmiechnęła się do niego.

- Seksowna, hę? Poszli dalej.

- Jeszcze nie ma tropu - oświadczył Joseph Lovelittle. - Boy zawsze szczeka jak zwariowany, gdy wpada na trop.

- Czy to był zakład prywatny? - spytał Jack zaglądając do kolejnego pustego pokoju. -

Czy też własność państwa?

- Był prywatny, ale doktorowi Estergomy'emu za niektórych pacjentów płacił stan Wisconsin.

- Zawsze było tu pełno?

- Och, oczywiście, zawsze pełno. Pękało w szwach. Tego wieczoru gdy został zamknięty, mieliśmy stu trzydziestu siedmiu pacjentów.

- Estergomy musiał być prawdziwie dobrym lekarzem.

- No pewnie. Miał tu te wszystkie nowomodne kuracje. W każdym razie nowe, jak na rok tysiąc dziewięćset dwudziesty szósty. Teraz są pewnie tak samo przestarzałe jak ja.

Dotarli do końca najwyższej kondygnacji; ani śladu Randy'ego.

- Popróbujmy piętro niżej - zaproponował Joseph Lovelittle, dobierając odpowiedni klucz uniwersalny. Poszedł przodem, szurając nogami na stopniach schodów.

- Jeśli nie zdołamy odnaleźć Randy'ego w budynku, zawołam gliniarzy - powiedział Jack do Karen - i to wszystko. Nawet jeśli będę musiał dać łapówkę, by tu przyjechali.

Joseph Lovelittle zrobił w tył zwrot i powiedział:

- Panie Reed, czy ma pan coś, co należało do pańskiego syna? To może pomóc Boyowi podjąć trop.

Jack sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął postrzępione resztki Kupy. Potrzymał je pod nosem Boya, pies obwąchał je, polizał i na koniec szarpnął zębami.

- Co to było? - spytał Joseph Lovelittle, patrząc spode łba na resztki włóczki w wafłowy wzór.

- Bezwyznaniowe, nierasistowskie, aseksualne, sporządzone z całkowicie naturalnych surowców urządzenie zabawowe.

Joseph Lovelittle wlepił w niego wzrok.



- W wieku dziewięciu lat miałem strzelbę Jacka Armstronga na latające talerze.

- Cóż, trudno osiągać zawsze pełnię szczęścia - odparł Jack. Ze zmęczenia zaczynał mieć zawroty głowy i prawie histeryczny nastrój.

Przeszli przez cały następny korytarz. Joseph Lovelittle otwierał wszystkie drzwi, a Boy wbiegał do środka i węszył. Znowu niczego nie znaleźli. Ale ku zdumieniu Jacka okazało się, że ściany wszystkich pokoi były grubo wyłożone szarawobiałym materiałem.

- Ciche pokoje - odezwał się z krzywym uśmiechem Joseph Lovelittle widząc, jak Jack obmacuje ściany. - Tak właśnie lubił je nazywać doktor Estergomy.

Zeszli na kolejne piętro. Tu właśnie natknęli się na prowadzące do wieży, pozamykane na solidne kłódki podwójne drzwi.

- Wydaje mi się, że tutaj nie mógł się dostać - zauważył Jack.

- Chce pan zajrzeć? - spytał Joseph Lovelittle. Pociągnął nosem i wisząca kapka śluzu zniknęła, jak za sprawą magii, w jego nozdrzu. - Tu była klinika doktora Estergomy'ego. Wie pan, miejsce, w którym robił wszystkie swoje zabiegi. Zawsze trzymał je dobrze zamknięte z powodu narkotyków i całej tej reszty.

Joseph Lovelittle manipulował kluczami, póki nie znalazł pasującego do kłódki. Otworzył ją i pchnął prawą połowę drzwi. Jack zawahał się.

- Naprzód - zachęcił Joseph Lovelittle. - Nie ma tu się czego bać.

Jack dał parę kroków do przodu i znalazł się w półmroku zakurzonego pokoju, którego sufit znajdował się o dwa piętra wyżej. Okna z ciężkimi kotarami wyglądały na aleję prowadzącą do domu od szosy. Ale Jack mógł dostrzec tylko mokre liście dębowe, składające niskie pokłony gęstemu deszczowi.

W jednym rogu stało dużo dyrektorskie biurko z blatem pokrytym skórą. Nadal zaścielały je poźółkłe papierzyska, jakby ktoś pracował przy nim jeszcze tego ranka. Na poplamionym atramentem bibularzu leżało wieczne pióro ze zdjętą nakrętką. Jedyнным dowodem, że leżało tu długo była zardzewiała stalówka.

Nie opodal biurka stał na wysokich nóżkach stół do badań lekarskich, okryty prześcieradłem, którego skraj był pogryziony, zapewne przez myszy. Centrum pokoju zajmował mebel, robiący największe wrażenie: ogromny, prostopadłościenny fotel z litej dębiny, z metalowym hełmem, przyczepionym do oparcia za pomocą wygiętego, mosiężnego wspornika, oraz skórzanymi pasami do krępowania rąk i nóg. Fotel połączony był grubym kablem w brązowym płóciennym oplocie z ogromną tablicą wskaźników elektrycznych, przypominającą tablicę kontrolną staromodnego wodnopłatowca. Umieszczono na niej szeregi za szeregami zmatowiałych teraz przełączników i tuziny małych czerwonych żaróweczek. Cała zaś tablica podłączona była do sterty szklanych akumulatorów, w większości zakurzonych, popękanych i pokrytych osadem chlorków.

Jack podniósł głowę. Nad fotelem wisiała bateria pomalowanych na czarno reflektorów, okrytych porzuconymi pajęczynami. Nawet pająki już tu nie mieszkaly.

- Wygląda jak fragment z „Frankensteina” - zauważył Jack.

- Dla mnie wygląda jak krzesło elektryczne - orzekła Karen. Joseph Lovelittle z miną właściciela, oparty o otwarte drzwi, założywszy ręce na piersi, rozglądał się po gabinecie lekarskim. Boy wsadził łeb do wiklinowego kosza na śmiecie i tarosił jakieś kawałki pognieczonego papieru do notatek.

- Zdaje się, że oboje macie rację - powiedział Joseph Lovelittle. - To jedna z nowych, wielkich metod leczenia doktora Estergomy. Coś z porządkowaniem komórek mózgu, aby zachowywały się jak trzeba. Pokazał mi to kiedyś, z magnezem i opiłkami żelaznymi. Przesunął magnes koło opiłek, a one

ułożyły się we wzór. W każdym razie tak próbował mi to wyjaśnić. Myślę, że byłem zbyt młody, by go zrozumieć albo za głupi, albo jedno i drugie. Wiecie, jestem dobry pracując rękami. Z myśleniem to u mnie niespecjalnie.

- Więc to była prywatna klinika dla umysłowo chorych? - zapytał Jack.

- Pan Bufo tego panu nie powiedział? To była słynna klinika dla umysłowo chorych. Tam, na uniwersytecie, nazywali ją nie Dęby, tylko Walnuts<sup>11</sup>.

- To wyjaśnia sprawę wymateracowanych pokoi oraz drzwi, których nie można otworzyć od wewnątrz - powiedział Jack. - Co za tępak, powinienem był się domyślić.

- Tu żyli sami furiaci - kontynuował Joseph Lovelittle. - Co do jednego. Kompletnie zasrane mózgi, z przeproszeniem. Wziesienie stanowe tu ich przysyłało, ponieważ strażnicy nie potrafili sobie dać z nimi rady. We wszelkim wyborze. Mordercy ćwiartujący ofiary, matkobójcy dusiciele, dzieciobójcy dusiciele, podpalacze, co sobie żywnie chcecie. Mężczyźni, kobiety, dzieci także. Stu trzydziestu siedmiu owego wieczoru, gdy zamknęliśmy zakład.

- Nie miałem pojęcia - rzekł Jack, potrząsając głową. - Nigdy dotychczas nie słyszałem o tym miejscu.

- Oczywiście, że nie. Gdy zakład był otwarty, nie reklamował się, bo tutejszym mieszkańcom nie podobałby się dom wypoczynkowy dla niebezpiecznych, zbrodniczych maniaków tuż koło ich podwórek, no nie? A po tym, co się stało, tym bardziej nie śpieszyli się z reklamowaniem go po zamknięciu.

- A co się stało? - zapytał Jack.

Joseph Lovelittle zagwizdał przez zęby na Boya.

- Skończył pan z tym tutaj? - spytał Jacka.

- Tak, myślę, że wszyscyśmy skończyli.

Opuścili pokój zabiegowy, a Joseph Lovelittle zamknął za nimi drzwi na kłódkę.

- Jeśli ma pan ochotę, może pan obejrzeć zachodnią wieżę, ale tam są tylko książki. Sprzedając dom pan Kröger zostawił tu większość swojej biblioteki. Myślę, że przeniósł się do Europy, do jakiegoś miejsca podobnego do tego. Wycofał się też z interesu piwnego.

- Czy możliwe, by Randy mógł przedostać się do zachodniej wieży? Czy też jest zamknięta, jak ta?

- Jest zamknięta dokładnie tak samo.

1 Nieprzetłumaczalna gra słów *Walnut* – ang. orzech włoski, ale *nut* - w mowie potocznej wariat, fioł.

- Dobra, no to dajmy na razie spokój i sprawdźmy najpierw pokoje na dole, a potem piwnicę.

- Chyba nie chcesz wracać do piwnicy? - spytała Karen.

- Muszę. Tam była Kupa.

Joseph Lovelittle rzucił Jackowi z ukosa dziwne spojrzenie. Jack za nic nie potrafił zrozumieć, jak ten człowiek obraca głową nie ruszając ramionami.

- Zabawka mego syna - wyjaśnił.

Kaszląc głucho Joseph Lovelittle poprowadził ich schodami w dół, do holu, a potem powłócząc nogami poprzedał ich w marszu przez kuchnie, toalety, pracownie plastyczne, schowki służące niegdyś na palta i buty.

W końcu wylądowali na tyłach budynku w łaźni. Była zimna, otchlanna i powtarzała echem wszystkie odgłosy; jej maleńkie okienka wychodziły na korty tenisowe. Znajdowało się w niej pięć

wyłożonych białymi kafelkami wnek, w każdej stała masywna, biało emaliowana wanna. Każda z wanien miała drewnianą pokrywę z wyciętym owalnym otworem, akurat takiej wielkości, by mogła przezeń przejść ludzka głowa. Na bokach pokryw zamocowano po cztery mosiężne klamry, którymi przytwierdzano wierzchy do boków wanien, uniemożliwiając kąpielowi wydobyć się na zewnątrz. Wszystkie pokrywy były podrapane, porysowane i pokryte ciemnymi plamami.

- Gdy któryś z pacjentów zaczynał naprawdę wariować, pan Estergomy zostawiał go tutaj, zanurzonego po szyję w zimnej wodzie. Chłopie, ależ oni wrzeszczeli! Czasami słyszało się ich aż koło basenu kąpielowego. Wrzeszczeli i drapali, a pielęgniarki potem wyjmowały ich z wanien i cała wanna była pełna krwi, a czubki palców mieli zdarte do samych kości.

Karen zadrżała.

- Dostaję od tego dreszczy.

Doberman Boy szperał wokół wanien, stukając pazurami po kafelkach.

- Nie wygląda, by pański syn tu był - oświadczył Joseph Lovelittle. - Zostaje nam do zbadania tylko piwnica.

- Widuje pan tu czasem kogoś? - spytał Jack, gdy wychodzili z łaźni.

- Widuję narkomanów i motocyklistów, ale niezbyt wielu.

- Nie, nie. Miałem na myśli, czy widział pan kiedykolwiek kogoś niezwykłego? - Nie potrafił się zmusić, by powiedzieć „kogoś w ścianie”.

Joseph Lovelittle otworzył kluczem drzwi piwnicy.

- Zależy, co pan uważa za niezwykłe. Mógłbym powiedzieć, że pan i pańska przyjaciółka jesteście zupełnie niezwykli, bo przyjechaliście tu i szukacie syna, którego istnienia nie możecie nawet udowodnić. Skąd mam wiedzieć, czemu żeście się tu znaleźli?

- Chwileczkę, chwileczkę - odrzekł Jack. - Zapłaciłem panu, nieprawdaż, za pomoc w poszukiwaniu mego syna? Wziął pan pieniądze, więc nie przeszkadzałoby mi nieco więcej chęci współpracy z pańskiej strony, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Joseph Lovelittle szybko wsadził dwa palce do kieszeni kamizelki i wyjął dwudziestodolarówkę Jacka.

- Jeśli nie jest pan zadowolony, zwracam pańskie pieniądze. Nie wziąłbym pieniędzy od nikogo, kto nie jest zadowolony.

- Dobra, przepraszam. - Jack odepchnął banknot. - Chcę tylko odnaleźć mego chłopca.

- Jack... - powiedziała Karen - myślę, że zostanę tutaj. Nie chcę znowu schodzić do tej piwnicy.

- Hej... nie ma się czego bać. - Joseph Lovelittle uśmiechnął się, pokazując zęby koloru starych klawiszy fortepianowych. - To tylko piwnica, nic więcej.

- Wszystko jedno - odrzekła Karen głosem pełnym niepokoju. - Ja wolałabym jednak tu zostać.

- Jak pani sobie życzy. - Joseph Lovelittle pociągnął nosem. Sięgnął na półkę koło drzwi piwnicy i zdjął stamtąd zielono emaliowaną, przenośną lampę.

*Boże - pomyślał Jack - gdybyśmy tylko zeszłej nocy o niej wiedzieli.*

- Idzie pan, panie Reed, czy pan także się boi?

Stary stróż zszedł przodem po schodach, wymachując niepokojąco lampą na prawo i lewo, tak że cała piwnica wyglądała, jakby kołysała się z boku na bok. Przez moment lampa przeświecała przez jego uszy, które w jej blasku wyglądały na czerwone, włochate i poprzecinane siatką ciemnoczerwonych żył.

- Ja już tutaj nigdy nie schodzę - rzucił Jackowi przez ramię. - Były czasy, że dbałem o ten bojler, ale podczas wojny zabrakło do niego paliwa i wydawało się, że nie ma większego sensu ogrzewanie budynku, w którym już nikt nigdy nie zamieszka. - U stóp schodów zatrzymał się nagle i

spojrzał na Jacka ze srogą miną, jakby nigdy w życiu jeszcze go nie spotkał. - A po co pan chce to kupić? - zażądał kłótliwym tonem odpowiedzi. - Trzeba mieć źle w głowie, by to kupować.

- Chce pan, bym go zatrzymał wśród personelu? - zapytał Jack. - Jako dozorcę, szefa ochrony czy coś w tym rodzaju? - Miał nadzieję, że zrobi w ten sposób na Josephie Lovelittle dość silne wrażenie, by chciał być bardziej pomocny.

Gdzieś w głębi piwnicy Boy zaczął szczeekać.

Joseph Lovelittle odwrócił się plecami do Jacka i powiedział:

- Szef ochrony? Gównu mnie to obchodzi, prawdę powiedziawszy. Równie dobrze moge odejść.

Jack poszedł za nim po zasłanej śmieciami podłodze obok kopulastego, milczącego bojlera. Pod ich stopami z chrzęstem rozpadały się arkusze sklejki. Przeleźli przez trzy połamane sofy. Wyglądało, że Josephowi Lovelittle jest obojętne, co depcze. Kopnął dwa szklane akumulatory, jeden z nich rozleciał się, zalewając elektrolitem całą połącz betonowej podłogi. Jack przełaził przez śmiecie tak ostrożnie, jak tylko mógł, ale nic nie powiedział.

Boy stał w jednej z wnęk, głośno szczeekając na wybieloną wapnem ścianę.

- Boy, znalazłeś tam coś? - zapytał go Joseph Lovelittle. Poświecił lampą na cegły, ale ściana okazała się zupełnie pusta. - Ten pies jest głupi jak dupa wołowa, może mi pan wierzyć. Każdy inny doberman bystry jak nie wiem co. Ale nie mój. Ten pies widzi, jak ktoś tu bezprawnie wchodzi, no i co robi? Przynosi mu patyki, żeby się z nim bawił. Nigdy nie miałem szczęścia do psów. Ani razu nie miałem psa jak należy.

- Może coś jest za tą ścianą - podsunął Jack. Był przemarznięty, ale spocony, więc wytarł dłonie o spodnie.

- To, co jest za tą ścianą, panie Reed, to lita skała, oto co jest za tą ścianą.

Jack wyciągnął poszarpane resztki Kupy i podsunął je Boyowi dla odświeżenia jego pamięci. Boy powąchał, warknął na nie z zapalem, a potem zaczął skakać na ścianę piwniczną, szczeekając bez przerwy i machając ogonem.

- Zamkniesz się, ty zaszary głupku?! - wrzasnął na niego Joseph Lovelittle i zamachnął się smyczą. - Nigdy nie spotkałem tak cholernie głupiego psa!

- Ale on myśli, że tam coś jest - zauważył Jack.

- Doprawdy? - spytał Joseph Lovelittle, teraz już naprawdę rozzłoszczony. - Co? On myśli, że co tam jest? No proszę, panie Reed, co, u kurwy nędzy, on myśli, że tam jest? - Nadepnął z hałasem na stos starych, drewnianych wieszaków na ubrania i stanął tuż pod ścianą. - To jest masywna cegła, masywna cegła! Nie malowano jej od tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego, nigdy nie ruszano. Nic tu nie ma, panie Reed, może mi pan wierzyć na słowo. Masywna cegła!

Sięgnął po obrożę Boya, ale pies zrobił unik, okrążył go i cofał się, szczeekając.

- Ty mnie się słuchaj, ty kundlu! Przestań robić cholerny hałas! Słyszysz? Zaraz przestań robić cholerny hałas!

Właśnie w tym momencie Jack z pewnością usłyszał ów mrozący krew w żyłach znajomy dźwięk. Owo niskie, ciche szszszszsz... szszszszsz... szszszszsz. Odwrócił się szybko, próbując rozpoznać, z której strony dochodzi. Ale szczeekanie Boya odbijało się echem od wszystkich ścian, więc Jack nie potrafił się wsłuchać należycie.

Ale jednak zbliżał się. Cichy, głuchy, szeleszczący pomruk.

- Panie Lovelittle! - zawołał.

- Co? Co tam? - odwarknął Joseph Lovelittle.

- Panie Lovelittle, jestem absolutnie przekonany, że dobrze zrobimy, jeśli wyniesiemy się stąd

do wszystkich diabłów!

- Co? O czym, u diabła, pan mówi? Boy... przestań z tym cholernym szczekaniem, nie słyszę nawet własnych myśli!

Szszszsz... szszszsz... szszszsz... Odgłos ciągnięcia był coraz głośniejszy. Jack szybkim i niespokojnym spojrzeniem obrzucił podłogę, oczekując, że w każdej chwili śmiecie mogą się rozstać, wychynie stamtąd szara dłoń i chwyci go za kostkę.

- Panie Lovelittle, chodźmy! - zawołał, starając się przybrać przypochlebny ton głosu. - Uważam, że tutaj nie jest całkiem bezpiecznie, wie pan? Chodź pan! Pański pies pójdzie za nami, gdy tylko się uspokoi.

- Głupi jak dupa pies - powtórzył Joseph Lovelittle.

W tym momencie dźwięk szszszszsz za jego plecami stał się tak głośny, że odwrócił się zaskoczony i spojrzał na ścianę.

- Słyszał pan to? - spytał Jacka. - Może tam jest...

Dwie potężne, białe jak cegła dłonie wybuchnęły ze ściany i chwyciły Josepha Lovelittle za głowę.

- Jezusie! - wrzasnął.

Ręce przyciągnęły jego twarz wprost do muru. Jack usłyszał, jak złamały się z trzaskiem przegrody nosa dozorca.

Z nieubłaganą siłą dłonie zaczęły ciągnąć Josepha Lovelittle w górę i w dół, w górę i w dół, czip-czop, czip-czop, tak by jego twarz tarła o cegły jak główka kapusty o metalową szatkownicę. Wrzeszczał i wrzeszczał w bezsilnej męce, drugim wysokim wyciem. Jego wrzaski uciszyły nawet Boya, który stał sztywno wśród śmieci z postawionymi uszami i nieruchomym spojrzeniem.

- Przestań! Przestań! - krzyknął Jack, przełazi po grzechoczących wieszakach i chwycił Josepha Lovelittle za ramiona, próbując go odciągnąć. Ale Lovelittle'a szarpano tak gwałtownie w górę i w dół, że jego dziko wymachujące ramiona odrzuciły Jacka do tyłu.

Skóra z twarzy Josepha Lovelittle rozarta była na ścianie cienkimi, krwawymi strzępami, prostującymi się powoli. I nagle zgrzytająca zaprawa zerwała resztę skóry i wżarła się w jego ciało, a ścianę pokryły błyszczące, jaskrawoczerwone plamy krwi.

Szarobiałe dłonie szarpały nim w prawo i w lewo, w prawo i w lewo, jeszcze i jeszcze. Jedno z jego oczu zostało wyrwane z oczodołu, jedno z jego białych, bezbarwnych oczu. Na chwilę przywarło do ściany, zwisając na lepkim nerwie wzrokowym, spoglądając surrealistycznie na podłogę. A potem nagle upadło i znikło wśród rozrzuconych wieszaków na ubrania.

Jack zaczął cofać się, najpierw powoli, potem coraz prędzej. Joseph Lovelittle jeszcze wrzeszczał, jeszcze próbował przytulić się do ściany, aby przerwać tarcie o mur. Ale Jack dobrze wiedział, że to beznadziejne, że on sam nic nie może tu zrobić.

- Jack! - zawołała Karen z holu.

Musiała wołać już wcześniej, ale jej głos zagłuszały wrzaski Lovelittle'a i straszliwy odgłos szatkowania, gdy twarz starca pocierano o ścianę.

Jack prawie dotarł już do schodów, gdy Joseph Lovelittle wrzasnął wniebogłosy, najbardziej mrozącym krew w żyłach wrzaskiem ze wszystkich. To już nawet nie był głos istoty ludzkiej. Ręce ciągnęły go przez całą długość muru piwnicznego, od jednego do drugiego końca, rozrywając jego kamizelkę, zdzierając białe od tłuszczu ciało z jego wystającego brzucha, rozszarpując sztruksowe spodnie, smarując pobielane cegły smugą krwi pięciostopowej wysokości.

- Jack! - wrzasnęła Karen. - Jack, co się dzieje? Jack, na miłość boską!

Dusząc się od szoku, Jack niepewnie wspinał się na schody. Gdy dotarł do ich szczytu, Joseph

Lovelittle już nie krzyczał. Jack nie obejrzał się. Na oślep przeszedł przez drzwi i stanął pośrodku holu, między dwoma ślepyimi posągami, chwiejąc się jak człowiek na skraju załamania.

Karen stała tuż przy drzwiach do świetlicy, gotowa rzucić się do ucieczki, jeśli będzie trzeba. Jack odwrócił się i spojrzał na nią.

- Jack? - szepnęła. - Jack, co się stało?

Zdołał tylko potrząsnąć głową oraz otworzyć i zamknąć usta.

## ROZDZIAŁ V

W schowku na rękawiczki swego kombi Jack znalazł butelkę z ćwiartką whisky Jack Daniels. Pociągnął łyk, zakaszał, a potem podał ją Karen.

- Nie, dziękuję. - Karen oddała mu butelkę. - Już wystarczająco mdli mnie w żołądku.

- Musimy wezwać policję - powiedział Jack. Nie panował nad głosem; równocześnie czuł się tak, jakby jego umysł podskakiwał w górę i w dół na jakiejś trampolinie. - Nie mamy już żadnego wyboru.

- Dobrze - odrzekła Karen, pakując kolejny kawałek gumy do ust. - Jeśli tego sobie życzysz.

- No, a cóż, u diabła, możemy innego zrobić? W tej piwnicy jest coś, co łapie ludzi i zabija ich.

- Pewnie - odrzekła Karen. Ton jej głosu był dostrzegalnie matowy.

- Karen, policja sama zobaczy, co tam się stało.

- Och, z pewnością.

- Kochanie, został przyciągnięty do ściany i tarty o nią, i został rozszarpany na strzępy, na litość boską.

Karen przyjrzała mu się uważnie. Deszcz spływał po przedniej szybie kombi i osiadał kroplami na masce. Karen miała ciemne kręgi pod oczami i po raz pierwszy od chwili gdy się poznali, Jack pomyślał, że ona wygląda staro.

- A jak myślisz, co policja powie na ten temat? - spytała Karen. - O tarciu Lovelittle'a o ścianę?

- To tam jest, Karen. Tam jest dowód. Ciało, wszystko. Wystarczy, że popatrzą na ścianę.

- I uwierzą ci, gdy im powiesz, że został do niej przyciągnięty przez kogoś, kto był w środku?

- Do czego prowadzisz?

- Nie powiedzą, że to ty go na nią popchnąłeś?

Jack przełknął kolejny łyk jacka danielsa. W butelce została już tylko kropelka. Zawahał się, a potem ją także przełknął.

- Posłuchaj... - zaczął. - Zakładam, że policja będzie kierować się logiką. - Zakręcił kapsel na pustej butelce i włożył ją z powrotem do schowka. - Wystarczy, że na mnie popatrzą, by zrozumieci, że nie miałbym siły wystarczającej, aby rozetrzeć człowieka wzrostu Lovelittle'a na całej długości dwustustopowej ściany piwnicznej. A gdybym chciał go zabić, czemu miałbym zabijać w taki sposób? Czemu go nie zasztyletować albo zastrzelić, albo uderzyć kijem baseballowym? Nie jestem szaleńcem.

- No, może jestem po prostu uprzedzona - powiedziała Karen. Przez chwilę siedzieli milcząc w samochodzie. Za dębowymi drzewami widać było tylko mglisty zarys budynku. Wreszcie odezwał się Jack:

- Jestem całkiem pewien, że Randy gdzieś tam się znajduje.

- W piwnicy?

- Pies zaszczekał, ale tylko ten jeden raz. Dałem mu Kupę do powąchania i podszedł prosto do ściany.

- Myślisz, że Randy też jest w ścianie?

- Nie wiem - odrzekł Jack trąc oczy. - Nie wiem, co myśleć. Wiem, że to widziałem, ale nadal w to nie wierzę.

- Ale spodziewasz się, że policja uwierzy?

- Karen, dowody...

- Jack, kochanie, wedle mego ograniczonego doświadczenia dowody głównie policję interesują. Znowu milczenie. Deszcz kapał i szeleścił w drzewach. Jack wyciągnął kluczyki samochodowe i wybrał ten od stacyjki.

- To jest mój syn, Karen - powiedział. - Nie potrafię odnaleźć go o własnych siłach. Myślę, że jest w ścianie, choć Bóg wie jakim sposobem tam się znalazł. Ten Lester, o którym ciągle opowiadał...

- Patrz - szepnęła niemal bezdźwięcznie Karen.

Jack zmarszczył czoło i podniósł głowę. Pomiędzy ciemnymi pniami dębów majaczyła nieduża, szarobiała figurka w kapturze, bez twarzy, stojąca samotnie w deszczu. Była nie wyższa niż siedmioletnie dziecko. Ale co by tutaj robiło siedmioletnie dziecko, przyglądając się im?

Jack otworzył drzwiczki kombi i w tym samym momencie Karen chwyciła go za ramię.

- Zaczekaj, ono macha ręką.

Figurka podniosła obie ręce. *Nie machając* - pomyślał Jack. - *Przyzywając*.

- Chce, abyśmy za nim poszli - zawyrokował.

- Co, zmysły postradałeś? - odpaliła Karen. - Jack! Nie wrócisz tam! Nie wrócisz!

- Ty nie musisz iść - powiedział. - Ale, Karen... jeśli jest jakakolwiek szansa odnalezienia Randy'ego...

Popatrzyła na niego ze zmęczeniem. Wiedziała, że on po prostu musi tam pójść.

- Zaczekam na ciebie, Jack, posłucham radia. Ale jeśli nie wrócisz za dwadzieścia minut...

- Jeśli nie wrócę za dwadzieścia minut, zawołaj gliniarzy. Mówię poważnie. Będziesz musiała. Nie idź za mną.

Wysiadł z wozu. Mała szarawobiała figurka nadal stała wśród dębów, ciągle przyzywając. Przcisnął się przez dziurę obok bramy i ruszył mozolnie po zwirowanej alei, podniósłszy kołnierz płaszcza. Figurka opuściła ręce i stała czekając na niego. Trudno było coś dostrzec wśród drzew i w deszczu, ale zdawało się, że Randy mówił prawdę. Figurka nie miała twarzy. Może była to ostatecznie tylko gazeta, mokra gazeta, powiewająca na wietrze.

Nim zdołał się do niej bardziej zbliżyć, figurka uciekła na tyły Dębów. Biegła w dziwacznych podskokach, dokładnie tak, jak robiłoby to dziecko w nowym, zbyt obszernym dla niego płaszczu przeciwdeszczowym. Ale równocześnie jakoś chaotycznie. Raczej jakby oglądał przyspieszony film, a nie rzeczywiste dziecko.

Jack dotarł na tyły budynku. Mała figurka czekała na niego przy otwartych drzwiach oranżerii. Już go nie przyzywała. Gdy zbliżył się do niej na dwadzieścia jardów, skoczyła przez drzwi do środka i znikła.

Jack zdawał sobie sprawę, jakie śmiertelne przerażenie ogarnęło go podczas tej gry w idź-za-mną. W drzwiach oranżerii zawahał się, oddychając głęboko dla uspokojenia. *Nie musisz tu wracać. Możesz wezwać policję.*

Po szarobiałej figurce nie zostało nawet znaku, chyba że kryła się za drzewami. Na podłodze

oranżerii nie było mokrych śladów stóp.

Ale Randy znajdował się gdzieś wewnątrz tego budynku. O tym był przekonany, potrafił to wyczuć. Nie miał innego wyboru, jak wejść do środka i poszukać go.

Przez oranżerię i świetlicę przeszedł do holu. Budynek zdawał się jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Drzwi do piwnicy były, tak jak je zostawił, częściowo otwarte. Podeszedł do nich i popchnął je końcami palców. Słyszał bicie własnego serca.

Właśnie miał wejść do środka, gdy usłyszał szept: *Witamy z powrotem, Jack.*

Odwrócił się w miejscu. Ślepy posąg po przeciwnej stronie holu otworzył swe marmurowe oczy i patrzył na niego.

*Miło mi, że mogłeś przyjść, Jack* - wypowiedział posąg.

Jack zmusił się wysiłkiem woli do przejścia przez hol. Powłóczył stopami, jak człowiek na wpół sparaliżowany. Stał przed posągiem i spojrzał na niego: miał twarz białą, zimną i pogardliwą. Był żywy, był stworzony na obraz i podobieństwo kobiety, a przecież wyczuwał w nim coś kompletnie nieludzkiego. Marmurowa twarz, kamienne serce.

*Szukasz Randy'ego* - stwierdził posąg.

- Czy jest tutaj? - spytał ochryplym głosem Jack. *Oczywiście jest tutaj. Ukryliśmy go.*

- Kto „my”?

*No, ja nazywam się Lester... ale jest nas o wiele więcej. Nie martw się, Jack, Randy'emu zupełnie nic nie grozi.*

- Gdzie on jest? Chcę go zobaczyć. *Wszystko w swoim czasie.*

- Do cholery, chcę go mieć z powrotem! Nie obchodzi mnie, kim albo czym jesteś! Nie masz prawa przetrzymywać go tutaj!

*Mocno powiedziane, Jack! Ale nie szarżuj, Jack. Mamy Randy'ego, nie zapominaj o tym, a niektórzy z nas wprost się palą, by mu zrobić coś niemiłego. Niektóre kobiety... no, nawet Quintus ma trudności z utrzymaniem niektórych kobiet w ryzach.*

- Quintus? Kto to jest Quintus?

*Określmy to tak, Jack* - posąg łypnął na niego złośliwie - każda grupa społeczna ma swego przywódcę. Tak się złożyło, że Quintus jest naszym. Oczywiście tak długo, jak nam to odpowiada.

- Czego chcecie? - zapytał Jack. - Czy pieniędzy? Po prostu powiedz mi, czego, u diabła, chcecie!

*Chcemy kapłana* - syknął posąg. Zdawało się, że tym razem mówi o czymś, czego naprawdę nienawidzi. - *Musisz przyprowadzić nam kapłana. Bo inaczej Randy zostanie zmiażdżony, tak jak Joseph Lovelittle został podarty na strzępy, i tak jak ciebie dotknie go coś strasznego.*

- Kapłana? - zapytał Jack. - Jakiego kapłana? O czym ty mówisz?

*Chcemy kapłana! Przyprowadź nam kapłana! Bo jeśli nam go nie przyprowadzisz, twój Randy będzie miażdżony i miażdżony, i zmiażdżony w nicość!*

- Proszę! Wysłuchaj mnie! - Jack podniósł obie ręce do góry. - Jeśli chcecie, bym wam przyprowadził kapłana, przyprowadzę kapłana! Ale którego kapłana? Któregoś określonego? Czy też odpowiada wam jakikolwiek?

*Kapłana!* - wrzasnął posąg, otwierając tak szeroko marmurowe usta, że ukazał się biały marmurowy język. - *Kapłana! Kapłana! Musisz przyprowadzić nam kapłana!*

- Nie przyprowadzę wam nikogo - odwrzasnął Jack - dopóki mi nie pokażecie, że naprawdę macie Randy'ego, dopóki nie udowodnicie, że jest bezpieczny! Słyszysz mnie? Bo inaczej zapomnij o tym wszystkim! Wyjdę stąd i nigdy więcej mnie nie ujrzyście! *Głupcze!* - ryknął posąg.

W tej samej chwili Jack usłyszał głos Randy'ego, wysoki i bulgoczący jak głos dziecka,



próbującego wrzeszczeć spod wody. Głowa Randy'ego wyrosła ponad czarno-białą marmurową posadzkę, potem jego barki, potem ramiona i korpus aż po pas, jakby był chłopcem stojącym w płytkim stawie.

*Tato!* - zawołał i uniósł ręce w rozpaczliwym błaganiu o ocalenie. - *Tato, ratuj mnie!*

- Randy! Zaczekaj! - krzyknął Jack i pobiegł ku niemu przez hol. Lecz nim zdołał dobiec do wyciągniętych rąk, chłopiec pogrążył się na nowo w marmurową posadzkę, jakby ktoś z dołu wciągnął go za nogi.

Jack padł na kolana i desperacko walił w podłogę gołymi pięściami. Była twarda, gładka, chłodna i całkowicie nieustępliwa.

- Wypuście go! - ryknął w stronę podłogi. - Wy skurwysyny! Skurwysyny! Wypuście go!

Odpowiedzi nie było. Po długiej chwili Jack palcami otarł łzy z oczu, wstał i wrócił do posągu. Statua miała zamknięte oczy i nie było w niej śladu życia.

- Którego kapłana? - zapytał głosem pełnym rozpacz i cierpienia. - Którego cholernego kapłana?

Ale posąg nie odpowiedział. Budynek milczał. Ludzie w ścianach poinformowali go, jakiego okupu żądają i jego sprawą było odnalezienie właściwej osoby.

Odwrócił się i miał już wyjść z holu, gdy otworzyły się drzwi piwnicy. Cofnął się z przestachu.

Z piwnicy wybiegł truchcikiem doberman Boy. Podbiegł, stukając pazurami po posadzce. Niósł coś w zębach.

- Boy... dobry Boy... co ty tam masz?

Doberman ostrożnie położył niesiony przedmiot u stóp Jacka, a potem podniósł łeb i popatrzył błagalnie, jakby chciał pobawić się w aportowanie.

Jack spojrzał na podłogę. Przedmiot był sinobiały i błyszczący, z paru strzępami czerwonych chrząstek na obu końcach. Była to jedna z kości udowych Josepha Lovelittle.

- A więc żadnej policji? - zapytała Karen, podciągając spódniczkę dla wygody. - Żadnej policji. Nie teraz. Chcę najpierw znaleźć im kapłana. - Ale nie powiedzieli ci co za kapłana.

- Sam nie wiem. Może jakiegokolwiek. Kto wie. Musimy się tego dowiedzieć. - Jack... powinnam wracać do domu. Bessy już pewnie chodzi po ścianach. Dotarli do głównej drogi.

- Oczywiście. Przepraszam. Przede wszystkim nie powinienem był cię tu ciągnąć.

- Przyjechałam tu, bo tego chciałam. - Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Oddał jej pocałunek i ścisnął za udo.

- Wiesz co? Powinienem był spotkać cię lata temu.

- Tak ci się zdaje - odrzekła Karen, ale jego słowa wyraźnie sprawiły jej przyjemność.

*Być może, po prostu być może, gdy Randy będzie bezpieczny...*

Odwiózł ją do Madison. Jezioro Mendota leżało szare jak fotografia pod fotograficznie szarym niebem. Po mokrych ulicach krążyli na rowerach studenci z torbami na zakupy na głowach dla osłony przed wilgocią. Znalazł dla niej taksówkę do centrum miasta i dał kierowcy siedemdziesiąt pięć dolarów za odwiezienie Karen do Milwaukee.

- Słuchaj, zadzwonię do ciebie później - zapewnił ją. - Powiedz Mike'owi, że zatelefonuję do niego wieczorem. Powiedz mu, że miałem kłopoty rodzinne.

- No, chyba nie żartujesz, prawda? - zapytała Karen. Pocałowała go zimnymi wargami przez uchylone okno samochodu. Żadne z nich nie odważyło się powiedzieć „kocham cię”, w chwili gdy znikł Randy, a życie okazało się tak groźne i dziwne.

Jack patrzył za odjeżdżającą taksówką, a potem przeszedł przez jezdnię do Księgarni Jackdaw na

filiżankę kawy i pączka. W księgarni roilo się od studentów, palących, gadających i śmiejących się. Jack usiadł samotnie, zmuszając się do zjedzenia pączka, choć dławił się nim jak gęstym, pokrytym kurzem klejem. Ładna studentka z blond włosami do pasa i w okularach o drucianej oprawce podeszła i zapytała:

- Z tobą wszystko okay? Podniósł głowę.

- Oczywiście czuję się okay. Czy coś jest nie tak? Uśmiechnęła się do niego. Była tak młoda, że mogłaby prawie uchodzić za jego córkę.

- Tyle że płaczesz. Nie wiedziałeś o tym?

Podniósł dłoń do oczu. Stwierdził z zaskoczeniem, że po policzkach spływają mu łzy. Nie odpowiedział, tylko wyjął chusteczkę i wytarł twarz. Dziewczyna przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, a potem wyszła na ulicę.

Nie miał trudności z odnalezieniem biura handlu nieruchomościami Capitol. Było tylko o dwie przecznice od księgarni, w niedużym, eleganckim biurowcu z kolorowymi szybami, klimatyzacją i atrium o mozaikowej posadzce, pełnym drzew. Gdy wprowadzono do niego Jacka, Daniel Bufo jadł przy biurku śniadanie. Składało się z dwóch potężnych kawałów strudli cytrynowych oraz kubka gorącej czekolady, na którym widniał napis „Green Bay Packers”. Zsunął strudle na prospekt jakiejś posiadłości i pieczołowicie umieścił w

górnym szufladzie.

- Proszę sobie nie przeszkadzać - powiedział mu Jack. Daniel Bufo kantem dłoni zmiotł okruszki z bloknotesu. Za jego plecami poprzez listewkową żaluzję zaskakująco wyraźnie widać było inny biurowiec, w którym mężczyzna zdawał się zapalczywie wyklócać ze swą sekretarką. Na biurku Daniela Bufo znajdowała się plastikowa tarcza, przyznana Pośrednikowi Roku 1975 Handlu Nieruchomościami w Madison.

- Nie spodziewałem się pana tutaj - oświadczył Daniel Bufo z niewesołym uśmiechem na tłustej twarzy.

- Potrzebuję pewnych informacji - powiedział Jack. Zdawał sobie sprawę, że agent może być zaniepokojony widokiem człowieka nie ogolonego, w zmiętym ubraniu i najwyraźniej znużonego.

- Może gorącej czekolady? - spytał Daniel Bufo. - Holenderska to jak całkowity posiłek. Jack potrząsnął głową.

- Potrzebuję pewnych informacji, i to wszystko.

- O Dębach? Mówiłem panu, że nie ma wiele do opowiadania. Stały puste od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego.

- To był szpital dla umysłowo chorych.

- Ach - rzekł Daniel Bufo, trąc policzek.

- A więc tak było, prawda? Szpital dla chorych umysłowo zbrodniarzy.

Daniel Bufo wziął długopis i zaczął go obracać w pękatych palcach.

- Na pewno znajdowała się tam prywatna klinika.

- Szpital psychiatryczny. Wariatkowo.

- Dobra, więc był tam szpital psychiatryczny. Ale nie rozumiem, jaką by to miało robić różnicę. Nieczynny od ponad sześćdziesięciu lat. I zamierza pan zmienić mu nazwę, nieprawdaż?

- Chcę się dowiedzieć, jak skontaktować się z właścicielami - powiedział Jack.

- Z należnym szacunkiem, nie sądzę, aby byli z tego bardzo zadowoleni. Są... cóż, sądzę, że

powiedziałem o tym panu dość jasno... odludkami.

Jack na chwilę spuścił głowę. Daniel Bufo siorbał gorącą czekoladę, oczekując, by Jack coś powiedział. Wreszcie Jack się odezwał:

- Albo skontaktuje mnie pan z właścicielami, albo rezygnuję z kupna.

- Przepraszam?

- Słyszał pan. Żądam adresu i numeru telefonu właścicieli natychmiast albo rezygnuję z kupna.

- Panie Reed... stawia mnie pan w bardzo trudnej sytuacji. Muszę szanować prawo moich klientów do unikania rozgłosu. Specjalnie podkreślili, że ta umowa ma być zawarta przez pełnomocników, a nie bezpośrednio.

- Dobra, skończyliśmy. - Jack wstał. - Proszę o tym zapomnieć. Jeśli idzie o mnie, rezygnuję z kupna.

- Panie Reed, proszę, proszę mi wierzyć... właścicielom bardzo zależy na sprzedaniu panu tej posiadłości. Cena im odpowiada, są zadowoleni z pana planów zachowania pierwotnego budynku i przekształcenia go w hotel wczasowy. Są całkowicie za! Ale gdy klient prosi mnie o zachowanie jego nazwiska w tajemnicy... no, cóż innego mogę zrobić? Istnieje, wie pan, kodeks etyki handlu nieruchomościami. W tym zawodzie prawie tak, jak w medycynie.

- Konkretnie w proktologii - odrzucił Jack otwierając drzwi. Daniel Bufo wstał, by go odprowadzić, lecz Jack osadził go machnięciem ręki. - Jeśli pańscy klienci zmienią zdanie, może mnie pan osiągnąć w motelu Howarda Johnsona przy dziewięćdziesiątej czwartej szosie. - Sięgnął do kieszeni palta i cisnął Danielowi Bufo książeczkę zapalek. Jest tu podany numer telefonu.

- Panie Reed... naprawdę nie sądzę...

- Panie Bufo, ta informacja jest mi pilnie potrzebna. Sprawa życia i śmierci. Przynajmniej proszę sobie zadać trud pytania pańskich samotniczych klientów, czy rozważą możliwość porozmawiania ze mną bezpośrednio. Tylko rozważą, dobra?

Zamknął drzwi, zostawiając za nimi Daniela Bufo, patrzącego jak wielkie, sfrustrowane dziecko ze skrzywioną miną na kubek gorącej czekolady.

Jego następnym przystankiem była redakcja „Madison Times-Dispatch”. Mieściła się w niepozostającym, betonowym budynku, tuż obok szeregu ledwie zipiących sklepów z częściami zamiennymi do samochodów oraz chińskich restauracji. Jack większość popołudnia spędził w ciasnym pokoiku od podwórza, próbując przekopać się przez ich zszywkę z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego. Jak dotąd przenieśli na mikroklisze tylko roczniki do tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego.

Wyglądająca na starą pannę kobieta w czarnym kardiganie i szarej spódnicy naklejała wycinki. Za każdym razem, gdy wyciągała kolejny tom, cmokała z irytacją. W pokoju wisiał kwaśny zapach starych gazet oraz różanych perfum. Deszcz dzwonił i bębnił o jedyne okno, a Jack zaczął uginać się pod ciężarem zmęczenia. Tuż po drugiej po południu stara panna zapytała go:

- Czy pan nigdy nie jada?

- Pewne rzeczy są ważniejsze od jedzenia. - Zmusił się do uśmiechu.

Wreszcie na samym dnie sterty zszywek z połamanymi grzbietami i napisem na każdej „Do ponownego oprawienia”, odnalazł „Madison Timesa” z czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku. Rozłożył go na stole i uważnie czytał stronę za stroną, szpaltę za szpaltą.

Po godzinie okazało się, że nie było żadnej wzmianki ani o Dębach, ani o doktorze Estergomym.

Wyprostował się na krześle i pozwolił zszywcę się zamknąć.

Kiedy kobieta spytała: - Nie może pan znaleźć tego, czego pan szuka? - była już prawie czwarta po południu.

Jack pokręcił głową.

- Wszystko tu jest. Konkursy piękności noworodków, małżeństwa, kto umarł i kto nie. Mógłbym pomyśleć... no, nie wiem.

Przyjrzała mu się uważnie spoza uniesionych okularów.

- A czego w szczególności pan szuka? W którym roku?

- Dziewięćset dwudziestym szóstym.

- Mieszkałam wtedy tutaj, w Madison. Mój ojciec był profesorem historii na uniwersytecie.

Douglas Mansfield, mógł pan o nim słyszeć. Napisał bardzo słynną książkę o inskrypcjach etruskich.

- Wstała i podeszła do miejsca, gdzie siedział. Wyciągnęła dłoń. - Helena Mansfield - przedstawiła się.

Jack wstał również i potrząsnął jej dłonią.

- Jack Reed.

- Nie z tej okolicy?

- Mhm, z Milwaukee. Tłumiki i Opony Reeda, pięć warsztatów po całym mieście.

Helena Mansfield przysiadła na brzegu jego stołu. Mimo swego wieku poruszała się z ptasim wdziękiem. Szpakowate włosy zaczesywała do tyłu i wiązała czarną, aksamitną kokardą i chociaż obecnie skórę miała pomarszczoną, niegdyś jej twarz musiała robić wrażenie. W jakiś sposób przypominała Jackowi Katherine Hepburn.

- Czego szuka w Madison sprzedawca tłumików i opon, wertując gazety z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego.

- Jakiegokolwiek wzmianki o Dębach. To prywatna klinika koło jeziora Wisconsin.

- Znam Dęby. A raczej wiem o Dębach.

- Doprawdy? Wydaje się, że prawie nikt nic nie wie, a jeśli wie, to nie mówi.

- Cóż, to był szpital psychiatryczny, a nie prywatna klinika, oto powód. Wielu tutejszych mieszkańców sprzeciwiało się jej istnieniu, gdy odkryli, z czym mają do czynienia. Ale w końcu i tak została zamknięta.

- Tak, wiem o tym - powiedział Jack. - Byłbym zainteresowany wykryciem, czemu ją zamknięto i w jakich okolicznościach.

Helena Mansfield pytająco przekrzywiła głowę na ramię.

- Prawdę powiedziawszy, myślałem o jej zakupieniu - rzekł Jack. - Przekształceniu w hotel wczasowy. Dlatego chciałem dowiedzieć się czegoś o jej dziejach.

Helena Mansfield zastanawiała się nad tym przez chwilę, spoglądając na pierścionek z brylantem na swej lewej ręce. Wreszcie odezwała się, bardzo wyraźnie wymawiając słowa.

- Zechce mi pan wybaczyć wścibstwo, panie Reed. Ale wydaje mi się, że stara się pan dowiedzieć czegoś o tej historii z żywszym niż to, które się zwykło określać jako przypadkowe, zainteresowaniem.

- Aż tak bardzo to widać? - odpowiedział jej Jack z krzywym uśmiechem.

- No cóż... siedział pan tutaj przez prawie całe popołudnie, nic nie zjadłszy. Jak na człowieka, który kupuje hotel wczasowy, ma pan wygląd nieco zaniedbany. A także, jeśli zechce mi pan wybaczyć to określenie, szalony.

- Panno Mansfield... - spróbował Jack - czy przypadkiem nie wie pani, kto jest właścicielem Dębów?

- Oczywiście. Znam ją od lat, od chwili gdy się tu sprowadziła. Olive Estergomy, średnia z trzech dziewcząt Estergomych.

- I były one córkami doktora Estergomy, poprzedniego właściciela Dębów?

- Zgadza się. Piękne dziewczyny, wszystkie trzy. Alice, Olive i Lucy. Piękne! Ale i ich matka była bardzo przystojna.

- Czy nie wie pani przypadkiem, czemu doktor Estergomy zamknął Dęby tak nagle?

Helena Mansfield potrząsnęła głową.

- Nikt tego nie wiedział. Przez całe miesiące nie wiedzieliśmy, że zostały zamknięte. Aż wreszcie jeden z tutejszych kupców wspomniał przypadkiem, że Estergomy'owie anulowali wszystkie zamówienia na żywność. - Wstała i powróciła do stołu, przy którym pracowała. - W tym samym czasie wyprowadzili się. Jedyńą z nich, która tu powróciła, jest Olive. Kiedykolwiek pytałam ją o Dęby, nigdy wiele nie powiedziała. Nie chciała też mówić o swej rodzinie. Wreszcie zrozumiałam, że nie życzy sobie rozmawiać na ten temat, więc dałam jej spokój. A jednak to smutne. Niegdyś Estergomy'owie byli naszymi dobrymi przyjaciółmi. Mój ojciec i doktor Estergomy żyli jak rodzeni bracia. Ale gdy się wyprowadzali, nawet nie wpadli, by się pożegnać.

- Więc nigdy się pani nie dowiedziała, co się stało?

- Nie - odparła Helena Mansfield. - Były całe tuziny plotek. Jak się domyślam, tutejszym mieszkańcom udało się wyrzucić na stanową komisję więziennictwa taki nacisk, że przestała finansować Dęby.

Jack przez chwilę się nie odzywał. Gdy Helena Mansfield ciągnęła swe opowiadanie, nieoczekiwanie objawił mu się Randy. Ze swymi wielkimi, poważnymi oczami; ze swym wahającym się sposobem mówienia. Nieomal mógł go wyczuć, prawie mógł czuć jego zapach. Ów zapach włosów jak woń gorących biskwitów.

- Płacze pan - powiedziała Helena Mansfield rzeczowym tonem.

- Jestem zmęczony, to wszystko. - Tym razem nie próbował otrzeć łez.

- Musi mi pan powiedzieć, co jest nie w porządku. Może będę mogła pomóc.

- Nie wiem - odparł Jack. - Nie sądzę, by ktokolwiek mógł to zrobić.

- No cóż, zawsze może pan spróbować ze mną - podsunęła Helena Mansfield. - Wydaje mi się, że coś wiem na temat bólu psychicznego.

- A co pani wie na temat utracenia kogoś? - zapytał Jack. Helena Mansfield wyprostowała się.

- Jestem starą panną, wie pan o tym. Mój narzeczony zginął na wojnie. Był lotnikiem, zestrzelono go nad Ploesti. Ponad trzystu młodych lotników zginęło owej nocy w Rumunii, a wszyscy dlatego, że wywiad aliancki podał, iż prawie nie ma tam artylerii przeciwlotniczej. - Gwałtownie wciągnęła powietrze. Po czterdziestu pięciu latach gorycz zupełnie się nie zestarzała. - Potem... cóż, nikt inny nie mógł się z nim równać. Wolałam pozostać sama.

- Przepraszam - powiedział Jack.

Helena Mansfield uśmiechnęła się ze wzrokiem skierowanym w przestrzeń.

- Proszę nie przepraszać, to się zdarzyło bardzo dawno temu. Nie powinnam była skamlać. Czy pan też kogoś stracił?

- Mego syna, Randy'ego. Ma dziewięć lat. Zabrałem go do Dębów.

- Tak?

- Cóż, wiem, że to wygląda jak wariactwo. Ale on zniknął.

- Kiedy? - zapytała Helena Mansfield.

- Zeszłej nocy. Późną zeszłą nocą. Przeszukaliśmy budynek od strychu do piwnic, dwukrotnie, ale nie znaleźliśmy go. Ukrywa się gdzieś. Bóg wie gdzie.

- Czy wezwał pan policję? Jack potrząsnął głową.

- On jest nadal w budynku, mam co do tego całkowitą pewność. A poza tym odnoszę wyraźne wrażenie, że policja nie będzie bardzo pomocna. W każdym razie nie wtedy, gdy w grę wchodzi Dęby.

- Stracił pan dziewięcioletniego syna i nie chce pan wezwać policji? Jack wzruszył ramionami.

- To brzmi nieodpowiedzialnie, nieprawdaż, gdy pani tak to ujmuje. Ale jestem szczerze przekonany, że policja nie będzie w stanie dopomóc.

Helena Mansfield milczała, patrząc na niego.

- Sformułujmy to następująco - dodał. - Pierwszym pytaniem, jakie zada policja, będzie: co robiłem w Dębach późną nocą z dziewięcioletnim chłopcem. A drugim: czemu go zabiłem.

- Ale nie myśli pan, że on nie żyje?

- Nie, żyje. A przynajmniej nie myślę, że nie żyje. Modlę się, by tak nie było. Ale sprawa nie jest tak prosta, jak wygląda na pierwszy rzut oka.

- Może mi pan wierzyć - stwierdziła Helena Mansfield - ta sprawa ani trochę nie wygląda na prostą. - Zastanowiła się przez chwilę, a potem dodała: - Właściwie czemu nie miałabym pana poznać z Olive? Jest bardzo nieśmiała, ale mówi szczerze, co myśli. Może potrafi podsunąć panu jakiś pomysł, gdzie się skrył pana chłopiec. Może w Dębach jest jakaś tajemna skrytka, tajemne przejście czy coś w tym rodzaju.

- Olive Estergomy nadal mieszka w tej okolicy?

- Oczywiście, ma dom w Sun Prairie.

- To całkiem blisko - oświadczył Jack. - Piętnaście, dwadzieścia mil? Co może pani zrobić, zadzwonić do niej?

- Z pewnością do niej zadzwonię. - Podniosła torebkę z podłogi i otworzyła, by wyjąć mały notesik adresowy, oprawiony w skórę z krokodyla. - A zanim spyta mnie pan, czemu to zrobię, powiem panu, że od wieków szukałam pretekstu, by się z nią spotkać, że zanudziłam się na śmierć i że uwielbiam wtykać nos w cudze sprawy.

- To mi brzmi nader rozsądnie - zgodził się Jack.

Poszła do automatu telefonicznego na korytarzu. Jack stał obok niej, gdy wsunęła monetę do otworu i wybrała numer. Z przyległego pokoju biurowego słychać było tępy plastikowy dźwięk wystukiwania przez kogoś artykułu na składopisie.

Wreszcie Helena powiedziała: - Olive? Czy to Olive? Olive, tu Helena! Oczywiście Helena Mansfield!

Wyjechali do Sun Prairie pod niebem zasnutym grubymi, szaroczarnymi chmurami, mijając pomalowane na czerwono stodoły i ciemnozielone pola kędzierzawej włoskiej kapusty, srebrzyste silosy i obsypane kroplami deszczu szklarnie. Helena Mansfield mówiła bardzo niewiele; nie chciała zapiąć pasa bezpieczeństwa i siedziała, złożony na kolanach dłoń jak dwa niespokojnie śpiące ptaszki.

Jack prowadził źle, szarpał hamulce na skrzyżowaniach i przejechał dwa czerwone światła. Dopiero wówczas zaczął zdawać sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony.

Gdy dotarli do Sun Prairie, było prawie ciemno. Helena poleciła Jackowi zjechać z głównej szosy na poboczną, a potem wyboista ziemna droga doprowadziła ich wreszcie na szczyt pagórka, gdzie stał samotnie pomalowany na zielono dom, otoczony tylko trawą i kwiatami, jakby został zrzucony z nieba niczym ferma Dorotki w „Czarnoksiężniku z Oz”.

Jack zaparkował koło porzuconej brony i zardzewiałego koryta i ramię w ramię z Heleną Mansfield pod kłującym deszczem dotarli do werandy wejściowej.

Frontowe drzwi otwały się prawie natychmiast. Padające ze środka światło odbijało się w mokrych deskach werandy. Kobięcy głos powiedział: - Wchodźcie! Wchodźcie! - i w chwilę później Jack próbował wyłuskać się z własnego płaszcza w najmniejszym ze znanych przedpokoi.

- Nareszcie, Heleno! - wykrzyknęła Olive. Była to duża, grubo-koścista niewiasta, o wiele wyższa i potężniejsza niż Helena Mansfield, ale równocześnie przystojna. Szpakowate włosy przytrzymała niebieską aksamitną opaską; oczy miała prawie fiołkowe i szeroką, inteligentną twarz kogoś, kto nie będzie cierpliwie znosił głupców, ale też potrafi śmiać się z samego siebie szybciej, niż ktokolwiek inny zdoła.

Ubrana była w szeroką suknię w niebieskie i czarne kwiaty, piękną, ale niechlujną.

- Wejdźcie! Heleno, kochanie! Po prostu nie mogłam uwierzyć, gdy zadzwoniłaś! Tyle czasu!

Zaprowadziła ich do salonu, zastawionego prawdziwymi, lecz źle dobranymi antycznymi meblami. Francuski szezlong, obity zielonym, wzorzystym jedwabiem; brązowy skórzany klubowiec i rozmieszczone tu i ówdzie stoły wszelkich kształtów i wielkości. Na ścianach wisiały nienaturalnie jaskrawe akwarele jezior stanu Wisconsin oraz oprawne dyplomy stopni naukowych i tytułów honorowych. Jack przechylił się przez szezlong, by dokładniej przyjrzeć się jednemu z nich. Był to dyplom doktoratu honoris causa Uniwersytetu Edynburskiego, przyznanego w zakresie psychologii klinicznej Elmerowi J. Estergomy dnia dwunastego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku.

Na kominku słabo tliły się polana drewna. Olive Estergomy szturchnęła je pogrzebaczem, a potem odezwała się:

- Drewno jest bardzo mokre.

- Nazywam się Jack Reed - przedstawił się. - Jestem tym facetem, który negocjował kupienie Dębów.

- Rozumiem - powiedziała Olive Estergomy. Spojrzała pytająco na Helenę Mansfield, obracając w palcach długi, bursztynowy naszyjnik. - W jaki sposób spotkał pan pannę Mansfield? - W jej głosie zabrzmiało coś osobliwego, jakby chciała dać do zrozumienia, że Jack i Helena uknuli między sobą jakiś spisek.

- Olive, spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo w „Times-Dis-patch” - powiedziała Helena. - Wklejałam wycinki, a pan Reed próbował znaleźć coś na temat Dębów.

- Pana propozycja zrobiła na mnie duże wrażenie, panie Reed - rzekła Olive Estergomy. - Byłoby wspaniale, gdyby to miejsce zostało odrestaurowane.

- Czy pan Bufo skontaktował się z panią? - spytał Jack.

- Powiedział mi, jaką cenę pan zaproponował, a ja ją przyjąłem.

- Ale czy kontaktował się dzisiaj?

Olive Estergomy stała przy kominku, lekko przechylona na bok, jak nauczyciel gimnastyki, powstrzymujący się od pokazu praktycznego. - Nie dzisiaj, nie. Czy coś jest nie w porządku?

- Powiedziałem mu, że muszę rozmówić się bezpośrednio z panią. Powiedziałem, że jeśli tego nie zorganizuje, cała umowa zostanie anulowana.

Olive Estergomy powoli usiadła. Ogień zaczął trzeszczeć i pryskać.

- Pan Bufo nie wspominał mi na ten temat ani słowa. Ani słowa.

- Podkreślałem, że to bardzo pilne - dodał Jack.

- Może myślał, że to mnie zaniepokoi. I prawdę powiedziawszy, zaniepokoiło. Czemu musi pan rozmawiać ze mną osobiście?

Jack mocno splótł palce. *Hic Rhodus, hic salta...*

- Panno Estergomy, muszę wiedzieć, co się zdarzyło tej nocy, gdy Dęby zostały zamknięte.

Olive Estergomy patrzyła na Jacka z nieruchomą twarzą. Dopiero w tej chwili dostrzegł leciutki tik jej lewej powieki, nieustanne drżenie tłumionego niepokoju.

- Nic się nie zdarzyło. Zamknęliśmy je, i to wszystko.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Nie mieliśmy dość pacjentów, by nadal prowadzić zakład, to wszystko. Zwykła kalkulacja handlowa.

Jack wyciągnął chusteczkę i wytarł nos.

- Powiedziano mi, że owego wieczoru, gdy zamknęliście zakład, mieliście stu trzydziestu siedmiu pacjentów. Więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Kto panu to powiedział?

- Joseph Lovelittle, dozorca.

- Och, on. Jak sądzę, wie pan, że Joseph też był tam leczonym psychiatrycznie pacjentem?

- Miał co do tego całkowitą pewność, niezależnie od tego, czy był pacjentem, czy nie.

Olive Estergomy spuściła wzrok i nie odpowiedziała.

- Panno Estergomy... - rzekł Jack. - Mój dziewięcioletni syn zaginął. Wczoraj wieczorem zabrałem go do Dębów i zniknął. Jestem do szaleństwa zdecydowany, że go odnajdę.

- Zabrał go pan do Dębów? - zapytała głucho.

- Panno Estergomy, w tym budynku dzieje się coś dziwnego. Sam tego doświadczyłem. Hałasy, głosy, halucynacje. - Zamilkł nie chcąc, by uznała, że on także jest kandydatem do domu wariatów.

Olive Estergomy zachowała głucho milczenie prawie przez minutę. A potem, jak gdyby nagle podejmując przełomową, osobistą decyzję, wyrzuciła z siebie:

- Zniknęli. Oni wszyscy zniknęli.

Jack stał zakłopotany.

- Kto znikł, panno Estergomy?

- Pacjenci, oczywiście. - Podniosła głowę. - Co do jednego. W jednej chwili wszyscy byli na miejscu, w następnej zniknęli.

Znów zapadła w bardzo długie milczenie. Przez minutę; więcej niż minutę.

- Czy może mi pani opowiedzieć, jak to się stało? - poprosił uspokajającym tonem Jack. Widać było, że owo wspomnienie nadal ją unieszczęśliwia.

- Niewiele jest do opowiadania. Tego wieczoru siedzieliśmy w naszym salonie, gdy do drzwi zastukał wrzeszcząc z przerażenia jeden z pielęgniarzy i oznajmił, że wszyscy pacjenci uciekli.

Oczywiście mój ojciec nie mógł w to uwierzyć. Ale gdy poszliśmy na pierwsze piętro, przekonaliśmy się, że wszystkie pokoje są puste.

Helena Mansfield także usiadła.

- Olive - powiedziała - nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Nikt by mi nie uwierzył, kochanie, nawet ty.

- Ale jeśli ci wszyscy szaleńcy się wydostali...

- Zniknęli, tak. Ale nie wydostali się na zewnątrz. Nie w taki sposób, by otworzyli drzwi czy wyszli przez okna. Wszystkie pokoje, co do jednego, nadal były pozamykane na klucz. Wszystkie okna, co do jednego, pozostały nie naruszone, zakratowane i nie stłuczone. W świetlicy stały filiżanki kawy, ciągle jeszcze gorącej, tylko do połowy wypitej. Gazety leżały rzucone na podłodze. Tak, jakby wszyscy nagle wyparowali.

- Przecież było ich ponad sto osób - zaprotestowała Helena Mansfield. - Dokąd by poszli?

Olive Estergomy potrząsnęła głową.

- Po dziś dzień, Heleno, po prostu nie wiem. Mój biedny ojciec szukając ich sam prawie



postradał zmysły. Dokąd mogli pójść? Wezwano policjantów i oczywiście znaleźli drzwi pozamykane na klucz i okna nie naruszone. Początkowo przypuszczali, że mój ojciec doznał jakiegoś rozstroju nerwowego i sam powypuszczał wszystkich pacjentów. Policja nigdy nie była mu szczególnie przychylna, ponieważ ojca można nazwać wielkim czempionem sprawy rehabilitacji obłąkanych zbrodniarzy. Autentycznie wierzył, że mogą zostać wyleczeni i przywrócić społeczeństwu; policja natomiast życzyła sobie jedynie ich wyłączenia.

- Co nastąpiło potem? - zapytał Jack.

- Przeszukali cały teren. Ale nie potrafili znaleźć nawet pojedynczego śladu stóp, ani jednego, a także żadnego znaku, że z Dębów uciekło ponad sto osób. Zastali wezwani w czasie krótszym niż godzina od zniknięcia pacjentów, a przecież niektórzy leczeni byli inwalidami nie tylko umysłowymi, ale i fizycznymi, poza tym większość za jedyną odzież miała szpitalne szlafroki, niektórzy zaś byli zupełnie nadzy, ponieważ zadusiliby się szlafrokami, tak że szansę, by mogli się przedostać dalej niż do zewnętrznego płotu równały się praktycznie zeru...

- Ale? - podpowiedział Jack.

- Ale zniknęli - odparła Olive Estergomy. - Stu trzydziestu siedmiu pacjentów rozwiało się jak dym.

- I nie wie pani, gdzie się podzieli?

- Może Bóg ich zabrał - powiedziała Olive Estergomy. - Może diabeł ich porwał. Nie wiem.

- A co zrobiła policja?

- Nie było nic, co policja mogłaby zrobić. Nie było pacjentów. Nie było śladów. Żadnego z pacjentów nie widziano na drogach czy w lasach, ani też żaden nie próbował pojechać autostopem. Nie zameldowano żadnych kradzieży ubrań. Żadnych włamań do stodół. Niczego... - przerwała na chwilę. Mały ładny zegar kominkowy ze srebra wydzwonił szóstą. - Tegoż wieczoru o dziesiątej trzydzieści przybyła cała banda dobranych grubych ryb z Departamentu Sprawiedliwości i osobiście zbadała budynek. Rozmawiali z moim ojcem przez dziesięć minut, a potem oficjalnie oświadczyli, że Dęby zostają zamknięte. No cóż, oczywiście musiały zostać zamknięte, bo nie pozostał nam żaden pacjent. Ale jako oficjalny powód podali, że utracili zaufanie do stworzonego przez mojego ojca programu rehabilitacji.

- A jak wytłumaczyli zniknięcie pacjentów? Mam na myśli wersję oficjalną.

- Oczekali tydzień, by się przekonać, czy któryś z nich się nie pojawi. Gdy to nie nastąpiło, Departament Sprawiedliwości ogłosił, że wszyscy zostali przeniesieni do nowego zakładu o najwyższym stopniu zabezpieczenia, nad jeziorem Nokomis. Po sześciu miesiącach, gdy żaden z nich nigdzie się nie ujawnił, krewnym tych pacjentów, którzy jeszcze posiadali troszczącą się o nich rodzinę, a wiercie mi, nie było ich zbyt wielu, oświadczono, że ich niezbyt-ukochani zmarli na zatrucie pokarmowe. O ile wiem, nawet odprawiono im pogrzeby.

- To zdumiewające - powiedziała Helena Mansfied.

- Oczywiście, ale co innego mogli zrobić? Jak mieli publicznie oświadczyć, że stu trzydziestu siedmiu bardzo niebezpiecznych umysłowo chorych zniknęło bez śladu i że wszelkie wysiłki dla ich odnalezienia spełzły na niczym?

- Czy policja miała na ten temat jakiegokolwiek teorie? - dociekał Jack.

- Nie - odparła Olive Estergomy. - O ile mi wiadomo, wymazali całą sprawę ze swych akt, tak jakby nigdy się nie wydarzyła. Odebrali także memu ojcu wszystkie historie choroby i możecie sobie wyobrazić, co z nimi zrobili. To mu złamało serce.

- Co się stało z pani ojcem? - zapytał Jack tak łagodnie, jak tylko potrafił.

- Nie mógł dalej pracować. Po Dębach żaden stan w kraju nie pozwoliłby mu otworzyć

praktyki. Na krótko pojechaliśmy do Anglii, gdzie trochę zarabiał odczytami, a potem przenieśliśmy się do Francji. Mój ojciec utopił się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym podczas kąpieli morskiej koło Arromanches. Matka umarła w następnym roku.

- A siostry? - spytał Jack.

- Zostały we Francji. Gdy wybuchła wojna, nadal mieszkały w okolicach Paryża. Nigdy nie dowiedziałam się, co się z nimi stało. - Kontynuowała jak najspokojniej: - Tego wieczoru tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku, panie Reed, z mego życia zniknęło wszystko. Nie tylko stu trzydziestu siedmiu umyślowo chorych pacjentów, ale także kariera mego ojca, zdrowie matki, moje dwie drogie siostry.

- Przykro mi - zapewnił ją ze skrzepowaniem Jack. - Doprawdy mi przykro.

- Ale pan stracił syna - powiedziała Olive Estergomy.

- On jest nadal w Dębach - odparł Jack. - Dlatego chciałem z panią mówić.

- Nie jestem pewna, co pan ma na myśli.

- Ja też nie jestem tego bardzo pewien. Ale chyba wiem, gdzie on jest i chyba wiem także, co się stało z pacjentami pani ojca.

- Wie pan, dokąd poszli? - Olive Estergomy patrzyła na niego marszcząc brwi.

Jack kiwnął głową.

- Mam pewną teorię... no, powiedzmy, połówkę teorii. Zapewne pomyśli pani, że jestem takim samym wariatem, jak oni byli.

- Panie Reed - zaczęła Olive Estergomy, ze wszystkich sił starając się opanować pożerającą ją ciekawość - czy chciałby pan drinka?

- Ma pani whisky? Jeśli nie, piwo też przełknę gładko. I proszę mówić mi: Jack.

- Jestem Olive - rzekła Olive Estergomy. - Choć przyjaciele nazywają mnie Essie.

- Zgoda, Essie - kiwnął głową Jack. - Ale najpierw jedno pytanie. Czy możesz mi powiedzieć, czemu wcześniej nie pomyślałaś o sprzedaży Dębów?

Essie otworzyła barek z bejcowanego dębu.

- Miałam ze dwie czy trzy propozycje, a raz nawet dałam ogłoszenie. W tytule własności jest jednak zastrzeżenie, że nikomu nie wolno rozebrać Dębów, a dopóki nie pojawiłeś się ty z twoim pomysłem odrestaurowania go i przebudowania na hotel wczasowy, nie było nikogo chętnego, by zachować budynek nietknięty. Sam wiesz, że doprowadzenie go do stanu pierwotnego może pochłonąć miliony.

- Czy byłaś tam jeszcze kiedykolwiek? - wypytywał Jack. - Mam na myśli po roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym.

- Około czterech lat temu pojechałam, by go obejrzeć. Nie wchodziłam do środka. Jak możesz się domyślić, te mury nie zawierają zbyt wielu miłych dla mnie wspomnień.

- Oni są tam nadal - powiedział Jack.

Zamarła w połowie nalewania mu whisky. Stała dalej odwrócona, ale po jej napiętych ramionach zorientował się, że Olive wie, o czym mowa. Czekwała, aż powie wszystko wyraźnie.

- Przyczyna, dla której nikt nie mógł odnaleźć zbiegłych wariatów jest taka, że oni nigdy nie uciekli. Są tam nadal. Widziałem niektórych. Są wewnątrz ścian.

Essie odwróciła się, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. Odezwała się natomiast zaniepokojona Helena.

- Co chcesz powiedzieć przez to, że są wewnątrz ścian? W jaki sposób mogą tam się jeszcze znajdować? To było ponad sześćdziesiąt lat temu, do tej pory powinni powymierać ze starości. I co by jedli?

Jack nie spuszczał wzroku z Essie. Na jej twarzy malowała się emocja, granicząca z przeżywaniem totalnej tragedii. *Mój ojciec, moja matka, moje biedne siostry. A oni nadal tam są! Ci wrzeszczący, zapienieni, wściekli szaleńcy! Nadal tam są!*

- Wiedziałam o tym - odrzekła cała drżąca. - W jakiś szczególny sposób zawsze to wiedziałam.

- Ale jak oni mogą istnieć? - nalegała Helena. - To niemożliwe! Wewnątrz ścian? To znaczy w tajemnych przejściach?

Jack położył dłoń na jej ręce.

- Nie wiem, jak weszli w ściany i nie wiem, jak udało im się przeżyć. Ale nie znajdują się w tajemnych przejściach. Są naprawdę, fizycznie, wewnątrz cegieł. I wiem, że to brzmi idiotycznie. Wiem, że to przeczy wszelkim prawom fizyki i wszelkim prawom natury, no, tej całej gadaninie o dwóch przedmiotach materialnych, które nie mogą zajmować tej samej przestrzeni w tym samym czasie. Ale - kontynuował - ja ich widziałem. Naprawdę ich widziałem. Mają mego syna. Prawie złapali i mnie. - Pochylił się do przodu, uniósł mankiety spodni i obciągnął w dół skarpetki. - Widzicie te siniaki? Jeden z nich wylazł prosto z litego betonu i schwycił mnie.

Essie wręczyła mu szklaneczkę whisky.

- Kochanie - odezwała się Helena - nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli naleję sobie ginu? Trzęsę się jak galareta.

- Ależ nie, proszę bardzo - odrzekła w roztargnieniu Essie. A potem spojrzała na Jacka i powiedziała: - To wariactwo, prawda? Istne szaleństwo.

- Tak - odparł. - Ale to się naprawdę wydarzyło. I ty wiesz, że tak było, ponieważ byłaś tam, gdy oni zniknęli, prawda? Więc jakie może istnieć inne wyjaśnienie?

- Nigdy nie słyszałam o niczym podobnym - wtrąciła się Helena. - Przez ciebie czuję się, jakbym nie istniała.

- Jest tam ktoś imieniem Lester - powiedział Jack.

- Rozmawiali z tobą? - spytała zdumiona Essie. Jack skinął głową.

- W jakiś sposób komunikowali się ze mną. Nie jestem pewien, czy ten ich sposób można rzeczywiście nazwać mową.

- Lester Franks, tak się nazywał - rzekła Essie. - Bardzo dobrze pamiętam Lestera. Zawsze wydawał się zupełnie zdrowy. Śpiewał mi piosenki i opowiadał historyjki. Nie mógł mieć więcej niż osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Zawsze chętny do pomocy! Zawsze gotów wypełniać polecenia! I wiecie, co on zrobił? Miał czternaście lat, gdy pilnując swej trzyletniej siostry, odciął jej głowę. Zastano go, jak grał nią w piłkę na podwórzu, podrzucając ją i łapiąc. Całe podwórze było wymazane krwią.

- O, mój Boże, Essie, przez ciebie dostaję mdłości.

- Ach, nie... większość z nich zrobiła znacznie gorsze rzeczy - odrzekła Essie. - Weź pod uwagę, że gdy moje siostry i ja byłyśmy dziećmi, lubowałyśmy się wszelkimi krwawymi szczegółami. Był tam pewien mężczyzna, jakże on się nazywał? Holman, Hofman czy jakoś podobnie. Jego żona bez przerwy trajkotała, więc przywiązał ją za nadgarstki i kostki u nóg do krzesła w jadalni i przybił jej gwoździem język do stołu. Została tak przez wiele dni, zanim ją znaleziono.

- Essie, ja naprawdę zwymiotuję - oznajmiła Helena. Ale Essie kontynuowała, nie zważając na nią.

- Mój ojciec próbował rehabilitować tego Holmana, Hofmana czy jak mu tam, dając mu różne drobne roboty do wykonania. Pewnego popołudnia ten człowiek nie zjawił się na herbatę i znaleziono go unieruchomionego w ogrodzie. Przybił sobie penisa gwoździem do drzewa.

- Essie!

- Przykro mi, Heleno - odparła Essie - ale właśnie tego rodzaju ludzie tam przebywali. Nie obchodziło ich zupełnie ludzkie życie. Nie potrafili określić, jaka jest różnica między bólem i przyjemnością. Niektórzy z nich potrafili odciąć sobie palce i bawić się nimi. Byli kompletnie obłąkani, Heleno! Nie masz o tym pojęcia!

- Nie: tacy byli - sprostował Jack. - Teraz tacy są.

- No cóż, Jack - odrzekła Essie. - Zupełnie nie jestem pewna, jak powinnam na to zareagować. Nie wiem, co powiedzieć, nie wiem, co odczuwać i w ogóle nie wiem nic. Wierzę, że mówisz prawdę, ale nie jestem taka pewna, czy mój umysł pozwoli mi w to uwierzyć.

- Jest jeszcze jedno, co muszę wiedzieć - powiedział Jack. - Czy w Dębach był kiedykolwiek zatrudniony kapłan? Albo miejscowy kapelan, którego pacjenci mogli znać?

- Ależ oczywiście. Ojciec Bell. Był wtedy młodym kapłanem i zawsze, co niedziela, przybywał do Dębów, jeśli którykolwiek z pacjentów chciał przyjąć komunię. Niektórzy z nich przejawiali fanatyczną religijność. Jeden z nich żywił całkowitą pewnością, że jest Bogiem i za każdym razem, gdy ojciec Bell mówił „chwała Panu”, odpowiadał „bardzo dziękuję”.

- Nie wiesz przypadkiem, czy on jeszcze żyje?

- Ojciec Bell? Doprawdy nie mam pojęcia. Nie widziałam się z nim od tej nocy, kiedy zniknęli pacjenci. Jeśli żyje, musi zbliżać się do dziewięćdziesiątki.

- Czy był tam owej nocy, gdy znikli pacjenci?

- Tak. Po prostu zjawił się, nie wiem czemu.

- Nie oczekiwaliście go?

- Nie, bo to był poniedziałek, a on zwykle bywał w niedziele. Och, zdaje się, że pewnego razu przybył w sobotnie popołudnie, kiedy mieliśmy śpiewać kolędy. Kompletna klęska! Czy możesz sobie wyobrazić stu pięćdziesięciu schizofreników-morderców, próbujących śpiewać „My, trzej królowie ze wschodu”?

Jack obdarzył ją wymuszonym uśmiechem. Dla rodziny Estergomych zachowanie poczucia humoru w na pół realnym świecie, w którym żyli w Dębach, musiało być sprawą zasadniczą.

- Czy może pamiętasz, w którym kościele był ojciec Bell?

- O, tak. Świętego Ignacego w Portage. Jack dopił whisky.

- Essie - zaczął - przepraszam, że wdarłem się do twego zacisza. Ale zrozumiesz, mam nadzieję, że to był czyn popełniony z desperacji. Naprawdę mi pomogłaś.

Essie uśmiechnęła się.

- Jack, jeśli chcesz, żebyśmy utrzymywali kontakt, informuj mnie, co się dzieje. Będę się modlić, abyś odzyskał syna. - Zawahała się, a potem dodała: - Jeśli znajdziesz tych ludzi... tych pacjentów, bądź bardzo ostrożny. Przesyłano ich do Dębów, ponieważ byli zbyt niebezpieczni, aby ktokolwiek inny się nimi zajmował. Są całkowicie pozbawieni sumienia, a niektórzy niezwykle silni. Szczególnie jeden z nich, mężczyzna nazywany Quintus Miller. Strzeż się go. Niewiarygodnie inteligentny, niewiarygodnie silny i totalnie szalony. Kiedyś prawie zabił pacjentkę, nie powiem ci jak. Jack podszedł do drzwi i zapiął płaszcz.

- Quintus Miller - powtórzył. - Lester wspominał o jakimś Quintusie. Dobrze, będę się pilnował. I zadzwonię do ciebie, jeśli dowiem się czegoś więcej.

Gdy Jack i Helena odjechali, Olive Estergomy stanęła po cichutku na środku swego zatłoczonego salonu, z rękami złożonymi jak do modlitwy. Powróciło uczucie lęku, którego nie odczuwała od sześćdziesięciu lat, uczucie zimne i znajome. Był to lęk gorszy niż strach przed śmiercią. Był to strach przed wiekuistym bólem nie do zniesienia, przed wrzaskami, łkaniem i koszmarnym chichotem.

Był to strach przed Dębami, przed absolutnym szaleństwem i przed Quintusem Millerem.

## ROZDZIAŁ VI

Jack wrócił do motelu Howard Johnson, wziął prysznic i zmienił koszulę na jedną z trzech nowych, które kupił w Madison. Zadzwoił do swej firmy. Była już wprawdzie zamknięta, ale zakładał, że Mike Karpasian jeszcze tam będzie. Mike powiedział, że tkwią po uszy w wymianach tłumików i kiedyż, u diabła, Jack podpisze czeki dla B. F. Goodricha, ponieważ B. F. Goodrich, jak wszyscy diabli, z pewnością nie dostarczy im więcej opon, dopóki nie zapłacą za poprzednią dostawę, ale prócz tego wszystko inne szło dobrze.

Karen nie było w domu. Bessy powiedziała, że Karen zabrała córkę do doktora, ponieważ Sherrywine zwymiotowała paluszki rybne na mamusi ulubiony nylonowy dywanik z długim włosiem.

Zadzwoił do Maggie. Maggie była wściekła, ponieważ nie dzwonił do niej przez cały dzień, a chciała zabrać Randy'ego w sobotę na Specjalne Przyjęcie Dla Podniesienia Świadomości Kobiet. Jack odparł, że nie zależy mu szczególnie na tym, by jego wrażliwy dziewięcioletni syn łaził na spotkanie bandy lesbijek, zwolenniczek rozbrojenia nuklearnego oraz wytwórczyń asekualnych dzianych zabawek. Ale wtedy nagle pomyślał o Kupie, o Randym wynurzającym się z podłogi, poczuł ściskanie w gardle i zmuszony był odwieścić słuchawkę bez pożegnania.

Oczywiście Maggie nie mogła oddzwonić, ponieważ nie wiedziała, gdzie Jack się znajduje. Ale mógł się założyć, że telefon u niego w domu będzie dzwonił i dzwonił, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie dzwonił przez całą noc. Maggie była właśnie tego rodzaju kobietą.

Zatelefonował do Daniela Bufo, ale Daniel Bufo skończył swój dzień pracy.

Zamówił do pokoju stek nowojorski oraz butelkę czerwonego wina. Siedział z talerzem na kolanach, oglądając show Billa Cosby. Po raz pierwszy w życiu nie zaśmiał się przy tym ani razu.

Nie wiedział, kiedy zasnął, ale gdy się obudził, było już dobrze po dziesiątej, a w ustach mu wyschło. Na wpół zjedzony stek leżał obok niego na łóżku. Jack przetarł oczy i usiadł. To nie było dobre. Powinien wyspać się należycie. Rozebrał się, umył zęby, wyłączył telewizor i położył się do łóżka.

Leżał bezsennie godzinę za godziną, gapiąc się na sufit, rozmyślając o ludziach bawiących się w teatrzyk marionetek własnymi, amputowanymi palcami oraz o mężczyznach próbujących zabijać kobiety w sposób tak okropny, nie można go było nawet opisać.

Pomyślał o Lesterze, o twarzy posągu. *Lester zawsze wydawał się tak zdrowy.* Pomyślał o Quintusie Millerze.

Zbliżała się trzecia rano, gdy wydało mu się, że słyszy w pokoju jakiś dźwięk. Podniósł głowę z poduszki, z natężeniem wpatrując się w ciemność. Noc była teraz absolutnie spokojna. Ruch na szosie ograniczał się do rzadkich przejazdów ciągników z naczepą. W motelu panowała cisza.

Ale oto rozległ się znowu: szszszszsz... szszszszsz... szszszszsz; dokładnie tak, jak w ścianach Dębów.

Jacka przeszedł mróz. Uniósł pościel i bokiem przesunął się po łóżku, starając się robić to tak cicho, jak tylko możliwe. Ale ciągnący się dźwięk trwał nadal i zbliżał się coraz bardziej.

Szszszszsz... szszszszsz... szszszszsz.

Zamarł, próbując nie oddychać. Być może dźwięk go ominie, nie zdawszy sobie sprawy, że on jest tutaj. Zamknął oczy w nadziei, że gdy tak zrobi, dźwięk ucichnie, ale natychmiast znowu je

otworzył, bo me chciał być przezeń zaskoczony niczego nie widząc.

*Daj, Boże, by pociągnęło się stąd dalej.*

W tym samym momencie ujrzał wznoszący się koło łóżka ciemny garb. Wzorzysty, brązowy dywan motelowy przybrał kształt chłopca. *Był to Randy, wyrastający z podłogi.*

Jack padł na łóżko, wpatrując się weń w przerażeniu.

- Randy? - wymówił. - Randy? *Kapłan, tato. Chcemy kapłana.*

- Randy... czy to ty? Randy?

*Przyprowadź nam kapłana. To jego chcemy. Chcemy odrąbać mu palce i wysssać szpik z kości.*

Zdrętwiały ze strachu Jack wyciągnął obie ręce i chwycił Randy'ego za dywanowe ramiona.

*Nie wolno ci dotykać mnie, tato. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.*

- Randy, na litość boską, chcę żebyś wrócił!

Jack pociągnął syna, próbując wyplątać go z dywanu. Ale Randy'emu natychmiast odpadła głowa i całym ciężarem, pokryta dywanem, potoczyła się po łóżku. Lodowato zimna krew trysnęła z jego szyi, zalewając pościel.

Jack wrzeszczał i wrzeszczał, zmartwiały ze strachu.

Wrzeszczał tak głośno, że się obudził. Faktycznie wcale nie wrzeszczał, tylko wydawał chrapliwy dźwięk haahhhh! Młóćąc ręką przewrócił stojącą obok łóżka szklankę wody i zmoczył pościel. Obok łóżka nie chwiał się wcale bezgłowy Randy, żadna dywanowa głowa nie leżała na pościeli. Było dziesięć po szóstej; padało nadal, ale już się rozjaśniło.

Leżał na plecach przez pięć minut, oddychając głęboko dla uspokojenia. Przespał przynajmniej trzy godziny i czuł się znacznie odświeżony. Wreszcie wygramolił się z łóżka i przez telefon zamówił do pokoju kawę z tostami.

Odsunął zasłony. Krople deszczu osiadły na szybie jak piegi. Za motelowym parkingiem widać było mknące przez mżawkę ciężarówki w drodze do La Crosse, Eau Claire czy Duluth albo na południowy wschód do Chicago.

Dziś odzyska Randy'ego. Przysiągł to sobie. Bez względu na to, czego to będzie wymagać, dzisiaj o zachodzie słońca syn znajdzie się bezpieczny w jego ramionach.

Pijąc kawę kartkował książkę telefoniczną. Naliczył dwudziestu dwóch Bellów, lecz żaden nie mieszkał w Portage. Odnalazł jednak numer do Świętego Ignacego. Zatelefonował tam, ale nikt nie odbierał. Ostatecznie było całkiem nieprawdopodobne, aby ktoś miał wysiadywać w kościele o szóstej rano, nawet w Portage. Uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie tam pojechać. Miejscowość leżała zaledwie o jakieś trzydzieści mil od motelu.

Z powodu deszczu dotarcie do Portage pochłonęło mu ponad godzinę. W chwili gdy zakręcał na popękany betonowy parking koło kościoła Świętego Ignacego, oczy miał przemęczone od wpatrywania się w mżawkę, szyję zeszywniałą, a plecy robiły wrażenie, jakby ściśnięto je imadłem.

Zaciągnął ręczny hamulec, odpiął pas bezpieczeństwa i przeciągnął się.

Kościół Świętego Ignacego na południowym skraju Portage był małym, szarym budynkiem z bloczków żużlobetonowych, nakrytym dachem z pomalowanej na zielono blachy falistej. Po jednej jego stronie znajdował się skład drewna, po drugiej stacja benzynowa. Kościół pysznił się dzwonnica z jednym dzwonem oraz drewnianymi drzwiami wejściowymi w łuk u góry, z wmontowanymi witrażami. Gdyby nie to, można by go wziąć za magazyn farb albo hangar na łodzi, albo dowolny inny rodzaj składnicy.

Wysiadł ze swego kombi i pośpieszył przez betonowy podjazd, podniósłszy kołnierz płaszcza dla osłony przed deszczem. Miał właśnie wspiąć się po drewnianych schodach do drzwi

wejściowych, gdy rozległo się głośnie:

- Nikogo tam nie ma! Hej, panie! Nikogo tam nie ma!

- Co? - Jack zawrócił na beton.

Pryszczaty nastolatek z ogromną blond plerezą wyglądał z dyżurki przy garażu.

- Nikogo tam nie ma - powtórzył, gdy Jack podszedł bliżej. - Zrobił pauzę, a potem jak widać zrozumiał, że nieznajomy może kierować się do kościoła, by się po prostu pomodlić. - No - dodał - z wyjątkiem Boga.

- Szukam pewnego kapłana - powiedział Jack. Chłopak pociągnął nosem.

- Ojciec Dermot, jego panu trzeba. Ale dziś go tu nie ma.

- Szukałem ojca Bella.

- Ojca Bella? Nigdy nie słyszałem o żadnym ojcu Bellu. Pan na pewno trafił do właściwego kościoła? Jack kiwnął głową.

- Ojciec Bell był tutaj księdzem dawno przed wojną.

- Mój tata był na wojnie. Czwarty Pułk Piechoty Morskiej.

- Miałem na myśli wojnę, która była przed tą wojną.

- Hę? - zapytał oszołomiony chłopiec, marszcząc nos.

W tym momencie pojawił się okrągłogłowy mężczyzna w wytłuszczonym kombinezonie, wycierając dłonie w kawał porwanej szmaty.

- Hej, co się stało z moją kawą, krostowaty? - zapytał. Popatrzył na Jacka i rzucił: - Dzień dobry.

- Zapomniałem - odparł chłopiec.

- On zapomniał - pozalił się okrągłogłowy. - Zapomniałby, gdzie ma pieprzony tyłek, gdyby jego ciało nie zginało się w połowie.

Chłopak zniknął w dyżurce.

- Szukam księdza - powiedział Jack - który był kiedyś tutaj, u Świętego Ignacego. Zastanawiam się, czy mógł pan o nim słyszeć. Ojciec Bell.

- Oczywiście - odparł bez wahania okrągłogłowy. - Znam ojca Bella.

- Żyje jeszcze?

- Oczywiście. Teraz mieszka tam, w Green Bay, w jednym z tych domów dla obywateli w złotym wieku. Jego córka Hilda przyjaźni się z moją żoną, wymieniają przepisy kuchenne.

- Jego córka? - zapytał Jack.

- Oczywiście. Rzucił księdzowanie, całe lata nim go poznałem. Ale wszystko jedno, i tak wciąż go nazywają ojcem Bellem. Jakby takie przezwisko, wie pan. Albo jak wychodzi się z wojska, ludzie nadal nazywają cię pułkownikiem. - Przerwał, by rozedrzeć się na całe gardło: - Ile czasu ci potrzeba na zrobienie jednego pieprzonego kubka kawy? Co ty, u diabła, robisz, hodujesz krzewy kawowe?! - Skończył wycierać ręce, zmiął szmatę w kulę i cisnął ją z imponującą dokładnością do kubła na śmiecie po przeciwnej stronie dziedzińca. - Ta pieprzona pogoda, czy człowiek nie ma ochoty, żeby się zabić? Jack odezwał się z wahaniem:

- Córka ojca Bella... czy może mi pan powiedzieć, gdzie ona mieszka? Okrągłogłowy chwycił go z całej siły za ramię.

- Pojedzie pan tędy prosto, aż dojedzie pan do pierwszego zakrętu na prawo. Zakręci pan. Wprost przed panem będzie żółty dom. No, mówię „żółty” przez grzeczność. Raczej jakby ktoś obrzygał go meksykańską kolacją. To tamten dom.

Pojawił się chłopiec z kubkiem kawy.

- Mój syn - przedstawił go okrągłogłowy. - Co ja, u diabła, zrobiłem, by zasłużyć na takiego

syna?

- W tym roku skończę osiemdziesiąt siedem lat - oświadczył ojciec Bell. - Urodziłem się szóstego września tysiąc dziewięćset pierwszego, tego samego dnia, w którym zastrzelono prezydenta McKinleya. Oczywiście on zmarł dopiero w osiem dni później. - Odwrócił się od okna i popatrzył na Jacka smutnymi, błyszczącymi oczami. - Teraz moje dzieciństwo pamiętam tak dobrze, ze wszystkimi szczegółami, jakbym oglądał je jasno oświetlone, poprzez kryształowe okno. A przecież to było osiemdziesiąt lat temu! Tak dawno i na zawsze stracone.

- Pana córka prosiła mnie o przywiezienie tego - powiedział Jack. Podniósł miękką paczuszkę w czerwonym papierze.

- Ach, nocne skarpetki - ucieszył się ojciec Bell. - No, to bardzo miłe z jej strony. Zawsze przysyła mi prezenciki i pozostaje w kontakcie. Dobra dziewczyna, ta Hilda. Subtelna, szlachetna dziewczyna. Zna ją pan od dawna?

- Poznałem ją dopiero dzisiaj - odparł Jack.

- Doprawdy? - spytał lekko zdziwiony ojciec Bell. I powtórzył: - Doprawdy?

Ojciec Bell był wysoki, kanciasty, bez odrobiny nadwagi. Jego pomarszczona skóra wyglądała, jak przyklejona do czaszki i z tego powodu oczodoły i kości policzkowe zdawały się czarne i zapadnięte. Prawie łysy, miał teatralnie krzaczaste brwi, a nos zakrzywiony jak wyciągnięte skrzydło nietoperza, złożony tylko z żył, kości i półprzezroczystych nozdrzy.

Nosił ciemnoszary golf i obszerne, rozkloszowane brązowe spodnie, które musiał kupić gdzieś w latach siedemdziesiątych. „Imagine me and you, I do, I think about you day and night...”<sup>2</sup>

- Wczoraj rozmawiałem z panną Olive Estergomy - powiedział Jack.

- Z Essie? Rozmawiał pan? A to niespodzianka! Wie pan, nazywam ją Essie.

- Wiem - odrzekł Jack i nie potrafił się powstrzymać od dodania: - Ja także. - Przerwał na chwilę, a potem powiedział: - Essie mówiła mi, że udzielał pan niedzielnych komunii w Dębach, w epoce, gdy były szpitalem psychiatrycznym.

## 2 Słowa jednego z ówczesnych przebojów (przyp. tłum.)

Ojciec Bell nie odpowiadał, wpatrywał się tylko w Jacka bez mrugnięcia okiem. Za oknem jego cienistego pokoju po parku Bay Beach snuł się deszcz. Samą zatoką prawie zupełnie przesłaniała mglista mżawka.

Pokój był czysty i nowoczesny, z kanapą-łóżkiem o oranżowym obiciu, sosnowym biurkiem, fotelem i skrupulatnie uporządkowaną półką na książki. Ale jeśli nie liczyć czarnobiałej fotografii kobiety o okrągłej twarzy, mieszkającej w domu wyglądającym tak, jakby ktoś go obrzygał meksykańską kolacją, nie było żadnych osobistych drobiazgów. Był to pokój tego rodzaju, że gdyby ktoś w nim umarł za cztery dziewiąta rano, w jedenaście minut później mógł być gotów na przyjęcie następnego gościa.

Także wszystkie książki były bezosobowe: modne bestsellery w rodzaju „Paktu Holcrofta” czy „Awanturników”. Wziąwszy pod uwagę, że ojciec Bell był eks-księdzem, zwracało uwagę, że na półce nie ma Biblii.

- Essie powiedziała mi także, że odwiedził pan Dęby owego wieczoru, gdy zniknęli wszyscy pacjenci - zaryzykował Jack.

Ojciec Bell wciągnął i wypuścił powietrze; wciągnął i wypuścił z wysiłkiem, jakby musiał to zrobić świadomie, by pozostać przy życiu.



- Ojciec Bell - upierał się Jack - wiem, że jestem w pewien sposób arogancki. Ale faktem jest, że zniknął także mój syn. W Dębach.

Starzec odwrócił się profilem. Przez boleśnie długą chwilę milczał, od czasu do czasu zwilżając wargi końcem języka.

- Ojciec Bell - spróbował znowu Jack - ja wiem, że mój syn tam jest. I potrzebuję twojej pomocy, by go odzyskać.

Wreszcie eks-ksiądz poruszył się w fotelu, jego dłonie wpełzły jedna na drugą na kolanach, jak dwa wychudzone koty.

- To, o czym pan mówi, panie Reed... to wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu.

- Oni są tam nadal - oświadczył Jack.

Przez chwilę widział wyraźnie, że ojciec Bell zastanawia się nad wyparciem się wszelkiej wiedzy na temat, kim są „oni”. Ale Jack wypowiedział swe słowa tak bezpośrednio i z takim naciskiem, że nie było mowy o wykrętach.

- Oni są tam nadal? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Wiesz więc, co się z nimi stało, prawda, ojciec? - stwierdził Jack. - Wiesz, dokąd się udali.

- Tak - potwierdził ojciec Bell. - Wiem, dokąd się udali.

- I powiesz mi o tym?

Powoli Bell zaczął pojmować okropność tego, co powiedział Jack.

- Mówi pan, że oni są tam nadal? Po tylu latach? Mój Boże... nie przypuszczałem, że będą w stanie przeżyć. Wedle wszelkich reguł powinni byli zginąć z głodu. Powinni byli zginąć w ciągu paru dni. Są tam nadal! Mój Boże, są nadal!

- Proszę mi o tym opowiedzieć - nalegał Jack. - Powinieneś to zrobić, ojciec.

- Oho, przyjacielu, nie jestem pewien, czy muszę to zrobić. Nie jestem pewien, czy mogę. Jeśli oni są tam nadal, mój Boże!

- Ojciec Bell, muszę uratować syna.

- Panie Reed, przestałem być księdzem. Dopomożenie panu nie jest moim obowiązkiem.

- O czym ojciec mówi, obowiązek? - zapytał Jack. - To tylko dziecko!

- Pan ich nie zna, panie Reed. Nie zna pan ich tak blisko jak ja.

- Próbujesz mi powiedzieć, że nie pomożesz? Ojciec Bell, masz osiemdziesiąt siedem lat, a mój syn dziewięć. Czy to się w ogóle nie liczy? On ma przed sobą całe życie!

Nieoczekiwanie starzec wczepił się w poręczę fotela i zawył ochryple:

- Jestem przerażony, panie Reed! Jestem śmiertelnie przerażony! Boże, czy pan wie, o co mnie pan prosi? Jest pan szalony! Jest pan szalony! Jest pan prawie tak szalony jak oni!

Jack wstał, przeszedł przez pokój i stanął tuż nad Bellem. Stary człowiek najpierw podniósł wzrok na niego, a potem odwrócił. Jack odezwał się spokojniej:

- Samo opowiedzenie mi o tym nie może ojcu wyrządzić żadnej szkody.

- Ach, nie. Ale jeśli to wykryją...

- Nie wykryją. Jak, u diabła, mogliby to zrobić? Ojciec Bell potrząsnął głową.

- Będę wiedzieli. Zgadną! Nikt prócz mnie nie wie, co się wydarzyło. Jeden z nich wyznał mi to przy spowiedzi. Dlatego nie mogłem opowiedzieć policji. Dlatego wyrzekłem się kapłaństwa.

Widziałem nieszczęsnego Elmera Estergomy'ego postawionego pod pręgierzem przez władze; widziałem ruinę całej jego rodziny. I przez cały czas nie mogłem przemówić w jego obronie z powodu tego, co wariat wyznał mi na spowiedzi.

- Do diabła, ojciec Bell - powiedział Jack - musisz teraz powiedzieć to mnie. Bo jeśli teraz mi nie powiesz, ci szaleńcy zabiją mego syna; a przysięgam Bogu, jeśli to nastąpi, wtedy ja zabiję

ciebie. Obiecuję to, i do diabła z konsekwencjami.

Jack nigdy dotychczas nie groził nikomu w taki sposób i przstraszył się własnych słów prawie tak samo jak ojciec Bell. Ale w tym momencie starzec wyszeptał: - Nie wypuścisz ich, prawda? Cokolwiek się zdarzy, nie wypuścisz ich?

I Jack wiedział już, że ojciec Bell powie mu wszystko, czego chciał się dowiedzieć. Przynął swe krzesło o parę stóp bliżej i usiadł ponownie.

- Ten pacjent, który rozmawiał z tobą podczas spowiedzi... czy to był Quintus Miller?

- Skąd o tym wiesz? - Głos ojca Bella drżał z lęku.

- Natchniony domysł, jak sądzę. Essie Estergomy powiedziała mi, że był najtwardszy i najinteligentniejszy z całej grupy.

- Tak, był, i to w wysokim stopniu Mój Boże, Quintus Miller. Niezwykły człowiek. Niski, ale bardzo barczysty, bardzo muskularny. Wyglądał jak ciężarowiec. Szyja gruba jak u byka! Czarne włosy, wypomadowane, z przedziałką dokładnie pośrodku. Oczywiście taka wówczas była moda. Kamienna twarz. Twarde oczy, jak główki gwoździ, całkowicie bez wyrazu, całkowicie pozbawione współczucia. A na tułowiu tatuaż, jakiego nigdy w życiu nie widziałeś. Dwie wytatuowane dłonie, jakby sięgające zza pleców i rozdierające szeroko jego brzuch. Jego wnętrzności, wytatuowane na czerwono, żółto i niebiesko... jego żołądek, wątroba, кишки. Sam ten widok wystarczył, by mi ściąć krew w żyłach. - Ojciec Bell ze świstem wciągnął powietrze do jednego nozdrza. - W ten sposób pysznił się swoją śmiertelnością, i to właśnie tak bardzo mnie przerażało. Nie ma nic straszniejszego, jak spotkanie oko w oko z człowiekiem, któremu obojętne jest, czy żyje czy umiera. Przebywało tam w Dębach niemało podobnych, zarówno mężczyzn, jak kobiet, ale oni zwykle nastawieni byli na autodestrukcję. Żadne z nich nie przerażało mnie tak, jak przerażał Quintus Miller. Czuło się, że jeśli zagrozi mu śmierć, zrobi wszystko, by zabrać ze sobą tylu ludzi, ilu tylko zdoła. Ten człowiek miał w sobie tyle uczuć moralnych, co rekin-młot.

Jack milczał przez chwilę, by dać ojcu Bellowi czas na uspokojenie się. Potem poprosił:

- Opowiedz mi, co Quintus Miller wyznał ci na spowiedzi.

- Odbył wiele spowiedzi. Dwa lata spowiadał się, prawie co tydzień. Wielokrotnie ostrzegałem doktora Estergomy, jak bardzo jest niebezpieczny. Ale oczywiście doktor Estergomy już o tym wiedział, dzięki próbom dokonania jego rehabilitacji. Słuchanie opowiadań Quintusa zupełnie wytrącało z równowagi. To, co mówił, brzmiało tak racjonalnie, a przecież nagle człowiek zdawał sobie sprawę, że opowiada ci najobrzydliwsze, obsesyjne, alogiczne nonsensy. Podczas spowiedzi niemal jednym tchem przyznawał się do grzechów tak nieistotnych, jak kradzieże słodczy innym pacjentom czy masturbacja, kłamstwo albo bluźnierstwo, a potem nagle opowiadał, jak torturował współpacjentów łamiąc im palce lub miażdżąc jądra w pięści. Nie miał poczucia proporcji. Zgaszenie papierosa na czyjejs powiece było dla Quintusa Millera sprawą ani bardziej, ani mniej poważną niż kradzież tabliczki czekolady. Jak wiesz, próbował zabić pacjentkę. Zaatakował ją gołymi rękami. Ale ponieważ został już skazany na dożywocie, a sądy orzekły, że jest chory umysłowo, najgorsze, co można było mu zrobić, to zamknąć w pojedynce. - Ojciec Bell zawahał się, a potem podjął opowiadanie: - Po mniej więcej roku pobytu w Dębach Quintus nagle zaczął mówić o wolności, o tym, że się stamtąd wydostanie. Gdy go wypytywałem na ten temat, powiedział, że znalazł sposób ucieczki. Poradziłem doktorowi Estergomy, by sprawdził zabezpieczenia budynku, ale doktor zapewnił mnie o swoim całkowitym przekonaniu, że nawet najbardziej zdeterminowany pacjent nie może się oswobodzić. Oczywiście w tamtym okresie całą posiadłość otaczał dziesięciostopowy płot z drutu kolczastego. A jednak Quintus bez przerwy opowiadał o ucieczce. Mówił, że odkrył coś na temat tego budynku, co pomoże mu się wydostać. Bez przerwy gadał bez

związku o labiryntach i tym, co nazywał „magią ziemi”. Dostał na ten temat takiej obsesji, że niekiedy musiałem prosić pielęgniarki, by go wyprowadziły, bo jego spowiedzi trwały po pół godziny.

- Nadal nie wierzysz, że on rzeczywiście mógł uciec? - spytał Jack. Ojciec Bell potrząsnął głową.

- Nie wierzę w jego tak zwaną magię ziemi, oto dlaczego.

- A czym jest „magia ziemi”? Czy on ci to wyjaśnił?

- Już o niej wiedziałem - odparł ojciec Bell. - Magia ziemi to magia przedhistoryczna, magia druidów. Pogańscy kapłani wierzyli, że w samej ziemi są siły duchowe. Wierzyli, że po całym świecie, w pewnych ściśle określonych miejscach, owe siły duchowe manifestują się w szczególnie uświęcony sposób. W Brytanii było to Stonehenge i Glastonbury. Tu, w Stanach Zjednoczonych, mamy Mystery Hill w New Hampshire, Gunjiwaump w Connecticut i North Salem w stanie Nowy Jork i... no, są jeszcze tuziny innych.

- Z Dębami, Wisconsin, włącznie - podsunął Jack. Ojciec Bell potwierdził skinieniem.

- Wszystkie te magiczne miejsca połączone są między sobą siecią absolutnie prostych linii. Nazywają je liniami *ley*, co oznacza właściwie linie *lea*, czyli łąkowe. Quintus powiedział, że Dęby wybudowane zostały dokładnie w punkcie przecięcia szeregu owych linii *ley*; że w istocie rzeczy są głównym centrum magii ziemi na całym kontynencie północnoamerykańskim, i stało się tak nie przypadkowo, a z całym rozmysłem.

Jack zastanowił się nad tym, odchyliwszy się na oparcie krzesła.

- Domyślam się więc, że jak z tego wynika, ten jak-mu-tam, piwny baron... Adolf Kröger, też musiał wiedzieć o magii ziemi?

- Prawie na pewno - zgodził się ojciec Bell. - Trudno sobie wyobrazić, aby wybudował Dęby dokładnie w tym punkcie przez przypadek. Wielokrotnie rozmyślałem, w jaki sposób Quintus Miller dowiedział się o magii ziemi. Oczywiście nie chciał mi powiedzieć. Ale jedyny logiczny wniosek mógł być taki, że odkrył na ten temat jakąś książkę w bibliotece Adolfa Krögera. Nie orientuję się, czy wiesz, ale sam Kröger opuścił to domostwo w bardzo tajemniczych okolicznościach.

- Ale w jaki sposób ta magia ziemi miała dopomóc Quintusowi Millerowi w ucieczce?

Ojciec Bell przez chwilę przyglądał się kroplom deszczu, spływającym po oknie. Wreszcie się odezwał:

- Wtedy, gdy mi opowiedział, odebrałem to jak majaczenie wariata, więc prawie nie słuchałem. Ale pamiętam, jak mówił, że sam ten budynek jest kluczem do zaświatów. Mówił, że jest podobny do labiryntu i jeśli tylko potrafi odnaleźć drogę do centrum labiryntu, gdzie zbiegają się linie *ley* i gdzie cztery żywioły wszechświata stają się jednym, uzyska dostęp do linii *ley* i będzie w stanie uciec wzdłuż nich, „tak, jakby przespacerował się po szosie”. To właśnie powiedział. „Jakby przespacerować się po szosie”.

- Jeszcze jednego chciałbym się dowiedzieć - rzekł Jack. - Jak to się stało, że znalazłeś się w Dębach owej nocy, gdy wszyscy zniknęli?

- Właściwie przez przypadek - odparł ojciec Bell. - Około siódmej wieczorem zatelefonowałem do doktora Estergomy, by go zawiadomić, że najbliższej niedzieli będę później, ponieważ muszę odwiedzić na piknik kilkoro dzieci ze szkoły niedzielnej. On zaś powiedział: „Nie uwierzysz, ojcze, ale oni wszyscy odeszli”. Na to natychmiast przypomniałem sobie, co mi opowiadał Quintus Miller, wskoczyłem do wozu i pojechałem prosto do Dębów. To, co tam ujrzałem - kontynuował cicho - wtrąciło mnie w całkowitą konsternację. Pokoje pacjentów były nadal pozamykane na klucz, ich okna nadal zakratowane, ale oni odeszli. Co do jednego. Możesz sobie

wyobrazić, jak się poczułem. Ale pomimo konsternacji przypomniałem sobie, co mi powiedział Quintus: że ten budynek jest jak labirynt i że zanim będzie w stanie uciec po którejkolwiek z linii *ley*, musi dotrzeć do centrum labiryntu. Modliłem się, by on ani nikt z jego orszaku nie zdążył jeszcze tego dokonać.

Wybiegłem więc i obszedłem budynek konsekrując jego granice, biegnąc, kropiąc je wodą święconą i recytując modlitwy dla utrzymania na wodzy złych duchów. Ledwie ukończyłem, gdy usłyszałem gwałtownie zbliżające się dźwięki, jakby setka bosonogich ludzi biegła do mnie pod ziemią.

To byli oni... to byli pensjonariusze Dębów i właśnie uciekali, o tym byłem przekonany. Ogarnęło mnie przerażenie. Ale dźwięk nagle ustał, bo dotarli do poświęconego kręgu, który zakreśliłem wokół budynku. Nie zdołałem przeszkodzić im w zniknięciu, ale udało mi się uniemożliwić im opuszczenie tych murów.

Pod ziemią rozległo się wycie, które do dziś wywołuje u mnie nocne zmory, i kołatanie pięści o ziemię, drum-a-drum-a-drum-a-drum, jak odgłosy trzęsienia ziemi. - Wziął głęboki oddech, tak świszczący jak u dobermana Josepha Lovelittle. - Myślałem, że za chwilę pacjenci pojawią się ponownie w swych pokojach, gdy pojmą, że nie ma dla nich ucieczki. Ale to nigdy nie nastąpiło. Być może potrafili przechodzić przez labirynt tylko w jedną stronę. Po kilku tygodniach mogłem jedynie przypuszczać, że wszyscy zginęli. To był jeszcze jeden powód, dla którego wyrzekłem się kapłaństwa. Wierzyłem, że mam na sumieniu śmierć stu trzydziestu siedmiu bezradnych osób.

- A co z tym kręgiem - zapytał Jack - tym poświęconym kręgiem? Czy jest tam nadal?

- Oczywiście jest tam i tam pozostanie. Może zostać usunięty tylko przez księdza, który go pierwotnie poświęcił, albo przez działających jednomyślnie trzech kardynałów.

- I oczywiście nawet nie myślisz o jego usunięciu? Ojciec Bell spojrzał mu w oczy.

- Gdybym miał wypuścić na świat Quintusa Millera i resztę tych kreatur... tak szalonych, jak zawsze były, a także przepełnionych chęcią zemsty i wrogości, które muszą odczuwać obecnie... no, byłby to postępek skrajnie nieodpowiedzialny. W ten sposób zapewne stałbym się współwinnym masakry.

Otworzyły się drzwi i wyjrzała zza nich piegowata pielęgniarka.

- Czy jesteś gotów przyjść na kolację, Billy? Ojciec Bell podniósł głowę.

- A co mamy dzisiaj?

- Kotlety rybne.

- Do cholery, nienawidzę kotletów rybnych.

- Nie spóźnij się - odrzekła pogodnie pielęgniarka i zamknęła drzwi.

- Tak ojciec ma na imię: Billy? - zapytał Jack. Ojciec Bell wygiął usta w cynicznym uśmiechu.

- Mój rodziciel sądził, że to bardzo dowcipne, nazwać syna Bili Bell. W owych czasach rodzice robili takie kawały swym dzieciom. Co nie oznacza, by dzisiejsi byli lepsi, nadając im imiona Wentworth czy Chevy.

- To może pojedziemy na wspólną kolację? - zapytał Jack. - Przez cały dzień nic nie jadłem. Tu w Green Bay musi być przynajmniej jedna czy dwie przyzwoite restauracje.

- Czemu miałbyś zapraszać na kolację osiemdziesięciosiedmioletniego starca? - zapytał podejrzliwie ojciec Bell.

- Bo jestem głodny. Bo nienawidzę samotnych posiłków. Bo chcę jeszcze porozmawiać na temat Dębów. Potrzeba więcej uzasadnień? Langusta smakuje lepiej niż kotlety rybne.

Po raz pierwszy ojciec Bell uśmiechnął się.

- Jesteś upartym człowiekiem, mój panie.

- Ty też byłbyś, ojciec, gdyby twój syn został uwięziony w ścianie z Quintusem Millerem.

Ojciec Bell otworzył oczy.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał, prostując się na siedzeniu. - Musiałem przysnąć na chwilę.

Jack wyciągnął klucze ze stacyjki swego kombi.

- Zdecydowałem nadłożyć spory kawałek - powiedział zmęczonym głosem.

Ojciec Bell przetarł ręką zaparowane okno.

- Gdzie my, u diabła, jesteśmy? To nie jest Green Bay!

- Masz rację, nie jest. Wróciliśmy do Dębów. Starzec spojrzał na niego groźnie i z oburzeniem.

- Dębów? Miałeś tyle cholernej bezczelności, by przywieźć mnie aż tutaj, do Dębów?

- Po takiej ilości langusty i po tylu kielichach chablis spałeś. Doszedłem do wniosku, że nie zrobi ci to różnicy.

- Zwariowałeś? Do reszty, kompletnie zwariowałeś? To jest porwanie, na miłość boską!

Wypuść mnie stąd!

Jack odblokował drzwiczki kombi.

- Proszę bardzo. Leje deszcz, jest trzecia trzydzieści rano, jesteśmy o dziesięć mil od najbliższej istoty ludzkiej, a ty nie wzięłeś płaszcza przeciwdeszczowego. Nie mówiąc już o tym, że masz osiemdziesiąt siedem lat oraz zapalenie torebek stawowych.

- Skąd o tym wiesz? - spytał poirytowany ojciec Bell.

- Sam mi to powiedziałeś podczas kolacji. Podczas kolacji powiedziałeś mi o sobie masę rzeczy.

- Nie możesz tego zrobić - zaprotestował ojciec Bell. - Nie masz prawa.

- Mój syn daje mi to prawo.

- Posłuchaj, przyjacielu - odparł ojciec Bell. - Bardzo mi przykro z powodu twego syna. Ale nie mogę ci pomóc. Niczego nie mogę zrobić. Od sześćdziesięciu trzech lat nie jestem księdzem i nie mam najmniejszej ochoty zostać męczennikiem.

- Żeby zostać księdzem, trzeba mieć trochę współczucia dla innych ludzi.

- Och, z pewnością. I zobacz, do czego mnie to doprowadziło.

- Doprowadziło cię tutaj, ojciec Bell. Dokładnie w to samo miejsce, które pozostawiłeś za sobą. Jeśli jeszcze nie udzielono ci klasycznej lekcji, jak stawić czoło swoim zobowiązaniom, oto ona.

- Nie praw mi morałów - ryknął w odpowiedzi ojciec Bell. - Zrobiłem, co mogłem: przeszkodziłem tym sukinsynom stąd się wydostać! Niczego innego nie mogłem zrobić! Nie możesz ode mnie wymagać, abym zrobił coś innego! Jezu Chryste, to było dawno temu, w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym! Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat! Zrobiłem, co mogłem!

- Proszę... możesz przynajmniej z nimi porozmawiać - nalegał Jack. Widział, że ojciec Bell jest półmartwy ze strachu. Widział, że źle zrobił, przywożąc go aż tutaj. Zabranie starego eks-księdza wbrew jego woli i powiezenie przez pół długości stanu w środku nocy było zapewne przestępstwem, karalnym dwudziestu lub nawet więcej latami stanowego więzienia - i prawdopodobnie na to właśnie zasłużył.

Ale był zbyt zmęczony i zbyt zrozpaczony, by kłopotać się stroną moralną swego czynu. Wiedział tylko, że Lester zażądał od niego, by przywiózł im księdza, w przeciwnym razie Randy zostanie zmiądzony.

Ojciec Bell zgarbił się na siedzeniu i popatrzył w ciemnościach na Dęby.

- Nie widzę ich. Drzewa musiały urosnąć.

- Nie sądzę, by budynek bardzo się zmienił - odparł Jack. Otworzył drzwiczki po swojej stronie.

- Idziesz?

- Czy to znaczy, że mam jakiś wybór? Jack wsadził głowę do wozu.

- Jesteś tutaj. Możesz dokończyć to, co zacząłeś. Możesz też równie dobrze pokazać, na co cię stać.

Ojciec Bell siedział w wozie na miejscu pasażera, z poźólkłą twarzą, sprawiając wrażenie słabowitego i bardzo zmęczonego.

- Prawdę mówiąc, zupełnie nie jestem pewien, czy mam na to dość sił.

- Zechcesz z nimi porozmawiać? Tylko o to jedno proszę. Jeśli nikt poza tobą nie może zdekongkrować kręgu wokół budynku, to czym się martwisz? Wybór należy wyłącznie do ciebie.

- Nie wiem - odparł ojciec Bell. - Nie jestem całkiem pewien, czy chciałbym znów stawić czoło Quintusowi Millerowi... nie po tylu latach.

Jack obszedł kombi i otworzył drzwiczki.

- Chodźże, Billu Bell. Załatwmy ich, zanim oni nas załatwią. Ojciec Bell zawahał się na chwilę, a potem wysunął nogi na zewnątrz i sięgnął po rękę Jacka, by ten dopomógł mu w wysiadaniu.

- Straszliwa noc - zauważył.

Poszli razem żwirowaną drogą. Stary człowiek całym ciężarem opierał się na ramieniu Jacka. Wiatr przybrał na sile i deszcz siekł ciemności prawie poziomo, kroplami jak chmura lodowato zimnej szarańczy. Jack kupił nowe baterie do swej latarki i teraz kierował snop światła tu i tam, aby ojciec Bell mógł dobrze obejrzeć budynek, którego nie odwiedzał od ponad sześćdziesięciu lat.

- Teren zarósł chwastami - zwrócił uwagę ojciec Bell. - Ale poza tym nie można powiedzieć, aby tu się w ogóle zmieniło. Ten sam widok, ten sam zapach. Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo nie lubiłem tego miejsca.

- Ty i ja po równo - oświadczył Jack.

Powiódł ojca Bella wzdłuż budynku aż do cieplarni. Otworzył drzwi i weszli do środka. Ojciec Bell rozglądał się w ciemności.

- Zrujnowana - powiedział, dotykając potłuczonych doniczek i zeschniętych roślin. - Powinieneś być ją widzieć wówczas! Wszystkie gatunki cieplarnianych roślin, jakie mógłbyś sobie wymyślić! I winogrona także!

- Dalej - nalegał Jack i poprowadził go do świetlicy. Eks-ksiądz zawahał się, zatrzymał w miejscu i rozejrzał wokoło.

- Nie do wiary. Nic się nie zmieniło. Nawet niczego nie dotknięto. Czy możesz sobie wyobrazić, że wracasz do domu, w którym mieszkałeś sześćdziesiąt lat temu i zastajesz go dokładnie takim, jak w dniu, gdy go opuściłeś? To niesamowite!

Przeszli do holu. Jack szybko oświetlił kolejno marmurowe posągi, ale oba pozostawały nadal ślepe jak sprawiedliwość. Kroki idących chrzęściły po zapiaszczonej marmurowej posadzce.

Wysoko nad ich głowami ogromna żelazna latarnia poskrzypywała w powiewie wczesnego ranka.

- Czy wiesz, co to była za noc, gdy oni wszyscy uciekli? - Starzec zadrzał z zimna. - Dwudziesty pierwszy czerwca, noc świętojańska. Dopiero całe lata później uderzyło mnie to, jako istotne. Bo jest to chwila, gdy siły ziemi są największe. Przesilenie letnie. Jeden z czasów druidycznych. Jeden z terminów, gdy linie *ley* ozywają i żywioł ziemi przyłącza się do nich.

- Montuję tłumiki - oświadczył Jack. Chciał przez to powiedzieć, że ma bardzo skromną wyobraźnię, przynajmniej w zakresie magii.

- Oczywiście - zgodził się ojciec Bell. - A ja spędzam życie na wyglądanu przez okno w Green Bay. Ale to, że ty i ja, przyjacielu, jesteśmy praktyczni i pragmatyczni, nie przeszkadza przesileniu letniemu, by się ciągle ponownie pojawiało, nie robi to też żadnego wrażenia na żywiołach. Ziemi,

ogniu, wodzie i powietrzu. Ani na piątym żywiole, w którym wszystkie się spotykają: kwintesencji.

Zatrzymali się na środku holu. Budynek stał ciemny i milczący. Ale Jack wiedział teraz, że był on czymś więcej, niż tylko budynkiem; o wiele więcej niż budynkiem. Był to mistyczny labirynt, wybudowany w jednym z najpotężniejszych punktów Ameryki; w punkcie, który zapewne miał wzbudzające grozę znaczenie w epoce, gdy Celtowie, norwescy wikingowie i starożytni Egipcjanie odkrywali Amerykę. Jack poczuł strach; taki strach, jakiego nie doznał nigdy dotychczas w życiu.

- Miałeś rację, oni są tutaj - szepnął ojciec Bell. - Wyczuwam ich.

- Ciekawe, czy wiedzą, że my tu jesteśmy? - spytał Jack, kierując światło latarki na drzwi do piwnicy. Były lekko uchylone.

Ojciec Bell uczynił znak krzyża i wyrecytował.

- *Crux sacra sit mihi lux; non draco sit mihi lux; vade retro Satana; nunquam svade mihi vana; ipse venena bibas.*

Jack zerknął na niego.

- A więc nadal pamiętasz żargon, co?

- To coś, czego się nie zapomina.

Drzwi piwnicy skrzypnęły bardzo cicho. Jack wysilił wzrok, by dostrzec, czy coś tam skrywa się w mroku.

- Być może powinienem ich zawołać - podsunął.

Ojciec Bell zacisnął wargi, ale nic nie powiedział. Był zbyt pochłonięty rozglądaniem się dokoła, wspomnieniami, lękami...

- Jak myślisz? - powtórzył Jack. - Czy sądzisz, że powinienem ich zawołać?

Ojciec Bell kiwnął głową.

- Lester! - zawołał Jack. - Lester, jesteś tu?

Jego głos odbił się echem wśród otoczonych galeriami podestów. Czekał, ale nie było odpowiedzi. Żadnego śladu ruchu, żadnego otwierania oczu, żadnego ciągnącego się dźwięku.

- Lester, proszę mnie o przyprowadzenie wam księdza i przyprowadziłem wam księdza! Nadal żadnego odzewu. Ojciec Bell dotknął mankietu Jacka i wyszeptał:

- Prosił cię? Nie powiedziałaś mi tego!

- Czy przyjechałaś, gdybym ci powiedział?

- Tak czy tak znalazłem się tu pod przymusem. Jack przyłożył dłoń do ust i zawołał:

- Lester! Lester, gdzie jesteś?

W tym momencie rozstały się drzwi piwnicy i coś wielkiego pomknęło po podłodze w ich stronę.

- Jezusie! - krzyknął ojciec Bell, Jack był zbyt przestraszony, by choćby przemówić.

Ale niemal zaraz dostrzegł, że ciemnym przedmiotem jest doberman Josepha Lovelittle, Boy. Jego żółte oczy jaśniały, gdy wpatrywał się w promień światła latarki; szczęki miał oblepione kremową pianą.

Prawie był przy nich, gdy nagle zatrzymał się, szorując pazurami po marmurowej podłodze. Wrzasnął z przerażenia. Jack nigdy dotychczas nie słyszał, by pies wrzeszczał, i mróz przejął go do szpiku kości.

Z podłogi wychyliła się twarda, marmurowobiała dłoń i zacisnęła na tylnej łapie psa. Powoli, skutecznie wciągała zwierzę w dół.

Boy szczekał, skomlał i rozpaczliwie drapał płyty posadzki, ale dłoń gładko utonęła na powrót w marmurze, wciągając łapę za sobą.

Jack wcisnął latarkę ojcu Bellowi i okrążył walczącego dobermana, szukając sposobu, by

schwyć jego szarpiące się ciało. Rzucił się do przodu, a pazury psa zadrapały wierzch jego dłoni. Rzucił się ponownie i zdołał go złapać.

- *Domine sancte, Pater omnipotens, aeterne Deus...* - mamrotał ojciec Bell, żegnając się co chwila.

Jack ciągnął zwierzę z całej siły. Czuł, jak mięśnie psa drżą z bólu i przerażenia. Kręgosłup Jacka trzeszczał z wysiłku. Ale dłoń, która wychynęła z podłogi była dla niego zbyt silna. Mógł tylko starać się nie wypuścić z uchwytu wciąganego w posadzkę gładkowłosego ciała psa.

- *Ab insidiis diaboli, libera nos Domine!* - krzyczał ojciec Bell w pobożnej desperacji. Ale jego modlitwy były bezskuteczne, gdyż Boy bez chwili przerwy wciągany był wprost w podłogę.

Na końcu zniknęła psia głowa - szeroko otwarty pysk, wysadzone oczy. Wydała ostatnie, bulgoczące szczeknięcie. A potem zniknęła i podłoga była znów tak gładka, jak poprzednio.

- *Per Dominum nostrum, Iesum Christum Filium tuum, qui tecum vivit, et regnat in unitate Spiritus sancti Deus, per omnia saecula saeculorum, amen* - szeptał ojciec Bell.

Bezskutecznie.

- Ostrzeżenie - powiedział trzęsąc się Jack. - Założę się, o cokolwiek zechcesz, że to było ostrzeżenie. Nie próbujcie żadnych sztuczek, oto co nam mówią, w przeciwnym razie stanie się z wami to, co z psem.

Cofnął się o krok. Gdy to zrobił, spód podłogi przed nim rozległ się bełkotliwy, lepki dźwięk. Z marmuru wysypały się szczątki psa: szare mięso, tęczowe wnętrzości, pasy rozdartej skóry. I jedna odcięta łapa, drżąca i kopiająca w pośmiertnych nerwowych skurczach.

A gdzieś z głębi domu, słabo, lecz wyraźnie, doleciał urywek piosenki.

*Lawender blue, dilly-dilly;*

*Lavender green.*

*Here I am king, dilly-dilly;*

*You shall be queen.*

- Quintus Miller - wyszeptał ojciec Bell.

## ROZDZIAŁ VII

Poszli na górę schodami. Ojciec Bell musiał w połowie drogi zatrzymać się, by parę chwil odpocząć, a Jack cierpliwie na niego czekał.

- Pokażę ci pokój Quintusa - powiedział ojciec Bell, gdy znów podjęli marsz. - Potem, jak prawie zabił tę kobietę, pokój był zawsze zamknięty na klucz. Wypuszczano go tylko na gimnastykę i oczywiście na seanse terapeutyczne z doktorem Estergomym.



- Doktor Estergomy nadal go leczył? - zapytał Jack. Ojciec Bell odchrząknął, by oczyścić gardło z flegmy.

- Och, tak. Leczył go nadal. Elmer Estergomy wierzył, że nie ma umysłu tak chorego, by go nie było można uratować. Jak wiesz, ja byłem księdzem i to księdzem wyszkolonym jako egzorcysta. Ale obawiam się, że w tym punkcie się z nim nie zgadzałem. Widziałem tutaj okropności. Widziałem mężczyzn i kobiety, których Pan całkiem wyraźnie opuścił na zawsze i którym nic już w życiu nie pozostało prócz nieustannego piekła. Piekła na ziemi i piekła w życiu przyszłym.

Szli długim wschodnim korytarzem, póki nie dotarli do trzeciego okna. Ojciec Bell zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Korytarz był duszny i przygnębiający. Nadal, choć bardzo słabo mogli dosłuchać się *Lavender blue, dilly-dilly...* cichego i urągliwego, jak upokarzające przypomnienie.

- Zawsze śpiewał tę piosenkę, w kółko i w kółko - wspominał ojciec Bell. - I zawsze zmieniał jej słowa tak, by powiedzieć *here I am king*: jam tutaj królem. Sądzę, że w jakiś sposób nim był. W całych Dębach nie znalazłbyś nikogo silniejszego niż Quintus Miller; ani bardziej stanowczego.

Zatrzymał się i uniósł rękę jak do błogosławieństwa. Przed nimi jedne z drzwi stały otworem. Pomalowane na kremowo jak wszystkie, lecz o wiele bardziej pokopane i podrapane.

- Pokój Quintusa Millera - szepnął ojciec Bell.

Jack odniósł dziwne wrażenie, że ten widok jakby sprawił starcowi ulgę; tak jakby przez całe życie spodziewał się, że będzie musiał powrócić tu pewnego dnia. I nareszcie koniec oczekiwania.

- Były zamknięte na klucz, gdy ich próbowałem ostatnim razem - stwierdził Jack. - Wypróbowałem wszystkie drzwi w tym ciągu.

Ojciec Bell rzucił mu z ukosa prawie drwiące spojrzenie. Potem pchnął drzwi szeroko, by ukazać wnętrze pokoju Quintusa Millera. Nie stały tam żadne meble, tylko materac i klozet bez deski. W pokoju unosił się zapach kwasu, stęchlizny i jakiegoś nieokreślonego zła. Jack w ogóle nie chciał wchodzić do środka.

- Tam, na ścianie - powiedział ojciec Bell.

W półmroku Jack zdołał dostrzec ogromną sześcioramienną gwiazdę nabazgraną na ścianie jakąś ciemną substancją, jak sok jeżynowy, krew czy ekskrementy.

- Co to takiego? - zapytał Jack, spoglądając z niesmakiem. - Gwiazda Dawida?

Ojciec Bell zbliżył się do niej ostrożnie.

- Niezupełnie. To Pieczęć Salomona. Jest to, mówiąc po prostu, najpotężniejszy z kiedykolwiek znanych symboli tajemnych, potężniejszy nawet od znaku krzyża. W kultach pogańskich miał tyle samo znaczenia, ile ma w judaizmie i chrześcijaństwie. Wygląda jak gwiazda, ale dokładniej należy go interpretować jako dwa nałożone na siebie trójkąty. Trójkąt z ostrzem skierowanym w górę, widzisz chyba, przedstawia ogień i powietrze. A skierowany ostrzem w dół, ten tutaj, przedstawia ziemię i wodę.

Tam gdzie te trójkąty się splatają, w wewnętrznym sześciokącie, znajduje się połączenie wszystkich starożytnych sił... piąty żywioł, kwintesencja. Zapewne Quintus użył tej potęgi dla ucieczki w ściany.

- Quintus? Kwintus? Kwintesencja? Czy sądzisz, że może to być więcej niż tylko zbieg okoliczności? - zapytał Jack.

- Piąty syn i piąty żywioł?<sup>3</sup>

- Ojciec Bell wzruszył ramionami. - Być może masz rację. Ale niestety moja znajomość magii ziemi i jej odgałęzień nie jest bardzo szeroka. Ostatecznie byłem księdzem rzymskokatolickim, a nie druidem. - Rozejrzał się dokoła. - To otchłań piekielna - oświadczył. - Ileż razy wysiadywałem tu z Quintusem Millerem, próbując go przekonać, próbując przywrócić mu rozum. Ale dla mnie on już

posunął się zbyt daleko i zbyt daleko posunął się także dla Elmera Estergomy.

- Pomimo wszystko - powiedział Jack - może powinniśmy spróbować go zawołać.

Ojciec Bell pozwolił sobie na najślabszy możliwy uśmiezek.

- Nie sądzę, byśmy potrzebowali go wołać. Wie, że tu jesteśmy; prawda, Quintus?

Za ochronną stalową siatką, obrosłą kurzem, trzęsącą się ze starości, deszcz pukał o szyby. Mijające lata odbiły się na budynku, tak jak odbiły się na nich wszystkich. Ale mijające lata uczyniły Quintusa Millera jeszcze bardziej spragnionym wolności i zemsty, natomiast ojca Bella wysuszyły jak strąk papryki i uczyniły równie kruchym i pragnącym tylko spokoju, thrillerów z klubu książki oraz banalnego pokoju z sosnowymi meblami i 3 Zgodnie ze starorzymskim zwyczajem imię *Quintus* - „Piąty” - nadawane bywało piątemu synowi. W niektórych kultach wierzono, że piąty syn posiada siły magiczne (przyp tłum).

pomarańczowymi tkaninami. Nawet sześćdziesiąt lat rozczarowań i nudy okazało się lepsze niż sześćdziesiąt sekund absolutnego bólu.

Nie było odpowiedzi. Jack nasłuchiwał, ale w ścianach nie zabrzmiał dźwięk szszszszsz, nie dosłyszał żadnego ostrzegawczego przesuwania się ludzkich ciał przez twarde cegły i twardy beton.

- Może lepiej powinniśmy sprawdzić piwnicę - zaproponował, choć ta piwnica była ostatnim miejscem na całej planecie, do którego chciałby się udać. - Tam właśnie próbowali wciągnąć mnie w podłogę i tam znalazłem zabawkę Randy'ego.

- Zaczekaj - powiedział ojciec Bell podnosząc rękę. - Coś wyczuwam, jestem tego pewien. Jack czekał nasłuchując.

- No, nie wiem, ojczu. Niczego nie słyszę.

Mijały chwile w miękkiej, szeleszczącej ciszy, jak w nocy na publicznym placu, po którego płytach wiatr niesie wyrzucone gazety. Deszcz i nerwowy stuk otwartych drzwi na dole.

Ojciec Bell zbliżył się do nakreślonego na ścianie pantakla.

- To jest wejście do tamtego świata - powiedział. - Brama piekielna, rozumiesz? Daje dostęp do labiryntu, labirynt zaś ze swej strony doprowadza do miejsca przecięcia linii *ley*. Stamtąd zaś... no cóż, przyjacielu... stamtąd możesz podróżować, dokąd tylko sobie życzysz. - Położył dłonie płasko na pantaklu i przyjrzał mu się z poważną twarzą. - W piętnastym wieku okultyści całkiem rzeczowo traktowali przechodzenie z jednego żywiołu do innego. Widzieli żywioły po prostu jako swego rodzaju drabinę, po której można podążać w górę z mieszczącego się na dnie, zorientowanego na materię świata podziemnego aż do eterycznych sfer niebios u jej szczytu. Przy zapewnieniu właściwych warunków dusza ludzka mogła zamieszkiwać każdy z tych żywiołów, tak łatwo jak ryba pływa po oceanach.

Jack obejrzał się z niepewną miną.

- Chciałbym tylko dowiedzieć się, w jaki sposób Quintus Miller i cała reszta naprawdę dostała się do wnętrza ścian. Mówisz, że to jest brama. Ale jak ona działa? Przecież nie można ot tak dać kroku i znaleźć się wewnątrz twardej cegły, prawda?

Ojciec Bell nie przestawał przesuwając dłoni po rysunku na tynku.

- To się już zdarzało. Niektóre z relacji na ten temat są starożytnymi legendami, jak ta o Tezeuszu wchodzącym do labiryntu na Krecie, by zabić Minotaura. Inne są znacznie bliższe naszej epoce, jak ta o Szczurołapie z Hamelin, który wprowadził wszystkie dzieci z miasteczka w litą skałę. - Ale jak to się robi?

- Istnieją rytuały dla wchodzenia w świat podziemny, podobnie jak istnieją rytuały, by dostać się do nieba. W istocie różnica między nimi jest bardzo mała. W nawie katedry w Chartres we Francji znajduje się labirynt, a gdy się nim podąża, wykonuje się figury obrzędowego tańca,

stanowiącego część procedury dla osiągnięcia stanu boskiej duchowości.

Jack uderzył pięścią w ścianę.

- Przecież to tylko cegła, na miłość boską! Nie ma nic duchowego w cegle. To nie jest stan ducha, to spieczona na twardo glina!

- Jeśli Quintus Miller to potrafił - rzekł ojciec Bell - potrafimy i my. Musimy poszukać w bibliotece Elmera Estergomy. Zapewne znajdziemy tam stosowne obrzędy.

Jack cofnął się. Zaczął się zastanawiać, czy przywiezienie ojca Bella do Dębów było rzeczywiście tak dobrym pomysłem. Chociaż w ścianach rozległy się drapania i szelesty i cały budynek wydawał się podniecony, Quintus Miller i jego orszak pozostawiali dobrze ukryci; nie było też ani śladu Randy'ego czy wskazówek od Lestera lub kogokolwiek innego, w jaki sposób mógłby go odzyskać.

- Lester! - wrzasnął. - Lester, przyprowadziłem ci księdza! Nadal żadnego odzewu. Jack poczuł w gardle zimne uczucie kompletnej rozpacz.

- Lester! - powtórzył. - Lester, słyszysz mnie, do diabła? Obiecałeś zwrócić mi syna!

Prawie natychmiast w odpowiedzi na jego wołanie ściana wewnątrz pantakła zaczęła się płynnie uwypuklać. Przybrała kształt twarzy ludzkiej. Twarzy chłopca... twarzy Randy'ego. Jack wpatrywał się w nią nieruchomo, z mieszaniną lęku i oczekiwania. Może Lester dotrzyma jednak słowa i wypuści Randy'ego. Jedyny kłopot w tym, czego oczekuje w zamian...

Twarz z białej farby otworzyła swe oczy z białej farby.

*Tato? Nie podoba mi się tu. Proszę, pomóż mi.*

Brzmiało to jak stare nagranie na taśmie głosu Randy'ego.

Jack zrobił parę kroków do przodu, ale ojciec Bell złapał go za rękę.

- Nie... jeszcze nie teraz. To może być jakiś podstęp. Quintus był zawsze bardzo przebiegły.

*Tato - błagał Randy. - Musisz mi pomóc. Proszę, tato, pomóż mi!*

- A co chcesz, żebym zrobił, kosmonauto? - zapytał go Jack.

„Kosmonauta” był czułym przezwiskiem, które Jack nadał Randy'emu, gdy ten był bardzo mały, a ojciec podrzucał go chichoczącego w powietrze.

*Tato, oni chcą być wolni.*

Ojciec Bell chwycił Jacka jeszcze mocniej za rękę.

- Nie! - wyszeptał. - Nie możesz ich wypuścić! To by było absolutne szaleństwo! Będą mordować, będą gwałcić! Nie masz pojęcia, jacy oni są! Trudno ich nazwać ludźmi!

*Proszę, tato - błagała maska twarzy Randy'ego.*

- Dobra, posłuchaj - odezwał się Jack do ojca Bella. - Mówisz, że jeśli ich wypuścisz, rozszaleją się. Ale co oni tak naprawdę mogą zrobić? Są zapóźnieni w rozwoju umysłowym. Byli tu zamknięci ponad sześćdziesiąt lat. Essie Estergomy powiedziała, że niektórzy z nich są także inwalidami fizycznymi, a połowa z nich jest całkiem goła. Co mogą zrobić? Jeśli uciekną, wyłapie ich policja, nim zdołasz o tym pomyśleć. Szczególnie jeśli uprzedzimy policję, czego ma oczekiwać. Ojciec Bell nadal nie wypuszczał jego rękawa.

- Jacku Reed, nie masz pojęcia, jacy oni są silni i jacy są dogłębnie źli. Jak sądzisz, czemu ich przysłano tu, do Dębów? Czy widziałeś tę metalową siatkę, kryjącą okna na klatkach schodowych? Czy widziałeś, jak jest powgniatana? Mieli zwyczaj rzucania się na nią całym ciałem ze szczytu schodów. W jednej chwili uśmiechali się, rozmawiali i śmieli tak trzeźwo, jak wszyscy, a w następnej roztrzaskiwali o siatkę i staczali ze schodów, wrzeszcząc, trzęsąc się i tocząc pianę z ust. Jack ruchem głowy wskazał twarz Randy'ego w ścianie.

- Tam jest mój chłopiec, ojciec Bell - powiedział głosem drżącym ze zmęczenia i emocji. - To

mój syn.

- Wiem i rozumiem, co przeżywasz. Ale musimy znaleźć inny sposób na wydostanie go stamtąd.

Nie możemy posunąć się do wypuszczenia Quintusa Millera.

- Masz na myśli, że to ty nie możesz się posunąć. Nozdrza ojca Bella rozszerzyły się z gniewu.

- Doskonale, jeżeli tak sobie chcesz, to ja nie mogę się posunąć. I więcej, nie mogę przyjąć za to odpowiedzialności.

- Czy cię o to prosiłem? - odrzucił Jack.

*Tato - wyszeptał Randy. - Proszę, tato, zrobij mi krzywdę, jeśli ty odmówisz.*

Nagłym ruchem Jack wyrwał rękę ojcu Bellowi i zbliżył się do ściany.

- Uwaga, Randy, złap mnie za rękę. Możesz to zrobić? Możesz wysunąć ramiona? Chodźże, kosmonauto, wyciągnę cię stamtąd!

- Nie! - wrzasnął ojciec Bell, skoczywszy za nim.

Potężnym pchnięciem swego kościstego barku ojciec Bell odrzucił Jacka od ściany. Ale w tym samym momencie dwie gipsowobiałe dłonie, o wiele za duże, by mogły należeć do Randy'ego, wyskoczyły ze ściany. Jedna z nich chwyciła Bella za prawy nadgarstek. Starzec krzyknął ze strachu, próbując wyrwać dłoń, ale te ręce były dla niego o wiele za mocne.

Jack potknął się, odzyskał równowagę i natychmiast dał nura do przodu, by pomóc ojcu Bellowi się uwolnić. Twarz Randy'ego zwróciła się ku niemu, warcząc i obnażając śmiertelne kły.

*Wynoś się, ty głupi, wścibski skurwysynu!* - wyrzekła głosem twardej jak beton groźby.

Jack odskoczył.

- Randy? - zawołał. - Randy?!

Ale w jego oczach twarz syna nagle rozsypała się jak sucha kreda i otworzyła, ukazując spod siebie oblicze wpatrującego się w nich mężczyzny. Równie białe, równie podobne do maski, lecz z niskim czołem, blisko osadzonymi oczami i szczyrzącymi się długimi zębami w paskudnie pokurczonych dziąsłach.

- Holman! - wyszeptał ojciec Bell. - Gordon Holman!

*We własnej osobie, ojciec Bell* - pisnęła z radości maska. - *Jakaż świetna pamięć do twarzy!*

Jack ostrożnie skradał się za plecami ojca Bella, szukając okazji, by chwycić Holmana za rękę i uwolnić starca. Ale ten wysokim, histerycznym głosem wykrzyknął:

- Nie! Nie rób tego! Trzymaj się z daleka! To zbyt niebezpieczne! *Och, dajże spokój, ojciec Bell. My wszyscy jesteśmy niebezpieczni!*

- Gordon, puść mnie - powiedział ojciec Bell. - Dbałem o ciebie, Gordon, przypomnij tylko sobie. Przynosiłem ci gumę do żucia, prawda? Przynosiłem ci te wszystkie magazyny filmowe.

Holman uśmiechnął się na te wspomnienia.

*Byłeś dobrym księdzem, ojciec Bell. Kochaliśmy cię wszyscy, wiesz? Aż do ostatniego momentu. Ufaliśmy ci.*

- No, to wobec tego wypuść mnie - zachęcał go ojciec Bell. - No, teraz; grzeczny chłopiec. Kaleczysz mi nadgarstki.

Ale wąska, kredowobiała twarz na ścianie przymknęła oczy i obdarzyła ojca Bella pełnym wyższości uśmiechem człowieka dobrze poinformowanego.

*Słyszałeś, co powiedziałem, ojciec Bell. Do ostatniego momentu. Bo wtedy nas zdradziłeś. Wtedy schwytałeś nas w tę pułapkę. Pułapkę, ojciec Bell! Ani pójść do przodu, ani wrócić.*

Ojciec Bell powiedział z przestrawieniem:

Puść mnie, Gordon. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Twarz roześmiała się na głos.

*Masz rację, ojciec Bell! Na pewno nic dobrego!*

W tym momencie Jack rzucił się na rękę Holmana, próbując wyrwać z niej nadgarstek ojca Bella. Ale ręka była twarda, muskularna i lodowata, i zaskakująco nieludzka, tak że Jack nie miał dość siły, by rozerwać jej uścisk. Nastąpiła chwila bezruchu, a potem Jack usłyszał Randy'ego, krzyżącego: *Tato! Tato! Nie róó tego!* - tuż nad swoją głową.

Przerażony i zmieszany Jack odstąpił. Z sufitu wynurzyła się głowa Randy'ego wraz z ramionami oraz ręka mężczyzny, ściskająca go za kark i zmuszająca do wychylenia się na pokój, jak gdyby próbowała utopić szczeniaka.

Jack krzyknął: - Randy! - i rzucił się do góry, podskakując kilka razy. Ale sufit był zbyt wysoko i Jack za każdym razem chybiał o parę cali.

*Tato! Proszę! Ratuj mnie! Tato, oni mi sprawiają ból! Tato, oni mi...*

Randy został siłą wciągnięty z powrotem w sufit, którego drobiny zamknęły się za nim jak powierzchnia świeżo rozrobionego gipsu. Ogarnięty furją i desperacją Jack odwrócił się ponownie do ojca Bella i do białej twarzy, patrzącej ze środka pantakla.

- Wy złośliwe skurwysyny! Wypuście mego chłopca, słyszycie! Na miłość boską, przyprowaódziłem wam księóza, nie? Czego, u diabła, chcecie? Wypuście go!

Ale głos odpowiedział cicho, złośliwie i nieugięćie: *Quintus mówi: tylko jeśli nas wypuścisz.*

- Chcecie, by was wypuścić? - wrzasnął Jack w odpowiedzi. - Wypuścimy was! Dalejże, ojczc Bell! Jakąż, u diabła, różnicę może to zrobić?

Ale ojciec Bell wrzasnął:

- Jacku Reed! Nawet nie myśl o ich wypuszczeniu! Nigdy! Nawet za tysiąc lat! Nie słuchaj, co on mówi! Błagam cię, Jacku Reed! Nigdy!

- Widziałeś to? - Jack wściekłym gestem wskazał na sufit. - Widziałeś tego chłopca? To mój syn! I jakąż, u diabła, robi to różnicę, jeśli ich wypuścimy, to chciałbym wiedzić! A w każdym razie nie krzyż na mnie. Ja ich wypuścić nie mogę, nie o własnych siłach. Tylko ty możesz to zrobić. A co ty myślisz? Myślisz, że ważniejsze jest zapobiec jakiemuś... jakiemuś teoretycznemu „odwetowi wariatów”... myślisz, że to ważniejsze od ocalenia mego syna! Bracie, powinieneś być zajmować się polityką, a nie wstąpić do Kościoła!

- Jacku Reed - powiedział ojciec Bell, starając się mówić rozsądnie, choć krzywił się z bólu - nie mówię o niczym teoretycznym w związku z tymi ludźmi ani z ich szaleństwem. Ty ich fatalnie nie doceniasz. Jeśli tylko wydostaną się stąd, nie będziesz miał sposobu, by ich zatrzymać ani kontrolować. Jeśli tylko uzyskają tę szansę, będą wyrzynać w pień wszystko, co na drodze.

*Och, ale najpierw zabawimy się* - powiedział Holman. - *Ot, tak.*

Nagle wyłamał prawą rękę ojca Bella do tyłu i trzasnął nią o ścianę. Ojciec Bell wrzasnął, żalonym wrzaskiem człowieka, który pojawił się na tym świecie nagi i odejdzie z niego nagi.

*Wstrzymałeś nas, ojczc Bell* - szepnął Holman. - *Przeszliśmy przez labirynt, ze wszystkich sił staraliśmy się nie poddawać panice, walczyliśmy, by pozostać przy życiu. Niektóre kobiety były kurewsko szalone; myślisz, że przyszło nam to łatwo? Ale oto ujrzeliśmy to. Przed nami ciągnęły się linie ley; na północ, południe, wschód, zachód, wszędzie, dokąd chcieliśmy pójsć. Były piękne. Pierwsze piękne rzeczy, jakie większość z nas w życiu widziała. Staliśmy tam, wiesz? Kurwy, zabójcy maniakalni i podpalacze, i wszyscy zgodziliśmy się, że to jest to, to jest przyszłość. Wolność, światło! Ten Quintus Miller, ależ to mag! I syciliśmy się tą magią i syciliśmy się tą chwałą* - Zacisnął z całej siły powieki. - *Ta jedna chwila radości! Jedna chwila nadziei! A wiesz, co wtedy nastąpiło? Opadły żaluzje! Jeszcze jak! O, tak, opadły żaluzje! Jedna po drugiej linie ley zostały odcięte. Odcięte ciemnością jak zawałem kopalnianym; ciemność... spadająca z powierzchni ziemi; z hukiem gromu. To byleś ty, ojczc Bell! To byleś ty, twoje ekstrawaganckie*

*zakłęcia i twoja woda święcona! I od tej pory nie widzieliśmy świata zewnętrznego. Zatrzymałeś nas, ojciec Bell, schwytając w pułapkę! Ale teraz chcemy z niej wyjść, bratku! Teraz chcemy wyjść!*

Ojciec Bell podniósł głowę. Jabłko Adama drżało w chudej i bezbronnej szyi.

- Nie mogę tego zrobić, Gordon. Nie mogę was wypuścić. *Chcesz cierpieć?*

- Cierpiałem przez sześćdziesiąt trzy lata. Nie mogę was wypuścić. Twarz otworzyła oczy. I nagle ze ściany wyskoczyła inna dłoń i chwyciła lewą rękę ojca Bella. Przyciągnięto go ciasno do ściany z rozkrzyżowanymi ramionami, twarzą przyciśniętą do tynku. Obrócił głowę na bok i spojrzał na Jacka wzrokiem pełnym bólu i przerażenia.

- Holman! - ostrzegł Jack kredowobiałą twarz. - Nie dotykaj go! Wypuść go!

*To, czego mu potrzeba, to cierpienie* - odparła twarz. - *Prawdziwe cierpienie, tak jak cierpiał Chrystus. Dlatego właśnie Quintus wybrał mnie do tego. Jestem dobry, gdy ma być cierpienie.*

Rozległ się huk tak ogłuszający, że Jack odskoczył. Ojciec Bell wrzasnął głosem tak wysokim, że początkowo Jack nie był całkiem pewien, czy ów wrzask usłyszał. Jego prawe przedramię zniknęło aż po łokieć w ścianie. A potem nastąpił kolejny huk i jego lewe przedramię zniknęło w taki sam sposób.

Ojciec Bell krzyczał bez przerwy, starając się wyrwać ręce ze ściany. Twarz Gordona Holmana rozplynęła się, ale po chwili pojawiła ponownie w drugim końcu pokoju, tuż przy drzwiach.

*Ukrzyżowanie ojca Bella* - obwieścił z rozkoszą.

- Wypuść go! - krzyczał Jack. - Na miłość boską, wypuść go! *Na miłość boską? Niczego nie robimy na miłość boską. I czemu ktokolwiek z nas miałby darzyć sympatią ojca Bella? Pomyśl tylko, co nam zrobił: trzymał nas tutaj w niewoli przez sześćdziesiąt lat.*

Jack zbliżył się do ojca Bella, skowyczącego i trzęsącego się z udręki. Próbował wyciągnąć ręce ojca Bella ze ściany, ale tak jak wełniana zabawka Randy'ego stopiły się z murem; ciało i cegły stały się nierozdzielne.

- Wypuść go! - powtórzył, odwróciwszy się do Gordona Holmana. *Teraz jest tylko jeden sposób, by go wypuścić* - powiedział Holman. - *Mianowicie amputując mu ręce.*

- On ma osiemdziesiąt siedem lat! - odwzajemnił oskarżenie Jack. - Cokolwiek zrobił, gdy miał ich dwadzieścia parę, teraz jest starcem, kompletnie bezradnym!

*Zgadza się. Dokładnie tak, jak my byliśmy bezradni.*

- O, Boże - bełkotał ojciec Bell. - O, Boże, to boli, o Boże, to boli.

- Czyś ty zwariował?! - wrzasnął Jack na Gordona Holmana. Holman zarechotał.

*Oczywiście zwariowałem. Wszyscy tutaj zwariowaliśmy. A czego oczekiwałeś w domu wariatów?*

- Wypuść go!

*Jeśli on nas wypuści, my go wypuścimy.*

- A jeśli tego nie zrobi?

*Mamy jeszcze twego syna, mamy jeszcze małego Randy'ego. A więc jeśli ojciec Bell nas nie wypuści, będziesz musiał odjechać, by znaleźć sobie trzech kardynałów, nieprawdaż, aby nas wypuścili, a to nie będzie łatwe. W przeciwnym razie Randy zostanie zmiażdżony na coś, co nawet nie będzie przypominało chłopca.*

- Błagam cię, błagam cię - łkał ojciec Bell. Jego zapadnięte policzki były mokre od łez. Jack oparł się o ścianę tuż przy nim.

- Ojciec Bell, będziesz musiał ich uwolnić. Będziesz musiał wypowiedzieć te słowa. Na miłość boską, tylko wówczas stąd cię wypuszczą.

- Nie mogę - płakał ojciec Bell. - Nawet nie wyobrażasz sobie, co oni robią.

*Czy on nam pomoże?* - spytał Gordon Holman. - *Może potrzeba nieco więcej perswazji?*

- Czy nie widzisz, że on wam nie da tego, czego chcecie? - zapytał Jack.

*Och... Nie wiem. Zaczekaj, aż zapalimy jego dłonie. Wiesz, my to potrafimy zrobić.*

*Wszystko, co ma coś wspólnego z żywiołami. Ziemią, wodą, powietrzem, ogniem. Zajrzyj do sąsiedniego pokoju i obejrzyj sobie, jak będzie palił Panu Bogu świeczkę.*

Biała twarz znów rozpląnęła się. W ślepej złości Jack przemierzył pokój i trzasnął pięścią ścianę tam, gdzie przedtem znajdował się Holman.

- To jest starzec, ty skurwysynu! Wypuść go! - Jego wściekłość była tym większa, że przecież on sam przywiózł tutaj ojca Bella wbrew jego woli i wbrew jego ostrzeżeniom. Odpowiedzialność za każdą chwilę męki ojca Bella spadała wyłącznie na niego.

- O, Boże, ratuj mnie - westchnął ojciec Bell.

- Ojcze, posłuchaj mnie - powiedział Jack. - Już nie jesteś księdzem. Sam to powiedziałaś. Nie musisz poczuwać się do winy, uwalniając tych ludzi! To już nie twoja sprawa! Po prostu ich wypuść, a oni puszcza cię! Zamierzasz umrzeć tutaj, z rękami zatopionymi w ścianie? Wyobrażasz sobie, że naprawdę właśnie to zrobisz? Chcesz zostać męczennikiem czy co?

Ojciec Bell odwrócił głowę, by na niego popatrzeć, ale w tej samej chwili jego usta otworzyły się w bezgłośnym wrzasku niewysłowionego bólu. Drżał i trzął się, i bił czołem o ścianę, ale nie mógł się uwolnić.

- Co to takiego? - spytał go Jack, owładnięty paniką. - Co oni ci robią?

*Zajrzyj do sąsiedniego pokoju i przyjrzyj się, jak pali Panu Bogu świeczkę.*

W jednej chwili Jack wypadł z pokoju Quintusa Millera i rzucił się do drzwi sąsiedniego pomieszczenia. Pokój był zamknięty na klucz, tak jak powinien być pokój Quintusa Millera. Jack gorączkowo szarpał klamkę, ale nie puściła.

- O, Boże, o, Boże, ratuj mnie! - wrzeszczał ojciec Bell.

Jack podniósł mosiężną kłapkę judasza w drzwiach pokoju. To, co ujrzał, spowodowało, że jego ciało pokryła gęsia skóra, a do ust napłynęła gorzka ślina. Ramiona ojca Bella przechodziły na wylot przez mur, tak jakby stał przykuty do pręgierza. Końce jego palców płonęły; kurczył dłonie w desperackim usiłowaniu zgaszenia płomieni, ale dla Jacka było jasne, że ogień jest zbyt gorący i zbyt dotkliwy.

Szarpnął gwałtownie drzwi, aż zatrzeszczała ościeżnica. Ale nie zdołał ich poruszyć; zbyt solidnie je skonstruowano. Zaprojektowano je tak, by pomagały utrzymywać w zamknięciu szalonych zbrodniarzy na całe ich życie i nawet najzacieklejsi ludzie nie potrafili ich sforsować.

Mógł więc tylko przyglądać się w przerażeniu, jak ciało na końcach palców ojca Bella poczerwieniało, pokryło się pęcherzami i zwęgliło, a jego paznokcie zwinęły się jak spalone łuski cebuli.

Za każdym bolesnym skurczem palców ojca Bella kości przebijały mu skórę. Jeszcze minuta i przy takim natężeniu ognia w ogóle nie będzie miał dłoni.

- Zrobię to! - wywrzeszczał ojciec Bell. - Gordon! Gordon! Aaaaachchch, Gordon! Gordon, zrobię to! Aaaaachchchch! Gordon! Błagam, Gordon, zrobię to! Zrobię to!

Ogień natychmiast zdmuchnięto, lecz poczerwiałe palce ojca Bella nadal żarzyły się jak zwęglone patyczki, napełniając pomieszczenie dymem. Jack powrócił do pokoju Quintusa Millera i przekonał się, że ojciec Bell trzęsie się z bólu i szoku. Z kątów ust spływała mu krew, spełzając po zmarszczkach poradlonej przez wiek twarzy, ponieważ przegryzł sobie język.

Jack otoczył jego barki ramieniem, czując bezradność, złość i mdłości. Oczy ojca Bella zasłyły

mgłą. Ból w dłoniach i ramionach był tak wściekły, że stary kapłan co chwila to tracił, to odzyskiwał przytomność.

W kącie pokoju tynk zawrzał i zakipiał jak płynne błoto. Pomiędzy schodzącymi się ścianami ukazała się postać człowieka; niskiego, chudego mężczyzny, nagiego, jeśli nie liczyć szala na ramionach. Popatrzył na ojca Bella pustymi, tynkowymi oczami, a jego twarz przybrała wyraz dziwnego, obłąkańczego współczucia.

Ojciec Bell wysapał:

- Ten ból... Ból... Nie mogę go znieść. Jack zwrócił się do nagiej postaci w kącie:

- Dajże spokój, na rany Chrystusa, wypuść go z tej ściany. *Chrystus bardziej cierpiał* - odparła postać w szalu, nie spuszczać z oka ojca Billa. - *Przynajmniej wy, goje, bez przerwy nam to powtarzacie.*

Jack głęboko zaczerpnął powietrza.

- Wobec tego, w imię ludzkości, wypuście go.

*Gdy my odejdziemy, on też sobie pójdzie. Taka była umowa.* Jack mocno obejmował ojca Bella.

- Ojciec Bell? Słyszysz mnie? Jeśli mnie słyszysz, tylko kiwnij głową. Musisz ich teraz uwolnić. Musisz wypowiedzieć te słowa.

Ojciec Bell skinął głową. Nastąpiła dłuższa pauza, podczas której zwilżył swe pokryte zaschłą krwią wargi, a potem wyszeptał:

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... Oto oświadczam, że to miejsce, które konsekrowałem i zabezpieczyłem... - Zawahał się i oblizał wargi. Oparł głowę o ścianę. - Nie mogę tego zrobić - powiedział. - Nie wolno mi.

*Znów napraszasz się ognia?* - zapytała postać w kącie. - *Chcesz, byśmy ci upalili dłonie do samych nadgarstków?*

- Ojciec Bell - nalegał Jack, przytulając go jeszcze mocniej, tak że czuł przez płaszcz jego kościste barki. - Ojciec Bell, musisz. Nie ma innego wyboru.

Ojciec Bell dygocząc zaczerpnął oddechu. I kontynuował:

- To miejsce, które poświęciłem i zabezpieczyłem od potęg ciemności i diabelstwa... teraz ma być dekonsekrowane i przywrócone stanowi naturalnemu jego stworzenia...

Gdy wypowiadał te słowa, Jack poczuł ruchy i przesuwanie się wewnątrz budynku, jak gdyby w środku ścian zaniepokoiło się tysiące karaluchów. Na usta postaci w szalu powoli wypełznął uśmiech tryumfu.

- ...i uwolnione od opieki wszystkich Jego świętych pośredników... Ruchy i przesuwania się stały się głośniejsze. Przypominały ogromny tłum milczących osób, sunących do jednej bramy. A potem były jeszcze głośniejsze. Otaczały ich ze wszystkich stron. Szszszsz... szszszsz... szszszsz... Chrypliwy, podobny do obrotów betoniarki dźwięk molekuł ciała ludzkiego, przeciąganych przez twarde cegły. Oto z dawna uwięzieni pacjenci Dębów przeciskali się przez labirynt ich murów w kierunku starożytnego i przerażającego miejsca, gdzie przecinały się mistyczne linie *ley*, gdzie wszystkie cztery elementy stawały się kwintesencją.

- ...na zawsze i zawsze... - Ojciec Bell zakończył recytację. Jego twarz błyszczała od łez i potu. - Koniec - oznajmił. - To już wszystko.

Ale ledwie wypowiedział te słowa, szuranie nóg nagle ucichło. Jack odstał od ojca Bella i słuchał, podniósłszy głowę.

- Co się stało? - zapytał. Zwrócił się do białego, tynkowego mężczyzny w kącie. - Czemu wszystko ucichło?

*Nadal jesteś uwięzieni. Linie ley jeszcze się nie otworzyły.*



- Ojciec Bell? - zwrócił się do starca Jack. Ale ojciec Bell tylko jęknął.

*Dekonstrukcja nie jest kompletna* - oświadczyła postać w ścianie.

- Co masz na myśli? Przecież wypowiedział wszystkie potrzebne słowa, prawda?

*Linie ley jeszcze się nie otworzyły* - upierała się postać. - *Jesteśmy nadal więźniami.*

- Ojciec Bell? - powtórzył Jack. - Ojciec Bell... musiałeś coś opuścić. Są nadal uwięzieni w budynku. Ojciec Bell!

Głowa starego mężczyzny chwiała się na boki. Był tylko na wpół przytomny. Jack potrząsnął nim i powiedział:

- Ojciec Bell! Zbudź się! Coś musiałeś opuścić! Ojciec Bell popatrzył na Jacka zamglonymi oczami.

- Muszę... zrobić... znak krzyża.

- Musicie go uwolnić! - Jack zwrócił się do postaci w szalu. - Musi się przeżegnać albo nigdy nie zostaniecie uwolnieni!

*Musi się przeżegnać?*

- Tak jest, zrozumiałeś. Musi zrobić w powietrzu znak krzyża, rozumiesz? Własną ręką, ty głupi sukiny. Inaczej zaklęcie nie podziała i już.

Postać otworzyła i zamknęła swe pyliste białe powieki jak pustynna jaszczurka. A potem wtopiła się ponownie w kąt pokoju, tynk zafalował i znikła. Jack, usłyszawszy, jak przesuwa się wewnątrz muru z pośpiesznym szszszsz, domyślił się, że poszła porozmawiać z Quintusem Millerem.

Czekał, podtrzymując obwisłe ciało ojca Bella tak mocno, jak tylko zdołał. Sam także był wyczerpany, zarówno fizycznie, jak psychicznie. Nawet nie pozwolił sobie na myślenie, czy będzie w stanie doprowadzić ten koszmar do końca... a jeśli zdoła, to jak upora się z poczuciem winy z powodu swego postępowania wobec ojca Bella. W tej chwili pragnął jedynie wydobyć go ze ściany oraz odzyskać Randy'ego.

- Hilda? - zapytał starzec w głębokim szoku. - Czy to ty, moja kochana Hildo?

- Wszystko dobrze - uciszył go Jack. - Hilda wkrótce tu będzie. Czekał przez prawie pięć minut. Prawda że ojciec Bell był wychudzony, ale był też grubokościsty i ciężki i Jack zaczął odczuwać ból w rękach.

- Na litość boską! - wrzasnął na ścianę. - Wypuście go czy nie? Odpowiedź nadeszła wybuchowo, prawie natychmiast.

Z odgłosem mielenia, siekania i rąbania ramiona ojca Bella zostały odcięte dokładnie w miejscu, gdzie dotykały ściany. Jego ciało osunęło się, bo Jack nie zdołał go utrzymać. Z obu odciętych u łokci kikutów tryskała strumieniem krew. Jack odskoczył, spryskany lepką purpurą. W tym samym momencie dwie białe ręce wyskoczyły ze ściany, szybkie jak grzechotniki, chwyciły bluzgającą krwią prawą rękę ojca Bella i pomachały nią tu i tam - *Domine sancte, Pater omnipotens, aeterne Deus* - drwiąco małpując znak krzyża.

Krew napełniła pokój mgłą kropelek i bryzgów. Przez ułamek ułamka sekundy krwawy krzyż, zakreślony w powietrzu okaleczonym łokciem ojca Bella wisiał przed Jackiem, połyskując pętlami posoki, jak woda z ogrodowego węża, którym narysowano ósemkę. A potem wszystko już spryskane było krwią - podłoga, ściany, sufit. Ojciec Bell milcząc zatoczył się przez pokój ze sztywno wyciągniętymi przed siebie okaleczonymi ramionami, a dźwięk, który wydało jego ciało, brzmiał głucho i klekoczące, jakby ktoś potoczył po podłodze indyka przygotowanego na Święto Dziękczynienia.

Gdy zetknął się z podłogą, był już martwy.

Jack stał bez słowa, w szoku, z rękami wyciągniętymi przed sobą, dłońmi jak miski z krwią.

- O, Jezu Chryste, co ja zrobiłem? - Słyszał, że coś mówi, ale niemal ogłuchnął ze zdenerwowania.

Uklęknął obok ciała ojca Bella. Starzec miał twarz przyciśniętą do podłogi, oczy otwarte, patrzące w nicość. Jack nie potrafił nawet zdobyć się na tyle odwagi, by zamknąć mu powieki. Wielki Boże, Bell był ciągle jeszcze ciepły!

Jack rozejrzał się po pokoju. Krew spływała po ścianach, słyszał, jak kapie na podłogę. Powietrze przepełniał odór niedawnej śmierci, jakby znajdowali się w rzeźni.

- Obiecaliście oddać mi syna - rzekł zrozpaczony.

Nie było odpowiedzi. Tylko deszcz. Tylko powolny, lepki odgłos kapania krwi ojca Bella. Jack wstał, wziął parę oddechów i po raz pierwszy, od chwili gdy podążył przez dolinę do Dębów za pierzchającą, szarobiałą figurką, przyznał się sam przed sobą, że został wystrychnięty na dudka. Że Quintus Miller zwabił go tutaj i pośrednio skłonił do udania się do Olive Estergomy po to, by mogła go skierować na trop ojca Bella.

Owego pierwszego dnia, gdy szarobiałą figurką przebiegła przed maską jego kombi, Quintus Miller musiał jakoś wyczuć nie tylko, że Jack przejeżdża w okolicy, ale i czego oczekuje od życia i zwabił go tutaj.

Reszty dokonał strachem, pochlebstwem, szantażem, przemocą. Takim oto gatunkiem człowieka był Quintus Miller. Miał tę całkowitą zdolność przekonywania, jak przystało na prawdziwego szaleńca.

- Żądam powrotu mego syna - wrzasnął Jack do pustych ścian. - Słyszycie mnie, wy cholerne wariaty! Żądam powrotu mego syna! Obiecaliście! Chce, by powrócił!

Nastąpiło długie, długie milczenie. A potem ściana zafalowała i pękła, ukazując wychylone do połowy ciało kobiety, obróconej profilem, młodej kobiety z długimi, falującymi włosami. Miała zamknięte oczy i nie otworzyła ich nawet na chwilę.

*Quintus dotrzyma obietnicy. Zawsze dotrzymuje.* - Jej głos niósł się jak dzwonek o wysokim tonie, rozbrzmiewający w niedzielnej mgle.

- Chcę mego syna teraz - powiedział Jack. *Quintus odda ci twoje dziecko, gdy będzie wolny.*

- Quintus już jest wolny. Wszyscy jesteście wolni. Dalejże, otwórz oczy. Popatrz na to ciało! To człowiek, niewinny człowiek! Torturowaliście i zabiliście niewinnego człowieka!

W głosie młodej kobiety nie słyszało się skruchy.

*Ojciec Bell nigdy nie był niewinny. Powinieneś go widzieć z niektórymi pacjentkami. Szczególnie z najmłodszymi. Dwanaście, trzynaście lat; te, które nie umiały mówić. Nie oplakuj ojca Bella.*

- A teraz ty mnie posłuchaj - odparł Jack. - Gównu mnie obchodzi, co się stało w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym. Gównu mnie obchodzi Quintus Miller i gównu mnie obchodzisz ty. Żądam, by mój syn znalazł się tutaj i żądam, by to nastąpiło zaraz. Taka była umowa. Doszło? Taka była ta pierdolona umowa!

Młoda kobieta zwróciła twarz do Jacka, ale nadal nie otwierała oczu. Mogła być piękną, gdyby nie jej czoło, nieco zbyt wypukłe. Gdyby nie usta, w których było coś nieopanowanego i słabego.

*Quintus odda ci syna, gdy będzie wolny.*

- Powiedziałem ci i do cholery z tym! On już jest wolny!

Młoda kobieta uśmiechnęła się niewesoło.

*Jest wolny, jeśli idzie o wychodzenie poza ten budynek. Ale oczywiście nie jest wolny od ziemi.*

- Nie rozumiem.

*By mógł uwolnić się z ziemi, potrzeba dodatkowej ofiary.*

- O, doprawdy? Mówisz, że wydostał się z Dębów przechodząc przez ściany i przez ziemię na zewnątrz, ale nie może wydobyć się z ziemi?

*To wymaga ofiary* - powtórzyła młoda kobieta. - *Szczególnej ofiary, by zapłacić dług.*

Jack z wysiłkiem odwrócił oczy od ciała ojca Bella. Czuł, jak wysychająca krew zamordowanego lepi mu się do podeszew butów. Odpowiedział spokojnie:

- Chcę, abys przekazała tę wiadomość wprost Quintusowi Millerowi, rozumiesz mnie? Albo wypuści mego syna, a chcę tego natychmiast, albo zwalę mu na głowę więcej cholernych kłopotów, niż miał ich kiedykolwiek w życiu. I powiem ci jeszcze: nie jestem jakimś postępowym psychiatrą, jak Elmer Estergomy, i nie jestem też żadnym przygłupim klechą, jak ojciec Bell. Nie czuję żadnej sympatii dla Quintusa Millera ani dla ciebie, ani cienia. Urwę mu tyłek. - Przerwał i wziął głęboki oddech. A potem zapytał: - Co to znaczy „ofiara”?

*Długi trzeba płacić, panie Reed. Nigdy nic nie przychodzi za darmo.*

- O czym ty gadasz? Jaka znów ofiara?! - wrzasnął na nią Jack. *Krwawa ofiara. A jakaż inna? Ośmiuset żyjących, po jednym za każdy miesiąc naszego uwięzienia.*

- Co ty, u diabła, gadasz?

*Panie Reed, na ofiarę trzeba złożyć ośmiuset żywych za każde życie, które wynurza się z ziemi. Osiemset żywotów trzeba odebrać.*

Jack stał i gapił się na nią z rękami przyciśniętymi do boków, zupełnie zeszywniały z niedowierzania.

- Zabić osiemset osób? Co... za każdego pojedynczego pacjenta, który chce wydostać się z ziemi?

Biała twarz pochyliła się twierdząco. *Osiemset żywotów za każde życie.*

- Ależ to są... tysiące ludzi! Nie możecie pozabijać tysiący ludzi! *To najniższa cena, za jaką bogowie wypuszczą nas z ziemi.*

Jack zakrył usta ręką. *Zaczął* pojmwować, czemu ojciec Bell tak desperacko opierał się wyzwoleniu Quintusa Millera.

*Ośmiuset za każdego z nas. To przecież nie tak wiele* - powiedziała młoda kobieta.

- A więc Quintus Miller nie wypuści mego syna, przynajmniej póki nie zabije ośmiuset osób i nie wydostanie się z ziemi?

*Quintus Miller wart jest ośmiu tysięcy zwykłych ludzi. Quintus Miller wart jest wszystkich żyjących na Ziemi.*

Jack nigdy w życiu nie czuł się tak przegrany.

- A co ja mam według was robić? - zapytał kobietę. - Czekać, aż umrze ośmiuset niewinnych ludzi? I co wówczas nastąpi?

*Zawarł pan umowę, panie Reed. Umowa stoi. Wolność pańskiego syna za wolność Quintusa Millera.*

- Ale osiemset osób, na litość boską...

*Taka była umowa, panie Reed. Pan ją zawarł. Musi się pan do niej stosować.*

Jack pobiegł po schodach, przez hol i wypadł w noc. Po horyzoncie wędrowały błyskawice w stronę Baraboo i jeziora Mirror. Opuścił Dęby przez oranżerię, a potem pobiegł zwirowaną ścieżką w stronę frontu domu. W chwili gdy dotarł do rogu budynku, ogłuszył go piorun, a deszcz lunął z nieba z taką siłą i tak nagle, że Jack musiał schronić się pod okapem kuchni.

Stał tam dysząc ciężko, ociekając wodą i modląc się, aby to wszystko okazało się złym snem.

Wkrótce obudzisz się, Jack: będziesz w domu, z Maggie śpiącą u twego boku i słońcem rozświetlającym różowe zasłony sypialni, a z bawialni, gdzie Randy siedzi po turecku, oglądając poranne filmy rysunkowe, będzie dobiegać przyciszony blaszany dźwięk telewizora. „Jest tylko jedno, czego nie znoszę... Kwiatu, który kradnie banany z lodówkidówki-dówki!”

Otarł twarz ręką. Jego kombi stało zaparkowane na końcu alei. Gdy tylko deszcz odrobinę zelżeje, pobiegnie do niego. Pomyślał, że deszcz padał zawsze, od chwili gdy się urodził. Nie pamiętał ani jednego słonecznego dnia, nie pamiętał żadnego śniegu. Tylko własnego ojca, pochylającego się ku niemu, kładącego mu szponiastą dłoń na kolanie i mówiącego: „Gdy nie masz nic do powiedzenia, nie mów niczego. Oto moja zasada”. A deszcz padał na jezioro za oknem.

W późniejszych latach Jack odkrył, że ktoś imieniem Charles Colton już powiedział to samo, mniej więcej dwa wieki wcześniej, i w tym momencie ostatni obraz jego ojca zniknął jak prześwietlona fotografia.

Wyciągnął rękę, by przekonać się, jaki pada deszcz. W chwili gdy to zrobił, z ciemności wynurzyła się dłoń o cienkich palcach i chwyciła go za nadgarstek. Wrzasnął: - Nieceee! - i odskoczył w stronę domu, rozbijając sobie bark.

Oślepiła go latarka, ukazała się twarz. Błada, zaniepokojona twarz starszej kobiety, ubranej w myśliwski kapelusik i brązową pelerynę w kratę,

- Jack? Nie chciałam cię przestraszyć.

Olive Estergomy, Essie. Jack podniósł obie ręce w bezsłownym znaku poddania się.

- W porządku. Wszystko jest w porządku. Zaskoczyłaś mnie, i to wszystko.

- Jesteś cały we krwi...

Spuścił wzrok. Płaszcz miał zaplamiony krwią ojca Bella, teraz zaschniętą i rdzawą, lecz bez żadnej wątpliwości widać było, że to krew.

- To nie moja - powiedział. - To ojca Bella. On... no, z przykrością muszę powiedzieć, że nie żyje.

Biorąc pod uwagę tortury, jakie wycierpiał ojciec Bell, słowo „nie żyje” było chyba eufemizmem. Tortury ognia, bólu i amputacji. Essie skierowała światło latarki na Dęby.

- Nie żyje? - powtórzyła.

- To wszystko moja wina - stwierdził Jack. - Mówił mi, jakie to niebezpieczne, ale ja nie zrozumiałem.

Essie przeniosła światło na niego. Wyglądała na oszołomioną.

- Jack, nie mogłam zasnąć. Zadzwoiłam do motelu, ale powiedziano mi, że cię nie ma.

Musiałam tu przyjechać, by sprawdzić osobiście... przekonać się, że wszystko w porządku.

- Proszę, posłuchaj mnie i wróć do samochodu. Coś się stało. Coś złego.

- Złego? Co chcesz przez to powiedzieć? .

- Odnalazłem ojca Bella, tam w Green Bay - odrzekł Jack. - Nie był już od dawna księdzem, ale wszyscy tytułowali go jeszcze ojcem. Powiedział, że mam rację. Że są nadal w ścianach. Quintus Miller, Lester Franks, Gordon Holman, cała reszta. Dostali się tam dzięki pewnego rodzaju... no, nie wiem, trudno to opisać, jakby magii. Magii ziemi, tak powiedział. Coś, w co niegdyś wierzyli druidzi.

Essie Estergomy patrzyła na niego spod runda swego ociekającego wodą deszczową kapelusza.

- Zabili go - dodał Jack. Próbował wyjaśnić w jaki sposób. Próbował wyjaśnić, że ze ściany wyjrzała twarz Randy'ego, a potem Gordona Holmana i że ojciec Bell został schwycony, przypalony i okaleczony. Ale wśród chłodnej, burzliwej nocy w środku Wisconsinu, przy trzeszczących błyskawicach i deszczu zmywającym drzewa, jego słowa brzmiały płasko i niewiarygodnie.

- Zawiadomiłeś policję? - spytała lekko Essie. Jack odwrócił wzrok.

- Nie wiem, czy to najlepsze, co można zrobić - odrzekł wymijająco.

- Ależ, Jack! Zamordowano człowieka!

- Tak - potwierdził.

Ale jak miał jej powiedzieć, że prawdopodobnie tysiące innych zostaną złożone w ofierze; ośmiuset niczego nie podejrzewających żywych ludzi za każdego pacjenta, który uciekł z Dębów? I jak miał jej powiedzieć, że ta masowa masakra miała nastąpić tylko po to, by przywrócić ich realnemu światu, światu powietrza i ognia. Bóg jeden wie co uczynią, gdy tylko będą wolni.

- Wiem, że to brzmi... no, cóż, wiem, że to nie jest powszechnie przyjęte postępowanie - odezwał się znowu. - Ale zaczekajmy do rana z wzywaniem policji. Muszę się zastanowić, wiesz? Policja może pogorszyć sytuację. Muszę znaleźć jakiś sposób, by z tym wszystkim sobie poradzić.

- Czy oni naprawdę byli w murach? - zapytała Essie. - Wewnątrz cegieł? - Zaświeciła latarką do góry wzdłuż ściany budynku, wydobywając z ciemności jedną z rzeźbionych twarzy o zamkniętych oczach.

- Myślę, że powinniśmy się stąd wynieść - oświadczył Jack. - Oni nie tylko są niebezpieczni, są także rozzłoszczeni. Pragną zemsty za to, że tak długo byli zamknięci.

Essie zawahała się na chwilę, a potem skinęła głową.

- Zaparkowałam swój wóz tuż obok twojego.

Jack wziął ją pod rękę i krocząc szybko udali się w powrotną drogę dębową aleją. Żwir skrzypiał pod ich stopami.

- Z pewnością policja będzie mogła nam pomóc - przekonywała Essie. - Jeśli pacjenci wydostali się, policja będzie mogła ogłosić rysopisy, schwycić ich. Nadal mam listę przyjętych pacjentów, sporządzoną przez mego ojca, wraz z oryginalnymi zdjęciami.

- Nie myślisz chyba poważnie, że policja nam uwierzy? Stu trzydziestu siedmiu wariatów zostało pogrzebanych w ścianach budynku na sześćdziesiąt trzy lata, a teraz uciekli? Już słyszę, jak się śmieją.

- Ale z pewnością możemy im to pokazać - odparła Essie. - Z pewnością możemy znaleźć jakiś sposób, by ich przekonać.

- A co im pokażemy? - zapytał Jack. - Ciało ojca Bella? A co sądzisz, jak oni na to zareagują? Wrzucą mnie do pudła bez możliwości złożenia kaucji, podczas gdy Quintus Miller i wszyscy jego furia, będą wolni.

Essie zatrzymała się i chwyciła Jacka za rękę.

- Nie zabiłeś ojca Bella, prawda? To znaczy... mówisz mi prawdę? Jack popatrzył na nią i spróbował się uśmiechnąć.

- Essie - powiedział - po prostu musisz mi uwierzyć. Przeszli dwie trzecie drogi do bramy, gdy ujrzeni stojącą przy niej małą figurkę. Małą, szarawobiałą figurkę, jak dziecko w pelerynie, przeciwdeszczowej z kapturem. Miała rozłożone ręce, jakby chciała zagrozić im drogę, ale nie ruszała się ani nie machała. Nie miała twarzy.

- Toż to dziecko - powiedziała niedowierzająco Essie.

Jack zatrzymał się, wstrzymując także Essie.

- Nie sądzę - stwierdził.

- Ależ to mała dziewczynka... cóż, na miły Bóg, robi tu mała dziewczynka w środku nocy?

- Już ją widywałem - odparł Jack. - Już to widywałem. Nie jestem pewien co to takiego, ale ma coś wspólnego z Quintusem Millerem.

Essie uwolniła rękę z uścisku Jacka i poszła przed siebie, w stronę bramy. Szarawobiała figurka

pozostała nieruchoma, choć jej peleryna powiewała na wietrze jak przemoczona gazeta.

- Dziewczynko! - zawołała Essie. Przyśpieszyła kroku, a potem znów zwolniła w niepewności. - Dziewczynko?

Zatrzymała się i bardzo długo stała nieruchomo, patrząc na figurkę. Jack czekał o parę kroków z tyłu. Essie oświetliła latarką głowę postaci, ale chociaż stopy dziecka były zwrócone ku nim, choć z przodu jej okrycia był pionowy rząd guzików, zamiast twarzy widzieli tylko tył kaptura. Essie zwróciła się do Jacka z zakłopotaną miną.

- Jej twarz jest zwrócona w niewłaściwą stronę - powiedziała. - Jak jej głowa może...

- Ostrożnie - ostrzegł Jack. - Nie jestem pewien, czy to w ogóle jest dziecko.

Essie zbliżyła się do niej o parę kroków.

- Dziewczynko?! - zawołała. - Dziewczynko, dobrze się czujesz? Zrobiła jeszcze jeden krok i wówczas dwie nagie dłonie z trzaskiem wyskoczyły ze żwiru tuż przed jej stopami i chwyciły za kostki. Wrzasnęła i padła na kolana. Gdy to zrobiła, jeszcze dwie inne wyskoczyły ze żwiru i chwyciły jej ręce. Latarka potoczyła się daleko i zgasła.

- Trzymaj się! - krzyknął Jack i podbiegł do niej, odrzucając kopniakiem jedną z rąk. Chwycił Essie w pasie i próbował postawić na nogi, ale ze żwiru wynurzyło się jeszcze więcej rąk i zaczęły odciągać go od Essie. Kopał, bił i młócił, aż udało mu się wyrwać i potoczyć na mokrą trawę.

Essie wrzeszczała z bólu, gdy jedną jej nogę wciągnięto prosto w ziemię, a potem drugą. - Ratuj mnie! Moje nogi! O, Boże, ratuj mnie!

Jack wstał, gramoląc się niezdarnie. Ale właśnie w tej chwili ujrzał szybko poruszające się bruzdy w żwirowej drodze oraz ręce, które wynurzały się z ziemi zagięte jak ręce pływaków tuż pod powierzchnią stawu. Było ich przynajmniej pięć, może sześć i wszystkie skierowały się ku wijącemu się ciału Essie, wydając płynny, chrupiący, żwirowaty dźwięk.

Unikając rąk, napierających na niego ze wszystkich stron, Jack chwycił Essie pod pachy i pociągnął do góry. Wysunęła się z ziemi tak łatwo, że Jack upadł na plecy, a Essie na niego. Nadal wrzeszczała, nadal szaleńczo wymachiwała rękami. Ale już nie kopała. Nogi miała amputowane, dokładnie u góry ud, a z jej arterii udowych tryskały ciemne kaskady gorącej krwi, zalewając dokoła ziemię i całego Jacka.

W jednej chwili jeszcze więcej silnych rąk wyrwało ją z uścisku Jacka i pociągnęło wzdłuż ścieżki. Próbował wstać, ale ze ścieżki wyskoczyła jeszcze jedna ręka i otoczyła jego szyję, dławiąc go i ściągając ponownie na ziemię.

Poczuł inne dłonie, chwytające go za nogi i szarpiące ubranie.

*Mają mnie! Tym razem mają mnie! Zmielą mnie w taki sam sposób, jak zmelli psa Lovelittle'a i wyplują mnie ponownie.*

Usłyszał, jak Essie wydaje ostatni, wysoki wrzask. Kątem oka dostrzegł, jak wciągają ją w żwir, aż znikła. Ogarnięty paniką kopał dłonie, próbujące ciągnąć go za kostki, złapał rękę, która trzymała go za szyję i zmusił, by opadła. I wtedy ugryzł ją ze wszystkich sił.

Ręka cofnęła się i odskoczyła. Jack wywrócił koziółka w trawę, zaczerpnął powietrza, chwiejnie stanął na nogach, a potem pobiegł jak szalony do bramy. Słyszał, że żwir wydaje dźwięk szszszszs tuż za jego plecami - to maniacy Quintusa Millera nadpływali w pogoni za nim tuż pod powierzchnią drogi, z zagiętymi rękami wynurzającymi się z ziemi jak płetwy rekinów.

Przeciągnął się przez dziurę w płocie koło bramy, podrapawszy sobie twarz gałęziami. Potem pobiegł do swego wozu i zapalił silnik. Z ziemi tuż koło otwartych drzwi wozu wynurzyła się dłoń i chwyciła go za nogę. Zatrzasnął drzwiczki na jej kiści i poczuł, jak ręka zwija się konwulsyjnie. Klnąc i trzęsąc się z obrzydzenia otworzył ponownie drzwiczki i odkopnął dłoń. Potem nacisnął na

gaz, aż tylne koła kombi poślizgnęły się i zabuksowały, i odjechał.

Snopy świateł jego wozu podskakiwały i chwiały się w deszczu. Widział drzewa, ogrodzenia, śliskie od deszczu zakręty. Bez przerwy zerkał w lusterko wsteczne, by się upewnić, że nikt go nie goni. Przejechawszy z milę trafił na głęboką kałużę, wpadł w boczny poślizg i omal nie wyleciał z szosy. Zjechał na bok, zatrzymał się i z całej siły ścisnął kierownicę, tylko po to, aby powstrzymać się od drżenia.

*Uspokój się, zacznij jasno myśleć. Jeśli wpadniesz w panikę, nie będzie już nikogo zdolnego stawić czoła Quintusowi Millerowi. Nie będzie nikogo, by uratować Randy'ego.*

Włączył radio. Pierwszy tego dnia kontakt z normalnością. Szczebotała kobieta: „...i chwała niech będzie Bogu! Wczoraj byłam cała podziurawiona od raka, dziś zjadłam kiełbaski wieprzowe!” Zmieniał kanały, póki nie natknął się na stację, nadającą muzykę country and western.

Po dziesięciu minutach, nadal drżący, ale nieco odprężony zjechał z pobocza i ruszył przed siebie. W tej chwili chciał tylko dotrzeć do domu, spać, a potem wymyślić, co dalej robić. Na razie bowiem jego umysł był zablokowany straszliwym przerażeniem.

Jack prawie dotarł do skrzyżowania w kierunku Lodi, gdy ujrzał małą szarawą figurkę, stojącą dokładnie pośrodku wąskiej drogi.

*O Boże - modlił się. - Błagam, niech to nie będzie dziecko, nie prawdziwe.*

Mknął w stronę postaci prawie sześćdziesiąt mil na godzinę. Nie próbowała się ruszyć, nie próbowała odskoczyć mu z drogi. Tuż przed zderzeniem pomyślał: *A jeśli ono jest głuche, a jeśli ono mnie nie zobaczyło.* Odruchowo zahamował. Koła zablokowały się, opony zapiszczały i zderzywszy się z postacią czołowo, usłyszał okropny, głuchy huk. Przednią szybę całkowicie pokryły bryzgi krwi. Wpadł w poślizg, zatrzymał się, dysząc i dławiąc się.

Chwiejnym ruchem wydostał się z samochodu. Rozmazane na masce kombi widniały szczątki ludzkiej istoty; kapiące i lepkie kiszki, skrzepy i żółtawe, połyskujące wory. W mętym, odbitym świetle reflektorów unosiła się z nich para. Przez ubiegłe dwa dni Jack widział więcej wypadków śmierci niż przez całe życie, ale tego było mu już za wiele. Z premedytacją zamordował dziecko. Padł na kolana na poboczu drogi i zwymiotował na pół strawioną langustą.

Po paru minutach wytarł usta, przetrął oczy i wstał. Będzie musiał usunąć ciało z przodu samochodu. W tyle leżało kartonowe pudło. Pomyślał, że może odedrzeć jeden jego bok i użyć go jako szufli.

*Jednak musiało to być dziecko, a on je przejechał. Żywe dziecko, takie jak Randy.*

Otworzył tylne drzwi kombi. W tym momencie przez boczne okno dostrzegł coś po przeciwnej stronie drogi. Coś niewyraźnego, coś szarawobiałego. Zmarszczywszy brwi obszedł samochód, by się temu przyjrzeć.

Niezbyt daleko stała mała, pozbawiona twarzy figurka, milcząca, nietknięta. Stał i przyglądał się jej, wiedząc, że i ona mu się przygląda, choć jest pozbawiona twarzy.

Dopiero gdy zeskrobał grudę surowego mięsa z zagłębienia pod przednią szybą i obok wycieraczek, dostrzegł spleątany bursztynowy naszyjnik, zrozumiał, czyje rozszarpane szczątki rozmazano mu po całym samochodzie.

Essie. Olive Estergomy.

*Co oznaczało, że przez cały czas, gdy siedział w wozie na poboczu słuchając radia, Quintus Miller i reszta pacjentów ścigali go pod powierzchnią gruntu. Co prawdopodobnie oznaczało też, że są w stanie podążyć za nim wszędzie.*

## ROZDZIAŁ VIII

W chwili gdy dotarł do domu Karen i zaparkował, brudny świt przecierał niebo jak ścierka. Wsiadł z kombi i przeciągnął się. Czuł się tak, jakby go całego posiniaczono i obito pięściami.

Pochylił się nad maską wozu i sprawdził ją starannie, tylko po to, by przekonać się, czy nie pozostawił na niej zdradzieckich smug krwi. Udało mu się zgarnąć większość szczątków Essie w krzaki, gdzie jak miał nadzieję, pożrą je robaki oraz dzikie zwierzęta. Karoserię samochodu wymył do czysta deszcz.

Teraz niepokoił się, że policja może go poszukiwać. Z domu złotego wieku w Green Bay z pewnością zameldowano, że nie powrócił ojciec Bell, a nieobecność Olive Estergomy musiała zostać zauważona w jej domu w Sun Prairie. W obu wypadkach ostatnią osobą, z którą ich widziano, był właśnie on.

Musiał dzwonić cztery razy, nim Karen podeszła do drzwi. Miała na sobie czarną, krótką koszulkę nocną, a włosy nakręcone na lokówki. W bawialni było mroczno i duszno. Na nowoczesnym stoliku do kawy w kształcie palety malarskiej obok statuetki *capo di monte* płaczącego dziecka stała butelka wódki Smirnoff, opróżniona w dziewięciu dziesiątych, oraz tylko jeden kieliszek, ze śladami kredki do warg.

Karen objęła go za szyję i pocałowała. Jej oddech pachniał zwietrzałym alkoholem.

- Zamartwiałam się na śmierć - powiedziała. Ściągnął płaszcz i usiadł na białej winylowej kozetce.

- Nie wiem, co, u diabła, teraz robić - powiedział. - To nie było nic innego jak zwykłe cholerne morderstwo.

- Zrobię trochę kawy - zaproponowała. - Dalej, opowiedz mi o tym. Po co są przyjaciele?

Opisał jej, co się wydarzyło, próbując unikać tonu hysterii, starając się przemawiać trzeźwo, spójnie i rzeczowo, starając się niczego nie pominąć. Karen siedziała obok niego, trzymając swą dłoń na jego. Szkarłatny lakier na jej paznokciach był poodpryskiwany. Mówiła: - Aha, aha - oraz: - Aha? - ale nie przerywała mu i nie zadawała żadnych pytań; on zaś nie miał pewności, czy mu uwierzyła.

- No cóż, z pewnością nie możesz zawiadamić teraz policji - oświadczyła, gdy tylko skończył. - To by było... no, wiesz... jak samobójstwo. Podrzynanie własnego gardła.

- Nie wiem, co innego mógłbym zrobić.

- Jack, kochanie, jedyne, czym powinieneś się zajmować, to wydostanie Randy'ego.

- Ależ, Karen, oni pozabijają tysiące ludzi, dosłownie tysiące... to znaczy pozabijają, jeśli już nie zaczęli tego robić.

- Jack, to nie twoja wina. Zrobiłeś, co mogłeś. Ale Jack pokręcił głową.

- To jednak moja cholerna wina. To moja wina, że zginął Joseph Lovelittle, i moja wina, że zginął ojciec Bell, i moja wina, że zginęła Olive Estergomy. Karen... to wszystko moja wina! Gdyby nie ja, oni nawet nie zbliżyliby się do tego budynku.

- Ale dlaczego ty się zbliżyłeś? Ponieważ tego chciał od ciebie Quintus Miller. Chcę przez to



powiedzieć, że czymkolwiek jest ta mała dziewczynka, jest czymś, czym on potrafi sterować, no wiesz, to tak, jak kierowanie kimś myślami.

- Co nie zdejmuje ze mnie ani trochę odpowiedzialności.

- No, może tak, a może nie. Ale coś ci powiem. Sposób, dzięki któremu potrafiłam ostatecznie dać radę Cecilowi, polegał na tym, by wykryć, jak być silniejszą niż on. A sposób na to, by być silniejszą niż on, polegał na tym, by być sprytniejszą. Załatwiłam z urzędnikiem w jego przedsiębiorstwie transportowym, że telefonował do mnie za każdym razem, gdy Cecil pił z chłopakami, a ja wtedy zawsze znikalam z domu do późnej nocy. W końcu zmęczyło go, że nie ma pod ręką nikogo, kto by mu służył za worek treningowy. Możesz pobić tego Quintusa Millera, jeśli będziesz sprytniejszy. Dajże spokój, Jack, przecież ostatecznie ten cholerny facet jest chory umysłowo. Nie powinno być trudno działać sprytniej niż umysłowo chory.

- Tak, wyobrażam sobie, że nie powinno. - Jack popijał kawę.

- Musisz dowiedzieć się o nim czegoś więcej... - kontynuowała Karen przytuliwszy się do niego - wiesz, kim był i za co go zamknięto. Wykryć, jaki z niego rodzaj wariata, no wiesz, może bał się czegoś, na przykład pajaków czy wychodzenia na dwór.

- Hej - powiedział Jack i pocałował ją. - Nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz, co?

- Nigdy nie mówiłeś, że wyglądam na głupią.

- Przepraszam cię, to nie było na serio. To tylko takie powiedzenie, wiesz?

- No i powinieneś także dowiedzieć się więcej o tej sprawie z magią ziemi - dodała Karen. - Może ten Quintus Miller wcale nie musi zabijać tych setek ludzi. Wiesz, to może tylko, jak jej tam... legenda.

- Masz racje - zgodził się Jack. - Wiesz, ojciec Bell mówił, że ten Adolf Kröger też zajmował się magią ziemi. I że być może Quintus Miller dowiedział się o niej wszystkiego z biblioteki Adolfa Krögera.

- No proszę! - stwierdziła Karen. - Wystarczy, jeśli dostaniesz się do biblioteki tego Adolfa Krögera i wyczytasz to samo w tych samych książkach.

- W twoich ustach brzmi to jak coś bardzo łatwego - uśmiechnął się Jack.

- Jack, kochanie, nic nie jest łatwe i ty o tym wiesz. Życie jest żartem, więc trzeba rechotać. Jack zamknął oczy. Karen pogłaskała go po czole czubkiem palca.

- Mike zastanawiał się, co się z tobą stało. A ja mu powiedziałam, żeby się nie martwił, bo wszystko jest w porządku. O... i Maggie telefonowała do warsztatu. Dostała kota na punkcie jakiegoś damskiego weekendu czy jak?

Nie otwierając oczu Jack odpowiedział:

- Widziałem, jak ludzie umierali. Nigdy nie widziałem tego wcześniej.

- Potrzeba ci snu - orzekła Karen.

Spał na sofce przez ponad trzy godziny. Gdy się obudził, pulsowało mu boleśnie w głowie, a w ustach czuł smak, jakby trzymał tam całą garść miedziaków. Na brzegu stolika w kształcie palety Karen zostawiła kartkę: „Poszłam do pracy. Złapię Cię później”.

Rozsunął cienkie, nie podszyte zasłonki. Chyba wreszcie przestało padać, choć ulice nadal połyskiwały wilgocią. Poszedł do kuchenki, otworzył lodówkę i znalazł sobie piwo. Heinekena; Karen sądziła, że elegancko jest kupować importowane. Otworzył puszkę, poszedł do łazienki i odkręcił prysznic. Oparłszy się o ściankę kabiny natryskowej ściągnął spodniki i skarpetki. Pachniał mocno potem i czymś jeszcze: stęchłym zapachem zimnego octu, którym przesiąknięte były Dęby.

Po natrysku wywołał Karen w warsztacie i poprosił ją o spotkanie w Bierkeller po drugiej

stronie ulicy.

- I nie mów nikomu, że masz się ze mną widzieć, na wypadek gdyby gliny do was zagłądały.

- Jest tam kilka starych koszul Cecila - odpowiedziała Karen - w garderobie, a także, jak myślę, trochę slipów i trochę dżinsów, jeśli zajrzysz na samo dno.

Jack włożył ogromną wełnianą koszulę kierowcy ciężarówki w czerwono-białą kratę i podwinął rękawy. Ale slipy były jak żagle pełnomorskiego szkunera; dżinsy zaś na rozmiar pięćdziesięciu sześciu cali w pasie, wystarczająco duży, by pomieścić równocześnie jego i Karen, każde w jednej nogawce.

Pożyczył najmniej ozdobne majteczki Karen, jakie udało mu się znaleźć - Z białej satyny z kokardą z przodu, a z własnych spodni starł gąbką tyle krwi i błota, ile potrafił, po czym uprasował je na blacie kuchenki żelazkiem podróźnym Karen. Prasując oglądał telewizję. Była informacja o pożarze na pokładzie promu parowego z Milwaukee do

Ludington, następnie zaś zaktualizowane sprawozdanie z Madison o oddziale skautek, który tajemniczo zniknął z obozowiska nad jeziorem Mirror.

*Policja odnalazła wszystkie namioty i sprzęt obozowy skautek, również ich ubrania i drobiazgi osobiste... ale o świcie dnia dzisiejszego nadal nie było ani śladu dwudziestu trzech dziewcząt i ich czterech instruktorek skautowych... żadnych oznak, by ktoś na nie napadł ani by zostały przez coś lub kogoś wystraszone i uciekły... prawdę powiedziawszy, tajemnica stała się jeszcze głębsza nieco później tego ranka, gdy detektywi ujawnili, że są ślady stóp dziewcząt wchodzących do obozu, ale żadnych opuszczających go... fakt tym bardziej zdumiewający, że teren wokół całego obozu był rozmiękczony niedawnymi opadami...*

Jack odstawił żelazko. Czuł się tak, jakby ktoś uderzył go w twarz. A więc zaczęli - pomyślał. - Zabrali te dziewczyny i wciągnęli je w ziemię, dokładnie tak samo, jak wciągnęli w ziemię Olive Estergomy. Zaczęli, i to poważnie, zgodnie z tym, co mówili. Osiemset ofiar za każdego z nich. A potem...

Włożył spodnie, wyłączył żelazko i telewizor, zarzucił płaszcz na ramiona i wyszedł z domu. Dzień był chłodny, ale niebo zaczęło się przecierać. Wsiadł do swego kombi i zawrócił w miejscu z piskiem opon w stronę West Good Hope Road.

Mknął po pełnych kałuż ulicach, aż dojechał do Tłumików i Opon Reeda. Jego kombi podskoczyło, przejeżdżając po betonowym podjeździe. Mike Karpasian stał w boksie wymiany opon, rozmawiając z klientem, jednak gdy tylko ujrzał Jacka wysiadającego z wozu, przeprosił interesanta i podbiegł do szefa.

- Jack? Z tobą wszystko w porządku?

- Nie całkiem. Właśnie zafundowałem sobie nieco pilnych problemów rodzinnych, to tyle.

- Wyglądasz jak kupa nieszczęścia. Czy mogę ci w coś pomóc? Jack ścisnął Mike'a Karpasiana za ramię.

- Wystarczy, gdy klienci będą zadowoleni.

- Oczywiście, nie ma sprawy. Ale potrzebuję, żebyś mi podmalował parę dokumentów. Goodrich nie dostarczy żadnych więcej opon, póki nie uregulujemy ich rachunków, a poza tym brak

nam zupełnie tych zestawów.

- Tylko połóż mi te czeki przed nosem, a ja je podpiszę. Przeszedł przez rozbrzmiewający echem pracy warsztat, z Mikiem Karpasianem następującym mu na pięty. Gdy wszedł do biura, Karen podniosła głowę ze zdziwieniem. Miała na sobie czerwony sweter, nazwany przez jednego z klientów Jacka „żywą galaretką owocową”, oraz obcisłą spódniczkę z czarnej skóry, sznurowaną z boku.

- Coś nie tak? - zapytała, zawiesiwszy paznokcie nad klawiaturą składopisu.

- Musimy natychmiast wyjeżdżać. Czy możesz zadzwonić do agencji, by przysłali nagłe zastępstwo? A Mike żąda tych czeków.

- Oczywiście - odparła Karen. Podała mu plastikowy folder z napisem „Czeki do Podpisu” i wybrała numer telefonu do Biura SOS w Milwaukee. - Co się stało? - zapytała go półgłosem, czekając na zgłoszenie się agencji SOS. - Zdawało mi się, że mamy się spotkać w Birkeller. Maggie dzwoniła już trzy razy dziś rano, chcąc wiedzieć, gdzie jesteś. Mówi, że zawiadomi gliniarzy, jeśli nie przywieziesz Randy'ego do domu w porze lunchu.

- Zaczęli zabijać ludzi - odparł Jack, zerkając w stronę Mike'a Karpasiana, by upewnić się, że znajduje się on poza zasięgiem głosu.

- Co? Co ty mówisz?

- Cały oddział skautek znikł dzisiaj rano koło jeziora Mirror.

- Jesteś pewien?

- Było w dzienniku. Wysłuchałem tego prasując moje spodnie.

- Może zablądziły - podsunęła Karen.

Jack skończył podpisywać czeki i podniósł rękę na znak, że wie o czym mówi.

- Wierz mi, to Quintus Miller. Musimy dostać się do tej biblioteki i dowiedzieć, jak, u diabła, można go powstrzymać.

Mike Karpasian nagle odwrócił się i powiedział:

- Hej, Jack. To Maggie!

- O, Jezu - rzekł Jack.

Ale oto i była w swym wypchanym na ramionach kostiumie a la „Dynastia”, takim brązowym od Searsa; szła jak burza przez warsztat, a za nią odwracały się głowy mijanych monterów i mechaników.

- Hej, to stara Jacka... wygląda, jakby gotowa była coś rozwalić. Maggie popchnęła drzwi biura, aż zatrzęsło się szkło.

- Gdzie jest Randy? - zażądała odpowiedzi.

Jack uznał za właściwe zignorować jej pytanie.

- Czy już dostałaś połączenie z SOS? - spytał Karen.

- Gdzie jest Randy? - powtórzyła Maggie.

- Został u przyjaciela w Wauwatosa - odpowiedział Jack nie patrząc na nią.

- Co on robi w Wauwatosa? Powinien być w szkole! Zadzwoiłam do szkoły i wiem, że nie pokazał się tam dzisiaj ani wczoraj.

- Posłuchaj, Maggie, on się leciutko przeziębził. Nic poważnego, lekki katarek. Nie mógł zostać w domu, nie mogłem przywieźć go do pracy, więc został u przyjaciela w Wauwatosa. W porządku? Jest pod dobrą opieką, wśród dzieci w swoim wieku, z którymi może się bawić. Nie masz się czym niepokoić.

- Gdzie byłeś zeszłej nocy? Dzwoniłam do ciebie przez całą zeszłą noc.

- Być może telefon był nawalony, nie wiem.

- Chcę go zobaczyć - upierała się Maggie.

- Oczywiście, chcesz, ale nie możesz. Prawdopodobnie zaniepokoiłabyś Randy'ego i z pewnością zaniepokoiłabyś mych przyjaciół. A prócz tego, skąd mam wiedzieć, czy go nie ukradniesz.

- Bo damę ci na to słowo.

Jack odwrócił się do niej i powiedział:

- Posłuchaj, *lady*, dałaś mi słowo, że będziesz mnie kochać, szanować i być posłuszną.

- A co z sobotą? - nalegała Maggie.

- Co z sobotą? - chciał wiedzieć Jack.

- Mam uroczystość. Chcę wziąć z sobą Randy'ego.

- Namyślę się. Co to takiego, spotkanie lesbijek?

- Boże, jesteś sukinsynem, Jack. Zawsze nim byłeś. Podnoszenie świadomości kobiet, o to tam idzie. Nauczenie się, że nie zawsze musimy dawać się wodzić za nos takim bezmózgim szowinistycznym świętoszkom jak ty.

- Nie przypominam sobie, abyś mnie nazywała bezmózgim szowinistycznym świętoszkiem owej nocy, gdy urodził się Randy. Ani jeśli już o to idzie, owej nocy, gdy został poczęty.

Karen zacisnęła dłoń na ustach, by powstrzymać się od śmiechu, Maggie zaś obdarzyła ją spojrzeniem, które stopiłoby kryptonit.

- Czy mogę przyjechać dziś wieczorem, by go zobaczyć? - zapytała Maggie.

- Tak sądzę - odrzekł Jack.

- Ósma wieczorem nie robi ci różnicy? Jack skinął głową.

- Powiedziałam: ósma wieczorem? - powtórzyła Maggie.

- Tak, tak, ósma wieczorem - odparł Jack. Odwrócił się plecami, ponieważ wiedział, co Maggie teraz zrobi: trzaśnie drzwiami i dumnym krokiem opuści warsztat jak pełnokrwista, szerokoramienna furia.

- Och, gównu - wyrzuciła z siebie Karen. - O, przepraszam. Nie miałam zamiaru się śmiać.

- Czy załatwiłaś tę sekretarkę na zastępstwo? - zapytał Jack. Serce biło mu szybciej niż zwykle, usta miał trochę bardziej suche, ale Maggie nie wytrąciła go z równowagi tak mocno jak zwykle. Ocalenie Randy'ego i powstrzymanie Quintusa Millera były sprawami o wiele pilniejszymi niż wyklócanie się z żoną. A jednak pomyślał: *Czemu Maggie nie może po prostu...*

- On tu będzie za godzinę - poinformowała go Karen, wyłączając składopis i biorąc do ręki torebkę.

- On tu będzie za godzinę? - zdziwił się Jack.

- Wytwarza się sekretarki obu płci - powiedziała Karen. - Jesteś zbyt staromodny, w tym cały kłopot.

- Czego ty właściwie próbujesz? Starasz się, bym się poczuł stary? Jack otworzył drzwi biura i wyszli z warsztatu. Z rzucanych mu z ukosa chytrych spojrzeń mechaników mógł łatwo wywnioskować, co sądzą: zabiera Karen, by ją szybkościowo przelecieć w porze lunchu. Ale w tej chwili zupełnie go nie obchodziło, co ktokolwiek myśli o czymkolwiek, co on robi. Pod ziemią znajdowało się stu trzydziestu siedmiu zbiegłych wariatów i prócz niego i Karen nikt o tym nie wiedział. Wszyscy inni, którzy się o tym dowiedzieli, dowiedzieli się w sposób bolesny i już nie żyli. Odjechali do Madison w mglistym, złudnym blasku słońca.

- Wiele bym dała, abyś nigdy nie pojechał oglądać tego budynku - powiedziała Karen. - Ten budynek jest skazany na piekło.

- Ja i ten budynek po równo - stwierdził Jack.

Tym razem Jack po raz pierwszy ujrzał Dęby w słońcu, ale jakimś sposobem budynek miał wygląd bardziej zaniedbany i odpychający niż kiedykolwiek dotąd. Jego iglice otulała mgiełka popołudniowego upału, a setki gołębi, siedzących na szczycie dachu i tłoczących się na gzymsach i rynnach oblepiały go jak wszy.

Nie mógł zrozumieć, czemu uznał ten budynek za tak podniecający, gdy go ujrzał po raz pierwszy. W tej chwili wolałby raczej przebudowywać więzienie stanowe na hotel wypoczynkowy niż tę posiadłość.

Być może przyciągnęły go tutaj osobowości jego pensjonariuszy, zنعcił w swym oblędzie Quintus Miller. Ale teraz odeszli. Dęby były już tylko pustą skorupą.

Na wypadek gdyby zostali zaatakowani, Jack niósł wyjętą z samochodu łyżkę do opon. Wątpił, czy to się na wiele przyda. Zastanawiał się nawet nad zabraniem broni palnej, ale także wątpił, czy będzie bardzo pomocna. Niemniej wymachiwanie łyżką do opon napawało go większym zaufaniem we własne siły, niż gdyby zbliżał się do Dębów z pustymi rękami.

- Czy myślisz, że któryś z nich mógł tu jeszcze pozostać? - spytała Karen.

- Nie, nie sądzę - odrzekł Jack. - Pamiętaj, że byli tu uwięzieni przez sześćdziesiąt lat. Wszyscy pragnęli wydostać się i oddalić tak daleko stąd, jak tylko możliwe. Ponadto, jeśli poszukują ofiar ludzkich, nie znajdą ich tutaj.

- Tylko nas - stwierdziła Karen.

Drzwi do oranżerii były do połowy otwarte. Jack zawahał się, lecz wreszcie pchnął je szerzej i wszedł do środka.

- Boże, jak ja nienawidzę tego miejsca - powiedziała Karen. Przez bawialnię przeszli do holu. Powitały ich u stóp schodów ślepe posągi, jeszcze bardziej świetliste niż zwykle w blasku słońca, sączącym się przez umieszczone tuż pod stropem okna. Wysokie obcasy Karen stukały o marmurową posadzkę.

- Czy czujesz jakiś zapach? - spytał Jack. Karen pociągnęła nosem.

- Mam zapchane zatoki.

- Pachnie spalenizną - oświadczył Jack. - Spalonym papierem. Zachodnimi schodami przedostali się na podest, a potem poszli korytarzem do zachodniej wieży. Karen trzymała się blisko Jacka, wyraźnie zdenerwowana.

- Teraz to czuję - potwierdziła. - Jakby palące się gazety, wiesz? Jack nie odpowiedział. Myślał o Maggie. Nie miał zamiaru tak na nią wrzeszczeć. To nie jej wina, że nie potrafią ułożyć sobie życia. I oczywiście niepokoiła się o Randy'ego, była przecież jego matką. Jedynym powodem, dla którego na nią nakrzyczał był ten, że czuł się winny z powodu zgubienia Randy'ego, a nienawidził kłamać. Ale co miał jej powiedzieć? Nasz syn został porwany przez maniakalnego mordercę i wciągnięty do ziemi, ale nie martw się, postaram się wyciągnąć go stamtąd na czas, żebyś zdążyła na twoje sobotnie przyjęcie dla podnoszenia świadomości kobiet?

Dotarli do drzwi zachodniej wieży. Były podwójne, zabezpieczone potężną kłódką, tak jak we wschodniej wieży.

- Ależ ten zapach jest tu naprawdę silny - powiedziała Karen i dwukrotnie kichnęła.

*Na zdrowie* - pomyślał Jack.

- Jak my się tam dostaniemy? - spytała Karen. - Nie mamy klucza. Tylko ten wielki, gruby facet z biura nieruchomości ma klucz.

Jack wbił ostry koniec łyżki do opon w drzwi, tuż pod metalowym skoblem. A potem nacisnął jak dźwignię. Zatrzeszczała dębina, zatrzeszczały śruby. Wbił łyżkę głębiej i znów nacisnął

jej drugi koniec. Po pięciu minutach wysilania się i pocenia śruby nagle ze zgrzytem wysunęły się z drewna i drzwi stanęły otworem.

Wówczas odkryli źródło zapachu spalenizny. Znaleźli się w ogromnej bibliotece, wysokiej na dwa piętra, tak jak pokój zabiegowy Elmera Estergomy. Wszystkie ściany zajmowały rzędy półek, a każdą półkę wypychały książki, tysiące i tysiące książek, bez najmniejszej luki. Ale przynajmniej setkę z nich zwalono na kupę na środku dywanu i podpalamo. Powietrze stało gęste od gryzącego niebieskiego dymu. Jack uklęknął koło książek i zaczął przesiewać dłonią ich poczerniałe resztki. Było prawdziwym cudem, że cały budynek nie spalił się do fundamentów. Okna zabarwiły się na smoliste od dymu, a fotel biblioteczny, wypchany końskim włosiem, jeszcze się tlił. Dywan był przepalony na wylot, aż do desek podłogi.

Jack poszturczał popioły swą łyżką do opon i wygrzebał na pół spaloną książkę.

- Popatrz na to - powiedział do Karen. - „Awen, boskie imię”. - Wyciągnął następną i zdarł parę warstw zwęglonych stronic. - „Pochodzenie i historia druidów”. A tu: „Bractwo Culdee na Wyspach Brytyjskich”. Oraz: „Druidzi podczas wojen galijskich”.

Karen spojrzała na nie przelotnie, a potem znów powróciła do odganiania dymu machaniem dłoni i żucia gumy.

- Okropnie tu śmierdzi. Nie znoszę tego.

- Druidzi - powtórzył Jack, podnosząc jedną po drugiej rozpadające się, czarne stronic. - To wszystko dotyczy druidów. A oni umyślnie to spalili, aby przeszkodzić nam w odkryciu prawdy.

- Co to jest druid? - chciała wiedzieć Karen.

- Nooo... - Jack wyprostował się. - To byli tacy kapłani, wiesz? W starożytnej Brytanii. Tyle tylko powiedziano mi w szkole.

Karen patrzyła na niego długą chwilę w milczeniu, a potem odezwała się:

- I co teraz zrobisz? Gdy spalili wszystkie książki?

- Nie wiem. - Jack rozejrzał się po bibliotece. - Domyślam się, że będę musiał dowiedzieć się czegoś o druidach innym sposobem. Ale istota rzeczy leży w tym, że zdradzili się przed nami ze swym słabym punktem.

- Jack, nic z tego nie rozumiem. Jakim słabym punktem?

- Pomyśl tylko! Czemu Quintus Miller spalił wszystkie te książki? Spalił je, ponieważ nie chciał, abyśmy się dowiedzieli, co w nich jest. Bo gdy się dowiemy, co w nich jest, możemy też dowiedzieć się, jak go powstrzymać... wiesz?... i odesłać go z powrotem tam, skąd przyszedł. Z powrotem w ściany czy gdzieś tam. Według wszelkich prawideł powinien być martwy od lat.

- Więc co zrobimy?

Jack zabrał trzy z najmniej spalonych książek.

- Największe szansę daje nam uniwersytet. Muszą tam mieć w kampusie kogoś, kto zna się na druidach. Jak wiem, zatrudniają profesorów z całego świata.

- Jack? - Karen sięgnęła po jego dłoń i przytrzymała ją.

- Co takiego?

- Przecież ty wiesz, że to może się nie udać. To znaczy, jeśli Quintus Miller jest teraz naprawdę taki zły, jak książdz mówił ci, że był kiedyś... no to Randy może już nie żyć.

Jack próbował pogodzić się z tą myślą od chwili, gdy znalazł Kupę na pół pograżoną w ścianie piwnicy.

- Tak - przyznał. - Ale musimy wciąż próbować, prawda? Wyszli z biblioteki i podążyli z powrotem korytarzem. Karen wzięła go pod rękę.

- Jack, kochanie... posłuchaj... cokolwiek się zdarzy, chcę byś wiedział, że cię kocham... a jeśli

chcesz się do mnie wprowadzić... no to będziesz bardziej niż serdecznie przyjęty.

Jack ucałował jej włosy i ścisnął za rękę.

- Nie jestem całkiem pewien, czy potrafię zastąpić Cecila. Nie mogłem sobie poradzić nawet z jego dzinsami.

Ich kroki rozlegały się echem w klatce schodowej. Opuścili Dęby przez drzwi oranżerii i poszli otoczoną drzewami aleją, na której umarła Essie Estergomy. Jack bez przerwy rozglądał się za śladami tego, co się tu wydarzyło, ale żwir leżał gładko, nie poruszony, a krwi nie było nigdzie.

- Czas, byśmy posłuchali dziennika - orzekł. - Chcę się upewnić, że nie zabrali nikogo więcej.

- A co, jeśli to zrobili? - spytała Karen.

- I tak nie będę mógł nic na to poradzić. Pocałowała go w policzek.

- W takim razie przestań torturować swe cholerne sumienie poczuciem winy i ruszajmy do uniwersytetu.

Ale gdy dotarli do bramy, zastali tam zaparkowanego koło ich kombi cadillaca. W środku siedział Daniel Bufo z miną cierpiącego na niestrawność nieszczęśnika. - Panie Reed, mam o coś do pana pretensję.

- O, doprawdy? - powiedział Jack.

Daniel Bufo kiwnął głową Karen i obdarzył ją wymuszonym uśmiechem.

- Pani Reed? - pozdrowił ją, przylepiwszy na moment spojrzenie do Żywej Galaretki Owocowej.

Karen nie odpowiedziała, a Jack otworzył drzwiczki swego wozu, by mogła do niego wsiąść.

- Zanim pan odjedzie, panie Reed - zaczął Daniel Bufo, opierając się łokciem o dach kombi i zagradzając drogę Jackowi - muszę stwierdzić, że nie jestem całkiem zadowolony ze sposobu, w jaki zapowiada się ta transakcja. Zupełnie niezadowolony. Zaczynam przypuszczać, że... no cóż, że być może nie ma pan do niej stuprocentowego przekonania.

- O, naprawdę? A jak pan wpadł na taki pomysł?

- Nooo... proszę mi wierzyć, panie Reed, nie chciałbym pana niepokoić. Początkowo wykazał pan wielkie zainteresowanie Dębami i chociaż złożył pan propozycję o wiele niższą, niż wynosi prawdziwa wartość posiadłości...

- Wstrzymajmy się na chwilę - przerwał mu Jack. - Mówi pan o wartości rynkowej czy wartości jako ciekawostki?

- Panie Reed - rzekł Daniel Bufo - nie chciałbym tu pana urazić, ale czy pan autentycznie jest nadal zainteresowany nabyciem tej posiadłości? Bo jeśli nie, może pan nam obu zaoszczędzić bardzo wiele czasu i pracy. Niech pan powie jedno słowo, a damy sobie spokój.

- Oczywiście jestem nadal zainteresowany - zapewnił go Jack. - Wszystko jest na dobrej drodze. Dziś późnym popołudniem będę rozmawiał z moim radcą prawnym. - Daniel Bufo stał tak blisko, że Jack widział przezroczyste kropelki potu na jego górnej wardze. Prawdę mówiąc, po tym wszystkim, co się tu zdarzyło, Jack nie kupiłby Dębów do końca świata. Ale gdyby teraz zerwał pertraktację, miałby poważnie utrudniony dostęp do Dębów, a chciał, aż do chwili gdy wytropi Quintusa Millera, wchodzić i wychodzić z tego budynku tak często, jak potrzebował.

- No, jestem naprawdę zadowolony z tego, co usłyszałem - oświadczył Daniel Bufo z widoczną ulgą. - Po tym, co powiedział mi pan wczoraj na temat osobistego spotkania się z osobą sprzedającą...

- To już nie będzie potrzebne - zapewnił Jack. - Przyznaję, że byłem może nazbyt grymaśny.

Ostatnio cierpiałem na ból zębów... a to mnie jakoś wytrąca z równowagi.

- Och, przepraszam - powiedział Daniel Bufo, teraz, gdy upewnił się co do sprzedaży, wcielenie troskliwości. - Mam nadzieję, że wkrótce pan go wyleczy. Moja siostra była męczennicą bólu zębów.

Pochylił się i obrzucił lubieżnym spojrzeniem nogi Karen, siedzącej w wozie.

- Miło mi było znów panią ujrzyć, pani Reed. Jack niechętnie uściśnął mu dłoń i oświadczył:

- Będziemy w kontakcie, dobrze? Gdy tylko porozmawiam z moimi radcami prawnymi.

Daniel Bufo zawrócił do swego samochodu, powiewając połami obszernej marynarki. Jack patrzył za nim. Karen zapytała:

- Chyba nie zamierzasz tego kupić, prawda? Po tym wszystkim, co się zdarzyło?

- Nie kupiłbym tego budynku nawet, gdyby był to ostatni budynek, który pozostał pod słońcem.

Daniel Bufo odwrócił się i pomachał Jackowi ręką, zanim włączył się do swego wozu. Jack właśnie się odwracał, gdy wydało mu się, że ujrzał, jak stroszy się trawa obok drogi. Popatrzył ponownie, marszcząc brwi. Musiał to być wiatr, nic więcej. Ale znów ujrzał, jak poruszają się źdźbła i nie mógł to być wiatr, bo ciągnęło się to wzdłuż skraju drogi, jakby niewidoczny tchórz biegł przeciskając się przez trawę. To coś skierowało się prosto na samochód Daniela Bufo.

- Co się dzieje, kochanie? - zapytała Karen, ale Jack już rzucił się do biegu.

- Panie Bufo! - wołał. - Panie Bufo! Wynoś się pan stąd, do diabła, i to szybko!

Daniel Bufo zmarszczywszy się popatrzył na niego przez przednią szybę, a potem zrobił najgorszą z możliwych rzeczy. Zgasił silnik.

- Jazda! - wrzeszczał Jack - Panie Bufo! Jazda!

Orzący trawę ruch dotarł do samej drogi. Nagle twardą ziemię rozsadziła ręka, a mocno ubita nawierzchnia trzasnęła i rozpadła się. Daniel Bufo opuścił szybę w oknie, wychylił głowę i zawołał:

- Co pan powiedział, panie Reed? Czy coś jest nie w porządku?! Jack prawie już dobiegał do samochodu Daniela Bufo.

- Jazda! - wrzasnął na niego. - Oni tu są!

Nagle zrozumiał, że według wszelkiego prawdopodobieństwa tylko pogorszył sprawę. Bo gdyby nie wołał i nie próbował go ostrzec, Daniel Bufo już by do tej pory odjechał.

Wielka twarz Daniela Bufo miała pogodny wyraz.

- Przepraszam, panie Reed, nie jestem całkiem pewien, co pan... Jack gorączkowo oglądał wóz ze wszystkich stron, by zobaczyć, dokąd kieruje się rycie. Nawierzchnia zamknęła się za nim, jakby nic się nie zdarzyło.

- Kto tu jest, panie Reed? - zapytał Daniel Bufo.

Usłyszeli pod jego samochodem głośnie, metaliczne uderzenie, a potem odgłos, jakby ktoś walił młotem w stalową blachę. Cały wóz zaskrzypiał i zaczął podskakiwać w górę i w dół na zawieszaniu.

- Cóż to jest, u diabła? - odezwał się ze złością Daniel Bufo.

- Panie Bufo, na pańskim miejscu ja bym...

Ale w tym momencie rozległ się hałas jakby od wybuchu rozleciały się metal, tkanina i sprężyny, a Daniel Bufo cofnął się na siedzeniu. Dokładnie między jego udami wyskoczyła z brązowej skórzanej tapicerki zaciśnięta pięść z otartymi do żywego mięsa kłykciami.

- Co, u diabła! - wykrzyknął, ale jego głos zmienił się w nieopanowany kwik; taki sam rodzaj kwiku, jaki wydaje świnia, gdy nagle zda sobie sprawę, że zaraz zostanie zarżnięta.

Jedno ramię przebiło siedzenie samochodu, potem drugie. Chwyciły Daniela Bufo za szyję i



szarpnęły gwałtownie w dół. Uderzył nosem w kierownicę, a Jack usłyszał, jak łamie mu się kość.

- Graaagggghhh! - dławił się Daniel Bufo, usiłując złapać wystawioną przez okno ręką Jacka, błagając o ratunek. Jack szarpnął klamkę, ale wóz miał drzwi blokowane centralnie, a gdy spróbował sięgnąć do środka, by je otworzyć, Daniel Bufo zacisnął dłoń na jego rękawie i nie chciał go wypuścić.

Dwoje muskularnych ramion przygięło głowę Daniela Bufo aż między kolana, tak że zgiął się wpół. Charczał i rzucał się, ale nie mógł chwycić oddechu, by krzyżeć.

- Moja ręka, puść moją rękę! - wrzasnął na niego Jack. Ale Daniela Bufo ogarnęła panika tak absolutna, że tylko mocniej zaciskał uchwyt.

Jeszcze dwie ręce, tym razem ręce czarnego, przecisnęły się przez tapicerkę i chwyciły Daniela Bufo w pasie. Natychmiast zaczęły ciągnąć go w dół, w siedzenie.

Cał po cał, kolejnymi upartymi, nie powstrzymywanymi szarpnięciami, zgięty wpół Daniel Bufo był wciągany w głąb siedzenia swego samochodu. Marynarka na jego plecach wydeła się i pękła, a potem nagle zaczął rzucać się na boki z dzikiego, nie do zniesienia bólu. Jego nagie plecy tarły o poszarpany metal rozerwanego podwozia cadillaca.

Jack próbował oswobodzić gardło Daniela Bufo od ściskających je dłoni, lecz były tak mocne, że nawet nie drgnęły. Przez cały czas rzucał dokoła szybkie, gorączkowe spojrzenia, po prostu by się upewnić, że nic nie ryje drogi i że inni szaleni uczniowie Quintusa Millera nie polują na niego.

W pewnej chwili przeciąganie Daniela Bufo między Jackiem i ciągnącymi go w dół rękami osiągnęło z drzeniem martwy punkt. Daniel Bufo jedną dłoń zaciskał na rękawie Jacka, drugą na kierownicy cadillaca, rozpaczliwie próbując nie dać wciągnąć się w ziemię. Kłykie miał pobielące, całe jego ciało trzęsło się z bólu i wysiłku.

- Arrrrrgghhhh! - chrząkał Daniel Bufo. A potem chwycił łyk bezcennego powietrza i wrzasnął: - Ratuj mnie!

Były to jego ostatnie słowa. W tym momencie Jack usłyszał, jak klatka piersiowa agenta nieruchomości pęka z salwą łamiących się żeber, a potem jego miednica trzasnęła na połowy z odgłosem, którego nie sposób było zapomnieć, przypominającym przełamanie pod poduszką wielkiego półmiska na dwoje.

Z ust Daniela Bufo lunęła krew, prosto na jego nogi. A potem ostatnie szarpnięcie przepchnęło go w głąb siedzenia samochodowego, przez podłogę wozu i w samą ziemię, pozostawiając tylko poszarpane strzępy ubrania i wstęgi krwawego tłuszczu, przylepione do rozwalonych sprężyn siedzenia.

Jack, trzęsąc się i dysząc, padł na kolana, by zajrzeć pod samochód. Przez krótką chwilę grunt kipiał, podobnie jak na chwilę kotłuje się woda oceanu, gdy rekin chwytą ofiarę.

- Jack? Jack? - wołała Karen. - Co się dzieje? Co ty robisz?! Jack wstał i oparł się o bok samochodu Daniela Bufo, ocierając rękawem pot z czoła. I wtedy, bez ostrzeżenia, z ubitej ziemi przed nim wyskoczyła dłoń i chwyciła go za pantofel.

Rozdeptał ją i odskoczył. Ale natychmiast zorientował się, że nie należała do żadnego z wariatów. Była biała i tłusta, z grubymi, złotymi pierścieniami. Daniel Bufo - w ostatnim, beznadziejnym wysiłku, by się uratować.

Jack sięgnął po rękę, ale odciągnięto ją od niego przez drogę. Najpierw całkiem powoli, potem coraz szybciej. Zniknęła w trawie szeleszcząc, a potem już jej nie było.

Szybkim, nierównym krokiem Jack poszedł do swego kombi. Karen czekała na niego z szeroko otwartymi oczami, otwartymi ustami i na chwilę nawet przerwała żucie gumy.

- Co tam się stało? Dokąd udał się pan Bufo? Jack wgramolił się na siedzenie kierowcy i

powiedział:

- Zamknij drzwi. Dalej, szybko. Znikamy stąd. Przekręcając kluczyk w stacyjce zobaczył, że nawierzchnia pęka z lewej strony. Silnik zawył, ale nie chciał zapalić. Znow spróbował i znow rozległo się wycie.

- Dalejże, sukinsynu - zirytował się.

- Miałam ci to powiedzieć - odezwała się Karen. - Zostawiłeś zapalone wewnętrzne światła.

- Co? - spytał. - Masz na myśli światła na desce rozdzielczej, światła nad drzwiami?

Zostawiłem je wszystkie zapalone?

- Wyłączyłam je za ciebie - odparła Karen pocieszająco.

*O, Jezu, akumulator był już całkiem słaby, a nowy stoi pod biurkiem w warsztacie. Jak to jest, że zawsze szewc bez butów chodzi?*

Znow spróbował zapłonu. Tym razem silnik wykonał dwa obroty i zgasł. Bruzda w drodze była coraz bliżej. Nawierzchnię przebiła ręka, potem druga. Odwróciwszy głowę Jack ujrzał za drzewami po prawej stronie samochodu trzęsące się i podskakujące krzaki, przewalające się liście i coraz więcej zbliżających się do nich bruzd.

- Zrzuć pantofle - powiedział do Karen.

- Co?

- Zrzuć pantofle, musimy dać dęba.

- Żartujesz sobie?

- Tylko zrzuć pantofle, wysiądź z wozu i goń jak wszyscy diabli. I trzymaj się z dala od naruszonej w jakikolwiek sposób ziemi. Teraz biegnij.

Karen zagapiła się na niego osłupiała. Lecz w tym momencie kombi zatrzęsło się gwałtownie, pod podłogą dało się słyszeć pękanie linek hamulcowych i wściekłe bębnienie pięściami o metal pod ich siedzeniami.

- Co to takiego? - wrzasnęła Karen. - Jack... co to takiego?!

- Biegiem! - ryknął.

Oboje gwałtownie otworzyli drzwiczki i pobiegli. Obok cadillaca Daniela Bufo, wzdłuż otaczającego Dęby muru i dalej drogą.

- Dlaczego... my... tak... biegniemy? - wydyszała Karen. Jack schwycił ją za rękę.

- Nie... mów... biegnij!

Obejrzał się tylko raz. Jego kombi trzęsło się na resorach i słychać było odgłos rozdierania metalu. A potem trzasnęła jedna z opon z ogłuszającym hukiem, od którego wrony poderwały się z wrzaskiem i zaczęły krążyć w powietrzu.

Ciemnoskóry pracownik stacji benzynowej przyglądał się, jak nadchodzili - prawie przez milę. Szli po wysadzonej drzewami drodze, niczym aktorzy w końcowej scenie „Trzeciego człowieka”, z tą różnicą, że Karen szła kulejąc w pończochach oraz zbyt obcisłej minispódnicy, a Trevor Howard nie zatrzymał się, by zaproponować, że ich podwiezie.

Gdy wreszcie dotarli do stacji Exxon, pracownik powiedział po prostu „cześć!” do Jacka oraz „cześć!” do Karen, a potem:

- Awaria?

- Chcemy stąd tylko zatelefonować - oświadczył Jack.

- Mogę wysłać wóz holowniczy - zaproponował pracownik.

- Nie, dziękuję. Zupełnie wystarczy mi telefon. A tej pani przydałoby się coś do włożenia na nogi, jeśli macie tu cokolwiek.

Pracownik wysunął dolną szczękę i popatrzył na stopy Karen.

- Sprzedajemy ekwipunek drużyny baseballowej Milwaukee Brewers. Powiniennem mieć jakieś buty pani rozmiaru.

W automacie Coke Jack kupił dwie puszki lemoniady Sprite, a potem poszedł do automatu telefonicznego, podczas gdy Karen odświeżała się w toalecie dla pań. Otworzył swoją puszkę i jednym haustem opróżnił prawie do połowy. Zadzwoił do centrali i poprosił o numer Uniwersytetu Wisconsin w Madison.

Właśnie połączono go z administracją, gdy pojawiła się Karen. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu widząc, jak się zbliża, klapiąc parą baseballowych butów numer osiem.

- Nie wiem co, u diabła, tak cię śmieszy - oświadczyła, rozsuwając drzwi budki telefonicznej i wciskając się do środka.

- Zaangażowali cię do drużyny na następny sezon? - spytał Jack. Karen ruchem głowy pokazała telefon.

- Gdzie dzwonisz? Chyba nie do gliniarzy?

- Ehe. Do uniwersytetu. Pamiętasz, co mówiłem o zapewnieniu sobie pomocy eksperta?

Próbują mnie połączyć z wydziałem religioznawstwa.

- Ty poważnie myślisz, że to coś pomoże?

- Nie może zaszkodzić. Musimy się dowiedzieć, czemu mamy sprostać.

Czekali prawie przez pięć minut, podczas których Karen hałaśliwie piła lemoniadę, a Jack karmił telefon ćwierćdolarówkami. Wreszcie odezwał się roztargniony głos:

- Wydział Religioznawstwa.

- Dobrze - powiedział Jack. - Czy macie tam kogoś, kto coś wie na temat druidów?... Nie, nie, druidów... Taaa, właśnie to. Sprawa jest pilna.

Kierowca minibusu wysadził ich w kampusie, koło jeziora Mendota. Ogromne chmury burzowe gromadziły się na atramentowym, popołudniowym niebie.

- Twój Wydział Religioznawstwa, człowieku, jest tutaj naprzeciwko - powiedział kierowca.

Miał jakieś czterdzieści sześć lat, nosił siwiejące włosy do ramion, ciemne okulary przeciwsłoneczne a la John Lennon oraz plamiście farbowane dzinsy. Przez całą drogę z Waunakee przemawiał do nich w ów szczególny sposób, charakterystyczny dla ludzi, którzy nadal przeżywali epokę zespołów „The Doors” czy „Jefferson Airplane” oraz sklepów sprzedających hipisowskie akcesoria, co polegało na tym, by mówić, jakby równocześnie trzymało się w zębach skręta marihuany.

- Wszystkiego dobrego i dziękuję - powiedział Jack.

- Pokój wam - odparł kierowca minibusu.

Ręka w rękę pośpieszyli przez świeżo skoszony trawnik.

- Po raz pierwszy od jakichś dwudziestu pięciu lat powiedziano do mnie „człowieku” - zauważył Jack. Śpieszył się nie dlatego, że zbierało się na deszcz, ale ponieważ bez samochodu czuł się niezwykle bezbronny.

- Czy to coś pomoże? - spytała Karen. - Mam na myśli, czy nie powinniśmy raczej się dowiedzieć, dokąd w tej chwili się wybrał ów Quintus Miller?

- Zastanów się - odrzekł Jack. - Załóżmy, że go znajdziemy, co wtedy możemy zrobić?

- No, czy nie moglibyśmy go zastrzelić albo coś takiego? Masz sztucer myśliwski, prawda?

- Oglądałaś za dużo filmów z Rambo. Ten typek mieszka pod ziemią. I nie wprost pod ziemią, a w samej ziemi. Albo w solidnych ścianach lub podłogach. Jak można zastrzelić kogoś takiego?

- Nie wiem - przyznała Karen, z wysiłkiem dotrzymując mu kroku. - Po prostu gadanie z profesorami i takie tam... trochę to rozlazłe, wiesz?

Dotarli do sklepionej, ceglanej bramy z napisem WYDZIAŁ RELIGIOZNAWSTWA i przepchnęli się do środka przez ciężkie, wahadłowe drzwi. Wewnątrz budynku było ciemno i duszno, a w malowanym na zielono korytarzu piętrzyły się stosy pudełek papieru do powielacza. Jack zatrzymał wysoką blondynkę z haczykowatym nosem i w okularach.

- Poszukuję pana Summersa.

- Jest w pokoju profesorskim, na samym końcu tego korytarza - powiedziała dziewczyna dziwnie marzycielskim głosem, jakby mówiła o bogu, a co najmniej o Robercie Redfordzie.

Jack i Karen poszli przez cały korytarz i zastukali do drzwi pokoju profesorskiego. Nie było odpowiedzi, więc Jack otworzył drzwi i po prostu weszli. Była tam cała kolekcja rozmaitych kanap, a na jednej z nich, z nogami w górze, spoczywał chudy, czarnobrody mężczyzna w zielonych, workowatych spodniach ze sztruksu i luźnym brązowym swetrze; palił fajkę i z zadowoleniem czytał egzemplarz „Kuchni Domowej dla Kółek Kobięcych”.

- Pan Summers? - zapytał Jack.

- To ja - odpowiedział z brytyjskim akcentem mężczyzna, nie podnosząc głowy.

- Jestem Jack Reed. - Wyciągnął dłoń. - Dzwoniłem do pana trochę wcześniej.

Summers spojrzał na niego. Oczy miał z lekka wypukłe i zielone, jak świeże winogrona.

- Tak było, owszem. Człowiek od druidów, tak? Na gwałt człowiek od druidów?

- Zgadza się. Czy moglibyśmy porozmawiać?

- Oczywiście. Choć nie jestem pewien, czy mogę być panu pomocny. - Machnąwszy nogami zsunął z kanapy swe brązowe zamszowe buty i wstał z miejsca. - Próbowałem się dowiedzieć, czemu duszona wołowina wychodzi mi zawsze tak nędznie.

- Prawdopodobnie nie dusi jej pan dość wolno - oświadczyła Karen. - Większość ludzi robi ten błąd. Trzeba ją dusić naprawdę powoli, przez całe godziny, inaczej jest twarda, żyłasta i smakuje jak czyjeś pantofle treningowe.

- A! Cóż, chyba na tym polega mój problem - stwierdził pan Summers. - Zbyt niecierpliwy! Zapewne nie przypuszczaliście, że ktoś, kto poświęcił całe życie na studiowanie religioznawstwa porównawczego, może być niecierpliwy, prawda? No i proszę. - Nagle zmarszczył się patrząc na Jacka i powiedział: - Dzwonił pan z garażu, tak?

- Ze stacji benzynowej, to prawda. Z Waunakee. Administracja uniwersytetu skierowała mnie do pana, mówiąc, że jest pan bardzo dobrze zorientowany w religiach starożytnych.

- Zechce pan wybaczyć - rzekł Summers - ale kto dzwoni z garażu, przepraszam, ze stacji benzynowej, żądając pilnej rozmowy na temat druidów? To nie znaczy, że mam coś przeciwko temu, proszę mi wierzyć. Gotów jestem rozmawiać o druidach dzień i noc. Ale pan chciał porozmawiać o nich pilnie...

- Panie Summers - zaatakował go Jack - przejdę wprost do rzeczy. Czy wie pan cokolwiek o ludziach, którzy mogą chodzić w ścianach? Zasugerowano mi, że ma to jakiś związek ze starożytnymi druidami, choć nie jestem całkiem pewien. Ludzie, którzy mogą poruszać się pod ziemią?

- Kto panu o tym powiedział? - zapytał Summers, przyglądając się Jackowi z zainteresowaniem.

- Nikt nam nie powiedział, my... - zaczęła Karen, ale Jack uciszył ją ściskając za rękę.

- Zwyczajnie. Dowiedzieliśmy się o tym, i to wszystko.

- No, to jest naprawdę wysoce interesujące - zaczął Summers. - Jedna z klasycznych tajemnic świata przedchrześcijańskiego. Są setki starożytnych historii o ludziach zdolnych do przechodzenia

przez skały, o kapłanach mieszkających w pniach grubych drzew oraz o mężczyznach i kobietach potrafiących wędrować ścianami. Niezależnie zresztą od tego, czy było to naprawdę możliwe czy nie, mamy tyle relacji na ten temat i tak wiele tekstów szczegółowo to opisujących, że trzeba przyjąć za pewnik, iż druidzi z pewnością wierzyli w taką możliwość. - Popatrzył na zegarek. - Skończyłem już na dzisiaj, a niedaleko stąd jest bardzo przytulny bar. Czy macie ochotę na drinka?

- To brzmi jak muzyka w moich uszach - oświadczył Jack.

- Lepiej mówcie mi Geoff - powiedział Summers. - Gdy tylko ktoś mówi „panie Summers”, oglądam się, czy nie stoi za mną mój ojciec.

Przeszli przez wietrzny parking, by wsiąść do bardzo zużytego yalianta Geoffa Summersa, on zaś zawiózł ich o jakieś dwie, trzy mile za miasto, do małego, wymalowanego na biało baru i restauracji o nazwie Farma Lindstroma. Wcisnęli się do niewygodnej łoży z surowego dębu i zamówili piwa. W czerwonej lampie na stole migotała świeca. Zauważywszy, że Geoff Summers prawie nie spuszcza z oka piersiastej kelnerki o germańskim typie, Jack zrozumiał, jaka była główna przyczyna, dla której tamten zwykł przychodzić na drinka do tego właśnie lokalu. Jack już dużo słyszał o uniwersyteckiej obyczajowości.

Geoff Summers wziął do ust ogromny łyk piwa. Piana osiadła mu na wąsach. Wyciągnął fajkę i zaczął.

- Cała ta sprawa chodzenia wewnątrz ziemi datuje się z bardzo dawnej historii starożytnej, z czasów przed druidami, prawdę mówiąc. Aż z czasów kultury megalitycznej, budowniczych Stonehenge i wszystkich innych tajemniczych kamiennych budowli. A więc epoka, o której mówimy, to jakieś dwa tysiące siedemset lat przed Chrystusem.

Ci starożytni mężczyźni i kobiety odkryli linie sił magnetycznych, biegnących pod ziemią... Zwane są one prądami tellurycznymi lub liniami *ley*. A tam gdzie się przecinają, znajdują się miejsca o niezwykłym oddziaływaniu psychokinetycznym.

- I właśnie to nazywają magią ziemi? - zapytał Jack.

Geoff Summers zapalił zapałkę, by przypalić fajkę, ale pozwolił jej wypalić się w palcach.

- Bardzo chciałbym dowiedzieć się, dlaczego to pana tak interesuje, panie Reed.

- Jestem Jack i bardzo mi trudno ci to wytłumaczyć.

- Dobrze, Jack, więc usłyszałeś gdzieś ducha, tak? Zwykle z tego powodu ludzie zaczynają interesować się magią ziemi. Słyszą pukanie w ścianach albo sufitach i przyjmują, że to niewidzialny duch. A prawdę mówiąc, prawie bez wyjątków, ich dom stoi na linii *ley* i

słyszą, jak ktoś właśnie przechodzi przez ich ściany. Ziemiokrażca.

Jack ujął dłoń Karen pod obrusem w białoczerwoną szachownicę.

- W przybliżeniu z czymś takim właśnie mamy kłopoty - powiedział ostrożnie.

- Coś ci powiem - rzekł Geoff Summers. - Te linie *ley* posiadają o wiele większą moc, niż jest to w stanie zrozumieć współczesna nauka. A już szczególnie w pewnych porach roku. Na przykład niebieskawy piaskowiec, z którego starożytni Brytowie zbudowali Stonehenge, pochodzi z gór Prescelly w hrabstwie Pembrokeshire, sto trzydzieści pięć mil od miejsca, w którym w końcu postawiono te kamienie... chociaż niektóre z nich ważą po pięćdziesiąt ton. W kategoriach współczesnej nauki nikt dotąd nie zdołał wyjaśnić, jak starożytni Brytowie mogli przesunąć pięćdziesięciotonowy kamień nawet o jedną milę, a cóż dopiero o sto trzydzieści pięć. Ale opowiadania druidyczne podają, że te kamienie zostały po prostu wezwane i popęzły wzdłuż linii *ley* z Walii do Stonehenge, pod ziemią, samodzielnie.

- To niesamowite - odezwała się Karen. - To naprawdę niesamowite.

- Na nieszczęście nie można tego udowodnić - odrzekł Geoff Summers nie odrywając spojrzenia

od kelnerki. - Ale to wydarzyło się też w Ameryce. Na Mystery Hill w New Hampshire, a także w Arizonie. Indianie Pima mają legendę o Tcu-Wutu-Makai, Magu Twardej Ziemi, który potrafił spacerować poprzez ziemię. Istnieje też немало spostrzeżeń o współczesnych ziemiokrądcach.

W Applebachsville, stan Pensylwania, w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku pewna kobieta ujrzała postać nagiego mężczyzny, idącego wewnątrz ściany jej wiejskiego domu; a tak niedawno, jak w roku tysiąc dziewięćset trzecim, pewien farmer w Pewamo, stan Michigan, zeznał pod przysięgą w lokalnej gazecie, że widział pole pełne ludzkich rąk. Przysiągł na wszystko, co święte, że chwyciły one jego nagrodzonego na konkursie białego byka i wciągnęły go prosto w ziemię.

- Ty w to wierzysz? - zapytał ostrożnie Jack.

- Nie wiem - odparł Geoff Summers, zapalając kolejną zapałkę i przypiekając świeży tytoń w główce swej fajki. - Ale w religioznawstwie nie jesteśmy tak sceptycznie nastawieni, jak antropologowie czy powiedzmy, klasyczni historycy. Uwzględniamy też mistyczną stronę życia. A także, zauważ, to co powiedział ten farmer z Michigan, dokładnie zgadza się z nauką druidów. Jeśli kapłan zmieszał się z ziemią, potrzebna była krwawa ofiara, aby pozwolić mu wrócić do żywiołu powietrza. Niekiedy wiele krwawych ofiar.

Druidzi trzymali swe rytuały w tajemnicy, aby nikt nie mógł powiedzieć, ile faktycznie osób składali w ofierze. - Wypuścił kłęb dymu, a potem kontynuował. - Ponieważ we wszystkich ich świętych miejscach znaleziono bardzo niewiele ludzkich szczątków, dwie czy trzy czaszki i parę kości udowych, więc większość historyków przyjęła, że prawie nie składali krwawych ofiar, być może w ogóle żadnych.

Ale relacje i legendy mówią zupełnie jasno. Przypuszcza się, że wcześni druidzi zabijali mężczyzn i kobiety setkami, i to w niezbyt miły sposób. Twierdzono, że kastrowali mężczyzn i wyrywali macice kobietom. Wyrywali im ręce i nogi i rozlewali ich krew na ziemi. W ten sposób dziesiątkowano całe wioski. Mówiono, że studiowali sposób, w jaki wiją się ich ofiary, aby wywróżyć przyszłość.

Karen przycisnęła dłoń do czoła szybkim, nerwowym gestem.

- Przepraszam - powiedział Geoff Summers. - Nie chciałem przyprawiać cię o mdłości.

Ale Karen zerknęła na Jacka, a Jack wiedział, że to nie z powodu nadwrażliwości była tak wytrącona z równowagi. To ze strachu przed Quintusem Millerem i jego orszakiem, przebijającym sobie drogi przez ciemności ziemi, gnany żądzą krwi, zaostrzoną po równo mistycyzmem epoki kamiennej jak i zwykłym obłędem morderców.

- Czy jest jakiś sposób... - odezwał się Jack do Geoffa Summersa - czy może wiesz o jakimkolwiek w ogóle sposobie, by powstrzymać tych ziemiokrądców?

Geoff Summers obserwował go przez chwilę swymi zielonymi jak winogrona oczami.

- Powstrzymać? Co chcesz powiedzieć przez to słowo?

- Mam na myśli: zabić. Czy ktokolwiek może ich wytropić i zabić?

- Jack - odrzekł powoli Geoff Summers - zaczynam zadawać sobie pytanie, w co ty się wpakowałeś.

- Zapytałem cię o coś, i to wszystko. Jak się ich zabija?

Geoff Summers powoli pokiwał głową.

- Nie powiem ani słowa więcej, póki się nie dowiem, o co w tym wszystkim idzie.

- Nie mogę ci nic powiedzieć, jeszcze nie. - Jack zaczerpnął głęboko powietrza. - Komuś mogłaby się stać krzywda. Mam małego syna, prawdę mówiąc. Jemu mogłaby się stać krzywda. Czy możemy po prostu zawrzeć umowę? Ty mi powiedz wszystko, co wiesz o ziemiokrądcach, a gdy to

będzie już dla mnie bezpieczne, wrócę i opowiem ci wszystko. Nawet dam ci to na piśmie.

- Ty sukinsynu - odpowiedział mu Geoff Summers wesołym tonem. - Znalazłeś ziemiokrążcę?

- Ehe - odrzekł Jack. - Nie wiem, co znalazłem. Ale proszę cię, potrzebuję twojej pomocy. Nie proszę cię, byś mi dał coś za nic. Czego sobie życzysz? Jak by ci się podobało dwa i pół tysiąca? Gotówką, nie opodatkowane.

- Czy rzeczywiście znalazłeś ziemiokrążcę? - powtórzył Geoff Summers.

Jack trzasnął płasko dłonią w blat stołu i wygramolił się z siedzenia, nabijając sobie na udzie siniaka o poręcz.

- Powiedziałem ci, Geoff: potrzebuje twojej pomocy. Potrzebuję wszelkiej pomocy. Ale nie mogę wyjaśnić, co się dzieje, bo sam tego nie jestem zupełnie pewien. Jeśli nie zechcesz mi pomóc... cóż, będę musiał znaleźć kogoś, kto zechce.

Geoff Summers szybko wyjął fajkę z ust i podniósł rękę.

- Zaczekaj, Jack... *fanites!* Dajże spokój, nie rozbiegajmy się wściekle we wszystkie strony. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: po prostu powiedz, czy znalazłeś jakiegoś ziemiokrążcę. I niezależnie od tego, czy powiesz tak czy nie, przekażę ci wszystko, co wiem o druidach, obiecuję. Nie jest tego zbyt wiele... sam mógłbyś się dowiedzieć większości tego, gdybyś wiedział, które książki przeczytać.

Nie zadam ci żadnych więcej pytań, póki nie będziesz gotów odpowiedzieć. Jak ci się to podoba?

Jack zawahał się. Rozpęta się piekło i zacznie go ścigać, gdy policja odkryje, co się przydarzyło Josephowi Lovelittle, ojcu Bellowi, Essie Estergomy oraz Danielowi Bufo... nie mówiąc już o skautkach i wszystkich innych ludziach, których Quintus Miller i jego szaleńcy mogli do tej pory zmasakrować. Zanim przyzna się, że ma cokolwiek wspólnego z tymi wydarzeniami, Jack chciał odnaleźć Quintusa Millera i uzyskać całkowitą pewność, że zdołał go zniszczyć.

A jeśli gdzieś i jakimś sposobem Randy nadal żyje... chciał także jego ocalić.

- To bardzo skomplikowane - powiedział, siadając na dawnym miejscu.

- Druidzi byli bardzo skomplikowanymi ludźmi - zapewnił go Geoff Summers. - Rozumieli świat, w którym żyli, rozumieli jego siły i używali ich w sposób niszczycielski. A my, proszę bardzo, w cztery tysiące siedemset lat później nadal nie potrafimy sformułować żadnego racjonalnego i naukowego wytłumaczenia dla budowli Stonehenge, Wyspy Wielkanocnej, Carnac we Francji czy Mystery Hill. Ani dlaczego je wybudowali, ani w jaki sposób.

- Geoff - wtrąciła Karen - to prawda, znaleźliśmy kogoś takiego. Ziemiokrążcę. A prawdę mówiąc, więcej niż jednego.

- Karen! - zaprotestował Jack, lecz Karen odparła:

- Jack, to nie była twoja wina! Nie twoja wina! A co innego zrobisz? Ktoś musi o tym wiedzieć. Oni mnie przerażają, Jack. Naprawdę mnie przerażają.

Geoffowi zaświeciły się oczy i pochylił się nad stołem, pykając z fajki dymem jak staromodna lokomotywa.

- To świetnie! Weźmiecie mnie do drużyny? Czekałem na coś takiego! Posłuchaj, Jack, jeśli to prawda, jeśli naprawdę znalazłeś ziemiokrążcę, to jest to najniezwyklejsze wydarzenie mistyczne od dziesięcioleci. Doktorat mam w kieszeni.

- Gówno mnie obchodzi twój doktorat! - odpalił Jack. - Ci ludzie trzymają mego syna!

- Przepraszam. - Geoff wyprostował się speszony. - Posłuchaj, przepraszam. Nie rozumiałem tego. - Ale zaraz znów pochylił się ku nim z nowym entuzjazmem. - Jeśli weźmiecie mnie do drużyny, to wierz mi, Jack, zrobię wszystko, co potrafię, by go odzyskać.

- Po prostu powiedz mi, jak się ich zabija - powtórzył Jack z przesadnym spokojem.

- Cóż... - powiedział Geoff - to tylko pogłoska, rozumiesz? Nie ma na to żadnych historycznych dowodów. Ale z drugiej strony... Ha! co z tego? Nie ma też historycznych dowodów istnienia ziemiokrażców. Aby zabić ziemiokrażcę, tak przynajmniej twierdzili druidzi, trzeba zaklęciami zapędzić go w miejsce, gdzie kończy się ziemia. Może coś jakby skraj urwiska. Musisz go zapędzić na obszar, z którego nie może już uciec. A wtedy musisz rozbić ziemię czy kamień, w którym się ukrywa, i zabić go rytualnie na sposób druidów.

- Jeśli wybaczysz mi moją ignorancję, to na czym polega rytualny sposób druidów? - zapytał Jack.

Geoff uśmiechnął się.

- Musisz go wyginać do tyłu, aż pęknie mu kręgosłup.

Jack zamilkł na długo, podnosząc ze stołu i wypuszczając książeczkę zapalek z napisem „Farma Lindstroma”.

- A te... jak im tam? - spytał. - Te zaklęcia? Jak się właściwie zaklina?

- Nikt nie wie. Przykro mi. Zdaje się, że druidzi mieli język pisany, ale... no cóż, sam wiesz. Tak samo, jak z wielu innymi rzeczami. Utonął we mrocznej mgle czasu.

- Utonął w mrocznej mgle czasu, he? - powtórzył Jack. - Cholernie skuteczna pomoc.

- Cóż, przykro mi. Ale tyle akurat wiem. To było przeszło cztery tysiące lat temu. Nie ma dziś żadnych druidów, których można by zapytać... A tak, jest współczesny zakon druidów, ale to tylko garść ekscentrycznych Walijczyków, którzy na weekendy ubierają się w prześcieradła.

Karen, wściekle żując gumę, myślała intensywnie.

- Jack... posłuchaj... woda święcona trzymała ich w miejscu, prawda?

- Woda święcona trzymała kogo gdzie? - zapytał Jack. Był bardzo zmęczony.

Przerzuciła gumę pod drugi policzek.

- Czy sam mi nie mówiłeś, że świry nie mogły wydostać się z budynku z powodu wody święconej dookoła? Czy nie mówiłeś mi o tym? I dlatego, że ten ksiądz odmówił właściwe modlitwy. W rodzaju, wiesz: zostańcie na miejscu, wy nieczyste duchy czy coś.

- Zgadza się! - Jack skinął głową. - Zgadza się absolutnie. A więc jeśli nie mogli uciec z koła wody święconej... być może będziemy w stanie użyć wody święconej i modlitw zamiast druidycznych zaklęć.

W podnieceniu zapomnieli zupełnie o Geoffie Summersie, który przyglądał się im z rosnącą fascynacją i zdumieniem.

- Muszą być książki z właściwymi modlitwami i takimi tam - powiedział Jack do Karen. - Czyli wystarczy, jeśli znajdziemy trochę wody święconej... w kąpielnicy czy czymś takim... a gdy będziemy gotowi, możemy zapolować na tych skurwysynów.

- Mogę pomóc - odezwał się uprzejmie Geoff Summers.

- Przepraszam, naprawdę - zwrócił się do niego Jack. - Ale nie powinieneś być słyszeć tego wszystkiego.

- Mogę dopomóc - nalegał Geoff. - Mam wszystkie potrzebne wam książki. Wszystkie rytuały egzorcyzmów, wszystkie zaklęcia dla odpędzania demonów. Nawet modlitwę dla uwolnienia społeczności od osób, mających sprzeczne z ogólnie przyjętymi poglądy na znaczenie Pisma. Postawmy sprawę w ten sposób: nie sądzę, by powiedzenie „zostańcie na miejscu, wy nieczyste duchy czy coś” naprawdę poskutkowało.

Jack zawahał się na chwilę, a potem wycelował palec w Geoffa.

- Chcesz być z nami?



- Oczywiście! - Geoff wyszczerzył zęby. - Chcielibście eksperta, jestem ekspertem. Przynajmniej w zakresie religioznawstwa porównawczego. Głęboko angielski sposób bycia Geoffa Summersa spowodował, że Jack poczuł się bardziej Dickiem van Dyke niż kiedykolwiek.

- No dobrze - orzekł. - Jesteś w naszej drużynie. Ale dwa ostrzeżenia. Po pierwsze, jeszcze nie jesteśmy gotowi, by opowiedzieć policji, co tu się dzieje. Gdybyśmy tak zrobili, spieprzyłibyśmy wszystko jeszcze gorzej, niż to jest w tej chwili. Po drugie, to bardzo niebezpieczne, co mówię z całą powagą: bardzo niebezpieczne, i istnieje poważna możliwość, że stanie ci się krzywda.

- Nooo... myślę, że jakoś to zniosę - odrzekł Geoff. - Uwielbiam niebezpieczne życie. Wiecie: jeździć motocyklem bez kasku, pływać na jachcie bez kamizelki ratunkowej. I pozwalać sobie bez kondoma.

- Ale jest jeszcze coś - dodał Jack. - Ta cała sprawa w ostatecznym rachunku dotyczy mnie. To mój syn, to moja sytuacja. Co oznacza, że będziesz robił, co ci powiem, i to szybko, nie zadając pytań.

- Dobra, dobra - uspokoił go Geoff. - A teraz... czy mi wreszcie powiesz, co tu się dzieje?

- Przede wszystkim - odrzekł Jack - muszę znaleźć sobie samochód. Następnie musimy znaleźć dla nas bazę, miejsce do spania, miejsce, skąd moglibyśmy śledzić wiadomości.

- Wiadomości? Oczekujesz, że w dziennikach pojawią się wiadomości o druidach?

- Geoff - oświadczył Jack, wpatrując się w niego usilnie - nawet sobie nie wyobrażasz, jaka to poważna sprawa.

- Owszem. Najwyraźniej sobie nie wyobrażam. - Uśmiechnął się do Karen, uniósł brwi i powiedział: - Ho! Ho!

I wówczas Jack nagle zrozumiał, jak młodym Geoff Summers jest człowiekiem.

## ROZDZIAŁ IX

Tego wieczoru, o piątej trzydzieści, sześćdziesięciosiedmioletnia kobieta, Matilda Pancic, wyszła ze sklepu z tanią zdrową żywnością na Lincoln Avenue w zachodnim Milwaukee i skierowała się do kamienicy, w której mieszkała, położonej o trzy przecznice dalej na zachód. Idąc podśpiewywała: „To mój cudowny dzień... to dzień, który pamiętać będę aż do samej śmierci...”

Tuż za nią betonowy chodnik zaczął pękać w wąską bruzdę i chociaż nie mogła tego usłyszeć z powodu ruchu ulicznego oraz faktu, że była przygłucha, gonił ją tępy, ciągnący się dźwięk szszszszsz... szszszszsz... szszszszsz.

Od czterech lat i dziewięciu dni Matilda Pancic była wdową. Jej mąż, Milton Pancic, uprawiał zawód piekarza-cukiernika. Na jej biurku stała jego fotografia - łysego mężczyzny z obwisłym wąsem. Zmarł na pęknięcie wrzodu żołądka wieczorem przed rocznicą ich ślubu. Tort, który upiekł na tę okazję, stał pod szklanym kloszem obok jego fotografii: „Dla Mejszej Najśłodszej Matti, Dziękując Za Czterdzieści Osiem Cudownych Lat, Twój Na Zawsze, Milton”.

Tort przyniósł do domu o szóstej wieczorem. „Na Zawsze” trwało przez siedemnaście minut.

Matildzie Pancic doskwierało ostatnio zimno, zawiązała więc na głowie chustkę z drukowanym widokiem wodospadu Niagara, nosiła też watowany płaszcz przeciwdeszczowy w kolorze spłowiałego błękitu. Twarz miała okrągłęjszą niż dawniej; ale cóż więcej było do roboty, niż siedzieć przed telewizorem, zajadać z pojemnika jogurt z owocami tropikalnymi i rozmyślać o Miltonie? Niekiedy w nocy wydawało jej się, że słyszy jego głos, wołający ją z kuchni, tak głośny i wyraźny, jak za jego życia.

Zatrzymała się w drogerii Carswella by kupić „Milwaukee Journal” oraz szczoteczkę do zębów. Pan Druker, farmaceuta o końskiej twarzy, przechylił się przez kontuar apteczny i spytał:

- Pani Pancic, wypróbowała pani tę maść na egzeme? Co pani o niej sądzi?

- Zbyt tłusta, Hermanie... nie podoba mi się. Pobrudziła mi mankiety. - Zacisnęła wargi z niesmakiem.

- Trzeba ją stosować przynajmniej przez miesiąc.

Stojąca przed nią dziewczyna bardzo długo zastanawiała się, czy wybrać farbę do włosów „Miodowy Świt”, czy „Śniady Zachwył”. Matilda Pancic zajrzała jej przez ramię i powiedziała:

- Weź brązowy. Ten drugi jest zbyt jasny, będziesz wyglądała jak szczotka do zamywania.

Dziewczyna odwróciła się, popatrzyła na nią i z zakłopotaniem sapnęła jednym nozdrzem.

- Pójdź za moją radą - nalegała pani Pancic. - Ja tam się znam na kolorach włosów, popatrz na moje: „Śnieżna Niespodzianka”. - Zarechotała z własnego dowcipu.

O sześć cali od jej lewej stopy podłoga z czarno-białych płytek winylowych zaczęła falować i puchnąć, a suchy, ciągnący się dźwięk wydawał się dochodzić coraz bliżej powierzchni.

- Tylko gazeta i szczoteczka do zębów - powiedziała pani Pancic, podnosząc je do góry i pokazując panu Drukerowi.

W tym momencie podłoga koło jej stopy wybuchnęła, rozrywając płytki posadzki i sypiąc betonem, wyskoczyły z niej masywne, owłosione dłonie i chwyciły kobietę za kostkę.

Wrzasnęła wstrząśnięta i zwała się na kontuar, rozbijając szklaną przegrodę. Stamtąd stoczyła się na podłogę w deszczu anacyny, tilenolu, tumsów i tampaxów.

Także i dziewczyna wrzasnęła i odskoczyła o parę kroków. Pan Druker wyszeptał:

- O, mój Boże!

Matilda Pancic próbowała uczepić się cokołu kontuaru, by wyrwać się z uchwytu. Ale z podłogi nagle wynurzyła się druga ręka i złapała ją za prawą łydkę. Przez cały ten czas kobieta nie powiedziała nic, zupełnie nic, wyciągała tylko ręce do kontuaru, próbując uchwycić się czegoś mocnego.

- Wezwij policję! - krzyknął pan Druker do pomocnika.

- Że co? - spytał łysiejący pomocnik.

- Wezwij pierdoloną policję! - wrzasnął na niego z całej siły pan Druker. Zaklął po raz pierwszy od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego, gdy był w Korei.

Dwie potężne ręce trzymające Matildę Pancic ciskały ją z boku na bok, miażdżąc ją krakkk! o kontuar, a potem krakkk! o podłogę i znów krakkk! o stojak z kartami urodzinowymi Hallmark. Jej chusta z wodospadem Niagara nagle zalała się purpurą krwi; jej połamane ramiona wymachiwały bezwładnie. Trzaskano nią z boku na bok, znowu i znowu, aż zataczała się pod ciosami jak zakrwawiona szmaciana lalka.

Na ulicy syreny zawyły jak dzieci. Pod drogerią już zgromadził się tłum, nie po to, by ratować Matildę Pancic, lecz by patrzeć, jak umiera. Jej krew i mózg spryskały okno drogerii i całą ladę: „Widzisz, jak ta krew leci?” „Widzisz, jak te ręce machają?” „Popatrz na jej twarz!”

Na koniec potężne ręce sięgnęły do góry i zagarnęły ją jak swoją własność. Na oczach

wszystkich zgromadzonych niedowiarków została wbita w podłogę, w sam beton, jako kłęb krwi, wnętrzości i odrzuconej wstecz głowy, jako krwawa ludzka układanka, której nikt z patrzących nie potrafił rozwikłać.

Na koniec znikła jej spuchnięta lewa noga, zabandażowana noga starej kobiety. Poszorowała w beton z dźwiękiem, przyprowadzającym o ścierpięcie zębów - odgłosem ciała tartego o beton. Ciało wcieranego w beton.

Potem zniknęła, a podłoga na chwilę się wybrzuszyła. Wpadli policjanci z wyciągniętą bronią. - Nie ruszać się! Policja!

Ale nikt nie potrafił podążyć za płynną ucieczką w głąb człowieka, którego ktoś kiedyś ochrzcił imieniem Lester.

Tegoż wieczoru, krótko po godzinie siódmej, trzydziestotrzyletni taksator ubezpieczeniowy nazwiskiem Arnold Cohn wysiadł z windy na trzecim poziomie parkingu pod gmachem Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych Wisconsin i podążył przez parking, wygładzając włosy dłonią.

Tego wieczoru miał się spotkać z dziewczyną imieniem Naomi Bernstein na włoskiej kolacji, miał też nadzieję, że potem zabierze ją do swego mieszkania, by słuchać opery. W tece, prócz wszystkich papierów na temat owego wysoce podejrzanego pożaru w Hurtowni Warzyw Yoighta, niósł nowe nagranie kompaktowe „Kalifa z Bagdadu” Francois Boieldieu. Arnold był prawdziwym amatorem opery, który od dawna już nie poprzestawał na Verdim.

Rozmyślał o własnej fryzurze. Choć miał ledwie trzydzieści trzy lata, zaczęła rzednąć na ciemieniu i to do tego stopnia, że gdy otwierał szeroko lustro swej apteczki, co pozwalało obejrzeć tył głowy w lustrze wiszącym w korytarzu, widział białą skórę, błyszczącą przez miękkie, czarne loki.

Ojciec Arnolda był prawie kompletnie łysy, ale to przecież w porządku, że ojcowie są łysi. Arnoldowi nawet przez głowę nie przeszło, że coś takiego może przydarzyć się też jemu. Szczególnie teraz, gdy znalazł dziewczynę, do której naprawdę się palił.

Naomi była wiolonczelistką w Orkiestrze Symfonicznej Milwaukee. Miała czarne, sięgające połowy pleców włosy, oczy tak brązowe i błyszczące, jak twarde czekoladki M&M oraz mocne uda. Arnold nigdy jeszcze nie spotkał dziewczyny tak pełnej werwy.

Prawie dotarł do swego wozu, gdy wydało mu się, że słyszy, jak ktoś za nim idzie. Zatrzymał się i rozejrzał wokoło, ale betonowy garaż był pusty. Arnold pracował do późnych godzin i prócz jego yolkswagena w garażu pozostało jeszcze tylko sześć czy siedem maszyn. Jedną z nich była corvette, należąca do jego kolegi Johna Radetzky'ego, zawsze otulona plandeką.

Przez prawie pół minuty Arnold stał absolutnie bez ruchu, powstrzymując oddech. Ale w garażu panowała cisza. Skarcił siebie krótkim „hmmf” za to, że okazał się tak nerwowy i ruszył w dalszą drogę. Zastanawiał się, czy Naomi da się przekonać i zostanie na noc. Przyglądał się jej udom, obejmującym wiolonczelę. Na samą myśl, że w podobny sposób mogłyby objąć go w pasie, spocił się.

Wyciągnął kluczyki do samochodu. W tym momencie znów usłyszał ów dźwięk. Szszszsz... szszszsz... szszszsz - jakby ktoś ciągnął ciężki wór. Podniósł głowę. Wydawało się, że ów odgłos dobiega jakby z sufitu, z drugiego poziomu parkingu. Ale przecież drugi poziom stał pusty i ciemny, co widział, mijając go windą. Zwykle używany był tylko w dzień, przez odwiedzających firmę. - Jest tam kto?! - zawołał. „Kto?” - odpowiedziało mu echo.

Otworzył drzwiczki swego wozu. Szszszszszszszsz, rozległ się szepczący dźwięk. Tym razem Arnold zrobił w tył zwrot naprawdę szybko.

- Posłuchaj... jeśli tu jesteś, to lepiej będzie, gdy zrozumiesz, że jesteś tutaj bez zezwolenia, a ja wychodząc z budynku poinformuję o tym kierownika.

W tym momencie dostrzegł, że plandeka na samochodzie Johna Radetzky'ego lekko zafalowała. A więc tak to było. Ktoś się ukrywał w wozie Radetzky'ego. Zapewne jakiś włóczęga. Albo śpiący wewnątrz, albo zastanawiający się, jak ukraść stamtąd radio.

Arnold przeszedł przez garaż tak cicho, jak potrafił, wygładzając dłonią włosy na karku. Dotarłszy do przykrytej corvette zawahał się tylko na chwilę. A potem schylił się i chwycił oburącz plandekę.

*Poczekaj, sukinsynu. Raz, dwa trzy.* Szarpnął plandekę do góry i wrzasnął:

- Mam cię!

Ale samochód był pusty. Nikogo w środku. Zaambarasowany, a równocześnie zadowolony, że nikogo poza nim tu nie ma, Arnold zajrzał jeszcze przez błyszczącą przednią szybę.

Gdy tak patrzył, osłaniając oczy dłonią przed odbiciem światełówek, betonowy strop tuż nad jego głową zaczął się odkształcać, jakby stał się miękki jak piasek.

Powoli, w miarę jak drobiny betonu się rozsuwały, ukazały się kształty nagiej kobiety, leżącej poziomo na belce stropowej. Była to osobliwa piękność o błędnym wzroku, drobnych piersiach oraz mocnych, okrągłych udach, które Arnold na pewno by docenił.

Sięgnęła w dół dwiema rękami jak pływaczka sięgająca w głąb morza i nieskończenie łagodnie dotknęła jego włosów.

Arnold niecierpliwym gestem przygładził fryzurę, myśląc, że musnęła go mucha lub też że jego włosy zwyczajnie, jak zwykle, zsunęły się z łysinki.

Kobieta dotknęła go znowu i tym razem popatrzył w górę, marszcząc brwi.

- Aaach! - wrzasnął. Tyle tylko zdołał. Czuł, jak żołądek zwija mu się ze strachu niczym przekłuty balon.

Kobieta w betonie nie dała mu żadnych szans. Złapała go mocno za szyję obiema rękami i uniosła do góry, aż jego stopy oderwały się od podłogi. Kopał, chwiał się, dusił i próbował krzyczeć, ale ona bez wysiłku uniosła go pod sufit, przyciskając mu kciukami jabłko Adama i równocześnie wbijając paznokcie głęboko w kark.

Spurpurowiawszy na twarzy odpychał się oburącz od sufitu, lecz ona ciągnęła go nieustępliwie w górę, aż przycisnęła jego twarz do swojej.

Jej policzki i czoło okazały się dokładnie takim samym ścierniwem, jak beton, z którego się wynurzyła. Jej puste, betonowe oczy wpatrywały się prosto w niego. Nie mógł oddychać, nie mógł krzyczeć. Czuł się tak, jakby cały budynek walił się z góry na niego. W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. To on był wciągany w budynek.

*Pocałuj mnie* - rozkazała kobieta, uśmiechając się, szorując nosem po jego policzku i boleśnie go ocierając. - *Czy nie sądzisz, że jestem piękna? Popatrz na moje piersi! Czy nie chcesz się ze mną kochać?* - Potarła swą twarz o jego, z boku na bok, a potem coraz prędzej. Zadrapania szybko stały się rozdarciem; rozdarciem pogłębiły się jak bruzdy. Skóra poszła w strzępy jak bibułka, zakończenia nerwowe obnażyły się, ciało zdarto. - *W lewo - w prawo - w lewo - w prawo - czip - czop - czip - czop, ostatni odpada!*

Betonowa kobieta śmiała się z niego, jej betonowa twarz błyszczała od serdecznej krwi Arnolda. Arnold otworzył usta, próbując krzyczeć, lecz ona zbyt mocno ścisnęła go za gardło; gdy zaś siłował się dalej, jej tynkowe czoło oderwało mu wargi, jak dwa grube, czerwone, kalekie robaki. Za nimi poszedł jego nos, zbity w krwawy węzeł chrząstek i kości. Ale dopiero gdy starła mu ciało z podbródka do nagiej kości, zatrząsł się w bolesnej wibracji, która przeniknęła go do samego mózgu i

szarpnął się tak mocno, że go wypuściła.

Zwalił się ciężko na podłogę, spryskując krwią cały samochód Johna Radetzky'ego. Dysząc, dusząc się, śliniąc odpełznął od wozu po betonowej podłodze, zostawiając za sobą smugę krwi tak jasnej jak świeżo rozlana farba.

Przez zawieruchę różnych rodzajów bólu przebiła się jedna myśl: *Moja twarz. Co ona zrobiła z moją twarzą?*

Krew zalewała mu oczy tak, że mało co widział. Nie śmiał dotknąć swej twarzy, by ją wytrzeć; ale jeśli zamrugał lewą powieką, mógł z trudem rozeznąć, dokąd się kieruje. Prawa powieka zwisała beużytecznie z kąta oka.

Ujrzał swego jaskrawozielonego volkswagena, zaparkowanego po przeciwnej stronie garażu. Dźwignął się w jego stronę, starając się nie myśleć o tym, co mu się przydarzyło, po prostu starając się tam dostać. *Dostań się, a będziesz bezpieczny.*

Czuł mrozące zimno, a jego ciało zdawało się ważyć dwa razy więcej niż normalnie. Za każdym razem, gdy mrugał lewym okiem, zalewała je świeża zasłona krwi. Próbował sobie przypomnieć słowa jednej ze swych ulubionych oper, „Koangi” Fredericka Deliusa.

Był tylko o sześć, najwyżej siedem stóp od swego wozu, gdy beton pod nim zaczął się podnosić jak rosnący szary bochen chleba. *Trzęsienie ziemi* - podpowiedział mu umysł. Ale zaraz poczuł obejmujące go straszliwym uściskiem potężne, szorstkie ramiona i szorstkie piersi, wbijające mu się w korpus. Mrugnął lewą powieką i oto była ona, śmiejąca się do niego szaleńczym, tryumfującym, przerażającym śmiechem, z twarzą piegowatą od oleju z zaparkowanych samochodów i zaplamioną jego krwią.

*Kochaj się ze mną - rozkazała. - Chodźże, mój słodziutki, kochaj się ze mną.*

Ucałowała jego krwawe, bezwargie usta, szorując swymi betonowymi zębami po jego zębach. A potem jednym potężnym skokiem zanurzyła się jak nurek pod powierzchnię podłogi, pociągając go za sobą.

Przez ułamek sekundy Arnold czuł ból tak przejmujący, że przekraczał wszystko, czego w życiu doświadczył. Było to tak, jakby żywcem wpadł do całego oceanu mielących maszynek do mięsa. Gdy go miażdżyły, gniotły i rozszarpywały, stwierdził ze zdumieniem, że jego świadomość jeszcze funkcjonuje, w chwili gdy jego ciało nie jest już niczym więcej niż tłuszczem, śluzem, odłamkami kości i przemielonymi żyłami. Umarł zdumiony. Umarł w rozpalonym do białości bólu.

Po jego zniknięciu w garażu zapanowała cisza. A potem rozległo się niemal niesłyszalne szszszsz... szszszsz... szszszsz... ludzkiego ciała, przemieszczającego się wewnątrz twardych ścian.

O drugiej trzydziści następnego ranka posterunkowy Gene Spanier z policji Milwaukee jechał do domu na północ, wzdłuż Lisbon Avenue, gdy ujrzał kształt przypominający pijaka leżącego na chodniku. Powoli podjechał do krawężnika, odwrócił się na siedzeniu i popatrzył wstecz, wrzuciwszy jałowy bieg. Albo pijaczek, albo zimny trup, choć o ile było mu wiadomo, nie wpłynął żaden meldunek o trupie. Tutejsi mieszkańcy daliby

kroka nad leżącym pijakiem, lecz woleli, by trupy usuwano.

Posterunkowy Spanier był bardzo zmęczony. Pracował od jedenastej rano poprzedniego dnia i marzył tylko o łóżku. Ale tu oto leżała ta postać, rozciągnięta twarzą w dół na chodniku, z rękami przy bokach. A co jeśli okaże się, że to świeże zwłoki, a posterunkowy Spanier przejedzie obok?

Odmówił gorzką modlitwę do Pana Boga tam w górze. *O, Panie, dajesz jachty napadającym na*

banki i cadillaki alfonsom. Jak to się dzieje, że nigdy nie dałeś mi nic więcej niż potężne murzyńskie gówno? Amen. Cofnął swego trzęsącego się, ośmioletniego oldsmobile'a aż do miejsca, gdzie spoczywała postać i przez szczelnie zamknięte okno obejrzał ją z pewną nadzieją.

Zalany czy sztywny? Z tej odległości trudno było powiedzieć. Nie mógł dostrzec, czy oddycha, a twarz postaci miała najdziwniejszy możliwy kolor, prawie dokładnie taki, jak beton, na którym leżała. Marynarka też jakby w kolorze betonu.

Mężczyzna, około trzydziestu pięciu lat, krępy. Polak albo może Niemiec.

Posterunkowy Spanier cofnął wóz jeszcze stopę czy dwie i ujrzał, że postać ma nagie stopy. Nagie stopy koloru betonu.

Pijak, musowo. Ani śladu krwi. Ani śladu ran głowy. Ale z drugiej znów strony ta twarz tego okropnego koloru betonu, nieprawdaż? No i jego klatka piersiowa nie podnosiła się ani nie opadała, jak to u oddychającego człowieka. A jeśli nawet nie był martwy, jeśli był zwyczajnie pijany, mógł cierpieć na zatrucie alkoholowe. Być może posterunkowy Spanier uratuje mu życie.

*Jeśli ma jakikolwiek sens ratowanie mężczyzny, leżącego twarzą do dołu na Lisbon Avenue o drugiej trzydzieści rano* - pomyślał posterunkowy Spanier bez współczucia. Nigdy nie lubił przypowieści o dobrym Samarytaninie. Nie znał też zbyt wielu policjantów, którzy by ją lubili. W większości wypadków uratowani ludzie nawet nie chcieli być ratowani, w pozostałych nie byli tego warci. Włóczędzy, narki, niedoszli samobójcy, bezrobotni robotnicy browarów, trzaśnięci Polaczkowie.

Posterunkowy Spanier liczył sobie trzydzieści dziewięć lat i pięćdziesiąt jeden tygodni, był po raz drugi rozwiedziony. Każdego ranka otwierał oczy o dwie godziny za wcześnie i leżał, zastanawiając się, jaki sens ma jego życie. Za tydzień będzie miał czterdziestkę. Mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu, a nad nim zamieszkiwał muzyk grający na saksofonie sopranowym, po drugiej zaś stronie korytarza prostytutka. Saksofonista sopranowy wygrywał rozdzierająco złe imitacje Rolanda Kirka, prostytutka natomiast ubierała się w najkrótsze z możliwych białe szorty, tak ciasne, że wcinały się jej między nogami jak najostrzejszy nóż - oboje przeszkadzali mu na różne sposoby, lecz w równym stopniu. Poza służbą pił dużo whisky Jack Daniels i śmiał się sardonicznie, oglądając serial „Policjanci z Miami”. A czemu nie? Ani biały garnitur od Armaniego ani czerwone ferrari Daytona nie były niezbędnymi dodatkami, aby stać się szczęśliwym gliniarzem. Wystarczy dobra żona, która nie zrzędzi, nie przypala twej frittaty ani nie odwraca się plecami, gdy włączysz do łóżka wyglądając jak Frankenstein Spotykalący Trzech Kapusiów, a potem używa swej sięgającej do kostek koszuli nocnej z mechatego nylonu, by narzucić ci stan mnisi. Miałbyś się też dobrze bez tych pieprzonych zim w Milwaukee. Tego wiatru dmącego prosto z jeziora, po którym czułeś się, jakby twoja gęba pełna była brzytwy marynowanych w lodowato zimnej wódce.

Pomrukując i z niesłyszczą niechęcią posterunkowy Spanier dźwignął się z miejsca kierowcy. Od chwili rozwodu utył siedem funtów, zapuścił też wąsy a la Teddy Roosevelt. Jego największym bożyszczem był Burt Reynolds. Miał fotografię: on i Burt Reynolds pod rękę w Universal Studios. Była podpisana: „Dla Gene'a, Z Najlepszym Zakrętasem, Burt Reynolds”. Nigdy nie zdołał odkryć, co ten „zakrętas” miał oznaczać.

Przykucnął koło postaci rozciągniętej na chodniku. Żadnego zapachu alkoholu. Żadnego zapachu w ogóle. Pijaczkowie zwykle cuchnęli alkoholem, a sztywni zwykle śmierdzieli gównem. Utrata napięcia w zwieraczu kiszki stolcowej. Ale ten *hombre* nie wydzieliał w ogóle żadnego zapachu. Posterunkowy Spanier przyglądał mu się z minutę czy dwie z profesjonalną obojętnością, a potem pociągnął nosem i powiedział:  
- Hej, chłopie, ty śpisz czy co?

Postać na chodniku pozostała absolutnie nieruchoma. Nie pijana, nie martwa, ale całkowicie nieożywiona.

Posterunkowy Spanier wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął ramienia postaci. Była odlana z betonu, była posągami, na litość boską! Ktoś wykonał posąg i położył go na chodniku ulicznym.

Popchnął go, ale posąg ani drgnął. Posterunkowy nie mógł nawet wsunąć podeń palców. Zrośnięty z chodnikiem, jakby był integralną częścią betonu. Jezusie! Odlali płytę chodnikową w formie rzeźby i zwyczajnie tak ją tu zostawili. Ktoś mógłby przewrócić się o nią, złamać nogę. Cały ten pomysł był absolutnie wariacki; takie rzeczy wydarzały się w Kalifornii, ale tutaj, w Milwaukee?

Ktokolwiek to stworzył, wykonał dzieło znakomite. Trzeba było się mu przyjrzeć z odległości dwóch cali, nim się stwierdziło, że jest to beton. Dokładność oddania szczegółów wydawała się wręcz niewiarygodna. Autor tego czegoś powinien wytwarzać gumowe kobiety jako pociechy dla rozwiedzionych gliniarzy.

Cały kłopot w tym, że teraz gdy posterunkowy Spanier znalazł tę rzeźbę, posterunkowy Spanier powinien napisać raport i posterunkowy Spanier powinien odnaleźć rzeźbiarza i aresztować go, jeśli rzeźbienie chodników jest karalne. Być może dałoby się to podciągnąć pod artykuł o wandalizmie albo zakłóceniu porządku publicznego.

Być może mógłby też rozwiązać cały problem, podważając rzeźbę. Może posłużyć się ostrym końcem łyżki do opon, wbijając ją w beton. Musi jakoś to ruszyć z miejsca. Jeśli ktoś tę rzecz tu umieścił, ktoś inny powinien potrafić ją usunąć. A wtedy wystarczy, gdy wrzuci ten cholerny przedmiot do jeziora i będzie udawał, że on nigdy nie istniał.

Wrócił do swego starego oldsmobile'a, otworzył bagażnik i pochylił się do środka, szukając łyżki do opon. Gdy to robił, wydało mu się, że słyszy drapanie. Zaprzeszał więc poszukiwań i rozejrzał się. Ale Lisbon Avenue była absolutnie bezludna. *Nic* - pomyślał posterunkowy Spanier. - *Zdenerwowanie późną porą.*

Wrócił do rzeźby. *Doprawdy nie potrafię w to uwierzyć. Powiniennem znajdować się w domu i w łóżku. Ale jestem tutaj, wydłutowując z chodnika ludzką postać. Powiniennem być posłuchać się wujka Albiego i przyjąć tę posadę pośrednika w handlu ciągnikami. Przynajmniej zarobiłbym trochę pieniędzy. Przynajmniej nie kucalbym na cholernym chodniku o trzeciej nad ranem, siłując się z wariackim wytworem jakiegoś świrowatego artysty.*

Sapiąc z cicha posterunkowy Spanier przyklęknął koło rozciągniętej postaci i umieścił ostry jak dłuto koniec łyżki do opon dokładnie w miejscu, gdzie policzek rzeźby stykał się z chodnikiem.

Właśnie miał wbić narzędzie w beton, gdy postać otworzyła oczy i popatrzyła na niego. Posterunkowy Spanier wypuścił łyżkę z brzękiem i wstał, nerwowo wycierając dłonie w swe uda obleczone w dzinsy.

- Ruszyłeś się - oskarżył postać. - Otworzyłeś oczy. Posąg uśmiechnął się.

*Nic nie jest takie, jak się zdaje. Jesteś policjantem. Powinieneś o tym wiedzieć.* Posterunkowy Spanier podniósł łyżkę do opon i potrząsnął nią.

- Ostrzegam cię. Kimkolwiek, u diabła, jesteś, aresztuję cię. Wymienię ci, jakie masz prawa. *Znam moje prawa. Moje prawa nadał mi Awen, największe z imion.*

- Tylko wstań, mister. Wstawaj powoli. Trzymaj ręce na widoku, żadnych fałszywych ruchów. *Nie mogę wstać. Jeszcze nie.*

- Powiedziałem: wstawać! - warknął na niego posterunkowy Spanier.

*To niemożliwe. Ten beton to ja, a ja jestem tym betonem.*

- Jeśli nie wstaniesz dobrowolnie, mister, wyciągnę cię w górę.

Posterunkowy Spanier chwycił człowieka-posąg za kołnierz marynarki, próbując wywindować

go i postawić na nogi. Ale... gówno!... okazało się to niemożliwe. Albo człowiek-posąg był niemożliwie ciężki albo posterunkowy Spanier po szesnastu godzinach służby zbyt wyczerpany, by podnieść leżącego, albo wreszcie człowiek-posąg naprawdę był częścią chodnika. Żyjącą, oddychającą częścią chodnika. Co, u diabła, miał teraz zrobić?

*Podaj mi rękę* - powiedział człowiek-posąg. Mówił głosem ochryłym i bełkotliwym, jakby jego usta wypełniał drobny, mokry piasek.

Posterunkowy Spanier przełożył łyżkę do lewej ręki i podał mu prawą. Człowiekposąg wyciągnął swoją i chwycił jego dłoń. Mocno. Mocno, jak w stalowy uchwyt.

- Dobra, stary, do góry! - rozkazał posterunkowy Spanier. *Nie, przyjacielu. To ty pójdziesz w dół.*

Posterunkowy Spanier pociągnął dłoń człowieka-posągu. Lecz tamten dysponował niezwykle siłą. Posterunkowy Spanier nigdy nie spotkał się z czymś takim. Próbował wyrwać rękę, lecz nie potrafił.

- Hej! Wypuść moją...

Ale człowiek-posąg nagle skręcił się na chodniku z uśmiechem na twarzy, dał nurka w beton i zniknął. Posterunkowy Spanier wrzasnął: - Stop! - ale i on został wciągnięty w beton.

Skakał do jeziora Michigan w lutowy poranek, by uratować tonącą kobietę. Skakał w ogień, by wyciągnąć dwoje małych dzieci z płonącego mieszkania. Skakał przez szybę wystawową, by uniknąć zastrzelenia przez stukniętego, hyziowatego Polaczka z obrzynem w rękach. Ale nic z tego nie przygotowało go na wepchnięcie głową naprzód w twarde chodnik na Lisbon Avenue. Został wbity w beton z taką siłą, że czuł, jakby jego dusza rozpadała się na kawałki. Ciało ludzkie nie mogło przeniknąć w beton, a jednak czuł, jak człowiek-posąg wciąga go weń głęboko, zdzierając z niego skórę, wyszarpując arterie, ścierając jego ciało na jaskrawoczerwoną miazgę.

Poczuł, jak zamyka się wokół niego śmierć, podobnie jak roletka migawki zamyka kamerę fotograficzną. *Umieram, nie mogę w to uwierzyć, to koniec mego życia.* Wydało mu się, że słyszy własne krzyki, ale zapewne nie było to nic więcej jak atomy jego mózgu, wybuchające niczym supernowa.

Posterunkowy Spanier zniknął w chodniku jak człowiek, który topi się w basenie. Lisbon Avenue stała cicha i bezлюдna. Porzucony oldsmobile posterunkowego Spaniera stał z drzwiczkami nadal otwartymi i kluczykami zwisającymi ze stacyjki.

A później, po kwadransie, na chodniku pojawiła się mokra, ciemna plama, wypływająca z pęknięć w betonie.

Plama rosła i rosła, aż nagle z ziemi zaczęła tryskać gęsta zupa pomidorowa, całymi kwartami.

Zupą był posterunkowy Spanier: płyn, który był jego ciałem, krwią i startymi na proszek kośćmi. Popłynął przez chodnik do rynsztoka, a stamtąd zaczął skapywać do kanału.

Wczesnym rankiem następnego dnia w pokoju pięćset szesnaście hotelu Hyatt Regency przy Grand Avenue w Milwaukee dziewiętnastoletnia studentka psychologii nazwiskiem Rhoda Greenberg otworzyła oczy, uniosła głowę znad poduszki, marszcząc brwi popatrzyła w stronę okna i zaczęła się zastanawiać, gdzie, u diabła, się znajduje. A potem usłyszała chrapanie, wobec tego z miną wybrednego właściciela zakładu pogrzebowego uniosła skołtunioną pościel i dokładnie przyjrzała się szpakowatemu mężczyźnie, pogrążonemu u jej boku w głębokim śnie. I przypomniała sobie.

*Znów to zrobiłaś, Rhoda, ty kurwo.*

Ze zmęczeniem odsunęła na bok prześcieradło i nago wstała z łóżka. Podeszła do okna ziewając i drapiąc się po gęstych, czarnych, kędzierzawych włosach i głośno rozsunęła zasłonę na oknie. Za



nim leżało centrum Milwaukee, jak duch spowity mgłą nad jeziora Michigan: dzwonnica ratusza ze swym charakterystycznym zielonym dachem, wznosząca się nad tumanami niby wieża ratuszowa jakiejś wschodnioeuropejskiej stolicy. Zegar na wieży powiedział jej, że jest pięć po szóstej rano. W ustach czuła kwaśny smak czerwonego wina, w głowie pulsujący ból.

Spojrzała w stronę łóżka. Tłuste ramię o skórze białej jak wątrobianka, pokryte gęstym, siwym włosem, leżało obnażone na prześcieradle. Na ręce widać było stalowy zegarek Seiko oraz ślubną obrączkę. Rhoda nie wiedziała, czy czuje do siebie obrzydzenie czy nie, a jeśli tak, jak wielkie. Robiła to ostatnio tak często, że trudno było jej ocenić własne poczucie winy. I oczywiście robi to znowu, jeśli będzie miała taki nastrój.

Długo stała przy oknie we wpadającym przez nie perłowym świetle. Wcale nie była ładna. Nos miała haczykowaty i o wiele za duży, wargi grube, a podbródek słaby jak Olive Oyl. W domu jej babki we Wrocławiu znajdowały się zdjęcia starszej pani z czasów dzieciństwa i mogły właściwie przedstawiać i ją samą.

Natomiast zbudowana była wręcz spektakularnie. Piersi miała ogromne, okrągłe i twarde; w pasie była tak cienka, że większość mężczyzn mogła ją objąć dłońmi, miała też długie nogi o szczupłych łydkach i znakomitych kostkach.

Jako trzynastolatka przekonała się, że mężczyźni jej pożądamy. Nie chcieli się z nią pokazywać, nie chcieli zabierać jej na dansingi. Była zbyt pospolita, miała wystające zęby, włosy skręcone jak baran i śmiech przypominający ryk osła. Ale wyłazili ze skóry, by dotknąć jej piersi i wsunąć jej dłoń pod spódnice. Raz nawet przyłapała swego ojca, gapiącego się na nią z trwoźną fascynacją przez szparę w drzwiach łazienki, z jedną dłonią na sercu, oddechem pachnącym whisky i oczami jak mielonka w puszcze.

Rhoda boleśnie tęskniła za przyjaźnią, koleżeństwem, miłością i przywiązaniem, tak mocno, jak każda dziewczyna. Z tego tylko że nie miała twarzy królowej balu, nie wynikało, że nie ma potrzeb uczuciowych. Ale patrząc na Rhode mężczyźni nigdy nie patrzyli na jej twarz, nigdy też nie zaproszono jej na przyjęcie. Mając piętnaście lat zdecydowała, że jeżeli faceci nie są gotowi, by dawać jej to, czego pragnęła, to ona po prostu będzie od nich brała co tylko się da.

Otwarcie upolowała i wzięła do łóżka wszystkich po kolei chłopców w ostatniej klasie ogólniaka, z wyjątkiem dwóch, którzy byli gejami; poszła też do łóżka z trzema z nauczycieli. Obecnie, studiując psychologię na Uniwersytecie Wisconsin w Milwaukee, nabrała zwyczaju spędzania tych niewielu, jakie miała, wolnych wieczorów u Hyatta lub w Sheratonie, lub też koło sklepów na Grand Avenue, podrywając samotnych biznesmenów. Dobrymi miejscami na ich znajdywanie okazały się sklepy z kosmetykami, jubilerskie lub bieliźniarskie, gdzie nieudolnie próbowali wybierać prezenty dla pozostawionych w domach żon.

Rhoda była zawsze taka słodka i pomocna:

- Czy pan wie, co ja bym jej kupiła na pana miejscu...?

Ale w pokojach hotelowych poniżała ich, zmuszała do płaszczenia się przed nią. Określała brudnymi i upokarzającymi słowami i kazała dokonywać najobrzydliwszych czynów, jakie potrafiła wymyślić. A najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że zawsze robili, co im poleciła. Niektórzy z nich uwielbiali ją do tego stopnia, że chcieli ją utrzymywać jako swą stałą poskromicielkę, w jej własnym apartamencie.

Zawsze odmawiała. Nie chciała być niczyją własnością. Ale zarabiała tysiące dolarów i zawsze oczekiwała, że każdy mężczyzna da jej kosztowny prezent. Biżuterię, perfumy albo suknię.

Odeszła od okna i skierowała się do łazienki, nie obdarzając śpiącego mężczyzny ani jednym spojrzeniem. Nie pamiętała nawet, jak on ma na imię. Pamiętała jedynie, że był niski i włochaty i że

wybuchnął płaczem, gdy skończyli ćwiczenia seksualne. Nigdy nie myślała o tym, co robiła, jako o „kochaniu się”.

Zapaliła światła w łazience i przyjrzała się sobie w lustrze. Podkrążone oczy. Tego weekendu musi choć trochę się odespać. Wymyła zęby szczoteczką, splunęła i wyszczotkowała je znowu.

Płuczac usta usłyszała za sobą dźwięk, jakby ktoś się ocierał o zasłonę kabiny natryskowej. Szsz. Spojrzała w lustro, ale nikt nie stał za nią w łazience. Napełniła umywalkę zimną wodą, by odświeżyć w niej swe zapuchnięte oczy.

O, gdybyż tylko nie piła czerwonego wina; zawsze miała po nim obezwładniającego kaca. I wtedy usłyszała ten sam dźwięk ponownie, dłuższy i powolniejszy tym razem. Szszszsz... SZSZSZSZSZ.

Odwróciła się z niezadowoloną miną. Łazienka była pusta, zasłona przy natrysku nawet nie drgnęła. Podeszła do drzwi i zajrzała do sypialni, ale Niski-i-Włochaty nadal spał głęboko, chrapiąc.

*Och, dobrze, to może być coś w rurach - pomyślała. - Sama wiesz, jak to jest w tych hotelach. Za każdym razem, gdy ktoś idzie do klo, wszyscy mogą to usłyszeć z najdrobniejszymi szczegółami.*

Umyła twarz, osuszyła, a potem otworzyła swą kosmetyczkę. Zawsze lubiła być mocno umalowana. Sztuczne rzęsy, krzykliwie czerwona kredka do warg. Lepiej wyglądać jak kurwa niż jak szara mysz.

Posmarowała klejem pierwszą ze sztucznych rzęs. Uśmiechnęła się na wspomnienie jednego z jej mężczyzn, który znalazł jej rzęsy na półce w łazience, zgniótł je przez papier toaletowy i spuścił do klozetu, bo pomyślał, że to stonogi.

Ciągle jeszcze uśmiechała się do siebie, gdy nagle umywalka sama opróżniła się z wody, która spłynęła z bulgotem.

Nacisnęła dzwignię, sterującą zatyczką. Następnie ponownie napełniła umywalkę, lecz woda znowu sama wypłynęła. Pochyliła głowę i obejrzała zatyczkę. Być może była wykrzywiona.

Ciągle jeszcze próbowała się domyślić, co jest nie w porządku z zatyczką, gdy poczuła, że coś chwyta ją za włosy. *Do cholery - pomyślała, próbując wyjąć głowę z umywalki. Ale jakimś sposobem jej długie włosy wplątały się w rurę odpływową i nie potrafiła ich wyciągnąć.*

Ostrożnie spróbowała odkręcić włosy z zatyczki. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób tak się beznadziejnie zaplątały. Ale im bardziej starała się je wywikłać, tym mocniej się tam wkręcały. Teraz jej głowę ciągnięto wcale boleśnie w dół, do umywalki, aż jej czoło oparło się o zimną ceramikę.

- Och, na miłość boską - powiedziała Rhoda, teraz już nie tylko zniecierpliwiona, lecz zaczynając wpadać w panikę. Nie chciała się uwalniać odcinając włosy, nie potrafiła też wykombinować, w jaki sposób została tak beznadziejnie usidlona.

- Hej! - zawołała, próbując obudzić Niskiego-i-Włochatego w sypialni. - Hej, pomóż mi tutaj, dobrze? Hej! - Usiłowała przypomnieć sobie, jak miał na imię. Coś jakby Herman, Harry czy Herbert. - Hej, Herman! - krzyknęła. - Herman, ugrzęzłam tutaj! Herman, wyciągnij mnie stąd!

Ale gdy tylko to powiedziała, jej włosy brutalnie wciągnięto w dół, do rury odpływowej, jak gdyby ktoś naprawdę je chwycił i pociągnął. Uderzyła czołem o umywalkę i wrzasnęła ze strachu: - Pomóż mi! Pomóż mi! Na miłość boską, Herman, pomóż mi!

Twarz Rhody była coraz mocniej i mocniej przyciągana do umywalki. Poczowała, że na całej twarzy pęka jej skóra, zupełnie jakby chciano ją oskalpować. Darła się bez przerwy, ale ciągnięto ją nadal nieubłaganie.

- Co tam, u diabła, się dzieje, dlaczego, u diabła, wrzeszczysz? - Usłyszała tuż przy sobie głos Niskiego-i-Włochatego. Otworzyła oczy i ujrzała do góry nogami jego zaniepokojoną twarz.

- Wplątałam się, moje włosy się wplątały, wydostań mnie! Herman chwycił ją za głowę i

próbował wyszarpnąć do góry.

Rhoda wrzasnęła jeszcze przenikliwiej, więc ją puścił.

- Nie tak, ty głupi skurwysynu! - wściekła się na niego z oczami pełnymi łez. - Zatyczka, wyciągnij zatyczkę!

Herman mocował się przez chwilę z zatyczką, szarpiąc dźwignię w górę i w dół jak dziecko, udające, że prowadzi pociąg. Ale w końcu wydyszał:

- Nie mogę. Twoje włosy są zupełnie splątane, nie chcą się wysunąć.

- Na litość boską, to mnie ciągnie w dół! - zaszlochała Rhoda. Dostrzegła fałdy tłuszczu na wielkim, białym tyłku Hermana i jego zaciśnięte w niezdecydowaniu pięści.

- Może powinienem poprobać nożyczkami - zaproponował przestraszonym głosem. - Czy chcesz, bym spróbował nożyczek?

- Tylko mnie stąd wydobądź! - błagała go. Jej włosy wciągano z taką siłą do odpływu, że myślała, iż zostaną powyrywane wraz z cebulkami. A potem szarpano je i szarpano, jakby z wściekłą niecierpliwością, ból zaś stał się tak intensywny, że daleko wykraczał poza wszystko, co była w stanie znieść. Zaczęła znów drzeć się, wydając ślepe, bezcelowe wrzaski prosto w zimną ceramikę umywalki.

- Posłuchaj - powiedział Herman cofnąwszy się - lepiej będzie, jeśli znajdę kogoś do pomocy. Czy możesz wytrzymać? Czy możesz po prostu wytrzymać? - Pobiegł do pokoju, by znaleźć ubranie. - Święty Jezu Chryste! - Szperał na oślep dokoła, szukając koszuli i skarpetek. - Gdzie, u diabła, podział się mój krawat? Jezu, przestań wrzeszczeć, Jezu.

Nim wrzasnęła ponownie, Rhoda drząc wciągnęła głęboko powietrze. Ale tym razem nie krzyknęła w ogóle. Dwie błyszczące, białe ręce gładko wynurzyły się z umywalki, chwyciły jej głowę po obu stronach i pociągnęły w dół, w samą ceramikę.

W otwartych drzwiach łazienki pojawił się Herman, na wpół ubrany, z twarzą sztywną od strachu. Ujrzał nagie ciało Rhody, schylone nad umywalką, trzęsące się jak od porażenia prądem. Umywalka pełna była przelewającej się z niej krwi.

Herman patrzył na Rhode bardzo długo. Nigdy nie obserwował zabijania kogokolwiek. Nawet nie przyszło mu do głowy, że Rhoda umiera w sposób sprzeczny z wszelkimi prawami świata fizycznego. Zeszłej nocy zmusiła go do pełzania po dywanie. Teraz stała przed nim pochylona, z łokciami i kolanami zeszywniałymi z bólu, w tej właśnie chwili umierając.

Poczuł niezwykle podniecenie seksualne. Była naga, zabijano ją, a on nie mógł oderwać od tego wzroku.

Wreszcie, niezdarnie odrobinę przyklękawszy, chwycił gałkę drzwi łazienki i zamknął je. Odetchnął głęboko. Następnie wyjął chusteczkę i wytarł gałkę do czysta. Zapewne pozostawił w całym pokoju tysiące odcisków palców, ale w jakiś sposób ten jeden symboliczny gest spowodował, że poczuł się bezpieczniej. Wymazał bowiem fakt, że przyglądał się, jak umierała. Do sypialni wrócił drżący, spocony i bardzo blady i zaczął pakować walizkę.

Gdy był już spakowany, podszedł do drzwi łazienki i zaczął podsłuchiwać. Ale usłyszał tylko powolne kapanie jakiejś gęstej cieczy. Zastanowił się, czy nie powinien po raz ostatni rzucić tam okiem, ale wreszcie zdecydował, że nie. Jeśli ktokolwiek go spyta, zaprzeczy, by kiedykolwiek widział tę dziewczynę; musiała włamać się do jego pokoju, gdy już się wymeldował i popełnić tam samobójstwo. W oczywisty sposób było to samobójstwo. Poderżnęła sobie gardło nad umywalką.

Wiedział, że jego żona Marcia stanie w jego obronie. Prawie słyszał ją, jak mówi, kiwając szpakowatą głową w sztywne loczki trwałej ondulacji: „Przez trzydzieści siedem lat małżeństwa mój Herman ani razu mnie nie zdradził”. Pocił się jak świnia, a powietrza brakowało mu do tego stopnia,

że musiał oprzeć się o ścianę, powtarzając sobie: *Oddychaj, oddychaj, na litość boską, oddychaj.*

Wreszcie udało mu się przestać dyszeć. *Z tobą wszystko w porządku, wystarczy, jak teraz wymeldujesz się z uśmiechem i wsiądziesz do powrotnego samolotu do Indianapolis i nikt nie będzie mógł w żaden sposób udowodnić, że masz z tym cokolwiek wspólnego.*

Podniósł swą walizkę w szkocką kratę i zwrócił się ku drzwiom. Zamarł w miejscu, w większym przerażeniu niż kiedykolwiek w życiu doświadczył.

Drzwi wybrzuszyły się do środka w kształt niskiego, muskularnego mężczyzny. Mężczyzna patrzył na niego z uśmiechem, a twarz miał pomalowaną w barwy wojenne - w brązowe i złote desenie lakieru na drzwiach.

Herman stał, patrzył na człowieka w drzwiach i nie wiedział, co robić. Nie odważył się sięgnąć do klamki.

- Czego chcesz? - wyszeptał wreszcie.

Człowiek w drzwiach nie przestawał się uśmiechać, nie przerywał wpatrywania się, a w jego uśmiechu było coś, co przekonało Hermana ponad wszelką możliwą wątpliwość, że nigdy nie uda mu się opuścić tego hotelu żywym.

Działo się to w całym Milwaukee, w Wauwatosa, w Cudahy i w Whitefish Bay. Na East Kilbourn Avenue znaleziono trzyletnie bliźniaki, płaczące w wózku, w oczywisty sposób porzucone przez matkę podczas zakupów. Na North Sixth Street powszechnie znany piwowar zniknął ze swego samochodu, kiedy czekał na zmianę świateł na skrzyżowaniu; nie było żadnych wskazówek, dokąd mógłby się udać, prócz gwałtownie rozerwanych siedzeń wozu.

Tuż obok kopuły Szklarni Ogrodniczej Parku Mitchell trzech uczestników przyjęcia weselnego zostało wciągniętych w głąb chodnika podczas pozowania do fotografii na oczach setki przerażonych, lecz bezradnych świadków.

Trzydziestodwuletni architekt znikł bez najmniejszego śladu, wracając z męskiej toalety w restauracji Madera.

Przez cały dzień Jack słuchał dzienników telewizyjnych, starając się zorientować w liczbie znikających osób. Po południu liczył je na tuziny, a z informacji dzienników wynikało, że przez Milwaukee zaczyna się przetaczać potężna panika. Gubernator Earl już ogłosił stan wyjątkowy na tym obszarze, Gwardię Narodową zaś postawiono w stan alarmu.

*Ale oczywista prawda wygląda tak, że nie mamy pojęcia, z czym próbujemy tutaj*

*walczyć... czy te zniknięcia są spowodowane jakimś zjawiskiem naturalnym, formą zakłóceń sejsmicznych... czy też są częścią jakiegoś przestępczego spisku...*

Jack spojrział na Geoffa Summersa, a Geoff Summers wzruszył ramionami.

- Czy powinniśmy im powiedzieć? - zapytał Jack.

- A jeśli tak zrobimy, czy sądzisz, że nam uwierzą? - odparł Geoff.

- Nie w tej chwili.

- Więc lepiej siedźmy cicho i postarajmy się wypracować jakiś sposób powstrzymania ich, nim będzie za późno. Bardzo mocno wierzę, że wszystko można załatwić własnymi siłami. W tym samym momencie, gdy spróbujesz wprowadzić w to czynniki oficjalne, jesteś zgubiony.

Geoff załatwił dla nich kwaterę w małym domku przy bocznej uliczce na przedmieściach Madison, z werandą pokrytą pnącymi się tykwami; stał na niej fotel na biegunach, a obok widać było zarośniętą chwastami, zapuszczoną sąsiednią działkę. Dom należał do profesora fizyki, który wyjechał na dwa lata z wykładami do Skandynawii, Geoff zaś miał klucz, ponieważ oczekiwano po nim, że będzie podlewał paprocie. Zdaniem Geoffa było nieprawdopodobne, aby ktokolwiek ich tu odnalazł.

Spędzali posępne, przyprawiające o ból głowy popołudnie - z niebem mrocznym i zwisającym nisko nad wierzchołkami drzew oraz zapachem nadchodzącego deszczu w powietrzu. Siedzieli na pufach we frontowym salonie profesora fizyki, popijając kawę z kubków z wizerunkiem Garfielda. Jack był bliski poddania się. Wypuścił na wolność nieobliczalną hordę wściekłych zbrodniarzy i czuł się winny wszystkich zabójstw, których dokonywali. Zaczynał wierzyć, że nawet Karen i Geoff winią go teraz o to.

- Gdybyśmy mieli tylko jakiś sposób, aby ich wytropić - powiedział. - Jakiś sposób wykrycia, gdzie się znajdują, zanim się wynurzają i porywają ludzi.

Geoff kartkował potężny, woniejący pleśnią tom zatytułowany „Rytuał i magia w czasach przedchrześcijańskich”.

- Próbowałem odnaleźć rytuał, stosowany przez druidów, by przeniknąć do ziemi. Myślałem, że może będziemy mogli zapolować na nich w ten sposób.

- Chcesz, żebyśmy my sami weszli w głąb ziemi? - zapytał Jack.

- A jak inaczej mamy ustalić miejsce ich pobytu?

- Bóg jeden wie - odparł Jack.

- Zaczekajcie - przerwała Karen - nadają dziennik. - Podniosła pilota telewizora i wzmocniła fonię.

Na ekranie widać było paru robotników z zakładów użyteczności publicznej, ubranych w hełmy, rozmawiających z policją i reporterami telewizji. Jeden z nich mówił:

- Kopaliśmy tutaj, by położyć nowe kable elektryczne, zgadza się? I nagle moje różdżki dostały kota. Więc ten właśnie Louis mówi, co, u diabła, się dzieje, przepraszani za wyrażenie, i nagle wpada prosto w bruk, no i już, nie ma go.

- Chce pan powiedzieć, że wpadł w wasz wykop? - spytała reporterka telewizyjna.

- Nie, pani. - Robotnik potrząsnął ostentacyjnie głową. - Nie był wcale blisko wykopu. Wpadł prosto w jezdnię. Zniknął w solidnej nawierzchni.

Reporterka telewizyjna zwróciła się twarzą do kamery.

- Tak więc tutaj, na East Wisconsin Avenue, kolejne niewytłumaczalne zniknięcie, osiemnaste w rejonie Milwaukee w ostatnich dwudziestu czterech godzinach. Pracownik instytucji użyteczności publicznej znika w twardej jezdni, zostawiając swych współpracowników w zdumieniu. Policja jak dotąd „nie wypowiada się w tej sprawie”. Ale już domagano się specjalnego śledztwa i setki mieszkańców Milwaukee opuszczają ten teren drogami lądowymi lub powietrznymi na czas, aż zniknięcia zostaną zadowolająco wyjaśnione i położony zostanie im kres. Wszystkie drogi prowadzące do lotniska imienia generała Mitchella...

Jack wyciągnął rękę i wyłączył dźwięk. Zwrócił się z poważną miną do Geoffa.

- Wiesz, co teraz będzie? Teraz będzie masowa histeria. Będziemy musieli szybko coś

wymyślić.

- Czy słyszałeś, co powiedział ten robotnik? - spytał Geoff z zafrasowaną miną.

- Oczywiście. Jego przyjaciel znikł w twardej jezdni.

- Tak, ale przedtem.

- Nie wiem. Coś, że kładli kable elektryczne.

- Powiedział: „moje różdżki dostały kota”. - Geoff zamknął i odłożył książkę.

- O, doprawdy? - zapytał zmieszany Jack.

- Posłuchaj... - ciągnął Geoff - przy robotach użyteczności publicznej używa się różdżek, nim zacznie się rozbijać jezdnię, po to, by zlokalizować przewody wodociągowe i gazowe i kopać bez ich uszkodzenia. Ale druidzi także używali różdżek... aby lokalizować linie *ley*. Druidzi faktycznie używali prętów leszczynowych... ale działały one dokładnie na tej samej zasadzie.

- Co chcesz zaproponować? - dopytywał się Jack.

- No, jeśli Quintus Miller i jego kumple powodują, że różdżki dostają w ich obecności kota, być może uda nam się zwerbować kogoś, kto wie, jak użyć różdżek, aby wytropić skurwieli.

- A może tego faceta z telewizji? - podsunęła Karen. - Tego robotnika?

- Dobra myśl - orzekł Geoff. - Jack, może zadzwoniłbyś do tego przedsiębiorstwa od elektryki i spróbował się dowiedzieć, kim był ten gość.

- I co wtedy zrobimy?

Geoff wziął książkę ponownie do ręki.

- Będę usiłował odkryć, jak należy wziąć się za tych szaleńców, gdy już ich odnajdziemy.

- Myślałam, że musimy poskładać ich wpół czy coś takiego - wtrąciła Karen.

- To się zgadza... ale musimy to robić w najściślejszej zgodzie z rytuałem druidów. Pamiętajcie, że od chwili gdy zaczęli się przemieszczać pod ziemią, nie są już całkiem ludźmi. Raczej są więcej niż ludźmi. Musimy uzyskać pewność, że gdy złożymy ich w ofierze Awenowi, pozostaną ofiarami. W przeciwnym razie mogą powrócić w jeszcze dzikszej postaci i zapolować na nas.

Karen przeszły dreszcze. Jack wziął za telefon.

## ROZDZIAŁ X

Spotkali Ottona Schrödera w parku Watertower, pod stusiedemdziesięciopięciostopową gotycką wieżą ciśnień, która nadawała tej okolicy wschodniej części Milwaukee absurdalne podobieństwo do Disneylandu. Niebo było olśniewająco błękitne, ale wiatr wiał przenikliwy, więc Otto Schröder miał na sobie naciągnięty na uszy cętkowany wełniany kapelusz i skórzaną kurtkę lotniczą z barankowym kołnierzem; przebierał też w miejscu nogami, by utrzymywać ciepło.

- Czuję to zimno - powiedział im. - Wiecie, powinienem mieć pracę pod dachem. Złe krążenie krwi. Ale teraz już za późno.

- To chodźmy na filiżankę kawy - zaproponował Jack.

- Jest dobrze. Właśnie zjadłem lunch. Zresztą i tak nie powinienem się z wami spotykać. Mój brygadzysta powiedział, żebym z nikim nie rozmawiał.

- No, my nie jesteśmy „nikim” - oświadczył Geoff. - Tak się składa, że dokładnie wiemy, co się przydarzyło pańskiemu przyjacielowi.

Otto Schröder pociągnął nosem i wytarł go o wnętrze dłoni.

- Wpadł prosto w asfalt. Po prostu znikł. Nie wiem, czy gliny uwierzyły mi, czy nie.

- My panu wierzymy - zapewnił Jack. - Co więcej, chyba możemy odnaleźć ludzi, którzy to zrobili.

Otto Schröder popatrzył na Jacka podejrzliwie, przymykając z zimna jedno oko. Był przysadkowaty i barczysty, przynajmniej o cztery cale niższy od Jacka, miał spierzchnięte od wiatru policzki, jasnoszare oczy, mięsisty germański nos i wojownicze usposobienie. - Nikt tego nie zrobił, wie pan? Norman po prostu znikł.

- Nie widział pan tam nikogo innego?

- Nie. - Otto Schröder pokręcił głową. - Nikogo. Nie było ani jednego człowieka w odległości dziesięciu stóp od Normana, gdy zniknął.

- A nie widział pan żadnych trzymających go rąk?

- Co pan chce przez to powiedzieć? Przecież powiedziałem. O dziesięć stóp od niego nie było ani człowieka.

- Pan Reed ma na myśli - wyjaśnił Geoff - czy nie widział pan jakichkolwiek rąk, wychylających się z betonu?

Otto Schröder przeniósł spojrzenie z Jacka na Geoffa i z powrotem.

- Co to ma być, jakiś głupi żart? Czy wy, chłopcy, macie świra albo co?

- Mówimy absolutnie poważnie - zapewnił Jack. - Prawda jest taka, że istnieją bardzo niebezpieczne osoby, które znalazły sposób poruszania się pod ziemią. Potrafią przechodzić przez ściany, potrafią przez drzwi, gdziekolwiek zechcą. Przez cegły, beton, skały. Z ich punktu widzenia to wszystko jedno.

- Macie świra - oświadczył Otto Schröder. Wbił dłonie w kieszenie marynarki i zrobił ruch, jakby chciał odejść.

- Panie Schröder, może zechce pan zaczekać? - poprosił Geoff.

- Jesteście świry - powtórzył Otto Schröder. - Poszedłem wcześniej na lunch, straciłem prawie godzinę, a wy macie świra.

- Przecież sam pan to widział. Widział pan, jak pański przyjaciel znika w pana oczach.

- Złudzenie optyczne - wyjaśnił mu Otto Schröder. - I to wszystko.

Jack sięgnął do portfela, wyciągnął dwie studolarówki i wepchnął je Schröderowi do górnej kieszeni. Otto Schröder zatrzymał się, wyciągnął banknoty i starannie je wygładził.

- Jeśli pan nam dopomoże - oświadczył Jack - to będzie to warte tysiąc. Może pan sobie nadal myśleć, że mamy świra. Ci ludzie zabrali pańskiego przyjaciela i zabrali też tuziny innych, a zabiorą jeszcze więcej. Zabrali także mego dziewięcioletniego syna.

Otto Schröder popatrzył na Geoffa. Geoff powiedział:

- To wszystko prawda, panie Schröder. Właśnie dlatego chcieliśmy z panem rozmawiać.

- Co mogę zrobić? - spytał Otto Schröder.

- Jest pan różdżkarzem, prawda?

- No pewnie. Dziadek mnie nauczył. To nic szczególnego, jeśli ma się do tego wyczucie.

- Tuż przed zniknięciem pańskiego przyjaciela, poczuł pan, że różdżki wyłamują się spod kontroli, zgadza się? Pańskie słowa brzmiały dokładnie „dostały kota”.

Otto Schröder kiwnął głową w milczeniu, nadal podejrzliwy.

- A więc - mówił Geoff - bez względu na to, czy pan w to wierzy czy nie, pańskie różdżki dostały kota, ponieważ jedna czy więcej z tych osób były pod ziemią i zakłócały prądy magnetyczne blisko pana miejsca pracy. Jak dokładnie zachowywały się różdżki?

- Wirowały. Tak, jakby wirowały w kółko. Znaczy, lewa kręciła się zgodnie ze wskazówkami zegara, a prawa przeciwnie.

- Czy zauważył pan jakkolwiek zmianę w zachowaniu różdżek w chwili, gdy znikł pana przyjaciel?

- Tak mi się zdaje. - Otto Schröder kiwnął głową. - Przestały się kręcić. Stały jak przymurowane. Nigdy w życiu nie widziałem, by zrobiły coś takiego. I zetknęły się końcami, tak jakby się całowały, a ja miałem mocne uczucie, że coś tam jest. Tego nie da się wytłumaczyć komuś, kto nie jest różdżkarzem. Ale to było takie samo uczucie, jak wtedy, kiedy jest się blisko czegoś bardzo dużego, jak cysterna z wodą albo tunel.

- Otto... - powiedział Jack. - Czy mogę nazywać cię Otto?

- Na bank.

- Otto, jest sto trzydzieści siedem tych osób. Wariaci, co do jednego, chorzy psychicznie zbrodniarze. Musimy ich znaleźć tak szybko, jak tylko się da, nim zrobią z jeszcze większą liczbą ludzi to, co zrobili z twoim przyjacielem. W tej chwili nie mogą opuszczać ziemi czy ścian... nie mogą chodzić na powietrzu w taki sam sposób jak my. Ale jeśli uda im się pozabijać dość ludzi... no, to wtedy wyjdą na powierzchnię... i nie będziemy mieli sposobu, by ich powstrzymać.

Otto znów wytarł nos.

- A co zamierzacie zrobić z nimi, gdy ich wreszcie złapiecie?

- Prawdę mówiąc, będziemy musieli... - zaczął Jack, ale Geoff przerwał mu.

- Mamy specjalny sposób postępowania z nimi - powiedział gładko, uspokajającym tonem. - Więcej wiedzieć nie potrzebujesz. Nie musisz być w to wplątany pod żadnym względem. A więc chcesz nam dopomóc czy nie?

Otto wahał się bardzo długo.

- Czy to całkiem uczciwa sprawa? - zapytał. Jack skinął głową.

- Chcesz więcej pieniędzy, to ci zapłacę dwa razy tyle. A popatrz na to w ten sposób: jeśli to nie jest całkiem uczciwe i nie ma tu żadnych świadków, to co masz do stracenia?

- Zdaje mi się, że to ma sens - zgodził się Otto.

- To wspaniale. - Geoff uśmiechnął się i poklepał go po plecach. - A szczególnie cieszę się, że to będziesz ty, bo potrzebujemy czegoś jeszcze.

- O, taaaa? - zapytał Otto.

- Kompresora i wiertarki udarowej - powiedział Geoff. - Twoja firma nie będzie miała za złe, jeśli pożyczysz je na chwilę, co?

- Kompresor i wiertarka? Do czegoż, u diabła, tego chcecie?

- Kopania - odparł zwięźle Geoff. - Gdy już ich znajdziemy, kapujesz? Będziemy musieli ich powykopywać jak kartofle.

Spotkali się z Ottonem o szóstej wieczorem tegoż dnia, przy autostradzie WschódZachód, po odwiezieniu Karen do domu. Geoff zaparkował valianta naprzeciw poobijanej ciężarówce kompresorowej GMC Ottona i nacisnął klakson. Otto wylażł z kabiny i przeszedł przez jezdnie.

- Nie wiem, czemu, u diabła, to robię! - wrzasnął, przekrzykując hałas ruchu na autostradzie. Wsiadł na tylne siedzenie ich wozu i zatrzasnął drzwi. - Musiałem dostać cholernego fioła.



- Może zechciałbyś nie trzaskać drzwiami? - zapytał Geoff. - Diana jest nader delikatna.

- Diana? - Otto zmarszczył czoło.

- Samochód - odpowiedział Jack. A potem dla wyjaśnienia dodał: - On jest Anglikiem.

- O - rzekł Otto, jakby to rzeczywiście wszystko wyjaśniało.

- Ta ciężarówka wygląda na mocno zużytą - zauważył Geoff.

- Taaa, przepraszam. To jedyna, którą brygadzysta pozwolił mi pożyczyć. Powiedziałem, że kopię sobie basen kąpielowy na podwórzu. A on na to, że zwariowałem. Zgadza się z nim.

- Czy zabrałeś różdżki? - zapytał go nie zbity z tropu Geoff. Otto sięgnął za pazuchę skórzanej kurtki i pokazał im dwa miedziane pręty z zagiętymi rączkami, każdy po jednej stopie długości.

- Ślicznotki, no nie? Sam je zrobiłem. Niektórzy używają żelaza czy mosiądzu, ale mój dziadek zawsze przysięgał, że tylko miedź. Mówił, że jest czulsza niż cokolwiek innego. Coś wam powiem. Tymi różdżkami potrafię zlokalizować półcalową rurę z dokładnością do cala. A tego nikt nie potrafi zrobić gałązką leszczynową.

- Czy mogę je obejrzeć? - zapytał Jack, a Otto mu je wręczył. Jack pomachał nimi trzymając je w dłoniach, ale nie poczuł zupełnie niczego. - Czy wiesz, jak one działają? - spytał Ottona.

- Naukowo niewytłumaczalnie - wtrącił Geoff. - Działają... Nawet najbardziej sceptyczni naukowcy muszą to przyznać. Ale nikt nie wie jak ani dlaczego.

- A ty, Otto? - spytał Jack. - Masz jakiś pomysł? Ale Otto pokręcił przecząco głową i powiedział:

- Żebyś mnie zabił! Takie wrażenie, i wszystko. Rodzaj brzęczenia.

- To ma coś wspólnego z naturalnym polem magnetycznym Ziemi - dodał Geoff. - Czytałem o tym dziś po południu. Druidzi zwykle używali różdżek z gałęzi wierzby lub jarzębiny do wykrywania przebiegu linii *ley*. I odkryłem jeszcze coś interesującego. Aż do średniowiecza różdżek używano do wykrywania morderców. Wydaje się, że zabójcy mają w swych ciałach wyraźnie większy ładunek magnetyczny niż my. Nikt nie wie dlaczego. Ale to pomoże nam upolować Quintusa Millera i resztę jego szaleńców.

- A jak planujecie tego dokonać? - spytał Otto, odbierając swe różdżki i starannie polerując ich rączki chusteczką.

- Znamy miejsce ostatniego zniknięcia, o którym doniesiono - powiedział Jack, otwierając plan miasta Milwaukee. - Zaczniemy tutaj... tylko by sprawdzić, czy odbierzesz jakieś wibracje.

- A jeśli tak, to co?

- Wówczas pokropimy obszar wodą święconą i wyrecytujemy modlitwy egzorcyzmów, które uniemożliwiają złym mocom opuszczenie określonego miejsca. To przeszkodzi naszym morderczym przyjaciołom w ucieczce.

- I co dalej?

- Wykopimy skurwysyna - oświadczył Geoff, z rozkoszą zacierając ręce.

- A wtedy?

- Reszty nie musisz wiedzieć - odparł Geoff. - Możesz popatrzeć w inną stronę.

- Hej! Nie będę maczał palców w żadnych morderstwach - zaprotestował Otto.

- Pomyśl o twym przyjacielu Normanie - przypomniał mu Geoff. - Czy rozmawiałeś z wdową po nim?

- Nie był żonaty. Rozmawiałem z jego siostrą.

- No to wobec tego pomyśl o jego siostrze. I pomyśl o tych wszystkich, którzy zostaną w taki sam sposób zabici, jeśli ty, ja i Jack czegoś z tym nie zrobimy.

Otto wyprostował się na siedzeniu samochodu z grymasem głębokiego niezadowolenia na

twarzy.

- Moja żona myśli, że poszedłem do kręgielni. Nigdy dotychczas jej nie skłamałem. Być może powinienem zapomnieć wszystko o tych wariatach i pójść na kręgle.

- Otto... w ten sposób masz szansę zostać bohaterem.

- Nie chcę zostawać bohaterem. Czy powiedziałem, że chcę zostać bohaterem?

Jack popatrzył na zegarek.

- Jest dziesięć po szóstej. Powinniśmy ruszać w drogę. Pierwszym miejscem, w którym spróbujemy, jest North Fifth Street, jedna przecznica na północ od MECCA.

Otto zawahał się, ale Geoff powiedział:

- Dalejże, Otto! Chociaż popróbuj! Nigdy nie wiadomo, może ci się spodoba?

- Mam być różdżkarzem świrowatych - mruknął pod nosem Otto, gramoląc się z wozu. - Nie wierzę w to. Nawet na pół w to nie wierzę.

- Nie trzaskaj...! - zawołał Geoff dokładnie w chwili, gdy Otto potężnie huknął drzwiami za sobą. - Drzwiami - dokończył spokojnie Geoff.

Przez prawie dziesięć minut przemierzali tam i z powrotem chodnik na North Fifth Street, podczas gdy Otto trzymał przed sobą swe dwie różdżki, czekając na najlżejsze drgniecie, które powiadomiłoby go, że szaleniec z Dębów znajduje się w pobliżu.

Wiatr był coraz ostrzejszy i Jack zaczynał żałować, że nie wziął palta. Zaczynał także żałować, że nie wybrał mniej rzucającego się w oczy miejsca. Byli o rzut kamieniem od Centrum Ekspozycji i Konwencji oraz Areny Milwaukee (w skrócie MECCA) i jedenaście autokarów, wyładowanych ludźmi, przybywało właśnie na Jubileuszowy Wypiek Piekarzy i Cukierników Środkowego Wschodu. Wielu uczestników, wracających do domu biznesmenów oraz kupujących zatrzymywało się, by z zafascynowaniem popatrzeć na Ottona, który krążył po chodniku z kiwającymi się na boki różdżkami.

- Jest cokolwiek? - spytał go Jack. Otto parsknął.

- Jest kanał ściekowy, biegnący tutaj, oraz kabel telefoniczny, który biegnie tam. Nic ruchomego.

Nic z tego, co można by nazwać żyjącym.

- Nie ustawaj - nalegał Jack.

- A jeśli nadal nic nie znajdę?

- Wówczas spróbujemy gdzie indziej.

Mężczyzna w szarym garniturze, kapeluszu z opuszczonym rondem i okularach w rogowej oprawce podszedł do Jacka i zapytał:

- Przepraszam pana? - Wyglądał, jakby przybył prosto z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku, nie zatrzymując się, by się przebrać. - Przepraszam, czy mogę spytać, co pana przyjaciela robi?

- Och, oczywiście - odrzekł Jack. - Prowadzi próby polowe nowego wózka na zakupy. No, tylko rączek. Reszta wózka nie jest jeszcze gotowa.

Człowiek patrzył na Ottona z poważnym i pełnym szacunku zainteresowaniem.

- Wy, pracownicy działów konstrukcyjnych, z pewnością zadajecie sobie wiele trudu - orzekł wreszcie i odszedł.

- To miejsce jest martwe - oświadczył wkrótce Otto. - W ogóle nic tu nie ma.

- Jak myślisz? - spytał Jack Geoffa. - Dać spokój czy spróbować w następnym?

- Dobrze - rzekł niechętnym tonem Geoff. - Miałem tylko nadzieję, że znajdziemy jakiś ślad... wiesz, nawet długo po ich odejściu. Miałem nadzieję, że pozostawią coś w rodzaju naturalnych magnetycznych śladów stóp, że tak powiem... coś pozwalającego ich wytropić.

- Nic - orzekł stanowczo Otto.

Wsiedli znów do swych pojazdów i pojechali na wschód przez rzekę Milwaukee, a potem na południe, w stronę białych, zdobnych rzeźbami bloków Centrum Sztuk Odtwórczych. Dwudziestosiedmioletnia aktorka nazwiskiem Millicent Horowitz znikła z dachowego parkingu tuż po trzeciej tego popołudnia.

Zaparkowali bok w bok ciężarówkę z kompresorem oraz valianta, opartych tyłami o wychodzący na rzekę parapet. Następnie poszli po dachu do miejsca, gdzie zniknęła Millicent Horowitz. Obszar ten nadal otaczały trzepoczące taśmy z napisami ZAPORA POLICYJNA NIE PRZEKRACZAĆ, ale w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby powstrzymać Jacka, Geoffa i Ottona od dania nura pod taśmą i zbliżenia się wprost do miejsca, gdzie młoda kobieta zniknęła. Oznaczone zostało krzyżem z taśmy samoprzylepnej.

- Nigdy dotychczas nie uprawiałem różdżkarstwa na dachu - zauważył Otto, wyjmując swe różdżki. Stał nad czerwonym krzyżem i poruszył nimi łagodnie z boku na bok.

- W dzienniku podano - powiedział Jack - że szła tędy ze swym chłopakiem. Odwrócił się, by popatrzeć na statek na rzece, a gdy znów się do niej zwrócił, nie było jej. Zniknęła całkowicie. Najpierw przyszło mu na myśl, że rzuciła się z dachu.

- Coś mam - rzekł Otto.

Geoff stał z rękami na biodrach i twarzą podaną na wiatr.

- Nie wiem... zaczynam myśleć, że to różdżkarstwo nie było, prawdę mówiąc, takim znakomitym pomysłem. Szczególnie gdy szuka ktoś wrażliwy tylko na rury kanalizacyjne. Być może powinniśmy zacząć polować na naszych wariatów pod ziemią.

- Udało ci się coś więcej z rytuałem? - spytał Jack.

- Odnalazłem część rytuału. Mam przyjaciela w Harvardzie; znalazł w bibliotece harwardzkiej książkę Nestora Druggetta „Druidyzm i znaczenie megalitów”. To jeden z najstarszych i najwszechstronniejszych ze wszystkich istniejących tekstów o druidyzmie. Przeczytał mi przez telefon wszystkie istotne fragmenty. Okazuje się, że druidzi rysowali na pionowej skale duży pantakl krwią, a następnie recytowali święte imię Awena we wszystkich jego formach, nie potrafiłem jednak wykryć, co robili potem; co ostatecznie powodowało, że skała otwierała się i fizycznie wpuszczała druidów do podziemnego świata. Druggett napisał tylko, że „grali króla i w ten sposób wchodzili do swego podziemnego królestwa”.

- Mam coś - powtórzył Otto głosem zdławionym z podniecenia. - Tutaj... tutaj coś mam!

- Co? Co to takiego? - zapytał Jack.

Różdżki wyraźnie wibrowały. Wskazywały drugi koniec dachu, ale w chwili gdy Jack zaczął je obserwować, zaczęły się odchyłać na lewo, jak gdyby tropiły coś poruszającego się.

- Co czujesz? - dowiadywał się Geoff, kładąc rękę na ramieniu Ottona.

- Zupełnie niepodobne do niczego, co czułem dotychczas. Jakby krążyło po dachu. Zataczało kręgi wokół nas. Jakby nas śledziło czy co. Wiesz, jak rekin krążący wokół pływaka.

- Potrafisz określić, czy to jest istota ludzka?

- Tego nie jestem pewien. - Skrzywił się Otto. - Ale porusza się przez grunt. Wydaje pewien odgłos. Jakiś taki żwirowaty, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jakbyś miał piasek w ustach leżąc na plaży, a on zgrzyta ci w zębach.

Z lękiem, z wyschniętymi ustami przyglądali się, jak różdżki zataczają pełne koło. Nie było ani śladu marszczenia się betonowej podłogi parkingu, ale Jack wiedział, że jest tam jeden z szaleńców - krąży nieustannie, przygląda się im i czeka.

- Czuję się jak koza, przywiązana jako przynęta na tygrysa - zauważył Geoff.

- Zbliża się - powiedział Otto. - Teraz czuję naprawdę niską wibrację. Jak dolna nuta organowa,

wiecie? Nigdy dotychczas nie czułem niczego podobnego. Jest niska, jest zimna i powoduje ten zwirowaty, trzeszczący dźwięk.

- Chciałbym, do wszystkich diabłów, sam móc to odczuć - oświadczył Jack.

- Wierz mi, że nie chciałyś - odparł Otto.

Różdżki znowu zatoczyły krąg z końcami drżącymi coraz bliżej siebie, jakby wskazywały coś zbliżającego się z każdym okrążeniem.

- Jesteś gotów do modlitwy? - spytał Jack. Geoff kiwnął głową, nie spuszczając wzroku z betonu.

- Nauczyłem się jej na pamięć, to tylko parę linijek.

Nieubłagane zbliżanie się wariata było teraz już słyszalne. Podnoszące włosy na głowie szszszsz... szszszszsz... szszszszsz, które po raz pierwszy usłyszał w Dębach.

- Masz wodę święconą? - dopytywał się Jack.

Geoff poklepał boczne kieszenie marynarki. Potem kieszeń na piersiach, wreszcie wewnętrzną.

- Och, gówno, zostawiłem w samochodzie!

- No to przynies ją, na miłość boską! - krzyknął Jack. - Ten wariat uderzy w nas w każdym momencie!

Geoff zerknął na różdżki. Pokazywały na prawo, w przeciwny róg parkingu. Natychmiast runął w stronę taśmy policyjnej z lewej strony, dał pod nią nura i rzucił się do biegu przez dach w stronę swego wozu.

Różdżka też natychmiast wahała się w lewo, jak gdyby wariat pod podłogą został zaalarmowany drganiem biegnących stóp Geoffa.

- Geoff! - wrzasnął Jack. - On cię goni! Pośpiesz się!

- Święty Mojżeszu - powiedział Otto - popatrz, jak szybko to się porusza.

Geoff dobiegł do samochodu. Gumowe podeszwy jego pionierki poślizgnęły się na betonowej podłodze. Jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki po stronie kierowcy i sięgnął w głąb po butelkę po perrierze, którą napełnił wodą święconą. Ale w tym samym momencie z hukiem jak wybuch granatu siedzenie pasażera w jego samochodzie przebiła pięść, która chwyciła go za nadgarstek.

- Jack! - rozdarł się panicznie Geoff. - Jack!

Jack zanurkował pod taśmę policyjną i pognął przez dach do wozu Geoffa.

- Trzyma mnie za nadgarstek! - krzyczał Geoff.

Jack obiegł wóz do drzwiczek pasażera i otworzył je. Choć Geoff ze wszystkich sił trzymał się ramy drzwiczek, rękę miał już wciśniętą w siedzenie wozu, a skórę porozdzieraną wystającymi sprężynami. Jack zawahał się na sekundę, a potem schylił głowę i wbił zęby w kciuk wariata, przegryzając mięśnie i czując, jak zęby ślizgają się po kości.

Ręka zluźniła chwyt ledwie na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by Geoff się wyrwał. Jack cofnął się od wozu, spluwając krwią.

- Woda! - krzyknął do Geoffa. - Lej wodę wokół wozu! Geoff odkręcił nakrętkę butelki po perrierze i przyskał wodę ciągłą linią wokół samochodu. Twarz miał jeszcze zbieła od szoku. Idąc kołem recytował słowa egzorcyzmu! *Ab insidiis diaboli, libera nos Domine; ut Ecclesiam tuam secura tibi faclas libertate servire, te rogamus, audi nos; ut inimicos sanctae Ecclesiae humiliare digneris, te rogamus, audi nos.*

Po każdym wypowiedzianym słowie beton pod samochodem wzdrygał się, jakby ktoś bił w niego młotem kowalskim. Ale gdy Geoff ukończył modlitwę, drgania ustały i nie było już słyhać nic, prócz wiatru znad jeziora Michigan, świszczącego nad parkingiem i dolatującego tu odgłosu klaksonów i ruchu ulicznego.

Podszedł Otto, nadal trzymając przed sobą różdżki.

- Co się stało, schwytaliście go w pułapkę?

- Możesz założyć się o własną skórę, że schwytaliśmy. Przesuńmy ten samochód i bierzmy się za kopanie. To może być Quintus Miller we własnej osobie.

Geoff ostrożnie wsiadł do valianta, zapalił silnik i przetoczył wóz na drugi koniec parkingu. A potem stanęli kołem, patrząc na beton w miejscu, gdzie samochód stał dotychczas. Beton był skruszony na kawały tam, gdzie ręka szaleńca przepchnęła się do góry, ale nic nie wskazywało, że wariat nadal tam się znajduje.

- To lity żelazobeton - stwierdził Otto. - Cholernej kupy pracy wibromłotem trzeba, by się tam włamać.

- W takim razie należy już zaczynać - orzekł Geoff.

- A jeśli ktoś spyta, co my tu robimy? - martwił się Otto. - Choćby gliny, na przykład?

- Pilne reperacje - odparł Geoff. - To przecież oficjalna ciężarówka przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, prawda? A ty jesteś oficjalnym pracownikiem tego przedsiębiorstwa.

- Jezu, żeby to się chociaż opłaciło - warknął Otto. Podszedł do ciężarówki i ściągnął wibromłot. Potem włączył sprzężarkę, założył ochraniacze na uszy i zaczął rozwalać betonową podłogę.

Hałas był ogłuszający, a od wibracji Jackowi zamąciło się w oczach. Ale Otto posuwał się szybciej, niż Jack oczekiwał. Szeroki grot wibromłota siekał beton i rozwalał go na bryły, które Jack z Geoffem brali w ręce i układali na stos koło parapetu. W ciągu kwadransa Otto wyciął owal z grubsza odpowiadający linii wylanej przez Geoffa wody święconej. Po trzydziestu minutach pozostały do oczyszczenia brzegi owalu, a po godzinie Otto zaczął wcinać się w centrum.

Biorąc pod uwagę piekielny hałas, jaki robili, i harmider, wywoływany przez echa pracy wibromłota, odbijające się od białych betonowych ścian Centrum Sztuk Odtwórczych, zaskakujące było, że nikt nie przyszedł, by spytać, co tu właściwie wyczyniają. Tuziny ludzi wjeżdżało, by zaparkować na dachu - balet Milwaukee dawał tego wieczoru przedstawienie „Jeziora Łabędziego” - ale nikt się nimi nie zainteresował. Jeśli już ktoś tak hałaśliwie i tak bezczelnie łamał nawierzchnię, musiał mieć na to oficjalne zezwolenie.

Gdy dotarli do środka swego zaimprovizowanego wykopu, Otto wyłączył wibromłot, zdjął ochraniacze z uszu i oświadczył:

- Niech mnie diabli, jeśli tu coś jest. To całe kopanie to frajerska robota.

Geoff popatrzył na Jacka i zapytał:

- Co sądzisz? Czy myślisz, żeśmy spudłowali?

Jack kopnął ostatnią pozostałą wysepkę betonu i odrzekł:

- To jest dość duże, by mógł się schować człowiek, jeśli się zwinie w kłębek. Jazda, jest jeszcze szansa, trzymajmy się jej.

- Ty tu jesteś szefem - odparł wzdychając Otto i znów założył ochraniacze.

Wibromłot odwalał bryły betonu jedną po drugiej i nagle Jack poczuł u nasady włosów igielki lęku i podniecenia. Z boku betonowej wysepki wystawał spód nagiej męskiej pięty. Skoczył do wykopu, pociągnął Ottona za ramię i tryumfalnie pokazał palcem piętę.

- Mamy go! - wrzasnął, przekrzykując ryk kompresora. - Złapaliśmy skurwysyna!

Otto cofnął się o parę kroków.

- Święta Matko Boża! - zadeklamował.

- Jazda, wykop go! - poganiał Jack. - Jazda, Otto, nim się zrobi ciemno!

- Chcesz go mieć wykopanego, to kop sobie sam - potrząsnął głową Otto. - Jezusie. Nigdy w

życiu nie widziałem czegoś podobnego. Nigdy. - Odłożył wibromłot, ściągnął ochraniacze i wygramolił się z wykopu.

- Daj spokój, Otto - odezwał się Geoff. - Bądźże rozsądny. Posunąłeś się aż tak daleko.

- Oczywiście posunąłem się - odparował Otto. - I to ja brałem na siebie całe ryzyko. Pożyczenie ciężarówki, dziurawienie własności miejskiej. Kto załata tę dziurę, he? Odpowiedz mi! A kto dostanie po uszach za jej wykopanie? Wy? Jakoś z moich pozycji nie widać tego.

- No dobrze, na litość boską, ja to zrobię - powiedział Jack. Nałożył ochraniacze na uszy, podniósł z wysiłkiem wibromłot i ścisnął rączki. Z ogłuszającym brrrr-brrrr-brrrrpp! wibromłot odskoczył na bok, wyrrywając się z uścisku Jacka i padł bokiem na ziemię.

Jack pochylił się, by go podnieść, gdy usłyszał krzyk Geoffa:

- Jack!

Podniósł głowę. Z powierzchni betonowej wysepki, z głuchym, szorstkim odgłosem, wynurzała się głowa barwy betonu, a za nią teźże barwy ramiona. Głowa obróciła się i popatrzyła na niego ślepych oczami. Rozpoznał ją prawie natychmiast. Lester... który pierwszy zażądał, by im przyprowadzić ojca Bella.

*Ty skurwysynu* - wypluł słowa Lester - *Quintus cię za to zabije.*

Otto patrzył na głowę Lestera nie wierząc własnym oczom.

- To jest głowa - oświadczył wreszcie, przełykając z trudem ślinę. Pociągnął Geoffa za rękaw. - Widzisz to? To jest głowa!

- Wszystko w porządku, Otto - powiedział Geoff. - Nie panikuj. Po to właśnie przyjechaliśmy. - Ale Geoff po raz pierwszy ujrzał na własne oczy szaleńca z Dębów i także zeszywniał z obawy. *Wypuść mnie* - rozkazał Lester. - *Wypuść mnie albo Quintus zabije twego syna.*

- Chcesz powiedzieć, że on jeszcze żyje? - spytał Jack. *Oczywiście żyje. To skarb, ten twój syn! Będzie ostatnim, kogo złożymy na ofiarę; niewinnym, którego żądają starożytni bogowie! Tym, którego życie da nam wolność!* Jack wstał, chwyciwszy wibromłot.

- Ale ty nie wydostaniesz się na wolność, Lester. Możesz mi grozić, ile tylko chcesz. Ale nie będziesz wolny. Odwałę twą głupią głowę tym młotem.

*Możesz złamać moje ciało, przyjacielu* - powiedział dzikim głosem Lester - *ale nie moją duszę! Quintus mnie odbuduje! Niedoczekanie wasze! Jak długo moje prochy pozostają na tej ziemi, Quintus zawsze mnie odbuduje! I Quintus zmiażdży twego syna, możesz mi wierzyć! Quintus zmiażdży twego syna jak pisklę w gnieździe!*

- Jack! - zawołał w tym momencie Geoff. A potem zwrócił się do Ottona: - Wyłącz sprężarkę, Otto, dobrze? Nie będziemy już potrzebowali wibromłota.

Kompresor zasapał i zamilkł i nagle parking na dachu budynku wydał im się bardzo cichy. Wiał lekki i mroźny wiatr, taki sam jak niegdyś w Stonehenge, na Wyspie Wielkanocnej i wokół głązów w Carnac. Większość stanowisk parkingu była zajęta, ale ani jednego człowieka wokoło. Zapewne dzisiejsze przedstawienie „Jeziora Łabędziego” już się zaczęło.

- Jack, chcę, abyś mi teraz zaufał - powiedział Geoff. - Quintus Miller nawet nie dotknie twego syna, jeszcze nie. Nie ośmieli się, skoro Randy został wybranym na końcową ofiarę. Ci szaleńcy nie zdołają uwolnić się całkowicie, póki nie złożą takiej ofiary. W każdym razie tak jest powiedziane w książce Druggetta. A gdy raz wybrali dziecko, to właśnie ono musi pozostać, nie wolno zmieniać zamiarów. Do dnia składania ofiary to dziecko pozostaje pod ochroną. Randy jest bezpieczny, przynajmniej w tej chwili.

*Jeśli dotkniesz mnie choćby jednym palcem, ty śmieciu, Quintus zemści się na tobie* - warknął Lester. - *Będziesz marzył, by twoja matka nigdy nie rozłożyła nóg, żeby cię wypuścić na świat.*

- Nie jestem tego całkiem pewien, mój stary - odparł Geoff. - Sądząc z tego, w jaki sposób ten Quintus Miller nad wami panuje, wnoszę, że jest klasycznym schizofrenikiem. W oczywisty sposób jest całkiem przekonany, iż jest Awenem, bogiem druidów. Awen był bogiem okrutnym i bogiem absolutnie nie wybaczącym. Nie sądzę, by Awena bardzo obchodziło, co się z tobą stanie.

*Jestem nieśmiertelny* - wyszeptał Lester. - *Cokolwiek ze mną zrobicie, nie zdołacie mnie zniszczyć.*

- No... mam wielką nadzieję, że i tutaj się mylisz - powiedział Geoff. Nerwowym ruchem wytarł dłonie o dzinsy, a potem odwrócił się do swego valianta i otworzył kluczem bagażnik.

- Pomóż mi z tym, Jack - poprosił.

Ale Jack wyczuwał, że Geoff nie jest tak pewny siebie, jak to okazuje.

Z tylnej części rozklekotanego samochodu wytaszczył trójkątną drewnianą ramę z trzech pięciostopowych kawałków ciężkiego dębu, prosto spod piły, zbitych gwoździami. Jack pomógł mu opuścić ją na ziemię. Ważyła prawie trzysta funtów.

- A cóż to, u diabła, takiego? - spytał podejrzliwie Otto.

- Stolarsnia uniwersytecka zrobiła to dla mnie. - Geoff uśmiechał się. - Robota nie trwała długo. Jest to dokładna replika ramy do składania ofiar przez druidów. W każdym razie tak dokładna, jak tylko zdołaliśmy.

- To jest... cooo?

- Rama ofiarna. Druidzi przechylali swe ofiary do tyłu na jednym boku trójkąta... o tutaj, widzisz? związawszy razem ich napięstki i kostki u nóg. Następnie zaciskali więzy krępulcem, coraz to mocniej i mocniej, aż ofiara odchyliła się tak bardzo do tyłu, że pękał jej kręgosłup. Wówczas druidzi wypowiadali formułę ofiarniczą, co gwarantowało, że duch ofiary zostaje zniszczony, tak jakby nigdy przedtem nie istniał.

Jack odwrócił się, by popatrzeć na głowę Lestera, wystającą z potrzaskanego betonu. Lester przyglądał się im z przejęciem.

- Odnalezienie formuły ofiarniczej było trudne - kontynuował Geoff. - Ale zawierała ją książka Druggetta o druidach. Odkryto ją na kamieniu ofiarnym w Walii.

*Caimich mi a nochd  
Eadar uir agus eare,  
Eadar run do reachd,  
Agus dearc mo dhoille.*

Gdy tylko Geoff ukończył recytację, Lester wrzasnął bez żadnego ostrzeżenia. Jego krzyk był bezgłośny, a jednak wbił im się w głowy jak dźwięk ostrza noża szorującego po oseille.

- Widzisz? - zapytał tryumfalnie Geoff. - Mamy ich! Wyniuchaliśmy ich! Złapaliśmy skurwysynów!

Głowa Lestera zanurzyła się w betonie. Ale Geoff wskoczył do wykopu, waląc w beton pięściami i wykrzykując:

- Słuchaj mnie! Mam cię teraz! *A Righ nan reula runach!* Niemal natychmiast twarz Lestera pojawiła się ponownie, wrzeszcząc na nich jeszcze przenikliwiej.

- Mam cię! - odwrzasnął mu Geoff. Magia, przerażenie oraz dziwaczność tego, co robił, wprawiły go niemal w histerię. - Mam cię, ty mordercze łajno! *A Dhe mheinnich nan dula!*

*Nie rób tego, nie!* - wymamrotał Lester o betonowej twarzy. - *Rozbij mnie na proch, jeśli chcesz! Ale sześćdziesiąt lat! Sześćdziesiąt lat oczekiwania! Chcę się wydostać, chcę być wolny!*

- Och, tylko w jeden sposób możesz się uwolnić, kumplu - zawiadomił go Geoff. - Mianowicie jeśli powiesz nam wszystko o Quintusie Millerze i wszystko o twoich przyjaciółach wariatach. Bo jeśli nie, to czeka na ciebie szafot i absolutna zagłada dzięki Awenowi, imię jego święte, oraz Belowi, bogu słonecznemu, na zawsze i zawsze, amen.

*Możecie ich mieć! Możecie ich mieć! Mogę wam powiedzieć jak!*

- No to pośpiesz się - zażądał Geoff. - Tego wieczoru nie jestem zbyt cierpliwy i mam duży apetyt na unicestwienie takich niespełna rozumu jak ty.

*To wszystko było w książkach... w bibliotece Krögera... i były także diariusze. Kröger przez całe życie studiował druidów. Quintus włamał się do biblioteki i ukradł je... i powiedział nam, że możemy wszyscy uciec. Planowaliśmy to całe miesiące. Najtrudniej było znaleźć flet, właściwy rodzaj fletu. Ale udaliśmy, że chcemy założyć zespół muzyki ludowej... i w końcu pan Estergomy kupił go nam.*

- Flet? O czym ty mówisz? - zapytał Geoff.

*Aby zagrać muzykę rytualną, aby otworzyć pantakl... abyśmy wszyscy mogli uciec. I uciekliśmy... Quintus poszedł pierwszy, a potem przeszedł przez ściany i zagrał muzykę, i my także uciekliśmy. Jeden gra, a reszta za nim idzie, taki był rytuał. / dokonaliśmy tego! Prosto w ściany!*

Geoff stał zupełnie nieruchomo, wczesnopopołudniowy wiatr zdmuchiwał mu włosy na tył głowy.

- Jeden gra, a reszta za nim idzie - powtórzył spokojnie. A potem zadeklamował:

*Lecz oto skręcił z południa na zachód  
I kroki skierował ku górze Koppelberg  
A za nim tłoczyły się dzieci...*

*A oto gdy doszli do zbocza góry  
Brama cudowna rozwarła się szeroko  
Jakby jaskinia nagle tu powstała  
I Szczurołap wszedł tam, a dzieci za nim.*

Nawet Otto znał ten wiersz.

- Szczurołap z Hamelin - powiedział zduszonym głosem. - Święty Mojżeszu, więc to całe cholerstwo to prawda, a ja to widzę na własne oczy.

- Tak - odparł Geoff. - To cholerstwo to prawda, w ciągu dziejów powtarzało się wielokrotnie. Nie ma niczego takiego jak duchy czy demony. Ale są ziemiokrąźcy i ścianokrąźcy... Ludzie, mieszkający w prawdziwym podziemnym świecie.

*Wypuście mnie - nalegał Lester. - Powiedziałem wam wszystko, co wiedziałem. Wypuście mnie.*

- Jack? Co o tym sądzisz? - zapytał Geoff.

Jack spojrział na betonową twarz Lestera i pomyślał o Randym, o ojcu Bellu, o Essie Estergomy, o Danielu Bufo i Josephie Lovelittle. Wiedział, że zdolny jest rozwalić Lesterowi twarz wibromłotem. I zrobiłby to, ale nie gwarantowałoby to zagłady niezrównoważonej duszy Lestera.

- Głosuję za tym, abyśmy go złożyli w ofierze - powiedział. - Pokażmy Quintusowi Millerowi, że traktujemy sprawę poważnie.



*Daliście mi słowo* - zaprotestował Lester.

- A ojciec Bell zginął w najgorszych, najcholerniejszych męczarniach, jakie da się wymyślić - odwarł mu Jack.

*Nie chciał ustąpić! Nie chciał nas wypuścić! To nie moja wina!*

- W jaki sposób wydobędziemy go z betonu? - spytał Jack. Geoff podniósł butelkę wody świeconej.

- Egzorcyzmowana woda zmieszana z egzorcyzmowaną solą. To jest sposób, w jaki wcześnie chrześcijanie ostatecznie pokonali druidów. Droga ducha przeciw drodze ciała.

*Nie!* - wrzasnął Lester. - *Nie, nie zabierajcie mojej duszy!*

Geoff zdjął nakrętkę butelki po perrierze i podniósł ją do góry.

*Nie!* - darł się Lester. - *Powiem wam, jak ich znaleźć! Powiem wam, jak ich znaleźć!*

Jack podszedł tuż do bloku betonu i popatrzył Lesterowi prosto w twarz.

- Jack, nie zbliżaj się zanadto - ostrzegł go Geoff. Ale Jack był zbyt wściekły, by posłuchać.

- A więc dobrze, Lester - powiedział. - Ty nam powiesz, jak ich znaleźć, a my cię wypuścimy. Ale ostrzegam cię, koleżko. Jeśli nas oszukujesz... Wytropię cię osobiście i złamię kręgosłup na tym szafocie i będę to robił bardzo powoli.

*Posłuchaj, proszę, mówię wam prawdę... Musicie wrócić do bramy... Do miejsca, gdzie Quintus po raz pierwszy wszedł w ścianę... Musicie grać muzykę... Muzyka przyciągnie ich wszystkich z powrotem. Muszą iść za muzyką, nie mają wyboru. Przecież ją znasz, to muzyka wezwania na Grianstad...*

- *Grianstad!* - zapytał Jack. - Co to jest *Grianstad*?

- To słowo celtyckie na noc przesilenia letniego - wtrącił Geoff. - Nie wiem, czy nasz obecny tu przyjaciel mówi nam prawdę, ale poznał co nieco naukę druidów. W noc przesilenia letniego druidzi grając muzykę wzywali wszystkich do świętych miejsc.

- A więc nie musimy ich tropić indywidualnie - orzekł Jack. - Możemy ich wszystkich wezwać do powrotu do Dębów i tam załatwić.

Nie miał pojęcia, jak on i Geoff będą w stanie „załatwić” stu trzydziestu sześciu maniakalnych morderców, ale być może pomocna okaże się tu książka Druggetta o druidyzmie. Nawet jeśli nie zdołają ich zniszczyć; nawet jeśli nie będą mogli zrobić nic prócz ponownego uwięzienia ich w ścianach budynku, to i tak będzie to lepsze niż pozostawienie ich włóczących się po mieście i porywających w ziemię niewinnych ludzi.

- Ta muzyka... - powiedział Geoff - o jaką muzykę tu chodzi? Czy to jakaś specjalna melodia?

*Muzyka na fujarkę* - odparł Lester. - *Muzyka na fujarkę, grana na piszczalce. To idzie jak...*

- Dobrze - przerwał Geoff - więc to jest muzyka na fujarkę. Ale jak ta melodia brzmi?

Lecz w tej samej chwili Lester wrzasnął jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Ostry, chrapliwy skrzek przerażenia i kompletnej rozpacz. Po obu stronach jego głowy z betonu wychynęły dwie potężne ręce i wciągnęły go do ziemi. Ujrzeni, jak Lester na moment unosi z betonu jedną rękę beznadziejnym gestem, szarpiąc palcami powietrze. A potem i ją wciągnięto w dół i Lestera już nie było.

- Co się stało? - zapytał zdumiony Jack. - Gdzie on sobie poszedł?

- Otto! - krzyknął Geoff. - Róźdzki!

- Co się dzieje? - powtórzył Jack.

- Wyłaż z tej dziury! - nakazał mu Geoff. - Dziesięć do jednego, że to Quintus Miller.

Wygramolili się z wykopu w betonie i cofnęli w stronę ciężarówki ze sprężarką. Otto manipulował róźdzkami, próbując utrzymać je równolegle i powtarzając:

- Nic, tylko cholerne kłopoty. Wolałbym tu nie być.

Jack szybko omiół wzrokiem parking, gorączkowo rozglądając się za jakimikolwiek bruzdami w betonie, jakimiś ramionami wystającymi jak płetwy grzbietowe rekinów.

- Zwariowały! - powiedział Otto. - One całkiem wariują! Obie różdżki kręciły się uporczywie w kółko i w kółko, jak igły kompasowe nad biegunem północnym. Otto próbował je utrzymać w spokoju, ale nie potrafił.

- To jest za mocne! To jest wszędzie! Po prostu nie potrafię ich powstrzymać od kręcenia się w kółko!

Nagle obie różdżki przestały się kręcić i zetknęły końcami. Rozległ się głośny, ostry trzask wyładowania elektrycznego, a zeszywniały Otto został ciśnięty o bok ciężarówki; uderzył w nią głową z tępym chrupnięciem, jak przejechana samochodem wiewiórka. Padł na ziemię drżąc, trzęsąc się i mamrocząc.

Jack uklęknął przy nim. Wełniany kapelusz Ottona był poplamiony krwią, a oczy wywrócone białkami.

- Nie dotykaj go - przestrzegł Geoff. - Otrzymał udar magnetyczny... i to potężny. Gdybyś go dotknął, doznałbyś prawdopodobnie poważnego szoku.

- Czy masz wodę święconą? - zapytał go Jack, omiatając wzrokiem cały parking. Serce waliło mu o żebra nie mniej wściekle, niż Lester walił pięściami w swój betonowy grób.

- Oczywiście mam ją... ale nie jestem pewien, na ile okaże się skuteczna - odrzekł Geoff. - Ten, kto wciągnął Lestera w głąb ziemi, musiał przełamać nasze koło.

- Pamiętaj, że nie jesteś księdzem - przypomniał mu Jack. - Być może ma to coś z tym wspólnego. Być może nie posiadasz dość władzy.

- Zgoda, nie jestem księdzem - zgodził się rozgniewany Geoff. - Ale, do diabła, nie jestem także wielkim grzesznikiem.

- Może lepiej wydostańmy się stąd - zaproponował Jack.

- Myślę, że masz rację. Niekiedy powinno się zalecać totalne tchórzostwo.

Wstali i ostrożnie zaczęli wycofywać się w stronę valianta Geoffa. Ale niemal natychmiast ogłuszyła ich przeraźliwa eksplozja. Betonowa wysepka, w której uwięzili Lestera, rozpadła się w zawierusze piachu, żwiru i oślepiającego pyłu. Odłamki betonu zagrzechotały i zbombardowały zaparkowane wokół samochody, rozbijając szyby i wgniatając karoserie.

Oślaniając oczy przed kurzem Jack odwrócił się i popatrzył w stronę ich wykopu. Wysepka betonu w jego centrum została całkowicie rozsadzona, a na jej miejscu stał nagi mężczyzna, obdarty ze skóry do ostatka, połyskujący, szkarłatny, pulsujący tętnicami jak drgający wachlarz.

W gasnącym świetle dnia wyglądał prawie pięknie, jak dzieło surrealistycznego rzeźbiarza. Muskuly, przyczepy, ścięgna i arterie wijące się po jego ciele jak węże. Choć jego twarz składała się z gołego mięsa, Jack natychmiast rozpoznał Lestera.

Lester spróbował się poruszyć, spróbował krzyknąć, ale jego cierpienie było zbyt dojmujące. Wydał jedno zdławione beknięcie, brzmiące bardziej jak głos zarzylanego zwierzęcia niż człowieka. A potem z betonu wynurzyła się koło jego stóp ręka, chwyciła go za kostki i wciągnęła w ziemię w rozprysku wybuchającej krwi i ciała.

- Wielki Boże - wyszeptał Jack.

- Jack, samochód! - ponaglił go Geoff głosem tak wstrząśniętym, że prawie piskliwym. - Wynośmy się stąd, szybko!

Przebiegli parę kroków dzielących ich od valianta, szarpnięciem otworzyli drzwi i wskoczyli do środka. Geoff wyciągnął kluczyki z kieszeni, ale upuścił je na podłogę.

- Gówno! - zaklął w panice, sięgając w dół i grzebiąc palcami w ich poszukiwaniu.

Równocześnie Jack usłyszał okropne grzmotnięcie i odwrócił się w prawo. Na drugim końcu szeregu, w którym parkowali, uniósł się o trzy czy cztery stopy samochód. A potem znów opadł. Następnie został uniesiony sąsiedni wóz i uderzono nim hałaśliwie o stojący obok, a potem następny i następny. Wyglądało to tak, jakby coś ogromnego i potężnego dążyło ku nim pod ziemią, jak fala pływu w twardym betonie, podnosząc w miarę zbliżania się kolejne samochody i znów je upuszczając.

- Geoff, wyprowadź stąd tę kupę złomu! - wrzasnął Jack. Geoff znalazł kluczyki i wbił je do stacyjki. Ale w chwili gdy to robił, poczuli, że valiant zadrżał, a pod nimi rozdziera się metal. Z umysłem zamroczonym wspomnieniem o Danielu Bufo Jack kopnięciem otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. Geoff poszedł w jego ślady.

Wóz niemal natychmiast przestał się trząść. Cofnęli się jeszcze parę kroków, po czym zawahali się.

- Ten tutaj jest silny - zauważył Geoff, ocierając czoło wierzchem dłoni. - Musi to być Quintus Miller, bez cienia wątpliwości.

W ich oczach przednia szyba valianta zaczęła się giąć i odkształcać. Ukazała się twarz uczyniona ze szkła, widoczna tylko dlatego, że światła ośrodka MECCA odbijały się na jej policzkach, nosie i wargach. Była to mocna, okrutna twarz; dokładnie taka, jak ją opisał Jackowi ojciec Bell w Green Bay. *Kamienna twarz. Twarde oczy, jak główki gwoździ, całkowicie bez wyrazu, całkowicie pozbawione współczucia.*

- Quintus Miller - wyszeptał Jack.

*Zgadza się* - odrzekł ostry, kulturalny głos z akcentem ze Środkowego Zachodu. - *Quintus Miller we własnej osobie. Miło mi pana poznać.*

- Żądam powrotu mego syna - powiedział Jack. - Słyszysz mnie? Żądam mego syna! Żądam jego powrotu tu i teraz, bo inaczej zrobię ci, klnę się Bogiem, takie piekło, jakie ludziom może się tylko przyśnić.

*Pański syn jest dla mnie bardzo ważny, panie Reed. Nie dla mnie osobiście, rozumie pan, lecz dla mojej wiary. Pański syn będzie znany w historii jako najdonioślejsza ofiara w religii pogańskiej w przeciągu dwóch tysięcy lat. Historii, panie Reed! Niewielu chłopców ma szansę oddziaływać na historię. Nie tak młodzi. Nie tak wrażliwi.*

- Chcę go zobaczyć - zażądał Jack. *Może go pan zobaczyć, jeśli pan sobie życzy.*

Przednia szyba zaczęła się wybrzuszać, jakby była kształtowana przez znakomitego dmuchacza szkła. Ukazały się głowa i potężne barki uformowanego ze szkła mężczyzny. Przez barki miał przerzucone, najwidoczniej związane lub zakute w kajdanki, szklane ciało chłopca, który wyglądał najdokładniej jak Randy. Miał zamknięte oczy, ale zbliżając się powoli do valianta Jack dostrzegł, że chłopiec jeszcze oddycha. Musiał zasnąć z wyczerpania.

- Randy? - powiedział Jack. - Randy?

- Jack, trzymaj się z dala! - ostrzegł go Geoff. - On chce cię zabić... chce zabić was obu!

Jack zatrzymał się z wahaniem, zagryzając wargi. Szklane usta Quintusa Millera wygiął promienny uśmiech.

*Proszę podejść bliżej, jeśli pan sobie życzy, panie Reed. A może mogę mówić ci Jack? To nie zrobi żadnej różnicy; prędzej czy później zabiję cię, tego możesz być całkiem pewien. Dokładnie w ten sam sposób, w jaki zginął Lester, próbując przekazać ci nasze święte tajemnice. Nikt nie zdradza Quintusa Millera, Jack. Nikt nie stanie mu na drodze. Nadano mi imię jak kwintesencja i tym właśnie jestem. Zabiłem mych braci, wszystkich czterech, wydłubałem im oczy gorącym*

*pogrzebaczem. Po co na mnie patrzycie, nikt nie patrzy na boga, nie w ten sposób! To właśnie im powiedziałem. A kiedy spali... jednego po drugim. Skórzany pasek do ostrzenia brzytwy mego ojca wbity między zęby nie pozwolił im wydać nawet dźwięku... a potem rozpalony pogrzebacz prosto przez powiekę w oko. Zaskwierczało? Jeszcze jak zaskwierczało! Czy słyszałeś kiedykolwiek, Jack jak smażą się płyny oczne? To właśnie usłyszałem! Osiem razy! Każdy z braci oślepiony, martwy i ślepy, a potem także moja matka. Przyżegałem ją tym samym rozpalonym pogrzebaczem, przyżegałem ją dokładnie w tym miejscu, którym mnie urodziła; zapieczętowałem i oczyściłem, aby żadna kobieta nie mogła już się przechwalać, że jestem jej szczenięciem.*

Spojrzenie Jacka powędrowało w bok. Jeden z odłamków betonu, odrzuconych wybuchem grobu Lestera, leżał tuż przy jego stopie. Znów popatrzył na Quintusa Millera, na szklanego człowieka, wynurzającego się z przedniej szyby valianta i wyliczył sobie, że może zagarnąć beton, wziąć rozmach i zmiażdżyć głowę Quintusowi Millerowi szybciej, niż Quintus Miller zdoła go powstrzymać.

Jedna sekunda. Mniej niż sekunda. Zagarnięcie, zamach, uderzenie.

*Mojego ojca nie było w domu... tu popełniłem błąd. Planowałem, że jego też oczyszczę. Ale tej nocy był poza domem, o czym nie wiedziałem... Matka też o tym nie wiedziała. Spał z inną kobietą na drugim końcu miasta. Powiedział, że wyprowadzi psa na spacer, ale ja wiedziałem lepiej! Parzył się z nią, oto co robił! On był mocny, ten mój ojciec... mocny jak byk, jak ja. Miał wielkiego kutasa, zawsze będę pamiętał jego kutasa. Przerazał mnie, gdy byłem mały. Chciałem wyegzorcyzmować tego kutasa, wyegzorcyzmować wszelkie jego wspomnienia... Ale go nie było...*

Jack chwycił bryłę betonu. Zamach. Uderzenie.

*...otworzył drzwi i... ten pies!*

Czaszka Quintusa Millera rozleciała się jak pękająca żarówka. Kawalki błyszczącego szkła upadły na siedzenie kierowcy.

Ale ku przerażeniu Jacka, rozbita twarz uśmiechała się nadal, a z przedniej szyby wyskoczyła szklana dłoń i chwyciła go za włosy z tyłu głowy. Chrząknął, podrzucił głowę i odepchnął się od błotnika valianta, ale chwyt Quintusa Millera był zbyt gwałtowny i zbyt ciasny. Stopniowo przyciągany był coraz bliżej do stłuczonej przedniej szyby, aż spotkał się twarzą w twarz ze szklanymi ustami i rozwaloną głową.

*No, no, Jack... rozczarowałeś mnie. Ja chciałem polowania. Chciałem postawić mój rozum przeciw twojemu, a nie moją siłę. Teraz wystarczy, że przeciągnę twoją szyję po tym szkłe i jesteś załatwiony... i nie myśl, że tego nie zrobię, bo właśnie zrobię. Nie jestem aż tak głupi, by przedkładać polowanie nad schwywanie... Złapałem cię, Jack i teraz z tobą skończę.*

Jack odciągnął głowę tak daleko, jak zdołał. Ale choć jego ręce były szklane, Quintus miał wręcz nieograniczoną siłę i Jack cał po calu zbliżał się do złamanego ostrza tuż nad wargami szaleńca.

*Czy widziałeś kiedyś szyję rozciętą od ucha do ucha? To się swego czasu wydarzyło w Dębach: jeden ze świrów stłukł filiżankę do kawy i rozerznął się na oczach pana Estergomy... Nic ostrzejszego niż potłuczona porcelana, tnie jak brzytwa, tnie naprawdę gładko... choć i szkło jest dobre, z tą różnicą, że tnie faliście...*

- Uch - stęknął Jack, ze wszystkich sił starając się wyrwać głowę. Ale szklana pięść chwyciła jego włosy tak ciasno, że nie mógł się uwolnić, a szklane usta uśmiechały się do niego z całkowitą obojętnością.

Gardło miał już bliżej niż o cal od rozwalonej głowy Quintusa Millera, gdy usłyszał ostry dźwięk roztrzaskiwania czegoś i szalenie puścił go. Jack upadł, uniósł się na klęczki, znów potoczył

na ziemię i ocknął z policzkiem na betonie, tuż obok wygiętych kawałków rozbitej szklanej ręki Quintusa. Nad nim stał Geoff z bryłą betonu w dłoni. Widać było, że zmiażdżył rękę Quintusa w łokciu.

- Wynośmy się stąd, do wszystkich diabłów - powiedział Geoff, pomagając mu wstać.

Stłuczona przednia szyba valianta nagle rozpadła się na tysiące kawałeczków jak stos sztucznych diamentów, rzuconych na siedzenie. Jack i Geoff pobiegli w dół po rampie wyjazdowej, rzucając od czasu do czasu szybkie spojrzenia wstecz, by upewnić się, że na betonie nie pojawiają się bruzdy, a Quintus Miller nie następuje im na pięty. Przebiegli przez East Kilbourn Avenue, dysząc i sapiąc.

Wreszcie Jack powiedział:

- Muszę się zatrzymać, Geoff. Przepraszam. Straciłem kondycję. Geoff kiwnął głową i zrobił skłon do przodu, dotykając palcami nosków pantofli.

- Ty i ja też. Przez palenie fajki. Nie powinienem był przerywać grania w squasha.

- Jezusie - oświadczył Jack. - Drink dobrze by mi zrobił. Powlekli się obaj po chodniku, ciągle jeszcze pocąc się i dysząc.

- Czy sądzisz, że Otto nie żyje? - zapytał Jack. Geoff skinął głową.

- Z pewnością na to wyglądało.

- Ta cała cholerna sprawa to moja wina - oświadczył Jack. - Tyle osób zostało zabitych.

- Słuchaj... - Geoff ścisnął go uspokajająco za ramię - taka jest historia gatunku ludzkiego, od początku do końca... Miałeś dobre chęci.

- Dobre chęci? Jezu!

Przeszli przez East Kilbourn Avenue, nadal mając się na baczności przed pęknięciami w chodniku.

- On będzie ze skóry wyłaził, aby nas zabić, wiesz o tym.

- Wiem, że nie żartujesz. Gdybyś nie rozbił mu ręki tam na parkingu, pociąłby mnie na plasterki jak wielką paczkę bekonu.

- Przynajmniej zyskałeś pewność, że Randy żyje.

- Tak, dzięki Bogu - odrzekł Jack. - I chcę go z powrotem. Jeszcze ciągle dyszeli, rozmawiali i wlekli się przed siebie, gdy do krawężnika koło nich nagle podjechał samochód policyjny z włączoną lampą sygnalizacyjną. Wysiadło z niego dwóch policjantów i podbiegło do nich chodnikiem.

- Policja! Ręce do góry! Ręce do góry tak, byśmy je widzieli! Jack i Geoff powoli podnieśli ramiona. Jeden z policjantów trzymał ich na muszce, drugi zbliżył się ostrożnie.

- Pan jest Jack Reed, zgadza się? - zapytał Jacka.

Był młody, miał krostowatą twarz i nosił rzadki czarny wąsik.

- Jestem Jack Reed, zgadza się. O co chodzi?

- Został pan aresztowany za pogwałcenie decyzji sądu okręgowego. Mam panu odczytać pańskie prawa?

- O czym pan gada? Nie pogwałciłem żadnych decyzji sądowych.

- A czegoś w związku z pańskim synem, Randolphem Reedem? Jack głęboko zaczerpnął powietrza.

- Czy mogę opuścić ręce? To chyba nie byłoby pogwałcenie decyzji z bronią w rękę, nieprawdaż? Wie pan... - rozejrzał się po zatłoczonym chodniku - ludzie się gapią.

- Wolę, żeby trzymał je pan w górze. Ma pan prawo do zachowania milczenia, ma pan prawo...

Jack rzucił Geoffowi rozpaczliwe spojrzenie. Jeśli policja teraz go zatrzyma, będzie musiał dać jakieś wyjaśnienie, co się dzieje z Randym. A cóż, u diabła, mógł im powiedzieć? Że Randy został porwany przez wariatów, którzy chodzą wewnątrz ścian? Że zabrali go druidzi? Że Randy jest

bezpieczny, ponieważ go widział, ukształtowanego z przedniej szyby samochodu; chłopca zrobionego ze szkła?

- ...może i zostanie użyte jako dowód przeciw panu.

## ROZDZIAŁ XI

Następnego dnia, wkrótce po godzinie pierwszej w południe, Geoffowi pozwolono opuścić komendę policji Milwaukee przy West State Street i wrócić do Madison. Jack został osadzony w celi na pierwszym piętrze, obok pijaka, który w kółko wyśpiewywał: „Dziecino, dziecino, szeroki jest świat...”

Jack żuł gumę, która utraciła resztki smaku godzinę temu i chodził tam i z powrotem po podłodze. Fizycznie i umysłowo bliski był załamania, ale nie mógł pozwolić sobie na zwolnienie tempa. Nie był człowiekiem błyskotliwym ani wykształconym, nie miał zasobów intelektualnych, do których mógłby się odwołać. Nie umiał teoretyzować na temat moralnego znaczenia swych czynów czy religijnego znaczenia druidów. Nie potrafiłby nawet dla zajęcia myśli zacytować poematu „Hiawatha”.

Lecz cechowała go właściwa mieszkańcom Wisconsin wytrzymałość, brutalna energia - skutek ostrych zim nad brzegami jeziora Michigan - oraz zdolność zbudowania własnego biznesu i walczenia o przetrwanie emocjonalne.

Musi to przechytrzyć. Musi pobić to gówno. Przecież nie wierzył w ludzi chodzących w ścianach. A przynajmniej nie wierzył, że ktokolwiek powinien przechodzić przez ściany. To była stara magia; coś, co winno być martwe i pogrzebane całe wieki temu. A teraz był dwudziesty wiek, prawie dwudziesty pierwszy.

A już nade wszystko nie uważał, by ludzie powinni kraść dzieci innych ludzi i wsadzać ich do cholernej emocjonalnej wyżymaczki.

- Dziecino, dziecino, szeroki jest świat...

- To nie jest szeroki świat, tylko dziki świat! - wrzasnął na niego Jack.

- Czo? - usłyszał bełkotliwą odpowiedź.

- To jest dziki świat!

Długa przerwa, a potem radosna odpowiedź:

- Masz cholernom rację!

Jack usiadł na brzegu pryczy. Najbardziej ze wszystkiego bał się teraz, że Quintus może odkryć, gdzie on się znajduje, przeniknąć do komendy policji i wciągnąć go w żelazobeton celi. Bał się także, że po ich starciu na parkingu Quintus ze wzmoczoną żądzą krwawej masakry zamorduje wszystkich ośmiuset ludzi, których potrzebował, by wrócić do realnego świata, i że wówczas Randy zostanie złożony na końcową ofiarę dla Awena.

Przetarł oczy. Zawezwał swego adwokata, Maurice'a Ledermana. Ale Maurice przebywał poza miastem - w Miami, wędkując, na litość boską - a jego żona nie była w stanie skontaktować się z nim

wcześniej niż następnego ranka. Tymczasem Jack został oficjalnie obwiniony o pogwałcenie postanowienia sądu, które przyznawało Maggie możliwość stałego kontaktu z Randym, i miał pozostać w areszcie do chwili, gdy zostanie ustalone miejsce pobytu ich syna.

Około trzeciej nad ranem drzwi jego celi otworzyły się i wszedł do niej starannie ubrany ciemnowłosy mężczyzna z cieniem zmęczenia wczesną porą na twarzy, w szarym garniturze z poszerzanymi ramionami. Pod pachą niósł blok do notatek, w rękach dwa plastikowe kubki z czarną kawą.

- Jak panu idzie, panie Reed? Jestem sierżant Charles Schiller. Pomyślałem sobie, że może miałby pan ochotę na trochę kawy.

- Jeśli zamierza pan zadawać mi jakieś pytania - odrzekł Jack - będzie pan musiał zaczekać do rana. Mój adwokat łapie marliny u wybrzeży Miami.

- Tak, wiem o tym, panie Reed - odparł sierżant Schiller.

W tonie jego głosu było coś ostrego, co spowodowało, że Jack podniósł głowę. Sierżant Schiller przyglądał mu się zimnym, uporczywym spojrzeniem, którego wyraz bliski był pogardy.

- Coś nie tak? - spytał go Jack.

- Coś nie tak? - powtórzył sierżant Schiller. - No... powiem to tak: przez całe życie mieszkałem w Milwaukee i jestem dumny z Milwaukee. Milwaukee jest ciepłe i przyjazne, jeśli wie pan, co mam na myśli. *Gemittlichkeit*, tak to nazywał mój ojciec. I do tej chwili Milwaukee miało najniższy wskaźnik przestępczości w kraju. - Przerwał na chwilę i zamieszał kawę plastikową pałeczką. A potem ciągnął: - Ten tydzień mieliśmy paskudny. Ludzie znikali na prawo, na lewo i w środku. Zaczyna się mówić, że Milwaukee nie jest już bezpieczne. Ludzie zaczynają wpadać w panikę, stają się agresywni i podejrzliwi. To nie jest *Gemittlichkeit*, panie Reed. To jest poważne zachowanie antyspołeczne. A ja niezbyt lubię ludzi, którzy pozwalają sobie na poważne zachowania antyspołeczne.

- Jestem obwiniony o pogwałcenie nakazu sądowego co do zakresu kontaktów mojej żony z moim dziewięcioletnim synem - odparł zmęczonym głosem Jack. - To nie stawia mnie na równi z Alem Capone, co?

- Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest obecnie pana syn?

- Nie, dopóki nie porozmawiam z moim adwokatem.

- Czy pana syn żyje?

- Oczywiście żyje. Co, u diabła, ma pan na myśli, pytając, czy mój syn żyje?

- A co z panną Olive Estergomy z Sun Prairie? Czy ona żyje? Jack przełknął na sucho. Tego się właśnie obawiał. Wyglądało na to, że ponure wydarzenia z Dębów dopadły go wreszcie.

- Czy pan zna pannę Olive Estergomy?

- Najpierw będę rozmawiał z moim adwokatem - odparł Jack.

- Ale czy pan ją zna?

- Tak, znam ją - powiedział Jack.

- Czy wie pan, gdzie ona teraz jest? Jack potrząsnął głową.

- Czy ona żyje, panie Reed?

- Muszę rozmawiać z moim adwokatem.

Sierżant Schiller popił kawy i przekartkował swój blok.

- No dobrze - rzekł po chwili. - A co z panem Danielem Bufo z Madison? Czy on żyje?

- Nie mogę na to odpowiedzieć - odparł Jack.

- Czy wie pan, gdzie on się znajduje? Naprawdę bylibyśmy wdzięczni za wiadomość, gdzie on

jest.

- Nie mogę panu w tym dopomóc. Przykro mi.

- No dobrze... A co z panem Williamem Bellem z Domu Emerytów Bay Park w Green Bay? Czy on żyje?

- Zechce mi pan wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Jack.

- Oczywiście. - Sierżant Schiller odłożył blok. - Faktem jest, że pański syn Randy, panna Olive Estergomy, pan Daniel Bufo i pan William Bell mają wszyscy coś wspólnego. Pierwsze, co ich łączy, to że wszyscy zaginęli. Drugie zaś, że ostatnią znaną osobą, która ich widziała, jest pan.

- Czego to dowodzi? - dopytywał się Jack.

- Nie dowodzi niczego - odparł sierżant Schiller. - Ale sugeruje, że każde śledztwo w sprawie ich tajemniczego zniknięcia musi zacząć się od pana; a być może ukończyć także na panu.

- Zamierza mnie pan oskarżyć?

- Jeszcze nie. Jutro rano przyjeżdżają policjanci z Madison, a ja chcę jeszcze porozmawiać z pana adwokatem oraz z biurem prokuratora okręgowego. Ale chcę także panu jasno oświadczyć tu i teraz, panie Reed, że jeśli pan wie, gdzie ci ludzie się znajdują, to im wcześniej pan mi o tym powie, tym lepiej dla pana.

- Czy mogę zatelefonować? - zapytał Jack.

- Chce pan telefonować teraz?

Umundurowany policjant zaprowadził Jacka przez hol do jednego z pokojów spotkań. Jack wybrał numer Geoffa i długo czekał. a telefon dzwonił i dzwonił. Umundurowany policjant stał przy drzwiach i ziewał. Wreszcie Geoff odpowiedział półprzytomnie:

- Halo? Kto, u diabła, dzwoni?

- Geoff, tu Jack.

- O, Boże. Co z tobą, Jack? Nie zaczęli jeszcze walić cię pałkami gumowymi, co?

- Niemal. Sprawy mają się o wiele gorzej. Wypytują mnie o Olive Estergomy, Daniela Bufo i ojca Bella.

- Jack... - ostrzegł go Geoff. - Uważaj, co mówisz. Prawie na pewno podsłuchują te rozmowę.

- Ni cholery mnie nie obchodzi, czy to robią. Musisz mi pomóc, Geoff. Wygląda, że nie wypuszczą mnie stąd przez wiele dni. A wtedy może być za późno. Z pewnością będzie znacznie gorzej na ulicach. Geoff... pomyśl, to jest moja sprawa. Muszę być na zewnątrz, walczyć z tym.

- Co zrobił twój adwokat, by cię wydostać? - zapytał Geoff.

- Mój adwokat jest jeszcze w drodze z Miami. Ponadto nie sądzę, by mógł uzyskać moje zwolnienie za kaucją. Chyba że będę mógł pokazać Randy'ego i udowodnić sądowi, że jest bezpieczny i w dobrym stanie. A jeśli policja oskarży mnie o porwanie tych ludzi... no to może go w ogóle nie uzyskać.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić, Jack - powiedział Geoff. - Jutro postaram się odkryć wszystko, co mogę, na temat rytuałów... Ale wiesz, to się działo ponad dwa tysiące lat temu. Większość z tego to legendy, a mnóstwo nie ma żadnego w ogóle sensu.

- W porządku - odparł Jack. Czuł, jak ogarnia go fala mdłości i zmęczenia. - Porozmawiam z tobą jutro, jeśli mi na to pozwolą. W tej chwili wydaje się, że uważają mnie za skrzyżowanie Syna Sama z Brunonem Hauptmannem.

Jacka odprowadzono z powrotem do celi. Gdy tam dotarł, przekonał się, że sierżant Schiller nadal na niego czeka. - A co pan sądzi o pogawędce przedsennej? - spytał sierżant Schiller.

Jack pokręcił głową.

- Mój adwokat będzie tu rano. Do tej chwili nic z tego.



Sierżant Schiller obdarzył go uśmiechem przy zaciśniętych wargach, podobnym do śladu bardzo ostrego dłuta na świeżo wyheblowanej sosnowej desce.

- Jedno mogę panu obiecać, panie Reed. Osobiście jestem przekonany, że był pan aktywnie włączony w zniknięcie wszystkich tych osób z pańskim synem łącznie. Jestem też przekonany, że wszystkie one nie żyją i że to pan je zabił. I obiecuję panu, panie Reed, że przybiję panu dupę gwoździem do ściany. - Podeszedł do drzwi celi i otworzył je. - Pan, panie Reed, zostanie zamknięty na zawsze.

- Dobranoc, sierżancie - powiedział Jack. - Oczekuję pańskiej wizyty rano.

- Och, o to proszę się nie martwić - rzekł sierżant Schiller. - Na to może pan z całą pewnością liczyć.

Jack spał niewiele ponad dwie godziny i obudził się o piątej piętnaście. Leżał na prycy przysłuchując się echem hałasów w komendzie policji: zniekształconym wrzaskom, nieustannie trzaskającym drzwicom, gwizdkom, nagłym wybuchom śmiechu.

Słyszał też z oddali syreny karetek pogotowia i wozów policyjnych i z przerażeniem myślał, do jakich wypadków tak pośpiesznie wyjeżdżają. Jeszcze więcej niewinnych ludzi, wciąganych w chodniki lub miażdżonych w twardych ścianach. Jeszcze więcej dusz, składanych na ofiarę za ponure i wspaniałe wskrzeszenie Quintusa Millera.

Zsunął się z prycy i spryskał twarz zimną wodą w małej umywalce w rogu. Przejrzał się w plastikowym lustrze i ujrzał oblicze białe, wielkonose i zniekształcone - ducha, który kiedyś był Jackiem Reedem.

Gdyby mógł tylko stąd wyjść, prosto przez ściany, w taki sam sposób, jak Quintus Miller.

Znowu usiadł. A jeśli rzeczywiście mógłby przechodzić przez ściany? A jeśli Geoff zdoła odkryć cały druidyczny rytuał? Quintusowi Millerowi to się ostatecznie udało, choć przecież był wariatem. *Musisz zagrać muzykę* - tak powiedział Lester. - *Musisz zagrać rytualną melodię.*

To była zagadka, układanka z kawałków. Niektóre kawałki pasowały doskonale: na przykład to, w jaki sposób Quintus dowiedział się o druidyzmie, oraz historia Szczurołapa z Hamelin. Ale pozostało tyle jeszcze pytań bez odpowiedzi. Tyle kawałków, co do których czuł, że muszą pasować, ale nie pasowały.

Jack położył się na plecach i spróbował uzmysłowić sobie wszystkie najważniejsze fragmenty układanki, których nie rozumiał.

On i Geoff znali już większą część rytuału, który pozwoli im wejść w twardą skałę, ale nadal nie wiedzieli, jaka jest ta święta melodia; melodia, którą zapewne wygrywał Szczurołap dzieciom z Hamelin, gdy wchodziły w górę Koppelberg.

W jakiś niezrozumiały sposób Lester był przekonany, że on i Geoff wiedzą, jak brzmi rytualna melodia. *Znacie ją* - powiedział. Jak mogli ją znać, jeśli nigdy jej nie słyszeli, nigdy nie widzieli jej zapisanej? Lecz w tym momencie Jack nagle pomyślał o innym kawałku układanki, kolejnym nie wyjaśnionym fragmencie.

Przyjaciół Geoffa z Harvardu odczytał mu wyjątki z książki Druggetta o druidyzmie i cóż powiedział o kulminacyjnym punkcie rytuału, gdy druidzi wchodziłi w ściany? *Grali króla.*

Ale Geoff wysłuchiwał tego fragmentu przez telefon, a nie przeczytał go osobiście. A jeśli druidzi wcale nie zabawiali się udawaniem królewskich osób, jak to sugerował rytuał? A co, jeśli grali „Króla” Melodie, zwaną „Król”?

I gdzie Jack ostatnio słyszał melodie na temat króla?

Wstrząsnęło nim nagłe przypomnienie. Daleki, odbijający się echem głos, o którym teraz

wiedział, że należał do Quintusa Millera... w opuszczonej korytarzach Dębów. Prosta, dziecinna melodyjka, którą szalencie bez przerwy powtarzał, aż Jack nie był w stanie słuchać jej więcej bez głębokiego uczucia strachu.

*Lavender blue, dilly-dilly;*

*Lavender green.*

*Here I am king, dilly-dilly;*

*You shall be queen.*

Jack powoli usiadł, wyprostowany. Tak jak to zapamiętał, Quintus nie śpiewał tej piosenki całkiem dokładnie. No... nie w taki sposób, jak ją należało śpiewać w przedszkolu. Jedna czy dwie nuty zmienione, w innej tonacji, bardziej barbarzyńskiej.

To była ta melodia, tego był pewien. Jakież mógł być inny powód, dla którego Lester uważał, że ją znają? Po cóż Quintus wyśpiewywałby ją tak często?

*Bo jest wariatem* - powiedział Jackowi cichy głosik sprzeciwu gdzieś głęboko w mózgu. - *Wariaci nigdy nie robią niczego z tych samych powodów co my, a ich zachowanie nigdy nie jest przewidywalne.*

Wszystko jedno, i tak nie było niczego więcej, na czym mógłby się oprzeć w dalszym działaniu. Powinien przynajmniej spróbować. Potrzebował tylko jakiejś piszczałki i brzytwy, aby przeciąć sobie ciało, by móc na ścianie nakreślić świeżą krwią rytualny pantakl, oraz od Geoffa listy wszystkich świętych imion, które powinien wyrecytować.

Boże, jeśli to podziała, sierżant Schiller będzie mógł sobie wsadzić swe podejrzenia tam, gdzie słońce nigdy nie dochodzi.

Podszedł do drzwi i zawołał:

- Strażnik! Strażnik!

Głośno zazgrzytał klucz w drzwiach na końcu korytarza, wywołując jęki i stękania skacowanych ludzi we wszystkich pobliskich celach.

Młody policjant, poskrzypując gumowymi podeszwami butów, zbliżył się po wyfroterowanej podłodze.

- Coś nie tak? - zapytał.

- Muszę skorzystać z telefonu - oświadczył Jack.

- Mam zawiadomić sierżanta Schillera, gdy tylko pan się obudzi.

- Słuchaj pan, ja tylko chcę zatelefonować, przez dwie minuty.

- Muszę zawiadomić sierżanta Schillera, proszę pana.

Nim pokazał się sierżant Schiller, upłynęło dwadzieścia minut. Był ogolony, umyty, zmienił koszulę i roztaczał zapach pasty do zębów oraz wody po goleniu Grey Flannel. Ale oczy miał podpuchnięte jak przejrzałe śliwki, a twarz szarą ze zmęczenia.

- Jak się panu spało? - zapytał zjadliwie.

- A jak pan myśli? - odrzucił Jack. - Czy istnieją jakieś sprzeciwy co do tego, bym skorzystał z telefonu? Muszę pomówić przez parę minut z przyjacielem w Madison.

- Z pana przyjacielem Geoffreyem Summersem, profesorem college'u - powiedział sierżant Schiller. - Mówi pan o nim?

- Zgadza się, z Geoffem Summersem. Sierżant Schiller zajrzał do swego bloku.

- Geoffreya Summersa nie ma obecnie w domu. Geoffrey Summers jest poszukiwany w celu przesłuchania w związku ze śmiercią niejakiego Ottona Schrödera na dachowym parkingu,

przyległym do Centrum Sztuk Odtwórczych, która nastąpiła wczoraj wieczorem około godziny siódmej. - Podniósł głowę. Spojrzał wzrokiem pełnym zimnego wyrachowania. - Według czworga niezależnych świadków wczoraj wieczorem Otto Schröder znajdował się w towarzystwie dwóch mężczyzn, z których jeden został z całą pewnością zidentyfikowany na podstawie fotografii policyjnej jako pan, panie Reed. Drugi był wysoki i nosił brodę. Odnaleziono na dachowym parkingu uszkodzony i porzucony pojazd należący do pana Geoffreya Summersa, przyjaciela, do którego pragnął pan zatelefonować dziś rano. Pan Geoffrey Summers, jak panu zapewne wiadomo, jest wysoki i nosi brodę.

Jack nie odpowiedział, lecz czekał na to, co i tak miało teraz nastąpić.

- Panie Reed... jest pan obwiniony o morderstwo z premedytacją Ottona Corneliusa Schrödera. Odczytano już panu, jakie ma pan prawa w związku z zarzutem o pogwałcenie nakazu sądowego dotyczącego kontaktów z pańskim synem, ale w związku z tym nowym zarzutem pragnę panu przypomnieć, że ma pan prawo nie odpowiadać...

Podczas recytowania przez sierżanta Schillera jego uprawnień, Jack zamknął oczy. Czuł się tak, jakby zasłużył na tę karę, przynajmniej do pewnego stopnia, za wszystkich tych ludzi, którzy zginęli od chwili, gdy po raz pierwszy natrafił na Dęby. Ale nikt nie mógł powstrzymać Quintusa Millera i jego wojska szaleńców, nikt prócz niego.

- Pański adwokat - kontynuował sierżant Schiller - powinien przybyć na lotnisko imienia generała Mitchella o ósmej zero pięć. A potem pan i ja możemy zacząć rozmawiać, tak?

Jack nie odpowiedział; przeczesał włosy palcami i popatrzył na ścianę. Spał głęboko, śniąc o deszczu, gdy ktoś potrząsnął go za ramię.

- Hej... Pańska siostra przyszła zobaczyć się z panem.

- Moja siostra? - Skrzywił się, próbując skupić wzrok. Ryzy policjant zaglądał mu w twarz z odległości mniejszej niż sześć cali. Mógłby sporządzić mapę wszystkich piegów na jego nosie.

- No pewnie. Edna-Mae. Czeka na pana w pokoju widzeń. Sierżant Schiller mówi, że macie tylko pięć minut.

Jack zerwał się z pryczy. Jego siostra? Nie miał siostry. Ale niemo pozwolił ryżemu policjantowi zakuć się w kajdanki, a potem poprowadzić do pokoju widzeń na końcu korytarza.

Gdy wpuszczono go do środka, zastał tam Karen siedzącą przy stole, strapioną i zaniepokojoną, w ciasnym turkusowym swetrze i krótkiej, białej spódnicy. Na głowie miała tapirowaną blond perukę, której sztuczność graniczyła z absurdem. Gdy Jack usiadł, rozejrzała się wokoło jak nerwowa wiewiórka ziemna, a potem powiedziała:

- Dzwonili do Mike'a Karpasiana. Poinformowali go, że zostałeś aresztowany za zabójstwo. Przyjechałam natychmiast. Och, Jack!

- Nie powinnaś była przyjeżdżać - wyszeptał Jack dzikim tonem. - Ciebie też będą szukać, jeśli już cię nie szukają.

- Powiedziałam im, że nazywam się Edna-Mae Schultz. Chodziłam do podstawówki z dziewczyną nazwiskiem Edna-Mae Schultz.

- Podobają mi się twoje kupne włosy - stwierdził Jack. Nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. - Bardziej niż kiedykolwiek wyglądasz jak Dolly Parton.

- Geoff do mnie dzwonił - powiedziała Karen, nadal poważna.

- Co powiedział? On i ja jakoby zabiliśmy tego biedaka Ottona Schrödera.

- Wiem. Geoff... - znów się rozejrzała, a potem wyszeptała ochryple: - Geoff zadzwonił do mnie. Ukrywa się gdzieś. Nie powiem ci gdzie, na wypadek gdyby podsłuchiwali. Ale go nie znajdą.

- Czy u ciebie wszystko dobrze? - zapytał Jack.

Nie wyglądała dziś ładnie, i to nie tylko z powodu peruki. Wyglądała na to, czym naprawdę była: rozwiedzioną żoną kierowcy ciężarówki z dużymi piersiami, dobrymi nogami i wyrazem zmęczenia i cynizmu, który w końcu dopada każdą kobietę, zmuszoną mieszkać w parterowym dyktowym domu na obrzeżu Milwaukee, wychowującą rozpuszczoną, porzuconą przez ojca córkę, patrzącą przez niezliczone godziny w telewizor i świadomą, że jej marzenia z dziewczęcych czasów nigdy się nie urzeczywistnią.

*Zejdź jeszcze niżej, taka jest cena!*

Nagle Jack zdecydował, patrząc na nią w świetle nagiej żarówki w tym nagim pokoju widzeń, że wolałby spędzić resztę życia z kobietą taką jak Karen niż ze wszystkimi Maggie, którymi można by zapełnić Teatr Pabsta. Była seksowna, przyjacielska, pełna werwy, oddana i całkowicie prawdziwa; i to właśnie czyniło ją tak kobiecą. A ponad wszystko, zadała sobie kłopot odwiedzenia go, gdy on wpadł w kłopoty.

- U ciebie wszystko dobrze? - powtórzył Jack.

- Oczywiście, tak.

- A Sherry?

- Sherry też dobrze.

Jack pochylił się do niej tak blisko, jak mógł się odważyć. Widział, że ryży policjant przygląda mu się uważnie, by być pewnym, że Karen nie poda mu nic przez stół.

- Myślę, że wiem, jak przedostać się w ściany - powiedział do Karen.

- Co? - popatrzyła na niego z dezaprobatą.

- Myślę, że wiem, jak przedostać się w ściany... w taki sam sposób, jak ci wszyscy wariaci.

Sądzę, że rozwikłałem tę tajemnicę.

- A co dobrego z tego wyniknie? - spytała naiwnie Karen. - Jesteś tu zamknięty.

- Karen, pomyśl o tym. Jeśli mógłbym wejść w ścianę, wówczas mógłbym stąd wyjść.

Nagle zaświtała jej nadzieja. Karen przycisnęła dłoń do jaskrawoczerwonych ust.

- Naprawdę zrobiłbyś to?

- Wcześniej był tu mój adwokat. Powiedział, że mam tyle samo szans na wyjście stąd za kaucją, jak na wybór na papieża. Optymista roku, he? Kłopot w tym, że Otto Schröder został zabity potężnym ładunkiem energii naturalnej; wiesz, jakby ogromnym uderzeniem elektrycznym, bijącym w niego znikąd. Musiał to jakoś zrobić Quintus Miller, jeden Bóg wie jak. Padając Otto uderzył się w głowę. Ani Geoffa, ani mnie nie było w ogóle w pobliżu. To znaczy byliśmy tak daleko, jak ten stojący przy drzwiach gliniarz. Ale zdaniem policji łupnęliśmy go kawałem betonu i zmarł od pęknięcia czaszki. - Przerwał i wyprostował się na krześle. - Prócz tego oni myślą, że to ja zabiłem wszystkich pozostałych: ojca Bella, Olive Estergomy, Daniela Bufo... A ja nadal nie mówię im, co się stało z Randym. Nadal nie mogę im powiedzieć, co się stało z Randym. Więc nie mam wyboru. Albo zostanę tutaj, albo muszę spróbować wejścia w ścianę.

- Ja wiem, że ty nie porwałeś Randy'ego i wiem, że nie zabiłeś Daniela Bufo - oświadczyła Karen. - Byłam tam i mogę im to powiedzieć.

- Wiem, że możesz, ale nie rób tego. Nic dobrego z tego nie wyniknie, a oni wsadzą także ciebie jako współsprawczynię. I nie chcę, abyś tu więcej przychodziła, w żadnym wypadku. Znajdź sobie miejsce, w którym mogłabyś ukryć się na pewien czas.

- Och, Jack... - zaczęła Karen. - A jeśli cokolwiek się z tobą stanie... to znaczy coś złego, gdybyś na przykład wszedł w ścianę i już nie mógł z niej wyjść?

- A cóż innego mogę zrobić? Nie mogę tu siedzieć i pozwolić, by Quintus Miller wciągnął sto

tysięcy ludzi do ziemi, no nie? A co z Randym? Karen... ja widziałem Randy'ego, był przywiązany do pleców Quintusa Millera i nadal żył!

- Co chcesz zrobić? - zapytała Karen.

- Bez twojej pomocy nie mogę zrobić niczego. Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale potrzebny mi flet... taki rodzaj fletu, jakiego mogli używać druidzi. Zapytaj o to Geoffa. Potrzebuję też listy imion. Imion druidycznego boga Awena.

- Jack... - zaczęła Karen.

Dobrze wiedział, o czym myślała: że wreszcie załamał się pod wpływem stresu i szoku ostatnich paru dni, że był wyczerpany ponad wszelkie wyobrażenie, że był prawie takim samym wariatem, jak Quintus Miller.

- Karen - powiedział. - Byłaś dzielna i byłaś dobra. Kocham cię, wiesz o tym? Naprawdę kocham. Nie wiem, co, u diabła, mnie spotka. Boję się śmiertelnie. Ale muszę wypróbować wszystkie możliwości. Czy mnie rozumiesz? Wszelką możliwą drogę wyjścia, jeśli nawet wygląda ona na zbikowaną. Proszę, Karen, flet i lista imion. Daj je memu adwokatowi, Maurice'owi Ledermanowi. Ma biuro w First Wisconsin Center, dziewiąte piętro. Lederman, Pfister i Lederman. Powiedz mu, że mają mi być natychmiast dostarczone

Karen przełknęła, jakby miała całkiem sucho w ustach.

- Dobrze. - Kiwnęła głową. - Postaram się zrobić to dziś. - Pochyliła się nad stołem i pocałowała go. - Kocham cię, Jack.

- Hej, przerwać to całowanie! - warknął młody, ryży policjant. Karen hałaśliwie odsunęła krzesło i podążyła do drzwi swym zwykłym tanecznym krokiem, który sprawiał wrażenie, jakby jej ciało poruszało się równocześnie w pięciu kierunkach. Spojrzała z góry na policjanta i powiedziała:

- Cóż, pan nie dowiedziałby się, co to jest całowanie nawet, gdyby przyszły dwa słonie i zaczęły ssać pańską dupę.

Ze stukiem klik-klak obcasików oddaliła się korytarzem. Młody, ryży policjant patrzył za nią, a potem na Jacka w zdumieniu.

- Co ona chciała przez to powiedzieć? - zapytał.

- Kto to wie? - odparł Jack. - Ale z pewnością spowodowała, że pana zatkało, prawda?

Spędził długi ranek wyłącznie na myśleniu. O trzeciej odwiedził go ponownie jego adwokat Maurice Lederman i rozmawiał z nim przez ponad godzinę na temat przesłuchań wstępnych oraz znalezienia odpowiedniego adwokata od spraw karnych. Maurice nie ukrywał, jak jest zirytowany faktem, że odwołano go z wędkarskich wakacji. Po raz pierwszy od prawie dziewięciu lat zdołał uciec od swej żony Sheldry. Nienawidził Sheldry. Nazywał ją *Rebbitsin*, co oznacza żonę rabina, a to z powodu ogromnej ilości czasu, jaki spędzała w synagodze biegając koło rabiego.

Maurice miał nieuleczalną nadwagę, rozwichrzone szpakowate włosy, poorane zmarszczkami czoło i głęboko, blisko siebie osadzone oczy, które Jackowi zawsze przypominały oczy krewetki. Krewetkowy wygląd podkreślała jeszcze jego świeża, przypieczona opalenizna. Na bloknocie bez przerwy spadały mu płatki oparzonej skóry i od czasu do czasu musiał ją stamtąd strzepywać.

- To twoje uporczywe milczenie wcale ci nie pomaga, Jack - poskarżył się. - Gdybyś choć trochę współpracował z policją, moglibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia. Nie zaszkodziłoby też, gdybyś choć trochę współpracował ze mną.

- Maurice, nie dotknąłem nawet końcem palca żadnej z tych osób, a policja nie ma dowodów, bym to zrobił. I to wszystko.

Maurice wydobyl z kieszeni koszuli inhalator Dristan i ścisnął go gwałtownie, przykładając do każdej dziurki od nosa.

- Mają świadka... panią Yvonne Cropper, siostrę przełożoną w Domu Emerytów Park Bay, która zezna, że zabrałaś pana Williama Bella na kolację ostatniego wieczoru, kiedy widziano go żywego. Widziany też byłeś przez obsługę kelnerską w restauracji Latarnia Okrętowa w Green Bay w towarzystwie pana Bella, jak rozmawiałeś z nim, argumentując z pewną animacją.

- Animacja? Co to takiego? Filmy rysunkowe?

Maurice spojrział na niego swymi matowoczarnymi oczami krewetki.

- Do cholery, Jack, to poważna sprawa. To oskarżenia o uprowadzenie, kidnaping i wielokrotne morderstwo.

- Maurice, jestem niewinny. Nie popełniłem żadnej z tych rzeczy. Zabrałem starego faceta na kolację. To nie dowodzi niczego.

Maurice głęboko, astmatycznie zaczerpnął powietrza, zawahał się, ale kontynuował.

- Mają także innego świadka, pannę Helenę Mansfield, która podaje, że na twoje wyraźne żądanie poznała cię z panną Olive Estergomy. Panna Mansfield twierdzi, że wykazywałeś niezwykle, a nawet chorobliwe zainteresowanie rodziną Estergomych, którzy kierowali Dębami, gdy były zakładem dla chorych umyślowo zbrodniarzy. Twierdzi też, że panna Estergomy zatelefonowała do niej owego wieczoru, gdy widziano ją po raz ostatni przy życiu. Powiedziała wtedy, że próbowała się z tobą skontaktować i poinformowano ją, że prawdopodobnie pojechałeś do Dębów. Samochód panny Estergomy znaleziono porzucony koło Dębów.

Mają też świadka z biura handlu nieruchomościami Capitol, który podaje, że następnego dnia pan Daniel Bufo pojechał do Dębów, aby zbadać posiadłość pod kątem rewaloryzacji ubezpieczenia. Spodziewał się także zastać tam ciebie, gdyż był zaniepokojony powolnym tempem transakcji sprzedaży i prawdę mówiąc, doszedł do wniosku, że nie jesteś już poważnie zainteresowany nabyciem tego obiektu. Pan Daniel Bufo nigdy nie powrócił z tego spotkania, a później jego wóz odnaleziono porzucony w Dębach, z poważnymi uszkodzeniami wnętrza, w pojeździe zaś wykryto strzępy odzieży i skóry pana Bufo. Twoje własne kombi również zostało odnalezione koło Dębów, poważnie uszkodzone w podobny sposób.

Maurice przerwał, jakby oczekiwał, że Jack coś powie, ale Jack zdobył się tylko na wzruszenie ramionami.

- Jack - powiedział Maurice - czy nie potrafisz wbić sobie do głowy, że to jest prawdziwa walka wagi ciężkiej na śmierć i życie? Mogą cię zamknąć aż do Sądnego Dnia.

- Maurice - odrzekł Jack - spotkałem tych ludzi, to prawda. Temu nie zaprzeczam. Ale nawet ich nie dotknąłem. Również nie dotknąłem Ottona Schrödera. Żaden sędzia na świecie nie zamknie mnie tylko za to, że ich spotkałem.

- I tu się właśnie mylisz, Jack - odparł Maurice. - To nie jest serial „Obrońcy” ani „Policjanci z Los Angeles”. Policja ma świadków, którzy widzieli ciebie i Geoffreya Summersa w towarzystwie Ottona Schrödera dosłownie na minuty przedtem, nim został zabity uderzeniem w głowę. Mają dość dowodów poszlakowych, by definitywnie powiązać cię z każdym z pozostałych zniknięć. Jack, by udowodnić morderstwo nie potrzeba naocznych świadków. Nie potrzebują dymiących rewolwerów ani zakrwawionych brył betonu czy czegokolwiek innego, czego użyłeś, by ich zabić. Nie potrzebują nawet ciał.

- A co z tymi wszystkimi pozostałymi zniknięciami i morderstwami? - odparował Jack, - Mają miejsce w całym Milwaukee! Nadal się wydarzają! Czy policja nie wzięła pod uwagę, że tu może

być jakiś związek?

Maurice parsknął nosem.

- Nie wysuwałbym tego argumentu zbyt poważnie. Mogą zdecydować, że powiązany z nimi wszystkimi jesteś ty. A równocześnie, czy masz jakiegokolwiek dowody, że związek między nimi istnieje? Czy masz jakiegokolwiek dowody, że nie zabiłeś żadnej z tych osób, o których zamordowanie zostałeś oskarżony? Co zrobiłeś z Randym? No, Jack, znam Randy'ego od urodzenia. Jeśli jeszcze żyje, gdzie się znajduje? Jack milczał. Spuścił głowę.

- Pomożesz mi czy nie? - zapytał Maurice.

- Nie mogę, Maurice, jeszcze nie teraz.

- Jeszcze nie teraz. Mają cię związanego sznurkiem jak indyka na Święto Dziękczynienia, gotowego do wstawienia do pieca, a ty mi mówisz: „jeszcze nie teraz”?

- Przykro mi, Maurice, tak musi być. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej. Zresztą i tak byś mi nie uwierzył.

Maurice znów odmiótł niszczącą się od opalenizny skórę.

- No to zanim zrobimy cokolwiek innego, musimy ci znaleźć pierwszorzędnego adwokata na proces. Zamierzam pogadać z Gerrym Pfisterem u nas w biurze. Myślałem też o Saulu Jacobie, jeśli będziemy mogli go sobie zapewnić.

- Saulu Jacobie? - Jack, zaskoczony, podniósł głowę. - Saul Jacob bronił Czarnego jak-mutam... tego typu w Minneapolis, który skosił z broni maszynowej wszystkich w restauracji Burger King. Czarny Mściciel, czy jakoś tak.

- Owszem, i wyciągnął go także.

- Wyciągnął? Jezu, Maurice, on bronił składając wniosek o uznanie klienta za chorego umysłowo! Faceta wysłano do wariatkowa! A ja nie jestem wariatem!

Maurice odął popękane od opalenizny wargi i zabębnił palcami w swój bloknotes, unikając wzroku Jacka. Jack gapił się na niego, oparty łokciem na stole, czując, jak powoli ściska mu się żołądek. Saul Jacob? Saul Jacob specjalizował się w beznadziejnych sprawach o morderstwo, apelacjach, gdy klient znajdował się już w celi śmierci, oraz wnioskach o wstrzymanie egzekucji. Saul Jacob chronił przed krzesłem elektrycznym Szalonego Franka Maharisa przez prawie sześć lat i uratował życie Dona Castiglianiego. Maurice mógł myśleć o zaangażowaniu Saula Jacoba tylko w takim wypadku, jeśli sam był przekonany o winie Jacka... O tym, że Jack zabił Essie Estergomy, ojca Bella, Daniela Bufo i Ottona Schrödera... i dla równego rachunku jeszcze Randy'ego.

- Uważasz, że ja to zrobiłem - powiedział mu Jack. - Ty sukinsynu. Uważasz, że ja to zrobiłem.

- To, co ja myślę, nie jest istotne. - Maurice nadal unikał spojrzenia mu w oczy. - Istotne jest przekonanie ławy przysięgłych, by myślała to, co chcemy.

- Chryste, Maurice, ty uważasz, że ja to zrobiłem. Znasz mnie od tylu lat.

- No cóż, każdy ma jakąś swoją ciemną stronę. Dopiero w zeszłym tygodniu odkryłem, że Gerry Pfister jest gejem.

- I jaką ci to zrobiło różnicę?

- Kazałem zaopatrzyć maszynkę do kawy w jednorazowe kubki. Poza tym kogo to obchodzi, że on jest gejem?

- Wiesz co, Maurice, ty jesteś szmo. *I* to jest najuprzejmiejsze określenie ciebie, jakie mi przychodzi do głowy.

Nieoczekiwanie Jack poczuł się zapędzony w kozi róg. Jedyłą jego pociechą była myśl, że jeśli Karen zdoła dostarczyć mu piszczałkę i imiona druidyjskiego boga, a także jeśli rytuał znikania w ścianie rzeczywiście podziała, wówczas nie będzie miało znaczenia, co uważa Maurice i nie będzie

też miało znaczenia, w co wierzy sierżant Schiller. On sam zniknie, poza wszelką możliwość schwytania, poza działanie prawa.

- Zgoda - powiedział. - Idź pogadać z Gerrym Pfisterem i rób, co uważasz za stosowne.

- Jeszcze tu wrócę - oświadczył Maurice. - Być może znajdę cię w lepszym nastroju do współpracy. Nie mogę ci pomóc, Jack, póki mi nie opowiesz, co się naprawdę zdarzyło.

- Chcesz, żebym się przyznał do morderstwa?

- Obojętne... abyś tylko powiedział mi cośkolwiek.

- Dobrze, Maurice, cośkolwiek. - Jack przetarł twarz dłońmi. - Nawiasem mówiąc... ktoś powinien zostawić paczkę dla mnie w twoim biurze, być może jeszcze dzisiaj. Czy możesz załatwić, żebym dostał ją tutaj natychmiast?

- Zależy, co to będzie. Nie zezwolę ci na otrzymywanie narkotyków, alkoholu ani żywności.

- Flet, Maurice, i to wszystko. Coś, na czym można sobie dla zabicia czasu pogwizdać.

- Chcesz grać na flecie? - Maurice patrzył na niego nie wierząc własnym uszom.

- W szkole grywałem na sakstensorze.

Maurice powoli pokręcił głową, a potem podszedł do drzwi i zapukał na strażnika, by go wypuścił.

- Do widzenia, Maurice - powiedział Jack, ale Maurice wyszedł pośpiesznie z pokoju widzeń, nawet nie odwróciwszy się, by na niego popatrzeć.

Kwadrans po piątej wpuszczono na widzenie z nim Maggie. Miała oczy czerwone od płaczu, trzęsła się i okazywała głęboką rozpacz. Jack był przekonany, że sierżant Schiller przysłał ją, by go zawstydzala dotąd, aż przyzna się, że zamordował Randy'ego.

- Halo, Margaret-Ann - powitał ją.

Usiadła, mnąc w dłoni mokrą chusteczkę do nosa. Ubrała pomarańczowy kostium z poszerzonymi ramionami, którego szczególnie nie lubił. Zawsze wyglądała w nim blado i niezdrowo, nawet jeśli dobrze się czuła. Co gorsza, uważała, że w ten sposób wygląda jak Krystle z „Dynastii”, więc i zachowywała się tak samo: jak istota świątobliwa, sarniooka i irytująco praktyczna.

- Halo, Jack - szepnęła, a potem nagle odchrząknęła.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Wytrącona z równowagi, a jak sadzisz?

- A jak błogosławiona Velma?

- Wolalabym, abyś tak jej nie nazywał.

- Zgoda, jak więc nieładna i pospolita Velma?

- Dziękuję, Velma czuje się całkiem dobrze - odrzekła z grzecznością właściwą prawdziwej nienawiści.

- Herman też?

- Czuje się całkiem dobrze.

- To znakomicie. - Jack energicznie kiwnął głową. - Herman i Velma, małżeństwo zawarte w niebie. No, przynajmniej w Manitowoc, czyli według mnie całkiem do nieba blisko.

Maggie przełknęła ślinę, a potem nagle wybuchnęła monotonnym, syczącym przemówieniem.

- Jack, wiem, że już mnie nie kochasz i jestem całkiem przygotowana, by się z tym pogodzić, potrafię się z tym pogodzić, mam moją siostrę i moje kursy podnoszenia świadomości i masę podtrzymujących na duchu przyjaciół, ale mam takie samo prawo do Randy'ego jak ty i muszę wiedzieć, gdzie on jest.



- Nie mogę ci powiedzieć, gdzie on jest - rzekł Jack.

- Ale dlaczego? Mam prawo wiedzieć! To mój syn! Kocham go!

- Po prostu nie mogę ci powiedzieć, gdzie on jest, i to wszystko -powtórzył Jack. - Przykro mi. - I było mu przykro. Cokolwiek sądził o Maggie, wiedział, że odczuwała te same lęki i tę samą niepewność co do Randy'ego; a była to męka, której nikomu by nie życzył.

- Czy jest bezpieczny? - spytała Maggie. Jack skinął głową.

- Tak uważam.

- Co to znaczy, że „tak uważasz”? Czy nie masz pewności?

- Nie - powiedział Jack. - Jeśli chcesz znać prawdę, nie mam. Ale robię wszystko, co w mojej mocy.

- Zamknięty tutaj? Co ty możesz zrobić będąc tutaj zamknięty?

- Nie jestem całkiem pewien. Ale mam parę pomysłów, nad którymi pracuję.

- Jack! Posłuchaj! Rozkazuję ci! Musisz mi powiedzieć, gdzie on jest!

- Przykro mi, Margaret-Ann - odrzekł Jack.

Maggie milczała przez parę chwil, zagryzając wargi i mnąc chusteczkę. A potem nagle rzuciła się na niego, spoliczkowała i wczepiła się w jego koszulę.

- Nienawidzę cię! - wrzeszczała. - Nienawidzę cię! Nienawidzę cię!

Natychmiast drzwi pokoju widzeń otworzyły się gwałtownie i policjantka w mundurze schwyciła Maggie za rękę. Maggie odstaąpiła od Jacka z twarzą zalaną łzami.

- Jeśli zrobiłeś coś złego naszemu synowi - wyszłochała - zabiję cię!

Jack odwrócił się do niej plecami. Niczego więcej nie mógł zrobić. Usłyszał jak jeszcze parę razy zaszłochała, a potem opuściła pokój, pocieszana przez policjantkę.

Gdy sobie poszła, zjawił się sierżant Schiller. Przez chwilę stał przy Jacku, a potem wyciągnął coś, co trzymał za plecami. Zwykła, drewniana fujarka i kilka arkuszy papieru, zapisanych ręcznie. Jack w przelocie zauważył imię „Awen”.

- Powie mi pan coś o tym? - zapytał. - Właśnie dostarczył to urzędnik pańskiego adwokata.

- Muzyka ludowa - odparł Jack.

- Muzyka ludowa? Jest pan obwiniony o kidnaping i morderstwo i chce pan grać muzykę ludową?

- A co to pana obchodzi?

Jack już dawno się przekonał, że odgrywanie twardziela odbiera mu tak naprawdę odwagę. Ale wiedział też, że jeśli powie cokolwiek sierżantowi Schillerowi, zniszczy wszelkie szanse powstrzymania Quintusa Millera i ocalenia Randy'ego. Sierżant Schiller nigdy nie uwierzy, że istoty ludzkie mogą biegać w ścianach i chodzić w ziemi; nie uwierzy, dopóki nie będzie za późno; i nigdy też nie pozwoli Jackowi tropić Quintusa Millera.

- A co, gdyby mi pan powiedział, gdzie pan schował swego chłopca? - zapytał sierżant Miller. - Wtedy będzie mógł pan dostać flet.

- Zatrzymaj pan sobie ten cholerny flet - odrzekł Jack, starając się mówić takim tonem, jakby go to nic nie obchodziło.

- Kiedyś będzie pan musiał mi powiedzieć - ostrzegł go sierżant Schiller.

- Nie mogę powiedzieć panu czegoś, czego nie wiem.

- Zabił go pan, prawda? Daj pan spokój, to można zrozumieć. Był pan w stresie. Pańskie małżeństwo się rozpadało. Był pan zmęczony odpowiedzialnością za zajmowanie się nim, tak bardzo przypominał panu żonę, że wybrał pan łatwiejsze wyjście i zabił go.

Jack odwrócił się i popatrzył sierżantowi Schillerowi prosto w oczy.

- To - oświadczył - jest gównem prawda.

Sierżant Schiller przez chwilę spoglądał na niego, a potem wręczył mu flet.

- W ostatnich jedenastu latach, panie Reed, poodwracałem masę kamieni i znalazłem pod nimi całą masę całkiem obrzydliwych kreatur. Ale nigdy nie odkryłem niczego podobnego do pana.

Z tymi słowami pstryknięciem palców przywołał strażnika sprzed drzwi i polecił mu odprowadzić Jacka z powrotem do celi.

Tej nocy żądni ofiarniczej krwi Quintus Miller i jego obłąkańcy szaleli w całym Milwaukee, Madison i wzdłuż łączących je linii *ley*.

W niebie ryczały gromy, nienaturalne błyskawice wędrowały na szczudłach wzdłuż linii *ley*, a powietrze było gęste od napięcia zbliżającej się katastrofy.

Blisko Dousman piętnastoletnia córka farmera, Sarah Lee Kodiak, została wciągnięta w głąb ciemnozielonego pola włoskiej kapusty. Wleczono ją przez dwieście jardów po polu, a ona wrzeszczała nieziemsko wysokim głosem, wciągana coraz głębiej, po uda, po pas, po szyję, aż wreszcie pochłonęła ją żyzna, czarna gleba, podczas gdy jej ojciec i brat jeszcze rozpaczliwie biegli do miejsca, w którym zniknęła.

W świetle reflektorów traktora, w deszczu przylepiającym im włosy do twarzy, ojciec i brat kopali szpadlami i motykami przez ponad dwie godziny, pochlipując z żalu i wyczerpania, ale nie zdołali jej odnaleźć. Czarna gleba, plamy szkarłatu, lecz ani śladu Sarah Lee.

Pięćdziesięcioletni bankier, Lincoln Winter, został wciągnięty w głąb chodnika, w chwili gdy wysiadał z taksówki na The Avenue w Madison. Otworzył drzwi, stanął na chodniku i w tym momencie jego stopa została wciągnięta prosto w beton. Wrzasnął jeden raz, mimo to nikt na niego nie spojrzał, a gdy zdumiony kierowca wysiadł, by odebrać należność, Lincoln Winter znikł. Taksówkarz nie popatrzył w dół, bo gdyby to uczynił, ujrzałby cztery wymanikiurowane końce palców drapiące w męce chodnik, jak cztery wijące się różowe poczwarki, którym udało się tylko na chwilę unieść porzucony karton od McDonalda, nim także zniknęły.

Heidi Feldman, kelnerka z restauracji Karla Ratzcha w Milwaukee, o włosach ufarbowanych na kasztanowo, została schwyta przez szaleńców, gdy jechała windą na piąte piętro do swego mieszkania w West Allis. Pochyliła się do lustra na tylnej ścianie kabiny, aby wyskubać rosnący nie na miejscu włos z brwi, gdy dwie potężne ręce roztrzaskały szkło i wciągnęły ją głową naprzód w ceglana ścianę szybu windy, podczas gdy kabina z pojękiwaniem kontynuowała swą drogę do góry.

W tych paru ostatnich momentach życia Haidi Feldman czuła się tak, jakby jej głowa była mielona niczym zboże między dwoma twardymi kamieniami młyńskimi. Na piątym piętrze jej mąż otworzył drzwi kabiny z uśmiechem na ustach i dużym martini w dłoni i ujrzał windę pustą i rozdartą.

Trzydziestopięcioletni inżynier telewizyjny, Roy Truesho, spał obok swej żony w bliźniaczym domku w Monona, na południowy wschód od Madison, gdy błyszcząca ręka wynurzyła się z pokrytego fornirem drewnianego wezglowia i drgając sięgnęła jak modliszka po jego napiętek. Cał po cał Roy został wciągnięty w wezglowie, z powolnym, bulgoczącotrzeszczącym dźwiękiem. Nie zakrzyczał. Jego żona otworzyła oczy w sam czas, by ujrzeć jak lewa stopa męża, z palcami zeszytyniałymi z bólu, znikła w twardym drewnie.

I tak pozostała sama, owdowiała, z dwojgiem małych dzieci, śpiących w pokoju po drugiej stronie podestu.

Deszcz spływał jak gorąca krew na cały obszar hrabstw Green, Dane i Jefferson.

W swej celi w komendzie policji w Milwaukee Jack siedział na pryczy w niewygodnej pozycji ze skrzyżowanymi nogami, czekając, aż minie północ, a księżyc stanie w zenicie, choć niewidoczny, bo skrywany przez deszczowe chmury. „Okolo 1. godz. - napisał Geoff - linie *ley* będą namagnet do max; łatwiej ci przenik, nadziejam”.

Notatka kończyła się słowami: „Spotkam cię przy pantaklu, pokój Q, jak najprędzej”.

Jack zamknął oczy, oddychając głęboko i miarowo, choć wiedział, że wszelkie próby zaśnięcia okażą się daremne. Cały kłopot w tym, że gdy szło o sedno sprawy, sam ani na chwilę nie mógł uwierzyć, że będzie w ogóle zdolny wejść w ścianę, a cóż dopiero przedostać się do Dębów i wynurzyć z pantakla Quintusa Millera i to jeszcze z taką łatwością, jak człowiek wysiada z wagonu metra. Ćwiczył bez przerwy „Lavender Blue” w dziwacznej tonacji Quintusa Millera - ku ogromnej wściekłości krzykliwego choć otepiałego od narkotyków punka o dwie cele dalej - recytował teksty rytuału i imiona. Wszystko to bardziej niż kiedykolwiek do tej pory wyglądało na jakieś hokus-pokus. Gdyby na własne oczy nie widział szaleńców wychylających się z ziemi, gdyby nie widział płonących palców ojca Bella ani Essie Estergomy wciąganej w żwir - w ogóle by nie próbował.

Tuż przed dwunastą, gdy znowu wziął flet, by raz jeszcze odegrać *Lavender blue, dilly-dilly, lavender green*, wszedł sierżant Schiller. Zatrzymał się w drzwiach z rękami w kieszeniach i spojrzał na niego.

- Koniec mojej zmiany - odezwał się wreszcie. - Jadę teraz do domu. Zastanawiałem się, czy powie mi pan coś, co by mi pomogło zasnąć.

Jack odpowiedział mu długim spojrzeniem.

- No, dobra, jak pan sobie chce - powiedział sierżant Schiller i odwrócił się, by odejść.

- Sierzancie! - odezwał się Jack.

- Co takiego?

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie będę pana zbyt długo niepokoił. Obiecuję.

- Co pan właściwie obiecuje?

- Zobaczy pan. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Jest pan autentycznym, stuprocentowym psychem, panie Reed. Proszę się przespać.

Kwadrans po pierwszej, gdy w komendzie policji zapanowała względna cisza, zakłócana tylko echami, stapaniami oraz jękami przez sen alkoholików i narkomanów, Jack podniósł głowę, rozejrzał się i zaczął nadłuchiwać. Po paru minutach spokojnie wstał z pryczy i w skarpetkach podreptał ku ścianie w drugim końcu celi. Na dworze nadal padało. W okno cicho i sugestywnie uderzały krople.

*A więc nareszcie - pomyślał Jack. - Teraz wierzę w historię i starożytną magię. O, Boże, mam nadzieję, że to podziała. O, Boże, mam nadzieję, że to nie podziała.*

Skrzywiwszy się wy dobył kawałeczek żyletki, ukryty przez Geoffa za ustnikiem fletu i przeciągnął nim po opuszcze kciuka. Poleciała krew; słyszał jej lepkie kapanie na ceramiczne płytki podłogi. Chlip, chlap, chlip, chlap. Zbliżył się do ściany, ściskając nadgarstek. Kciuk nadal ociekał krwią. Trząsł się na samą myśl o potworności tego, co ma zrobić. A może raczej - o idiotyzmie.

*To nie podziała, to nie podziała, jest o wiele za późno.*

Zawahał się, pociągnął nosem, a potem nakreślił krwią dwa ogromne trójkąty, jeden zwrócony wierzchołkiem ku górze, drugi odwrócony. Heksagram Salomona. Ziemia i woda, powietrze i ogień, a tam, gdzie się spotykały kwintesencja, piąty żywioł.

Stojąc przed nimi dotknął ściany. Za oknem jego celi zamigotała błyskawica, a niebo niby tysiąc sztuk popeliny rozdarł piorun. Na dachy Milwaukee z łoskotem zwałił się deszcz, jakby Bóg postanowił zalać to miasto i zatopić je w jeziorze.

Podniósł zabazgrane, przysłane przez Geoffa papiery i zaczął recytować wersety druidyjskiego rytuału. *Muszą być pomyłone - pomyślał. - To było zbyt dawno temu. W jaki sposób ktokolwiek mógłby przekazywać te obrzędy przez dwa tysiące lat?*

Ale Quintusowi Millerowi udało się, prawda? Quintusowi i jego drużynie obląkańców. A jeśli udało się Quintusowi Millerowi, to i on mógł tego dokonać.

*Dia dha mo chaim,  
Dia dha mo chuairt,  
Dia dha mo chainn,  
Dia dha mon smuain!*

Czuł się jak idiota. Czuł się jak absolutny idiota. Jego wymowa była prawdopodobnie przeraźliwa. Nawet jeśli byli jacyś celtyccy bogowie; nawet jeśli istniały jakiegokolwiek siły druidyczne, zapewne nie były w stanie go zrozumieć.

Ale wyrecytował wszystko, co Geoff mu zapisał, wiernie, do ostatniego słowa. A następnie odczytał listę pięćdziesięciu imion Awena: Da i Yaghan, Mabo i Mabona, Lu i Lew, mab-Moi i Mabinos.

Zawahał się, zwilżył wargi, a potem zagrał na flecie melodię, która brzmiała tak podobnie do „Lavender Blue” i wypowiedział końcowe słowa obrzędu, które jakoby miały umożliwić mu wejście w ścianę.

*Caimich mi a nochd  
Eadar uir agus earc,  
Eadaer run do reachd,*

*Agus dearo mo dhoille.*

*Pogrzebcie mnie nocą  
Wśród pastwisk i stad,  
Wśród tajemnic twego prawa,  
Me niewidzące oczy.*

Recytując te słowa z papierem od Geoffa drżącym w dłoni, zbliżał się do rysunku na ścianie swej celi coraz bliżej i bliżej, aż przycisnął twarz do pomalowanego szarą farbą muru. *Pogrzebcie mnie nocą - wyszeptał. - Pogrzebcie mnie nocą.*

Usłyszał skrzyp kroków zbliżających się korytarzem ku jego celi. Nadchodził strażnik. Słyszał brzęk kluczy i wrzask jednego z pijaków:

- Matko! Matko! Przyjdź i zabierz mnie, matko!

Zamknął oczy. *Ty Istoto-z-Praw-i-z-Gwiazd, dopomóż mi. Pogrzeb mnie nocą wśród tajemnic twego prawa.* Drzwi celi otwarto. Strażnik powiedział:

- Znów pan gra na tej przeklętej świstawce, wszyscy dostają od tego kota.

Jack wszedł w ścianę.

## ROZDZIAŁ XII

Czuł się tak, jakby sypał się na niego miękki, suchy piasek. Nie mógł otworzyć oczu, bo twarz osypywał mu pył ceglany. Ale przekonał się, że nie potrzebuje ich otwierać. Zamiast patrzeć, po prostu uzmysławiał sobie w myślach, dokąd się kieruje - prawie tak jasno, jak gdyby patrzył. Ściany komendy policji były jak ciemne, wąskie ścieżki labiryntu, on zaś szedł nimi, szybko i gładko, a drobiny jego ciała przenikały przez drobiny cegieł z niskim dźwiękiem szszszszsz.

W ścianie przeszedł całą drogę wzdłuż korytarza aresztu śledczego. Kiedy przenikał przez któreś z żelaznych drzwi, odczucie przejścia było wyraźnie odmienne. Czuło się to tak, jak wpadnięcie pod tryskający zraszacz trawnika, jak nagłe uderzenie lodowato zimnej wody. Dotarł do schodów, ale w tym momencie zrozumiał, że zapewne ich nie potrzebuje. Wariaci raczej pływali w swym ziemnym środowisku, a nie chodzili w nim. Jack wyobraził sobie, że pływa, a robiąc to, spróbował zanurzyć się w dół przez ciemności ścian, aż do poziomu ulicy, a potem poniżej tego poziomu.

Z niezdarną gracją niedoświadczonego pletwonurka przepływał przez beton, cegły i skałę. Od czasu do czasu przenikał przez kanał ściekowy, rurę gazową czy kabel elektryczny. Choć tego nie wiedział, jego przejścia przez kable telefoniczne powodowały nagłe, zagadkowe skwierczenia na linii, słyszalne dla rozmawiających.

Gdy podniósł głowę i zrozumiał, że może widzieć, a przynajmniej uzmysławiać sobie wszystko ponad powierzchnią chodników w taki sam sposób, jak pływak widzi to, co się dzieje nad powierzchnią basenu - był zafascynowany. Mógł patrzeć od spodu na samochody, mógł widzieć podeszwy butów przechodniów. Obrazy te były zniekształcone w taki sam sposób, jak zniekształcają się obrazy widziane spod powierzchni wody. Ale gdy pomyślał, że spogląda ze środowiska bardzo gęstego do o wiele rzadszego... no cóż, niewiele pamiętał z licealnej fizyki, ale domyślił się, że zjawisko jest logiczne z naukowego punktu widzenia. Poczuł wibrację tuzinów zegarów publicznych w Milwaukee, wydzwanających kwadrans na drugą w nocy. Będzie musiał znaleźć sobie linię *ley*; jedną z ich magistral, druidyjską szosę, która pozwoli mu szybko przebyć drogę do Dębów. Wyczuwał wokół siebie magnetyzm linii *ley* w taki sam sposób, jak wyczuwa się nadciągającą burzę elektryczną. Było to dziwne, łaskoczące jak dotknięcie kociego futra uczucie, od którego włosy zaczęły go kłuć na karku, a nerwy w dłoniach.

Osunął się głęboko pod rzekę Milwaukee, ślizgając się przez osad mułu, nieustannie kierując się na wschód. Na tej głębokości było znacznie ciemniej i zimniej i czuł ciężar trzymającej go w uścisku ziemi. Jednak, co dziwne, nie miał ani poczucia uwięzienia, ani klaustrofobicznych odczuć, choć zwykle w ciasnych miejscach wpadał w panikę. Był spokojny, zdeterminowany i coraz umiejętniej przepływał przez ziemię.

Przynajmniej uciekł z aresztu policyjnego. Sierżant Schiller dostanie fioła! Jack zastanawiał się, czy strażnik widział go znikającego w ścianie. A jeśli nawet, Jack wątpił, czy nieszczęśnik uwierzy własnym oczom; a jeśli uwierzy, czy będzie miał dość odwagi, by powiedzieć o tym sierżantowi

Schillerowi.

Jack znajdował się już bardzo blisko fundamentów autostrady Wschód - Zachód. Przenikał przez betonowe filary podtrzymujące wiadukt z ostrzejszym szszsz! szszsz! szszsz! - jak odgłos wbijanej przez kogoś w mokry cement łopaty. Czuł, że jest już blisko linii *ley*. Odczuwał to tak, jakby coś go ciągnęło poprzez ziemię, a cały jego system nerwowy aż musował naturalnym magnetyzmem. Ciągnęło na południowy zachód, mniej więcej w stronę Terenów Wystawowych Stanu Wisconsin.

Fakt istnienia potężnych sił pod powierzchnią ziemi przejął go grozą. Oczywiście wiedział, że pływy oceaniczne zależą od siły grawitacji księżycowej. Ale wibrujące desenie, biegnące przez glebę były równie silne, jeśli nie silniejsze. Potrafiły przemienić go z człowieka cielesnego w człowieka z falującą ziemią; potrafiły wlec go z sobą z siłą nurtu wielkiej rzeki.

Teraz Jack rozumiał, czemu w tylu legendach twierdzono, że człowiek został uformowany z ziemi. Gdy był chłopcem, przeczytał w jednej ze swych książek o Buffalo Billu, że Gitche Manitou, wielki bóg ludów indiańskich, wypalił pierwszego człowieka z gliny. Ale ten pierwszy przypalił się i stał się czarnym, drugi był nie dopieczony i stał się białym i dopiero trzeci, doskonały, stał się czerwonoskórym Indianinem.

Nawet Biblia mówiła, że Pan uczynił człowieka z prochu ziemi. I taka jest prawda, tak się rzeczywiście zdarzyło. Rozumieli to druidzi i rozumiały tuziny starożytnych kultur. To, czego Jack dokonał tej nocy, było tylko odwróceniem procesu: nie proch staje się człowiekiem, lecz człowiek prochem.

Dokonał przeobrażenia tak starego jak świat: transformacji, która określała wieź człowieka z Bogiem i z ziemią przez tego Boga stworzoną. Bóg i człowiek byli jednym i tym samym elementem: ziemią, powietrzem, ogniem i wodą i wszystko, co te żywioły obejmowały i oznaczały, stapiało się w jedną mistyczną i wszechobecną kwintesencję.

Jack wiedział, że jeśli nawet przeżyje to przemienienie, jeśli nawet odnajdzie i pokona Quintusa Millera, nigdy już nie będzie takim samym człowiekiem. Zrozumiał znaczenie Genesis, rozumiał, czym był Adam. Zrozumiał do głębi własną istotę.

Skutkiem tego było uczucie straszliwego lęku, ale także nieograniczonej potęgi. Człowiek utracił wiarę w ziemię, na której żył. Ale ludzie tacy jak Adolf Kröger odkryli ją na nowo, tego też dokonał Quintus Miller. Nic dziwnego, że wcześni chrześcijanie bali się druidów. Nic dziwnego, że walczyli tak zawzięcie, by ich zniszczyć.

Jack płynął coraz to bliżej linii *ley* i wreszcie do niej dotarł. Poczul ją, jak go otacza: śpiewająca, rozbrzmiewająca rzeka w ziemi. Oczy miał nadal zamknięte, ale czuł linię *ley* biegnącą przed nim, nieugięcie, prosto przez cały Wisconsin, przez wszystkie terytoria na północ od niego, aż w łód polarny. To w taki sposób Celtowie podróżowali przez ziemię, przynosząc swą druidyczną kulturę do Ameryki Północnej w minionych, nie do zliczenia wiekach. Nie statkiem ani nie kajakiem.

Wystarczy, jeśli Jack podąży linią *ley*, a dostanie się do Dębów. Prawie na pewno Quintus Miller będzie chciał tam odprawić ostatnie obrzędy ofiarne, mające wyzwolić jego i jego orszak z ziemi i przywrócić im życie.

Podróżował linią *ley* biegnąc, jak człowiek biegnący we śnie. Gleba i kamienie sypały się wokół niego, sypały się przez niego, jakby w ogóle nie posiadał ciała fizycznego. A przecież potrafił odczuwać siłę swego ciała i potrafił też odczuwać siłę swego umysłu. Powrócił do żywiołu, z którego człowiek na początku uzyskał swój kształt i z którego na początku czerpał swą siłę.

Nie potrafił określić, jak szybko biegnie, lecz w porównaniu z szybkością, z jaką człowiek normalnie biega, gdy pozostaje poza swym pierwotnym żywiołem - poruszał się niewiarygodnie prędko. Podniósł zamknięte oczy ku niebu i ujrzał, że nocne burzowe chmury przemykają zmaczone

nad nim jak na przyspieszonych klatkach w „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia”.

Słyszał jedynie niski, pomykający za nim odgłos gleby, przez którą się przesuwał szszszasz... szszszsz... szszszsz... i własny, spokojny oddech. Minął Okauchee, Waterloo, De Forest i Morrisonville. Był już nie dalej niż dwadzieścia mil od Dębów, gdy dobiegł do niego inny odgłos. Kroki, łomoczące za jego plecami. Ktoś drugi, pośpiesznie przesuający się w ziemi. Ktoś szybki, mocny i zdecydowany go dogonić.

Odwrócił głowę. Blżej niż o milę uzmysłowił sobie goniącego go człowieka. Dwóch ludzi, trzech. Mieli pochylone głowy i biegli z przerażającym uporem. *Nadchodzimy, by cię schwytać, ty skurwysynu. Rozerwiemy cię na sztuki.*

Jack rozpoznał głos. Gordon Holman, wariat, który przybił żonie język gwoździem do stołu i własny penis do drzewa i który podpalił dłonie ojca Bella. Gonił go Gordon Holman, a Gordon Holman był prawie tak szalony, jak Quintus Miller.

Jack wziął głęboki oddech i zaczął biec z najwyższą prędkością, do jakiej był zdolny. Nie uznał za dziwne, że potrafi oddychać - bo przecież ryby mogą oddychać w wodzie, on zaś korzystał z powietrza zawartego w glebie niemal w taki sam sposób. Czuł, jak ziemia przesuwa mu się po twarzy. Teraz biegł już tak szybko, że napotykanego przypadkowo kamienie i żwir uderzały w niego równie mocno, jakby ktoś nimi ciskał.

Ale Gordon Holman i jego dwaj towarzysze doganiali go. Dłużej mieszkali w ziemi, ich ciała zostały w większym stopniu nasycone naturalną siłą ziemi. Jack zaczął odbierać wibracje ich biegu podszwami stóp. Gonił go i mieli zamiar wykończyć.

*To jest nasz dzień* - ryknął na niego Gordon Holman przez warstwę ziemi. - *To jest nasz dzień!*

Jack wyczuwał, że zbliża się do Dębów. Nurt linii *ley* biegł szybciej, jak rzeki zbliżającej się do urwistego wodospadu. Gleba mijała go błyskawicznie, mijało go niebo, mijał go świat. Jack zaczął odczuwać, że jest bezradny, porywany prądem, biegnący w dół po zboczach góry, niezdolny do zatrzymania się.

*Nasz dzień, ty skurwysynu! Nasz dzień! Nasz dzień!*

W Dębach przecinały się linie *ley* z zachodu, ze wschodu, z południowego zachodu, z północy. Miejsce, na którym zbudowano Dęby, czerpało siłę ze wszystkich czterech stron Ameryki, ale i promieniowało siłą. Było jak podziemne słońce o potężnym przyciąganiu grawitacyjnym, a równocześnie wysyłające energię we wszystkich kierunkach.

Jack czuł, że Dęby są bardzo blisko. Biegł przez las. Korzenie drzew wiły się ciemnymi cieniami w głąb gleby, jak macki meduz pływających w oceanie. Słyszał Dęby mruczące tonem tak niskim i tak potężnym jak dynamo. Ale równocześnie czuł, że Gordon Holman jest już blisko, mniej niż o trzydzieści stóp za nim. Pomyślał: *Odwróć się... spojrzysz w twarz... uderz mocno... jesteś teraz tak silny jak on; walczysz w tym samym żywiole.*

Lecz gdy zatrzymał się i odwrócił, coś skoczyło mu na plecy, coś ciężkiego i miękkiego, a potem ktoś chwycił go za rękę, ktoś chwycił go za nogi i nim zdołał pomyśleć, rzucono go na kolana. Rozpaczliwie walcząc odwrócił głowę i wtedy je sobie uzmysłowił. Kobiety, dziesięć czy jedenaście kobiet, z dzikimi minami i dziko rozwichrzonymi włosami, niektóre ubrane w proste szpitalne fartuchy, niektóre w bawełnianych spódnicach lecz nagie do pasa, inne całkowicie nagie.

Pchały jego głowę do przodu, aż wcisnęły ją między kolana, ramiona zaś odchyliły mu w górę i do tyłu. Pojękując z wysiłku próbował opaść głębiej w ziemię, by im uciec, ale jedna z nich wkręciła się w glebę poniżej niego - wielka, naga o tłustych ramionach, ogromnych piersiach i bliznach między udami po ogniu, którym podpaliła własne włosy łonowe.

*Zejdź niżej, moje kochanie* - zachęcała, uśmiechając się do niego bezzębny uśmiechem. - *Zejdź*

*niżej, jeśli chcesz!*

Jack skręcał się, dźwigał, ale nie mógł się uwolnić. Właśnie wówczas przybył Gordon Holman i stanął nad nim, nagi, jeśli nie liczyć kaftana bezpieczeństwa, związanego w pasie jak brudnobiały szkocki kilt. Jego dwóch pomocników stało nieco dalej za nim, jeden nieustannie kiwał głową, drugi zaś nieruchomy, z koroną cierniową na skroniach ; pustym, błogim uśmiechem. Święty Pomylenie. Ale najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że owa konfrontacja miała miejsce dwadzieścia stóp poniżej powierzchni lasu, w ciemnościach wśród wijących się korzeni, pomiędzy Lodi i Okee, niedaleko od jeziora Wisconsin.

*Quintus powiedział, że chcesz przerwać nasze składanie ofiar - oświadczył Gordon Holman. - Quintus powiedział, że chcesz, abyśmy na zawsze pozostali w ziemi.*

*Quintus jest szalony - oznajmił Jack. - Ta tak zwana ofiara to mój syn.*

*Quintus powiedział, że chce cię widzieć martwego. Martwego, to właśnie powiedział, i powieszonego do wyschnięcia! Przynieście mi skórę tego człowieka, to właśnie powiedział! Przynieście mi jego wątrobę!*

Tłusta kobieta wiała się lubieżnie pod nim, liżąc jego powieki i wargi. Odwrócił głowę z obrzydzeniem.

*Chcę się kochać z tobą, gdy będziesz umierał - szepnęła. - Chcę cię mieć w sobie, gdy będą cię zabijać.*

Jedna z kobiet zaśmiała się i wrzasnęła:

*Pandora! Pandora! Pandora!* - Powtarzała to w kółko, póki inna kobieta nie wczepiła jej się we włosy.

*Wypuście go - rozkazał Gordon Holman.*

Kobiety zrazu się zawahały, ale gdy Gordon Holman zrobił z groźną miną krok do przodu, wypuściły ramiona Jacka i powłócząc nogami cofnęły się, zostawiając go skulonego na miejscu. Pozostała tylko tłusta kobieta pod nim, na wypadek gdyby spróbował dać nura do bezpiecznego miejsca, głęboko w dolnych pokładach ziemi.

*Czy jest modlitwa, którą chciałbyś odmówić? - zapytał Gordon Holman.*

Jack pozostał na miejscu, przygarbiony, gorączkowo myśląc. Jak brzmiały te obrzędowe słowa? Słowa transformacji i ofiary? Gdy Geoff wyrecytował je Lesterowi na szczycie parkingu, tamten wrzeszczał jak szalony.

*Caimich mi a nochd Eadar uir coşam*

*Eadar run do reachd, Coşam coşam coşam*

Zdumiał się, że zdołał zapamiętać aż tyle. Zwykle pamięć miał okropną. Ludzie telefonowali do niego, on obiecywał, że oddzwoni za dwie czy trzy minuty, no i koniec: zapominał o tym natychmiast. Jak właściwie udało mu się zapamiętać gaelicki; szczególnie gaelicki, który usłyszał tylko raz i przeczytał tylko dwukrotnie, i to w najbardziej stresujących okolicznościach?



*Caimich mi a nochd  
Eadar uir agus eare,  
Eadar run do reachd,  
Agus dearc mo dhoille*

Pod ziemią zapanowała przygniatająca cisza. Jack pozostał przycupnięty, z przygiętą głową. Najpierw pomyślał, że Gordon Holman po prostu czeka na właściwy moment, by go zabić. Ale potem poczuł drganie gliniastej gleby i ostrożnie uniośł twarz. Stał nad nim Gordon Holman, drżąc na całym ciele, w konwulsjach najgłębszego przerażenia.

Jack odwrócił się. Większość kobiet, również owładniętych drżeniem, padła na kolana. Święty Pomylenieć nie uśmiechał się już, lecz patrzył z niezadowoloną miną, a szalenciec kiwający głową machał nią teraz tak gwałtownie, że Jack pomyślał, iż grozić mu może strząśnięcie jej z barków.

Ofiara, transformacja. Koniec jednego życia, początek następnego. To właśnie tak bardzo przerażało owych nieszczęsnych wariatów. Te słowa zwiastowały śmierć, przemianę i niepewność; wyższość magii nad ludzką wolą. To były słowa, które druidzi wypowiadali do swych wiernych w Stonehenge, w Carnac i na Mystery Hill, gdy całym światem władała magia.

Nawet Jack poczuł potęgę tego, co właśnie wyrecytował. Czuł, jak moc linii *ley* skupia się wokół niego, czuł gotowość do obrzędu, który właśnie rozpoczął.

*Ale co teraz - pomyślał Jack. - Czy mam się rzucić do ucieczki? Czy oni za mną pójdą? Czy skutki modlitwy zanikną, gdy tylko się poruszę?*

Powoli, ostrożnie powstał. Ciągle drżąc, nadal z zamkniętymi oczami Gordon Holman przyglądał mu się, lecz nie uczynił nic, by go powstrzymać.

*Czas jeszcze nie nadszedł - powiedział Gordon Holman.  
Co chcesz powiedzieć przez to, że czas jeszcze nie nadszedł?*

*Jeszcze nie zabrałem wszystkich moich ośmiuset. Mam nie więcej niż pięćdziesięciu! To nie ten czas! To nie może być ten czas!*

Jack podniósł głowę i uzmysłowił sobie błyskawicę, trzaskającą wśród drzew. Była ulewa. Czuł, jak zimna chłodem przejmującym do szpiku kości woda spływa z liści i sączy się przez czarne, włochate korzenie dębów.

*Ponadto - dodał Gordon Holman bardziej optymistycznym tonem - Quintus jeszcze nas nie wezwał. Quintus nas nie przywołał. Quintus będzie wiedział, kiedy nadejdzie czas! Quintus będzie wiedział, kiedy każde z nas zabierze swoich ośmiuset.*

Gordon Holman zaśmiał się, kobiety także się zaśmiały, choć jeszcze przejęte strachem i z mniejszym przekonaniem. Jack wypowiedział pierwsze słowa obrzędu ofiarnego. To, co już zostało wprawione w ruch, nie będzie łatwe do zatrzymania, nie bez ofiary, nie bez śmierci. Obrzęd ofiarniczy, który Geoff rozpoczął na szczycie dachowego parkingu został dopełniony dopiero wówczas, gdy Quintus Miller zamordował Lestera. Konieczna była krew, ludzka glina.

Ale Gordon Holman sapnęła i zaczęła ujadać jak pies.

*Nie trapcie się! Nie trapcie się! - zakrzyczał do swych szalonych towarzyszy. - Quintus zawoła nas, gdy nadejdzie czas! Quintus zagra swą muzykę i wtedy będziemy wiedzieli! Quintus wezwie nas swą piszczalką! Wezwanie! Wezwanie! Nie usłyszeliśmy jeszcze wezwania! Gdybyśmy usłyszeli wezwanie, nie mielibyśmy wyboru! Musielibyśmy pójść! Lecz nie nadszedł czas! Nie trapcie się! Nie nadszedł czas!*

*Co on chce powiedzieć - pomyślał Jack. - Wezwanie? Quintus ma ich wezwać grając na piszczalce, gdy nadejdzie czas składania ofiary?*

Podniósł własną fujarkę. Zwykły kawałek prostej trzciny z wypalonymi w nim otworami. Być może odpowiedź stanowiła muzyka. Być może muzyka była tu kluczem. Była kluczowym momentem obrzędu, który pozwolił mu wejść w ścianę. Być może była także kluczowym momentem obrzędu składania ofiary.

Quintus zagra na fujarce, gdy dla szaleńców nadejdzie czas, by zgromadzić się w świętym miejscu... a oni za nim pójdą. Sądząc z tego, co powiedział Gordon Holman, będą zmuszeni do pójścia, chcąc nie chcąc. W taki sam sposób, jak dzieci z Hamelin, które podążyły za Szczurołapem, prosto w zbocze góry. Bo sądząc z tego, co wiedział Jack, granie na fujarce znaczyło o wiele więcej niż sama muzyka; o wiele więcej niż zwykły sygnał. Było to bezpośrednie wezwanie od Istoty-z-Prawa-i-z-Gwiazd, boga kwintesencji; wezwanie, które odwoływało się z równą mocą do ciała, jak i do poczucia przynależności.

*Nie odrzuca się zaproszenia od boga kwintesencji - pomyślał Jack - nawet jeśli oznacza ono, że całe twoje życie zostanie rozbite na kawałki i że wszyscy, których znasz, będą torturowani na ramach szafotowych i zginani wespół do tyłu, i stracą na zawsze swe dusze nieśmiertelne.*

*Idziesz... ponieważ nie masz wyboru.*

Z wahaniem podniósł fujarkę. Nie wiedział, czy zabrzmi ona pod ziemią, ale dmuchnął w trzcinę, a powietrze przebiło się przez jej kanał i coś, co było mniej niż nutą muzyczną, lecz więcej niż muzyczną wibracją wypłynęło z niej z drżeniem i przeniknęło ziemię. *Lavender blue, dilly-dilly; lavender green; here I am king, dilly-dilly...*

Skutek, jaki wywarło to na Gordonie Holmanie i całej reszcie szaleńców, był natychmiastowy i przerażający. Powstali i otoczyli kołem Jacka, wyciągając ręce w ślepym błaganiu. Nie odezwali się, ale ich proszące dłonie zaszeleściły jak gołębie usadowione na dachu Dębów, ich ciała zaś zaczęły przepychać się przez ziemię z owym tak dobrze mu znanym, straszliwym szszszszsz.

Jack cofnął się wzdłuż linii *ley* w kierunku Dębów. Odwrócił się. Wariaci nie szli za nim. Stali w tym samym miejscu z wyciągniętymi rękami, zamkniętymi oczami i twarzami pełnymi rozpaczliwej tęsknoty.

*Co to jest, za czym ktoś może tak rozpaczliwie tęsknić? - pomyślał Jack. - Co to jest, co ma dla nich większe znaczenie niż cokolwiek innego?*

Oddalił się nieco, a potem zatrzymał. Szaleńcy nadal pozostawali na miejscu. Zawahał się, a potem znowu uniósł fujarkę i zaczął grać tę samą melodię w kółko i w kółko.

Tym razem poszli za nim. Zdawali się ślepi, jakby nie posiadali owej ostrej zdolności umysławiania sobie, która pozwalała Jackowi odnajdywać drogę przez ciemności twardej ziemi. Szli powłócząc nogami, wybladli, zaniepokojeni i szaleni, jak średniowieczni trędowaci. Mając świadomość, że zapewne nie wyrządzą mu żadnej krzywdy, Jack cofał się jednak coraz szybciej, nieustannie wygrywając na flecie, w obawie by go nie dogonili. Tak bardzo wyglądali na pomieszanych, nierozumnych i dziwacznych...

*Lavender blue, dilly-dilly...* Piosenka przenikała ziemię i biegła liniami *ley*, a tam gdzie jedna z tych linii przecinała się z drugą, muzyka znów rozbrzmiewała, tak cicha i tak połyskliwa, jak żywe srebro.

Melodia dotarła do Dębów i szybko rozprzestrzeniła się we wszystkich kierunkach, teraz tak wysoka i tak wibrująca, jak pieśń wyśpiewywana przez pajęczynę dotykaną wiatrem. Do Janesville, Watertown i Mineral Point, do Monona i Waukesha.

Na całym obszarze południowo-wschodniego Wisconsin, pogrążone głęboko w ziemi, głęboko pod betonowymi chodnikami, dobrze ukryte w ścianach, sufitach i meblach pozostałe tuziny szaleńców podniosły głowy, słuchały i marszczyły brwi.

*Wezwanie. Ale wezwanie nadeszło o wiele za wcześnie. Jeszcze tysiącom ludzi musi zostać odebrane życie, po ośmiuset na każdego. Takie było prawo, taka była cena ucieczki.*

Ale bez względu na to, jakie obawy żywili w związku z wezwaniem, które nadeszło zbyt wcześnie, nie było mowy o tym, by się mu oprzeć. *Wezwanie.* Ta sama płaczliwa melodia fujarki, w kółko wygrywana. *Levander blue, dilly-dilly...* Najstarszy ze świętych hymnów do Istoty-z-Prawa-i-z-Gwiazd, Awena, wielkiego stwórcy.

Melodia stanowiła mistyczne uporządkowanie nut w taki sam sposób, jak pantakl mistyczne uporządkowanie symboli. Ci, którzy ją usłyszeli, byli fizycznie wleczeni przez ziemię wzdłuż linii *ley*, tak jak błękitny piaskowiec Stonehenge został fizycznie przywleczony z Walii na równinę Salisbury. Szli, ponieważ nie mieli wyboru. Szli, bo tak im rozkazano.

Przyszli, bo zostali wezwani.

Było ich stu trzydziestu sześciu, przyciągniętych z powrotem do Dębów. Niektórzy zostawiali za sobą ścieżki bruzd przez pola i szosy, niektórzy przechodzili niewidzialni lecz słyszalni przez sklepy, ściany i kamienice. Nie tańcząc, nie szczebiocąc - jak to jakoby robiły dzieci z Hamelin, tańcząc i szczebiocąc w ślad za Szczurołapem. Ale biegnąc z zamkniętymi oczami, biegnąc, jakby ich życie od tego zależało.

Dotarłszy do fundamentów Dębów Jack zrozumiał, co się wydarzyło, i pojął, że wezwał ich wszystkich. Uzmysławiał sobie ich wszystkich wokoło, jak gdyby stał na wzniesieniu w ziemi, a oni zbliżali się wśród nocy ze wszystkich kierunków, biegnąc z ponurymi twarzami. Nabrał już tyle pewności siebie, że przez ostatnie kilka mil mógł wreszcie odwrócić się plecami do Gordona Holmana i jego przerażających przyjaciół i szedł naprzód własnym tempem, patrząc przed siebie w poszukiwaniu Quintusa Millera.

Nad powierzchnią gleby grom huknął w niebie, deszcz zaś nieubłaganie spadał na Dęby, aż ich połamane rynny rzygały wodą, a basen kąpielowy wystąpił z brzegów, niosąc obrzydliwe, czarne szczątki aż do połowy długości zatopionych kortów tenisowych.

Pod podłogą piwnicy Jack stanął wreszcie w milczącym kręgu ostatnich mieszkańców Dębów; wszystkich z wyjątkiem Quintusa Millera.

*Wezwaleś nas i przyszedłszy* - powiedział wysoki mężczyzna z ogromną głową encefalopatyka. - *Gdzie jest ofiara?*

*Wezwałem was, ponieważ tej nocy musimy złożyć hołd Awenowi* - zaimprovizował Jack, gorączkowo starając się wyczuć, gdzie może znajdować się Quintus Miller.

*Czy to oznacza złożenie ofiary?* - zapytał czarnoskóry mężczyzna z drastycznie cofniętym czołem. - *Czy to oznacza, że ktoś musi umrzeć?*

*No... a... tak jest!* - potwierdził Jack. - *Ktoś musi umrzeć. Jeden z was, by pokazać Awenowi, że nie obawiacie się oddać mu wszystkiego... z waszym życiem włącznie, prawda? Włącznie z waszymi duszami.*

W zgromadzeniu szaleńców rozległy się krzyki przerażenia, podnoszące włosy dęba. Brzmiały jak wrzaski pasażerów spadającego samolotu. Ci ludzie nie obawiali się złożyć w ofierze swego życia fizycznego. Ostatecznie byli gliną, w obecnej swojej sytuacji nie byli niczym innym jak glebą; ich fizyczne istnienie mogło zostać przywrócone... pod warunkiem, że przeżyje dusza. Ale jeśli dusza zostanie unicestwiona - pozostanie tylko nicość i gorzej niż nicość: nigdy nie kończąca się świadomość nicości...

*Mój przyjaciel* - mówił Jack - *wie wszystko o świętych tradycjach druidyzmu... i mój przyjaciel mówi, że zgodnie ze świętymi tradycjami w ofierze musi zostać złożony wasz przywódca. Jeśli tego*

*nie zrobicie, nigdy już nie poznacie, co to jest chodzenie wśród powietrza. Awen nigdy nie udzieli wam błogosławieństwa ucieczki z ziemi. Słyszycie? Wasz przywódca reprezentuje was wszystkich... jeśli złożycie go na ofiarę, Awen z pewnością będzie wiedział, że wszyscy go czcicie... że wszyscy jesteście mu oddani.*

Oddychał głęboko. W ziemi powietrze było kwaśne i wilgotne, czuł też ów octowy zapach, przenikający wszystko w Dębach. Sto trzydzieści pięć niedobrych twarzy patrzyło na niego z zamkniętymi oczami, nie widząc, ale wyczuwając. Niektóre z nich były niewiarygodnie piękne. Inne groteskowe jak chimery. Jeszcze inne odznaczały się bezrozumną pospolitością, tak zwyczajną, że jak Jack widział, aż niebezpieczną. *W porządku... - powiedział, podnosząc rękę. - Naszym obecnym zadaniem jest ustalenie miejsca pobytu Quintusa Millera. Rozumiecie? A gdy go odnajdziecie, będziecie musieli złożyć go w ofierze. W przeciwnym razie nie macie żadnych szans. Zostaniecie uwięzieni w ziemi na zawsze.*

*A co z ośmiuset żywymi, które mieliśmy odebrać? - odezwał się człowiek z ogromną głową. - Ja jak dotąd odebrałem tylko sześć. Ludzi nad ziemią nie jest łatwo łapać.*

*O ośmiuset żywych możecie zapomnieć. Przede wszystkim musicie rzucić się na Quintusa Millera.*

Wystąpiła kobieta. Jej długie popielatoblond włosy ciągnęły się przez ziemię jak włosy Wenus Boticellego, z tą różnicą, że ona była dzieckiem ziemi, a nie morza. Wyglądała na ledwie trzydzieści lat, w rzeczywistości dobiegała dziewięćdziesiątki. Wyciągnęła ramiona i wyszeptała:

*Jak możemy ci zaufać? Zawsze ufaliśmy Quintusowi Millerowi. Chcesz, abyśmy złożyli w ofierze Quintusa, ale czy to nie dlatego, że Quintus chce ofiarować twego syna? Jaką mamy gwarancję, że nas nie oszukujesz, że nie pozostaniemy w ziemi na zawsze?*

*Ufaliście Quintusowi - odparł Jack - i co z tego wynikło? Spędziliście sześćdziesiąt lat uwięzieni w ścianach. Wierzcie mi, że Quintus chce sam się ocalić. Quintus o was nie dba. Quintus chce się wydostać i z jego punktu widzenia tylko to się liczy.*

*On jest tutaj - rzekła popielata blondynka.*

*Co to znaczy tutaj? Gdzie? Nie widzę go.*

*Jest tutaj, w budynku. W Dębach. Na górze. Wyczuwam go.*

Ciało Jacka pokryła gęsia skórka. Wiedział, że Quintus już tu był. Ale czemu? Jack sądził raczej, że Quintus będzie przeczesywał ulice w poszukiwaniu więcej i jeszcze więcej ludzi do zabicia, aby znów móc poruszać się w rzeczywistym świecie. Popatrzył do góry przez ścianę konstrukcyjną nad głową, ale nie ujrzał nic, prócz ciemności.

*Czekajcie tutaj - nakazał zgromadzeniu szaleńców. - Przygotujcie się do wielkiej ofiary dla Awena. Módlcie się. Myślcie o dniach, w których chodziliście w rzeczywistym świecie, dobrze? Te dni powrócą. Ale nie odchodźcie stąd, rozumiecie? Będziecie tutaj potrzebni, by mi pomóc.*

*Dokąd idziesz, flecisto? - zapytał Gordon. Jego głos był dziwnie pozbawiony wyrazu, a słowa rozdzielał pauzami, jakby nadal znajdował się pod wpływem muzyki.*

*Do góry - odparł Jack. - Idę do góry.*

Przepychał się przez ciemnoszare, ceglane mury jak nurek, wznoszący się na powierzchnię gęstych od mułu wód jeziora. Jego stulone dłonie ciągnęły go szszszsz... szszszsz... szszszsz... przez zimną, mokną zaprawę. Od czasu do czasu, przenikając przez drewniane drzwi, czuł ukłucie sosnowej drzazgi.

Kierował się do pokoju Quintusa Millera, gdzie na ścianie został narysowany pantakl. Miał

przecucie, że jeśli Quintus znajduje się gdziekolwiek w tym domu, będzie właśnie tam, szukając drogi wyjścia.

Konstrukcja ścian Dębów była podstępnie skomplikowana. Za każdym razem, gdy Jack przebijał się wprost na pierwsze piętro, okazywało się, że jest zamknięty w ścianach, które wyginając się w łuk znów sprowadzały go na parter. Za każdym razem, gdy skręcał w stronę pokoju Quintusa Millera, ściany szybko i zdecydowanie kierowały go w inną stronę. Zatrzymał się na końcu korytarza pierwszego piętra, próbując wczuć się w cały budynek, próbując wyczuć jego symbolizm, próbując odczuć go w całości. *Labirynt*, tak go nazwał Adolf Kröger i był to labirynt.

*Jesteś biznesmenem - pomyślał sobie Jack - prowadzisz z wielkim powodzeniem firmę tłumików i opon. Wykorzystaj trochę tej umiejętności postępowania co w biznesie. Wykorzystaj trochę praktycznego myślenia. Ci druidzi żyli tysiące lat temu, nie mogli wymyślić czegoś, czemu dobra stara amerykańska orientacja w interesach nie dałaby rady.*

Spróbował udać się w kierunku przeciwnym do pokoju Quintusa Millera, w taki sam sposób, jak Alicja szła w przeciwnym kierunku, gdy próbowała znaleźć właściwą drogę w Ogrodzie za Lustrem. Ale znalazł się po przeciwnej stronie Dębów, w jednym z najobszerniejszych zakątków, koło schowka na szczotki do zamiatania.

*Nie - zdecydował - trik musi być bardziej skomplikowany.* Spróbował pośpieszyć z powrotem, prosto do pokoju Quintusa, ale znowu znalazł się tylko jeszcze dalej od niego. Czuł się tak, jakby robił krok naprzód i dwa do tyłu.

A może o to właśnie chodziło. Jeden krok do przodu i dwa do tyłu. Spróbował tego i ku swemu zaskoczeniu udało mu się dotrzeć do rogu korytarza pierwszego piętra. Znowu tego spróbował, lecz tym razem znalazł się dalej niż przedtem. Być może rozwiązanie polegało na progresji. Jeden krok do przodu i dwa do tyłu. Następnie dwa naprzód i trzy w tył. Dalej trzy do przodu i cztery do tyłu.

Po czterech czy pięciu minutach nagle złamał szyfr. Krok w przód, dwa w tył. Dwa do przodu, jeden do tyłu. Powtarzając ten schemat nieustannie, skręcając w miarę posuwania się na prawo i na lewo, nagle całkiem niespodziewanie dotarł do ściany pokoju Quintusa Millera i stanął naprzeciw heksagramu.

Nie potrafił powstrzymać się od wydania stłumionego pomruku, wywołanego szokiem.

Quintus Miller już tam był i był także Randy.

Quintus Miller siedział skulony w ścianie w przeciwległym rogu pokoju, nie patrząc w stronę Jacka, zbyt zaabsorbowany, by przerwać to, co robił.

Jack pozostał na miejscu, zeszywniały z trwogi, starając się oddychać nie za głośno. Quintus jeszcze nie wyczuł jego obecności albo jeśli wyczuł - tak pogardliwie odnosił się do możliwości powstrzymania go przez Jacka, że po prostu go to nie obchodziło.

Jack pamiętał, jak obecność Quintusa odebrała mu odwagę, gdy ukazał się on w szkle przedniej szyby wozu Geoffa. Ale tutaj, w ścianie, jego wygląd okazał się jeszcze straszliwszy. Był niski, miał wielką głowę, byczy kark, zaczesane do tyłu czarne włosy z przedziałką pośrodku i twarz tak zimną, jak pomalowana stalowa maska.

Nosił brudne, szare, flanelowe spodnie i szeroki pas oficerski z koalicyjką, do którego poprzyczepiał młotki i szypce. Plecy Quintusa gęsto porastały szpakowate, wełniste włosy, łokcie zaś miał zżarte różowobiałą egzemą.

To, co robił, było jeszcze bardziej przerażające. Zmusił Randy'ego, by stanął nagi w ścianie, za nakreślonym krwią heksagramem, z rękami i nogami rozłożonymi tak, by dokładnie odpowiadały gwiazdzystemu kształtowi ziemi i wody, powietrza i ognia. Nadgarstki i kostki u nóg Randy'ego umocował, przepchnąwszy je przez ścianę do zewnętrznego świata; małe dłonie i małe stopy,

wystające z tynku.

Randy stał z głową pochyloną, opartą o wewnętrzną stronę ściany. Był brudny, włosy miał zmierzwione i wyglądał na wyczerpanego. Gdyby Jack nie wiedział, jak niebezpieczny może być Quintus Miller, rzuciłby się naprzód i wziął Randy'ego w ramiona.

Było jeszcze coś. Jack jeszcze nie rozumiał, w jaki sposób Quintus i pozostali wariaci potrafili bezkarnie sięgać z wnętrza ścian i podłóg, podczas gdy ojciec Bell i Randy zostali w oczywisty sposób unieruchomieni, kiedy ich ręce przepchnięto z jednego żywiołu w drugi. No i przecież na własne oczy Jack widział, co wydarzyło się z innymi ludźmi, których wariaci wciągali wprost w ziemię.

Być może Quintus i jego drużyna nabyli więcej naturalnej siły ziemi przez te wszystkie lata spędzone w ścianach Dębów. Być może weszli w ściany z pomocą innego rytuału. Geoff powiedział mu, że istniały tuziny druidycznych obrzędów dla przechodzenia z jednego żywiona do drugiego, a większość z nich zaginęła. Może Quintus odkrył jeden z nich w którejś z książek Adolfa Krögera, książek obecnie spalonych na popiół.

Jack nie poruszył się. Nie był zupełnie pewien, co teraz robi. Zastanawiał się, czy byłoby możliwe zwabienie Quintusa na dół, pod podłogę sutereny, gdzie zgromadziła się reszta szaleńców, gotowych do złożenia ofiary. Cały kłopot związany z tym pomysłem wynikał z tego, że nadal tak do końca nie znał sposobu na przedostawanie się przez labirynt ścian, a zatem Quintus nieuchronnie go dogoni. Nawet gdyby Jackowi udało się zwabić go do piwnicy, nie miał żadnych gwarancji, że w zwolennikach Quintusa nie odżyje długotrwała lojalność wobec swego przywódcy, gdy tylko go ujrzą, i nie pomogą mu rozerwać przybysza z zewnątrz na strzępy.

Jedyną jego broń stanowiła fujarka, a nie był pewien, jak długo potrwa wpływ „Lavender Blue”... szczególnie, że nie znał żadnych innych druidycznych melodii i żadnych innych druidycznych obrzędów.

Ciągle jeszcze stał jak przymurowany w kącie pokoju, gdy Quintus pochylił się do przodu tak bardzo, że głową dotknął podłogi i zaintonował długą, przytłumioną litanie. Jack

nie zdołał dosłyszeć z niej więcej niż kilku słów, ale wypowiedana była z pewnością w języku gaelickim.

*Failt ort fein, a gheallach ur, Ailleagan iuil nan neull*

Randy zaskomlał i apatycznie poruszył głową z boku na bok, z oczami zamkniętymi na podobieństwo Jacka i Quintusa.

*Failt ort fein, a gheallach ur...*

*Ochchch... - jęknął Randy.*

*Ailleagan iuil nan neull!*

Podczas recytacji Quintusa, Jack usłyszał hałas w korytarzu na zewnątrz pokoju. Nie wewnątrz ścian, lecz w samym korytarzu. Kroki, głosy. Obejrzał się na Quintusa, uzmysławiając sobie jego skuloną postać, lecz Quintus zbyt był pochłonięty swą psalmodią, by to usłyszeć.

Nagle Jack rozpoznał głosy i stukot pantofelków na wysokich obcasach. Byli to Geoff i Karen, nareszcie, dzięki Bogu!

- Nie ma sposobu, by się dowiedzieć, czy on uciekł - mówił Geoff. - Nie mogę tak po prostu zadzwonić do sierżanta Schillera i zapytać.

- On się tu przedostanie - upierała się Karen. - Jeśli istnieje jakikolwiek sposób, by to zrobić, on się tu przedostanie. Bo jest właśnie takim facetem.

- Cóż, tak czy inaczej zajrzyjmy tutaj - zaproponował Geoff, gdy dotarli do drzwi pokoju Quintusa. - Pantakl jest wejściem i wyjściem z labiryntu. Jeśli on w ogóle z niego wyjdzie to tutaj.

- Ale jakim sposobem Jack będzie w stanie wyjść, jeśli Quintus Miller nie może? Przynajmniej nie zabijając wszystkich tych ludzi?

Geoff otworzył drzwi, wszedł do środka i szybko omiół pokój światłem latarki.

- Prawdę mówiąc, nie wiem tego z całą pewnością. Ale książka Druggetta mówi, że prawem była jedna ofiara za każdy miesiąc księżycowy, spędzony w ziemi. Awen tego wymaga. Rodzaj odszkodowania, tak mi się przynajmniej zdaje, za całą potęgę i energię, którą dana osoba czerpie z ziemi, gdy żyje wewnątrz niej. Magnetyzm ziemski musi zostać uzupełniony, na sposób, w jaki czynią to minerały. Awen jest obrońcą ziemi i z jego punktu widzenia ziemia jest cenniejsza niż ludzkie życie.

- Przyprawiasz mnie o dreszcze - powiedziała Karen.

Jack podniósł dłoń i przyłożył ją od wewnątrz do ściany, próbując precyzyjnie ją na drugą stronę dla zwrócenia uwagi Geoffa. Ale ściana okazała się zbyt twarda, nie był jeszcze dość silny, by przepchnąć się przez mistyczny menisk, oddzielający świat ziemi od świata powietrza. Zawahał się. Quintus nadal cicho wyśpiewywał litanie, kiwając się w przód i w tył, jakby powoli zapadał w trans. Być może gdy Jack zawoła do Geoffa, Quintus go nie usłyszy.

Randy jęknął i szarpnął głową do tyłu, a przy tym ruchu zamachał dłońmi i stopami, Geoff zaś poświecił latarką w stronę heksagramu.

Ponieważ Jack mógł uzmysławiać sobie wszystko wokół z zamkniętymi oczami, prawie zapomniał, że było jeszcze ciemno i że Geoff, by widzieć, co się wokół dzieje, potrzebował latarki. Jej światło przesunęło się po ścianie naprzeciwko twarzy Jacka i na moment go oślepiło. Nie samo światło, ponieważ nie mogło przecież przeniknąć w ścianę, lecz zjonizowane cząsteczki, które wypływały z latarki.

- Karen! - zawołał Geoff. - Popatrz na to! Dłonie i stopy we wszystkich narożach heksagramu! Dłonie i stopy dziecka!

Geoff - syknął Jack. - *Geoff, na litość boską!* Ale Geoff nie słyszał go. Uklęknął przed pantaklem, wziął do ręki jedną z nagich stóp Randy'ego i powiedział:

- To Randy! To musi być on! W Dębach nie było żadnych nieletnich pacjentów!

- Ale czemu jego ręce i nogi wystają ze ściany? - zapytała Karen. Jack dostrzegł połysk nylonowej blond peruki, którą kupiła, by udawać jego siostrę Edne-Mae. - Czy on tu jest, w środku?

- Tak, on tam jest - potwierdził zaniepokojony Geoff. - A ustawiono go tak dlatego, że ma zostać złożony w ofierze. To jest ostateczna ofiara z dziecka, która pozwala ziemiokrańcy wydostać się ze ściany.

- Przecież oni nie zabili dostatecznej liczby ludzi - sprzeciwiła się Karen. - W dzienniku podawali, że dwustu szesnastu i to wszystko. Nie wystarczy nawet, żeby wypuścić ze ściany jednego

psychia!

*Geoff!* - zawołał Jack, głośniej tym razem.

Quintus Miller przerwał śpiew w połowie obrzędu i powoli wstawał na nogi. Twarz miał bez wyrazu, oczy nie mrugające, ale Jack wiedział, jak zły jest, że mu przerwano. Mięśnie jego barków i pleców napięły się, nabrzmiałe arterie kurczyły i rozkurczały, a ścięgna ogromnego karku naprężyły jak plecione stalowe kable.

- Czy możesz wydobyć Randy'ego? - zwróciła się do Geoffa Karen.

*Geoff* - wrzasnął Jack. - *Quintus Miller jest tutaj! Odejdź od tej ściany...*

Quintus bez chwili wahania wysadził rękę ze ściany i chwycił Geoffa za brodę, przyciągając go twarzą do muru.

Geoff ryknął z bólu. Karen wrzasnęła. Jack natychmiast obiegnął pokój ścianami i złapał Quintusa Millera za barki, trzęsąc nim tak mocno, jak tylko potrafił. Quintus wypuścił Geoffa, który z zakrwawioną twarzą odpadł od tynku. Miller zwrócił się do Jacka i tym razem oczy miał otwarte, błyszczące jak stalowe ćwieki. Szeroka pierś podnosiła się i opadała z wściekłości i gdy tak stał przodem do niego, Jack ujrzał cały horror tatuażu na jego tułowiu.

Dwie wytatuowane dłonie zdawały się sięgać wokół pasa Quintusa, rozrywając na oścież jego skórę i ciało, tak że ukazały się wszystkie organy wewnętrzne. Ktokolwiek stworzył ów ponury *trompe l'oeil*, był obsesyjnym, lecz prawdziwym artystą tatuażu, bo Jack musiał ze dwa razy popatrzeć, by upewnić się, że brzuch Quintusa nie został naprawdę rozpruty.

Ciemnofiołkowa wątroba, połyskująca beżowa trzustka, blade zwoje jelita grubego; wszystko to odmalowano z najdrobniejszymi detalami.

*Ostrzegalem cię* - powiedział Quintus Miller głosem pełnym napięcia. - *Ty wścibski, złośliwy skurwysynu. Ostrzegalem cię.*

*Żądam mego syna* - odrzekł Jack.

Quintus podszedł bliżej, Jack cofnął się.

*Twój syn teraz należy do mnie. Twój syn jest moim paszportem.*

*Nie pozwolę ci zabrać go, Quintus. Najpierw będziesz musiał mnie zabić.*

*Z przyjemnością.* - Quintus wyszczerzył zęby i zbliżył się szybko.

*Gównu, to już koniec* - pomyślał Jack i napiął mięśnie. Ale Quintus okazał się jeszcze silniejszy, niż oczekiwał. Quintus rzucił się na niego z niepowstrzymaną siłą pędzącej ciężarówki, schwycił go za nadgarstki i walnął bykiem z taką siłą, że Jacka na chwilę zamroczyło. Następnie Quintus wymierzył mu dwa uderzenia pięścią w żołądek i jedno w pierś. Usłyszał, jak trzasnęło mu żebro, ale w płucach nie miał powietrza, więc nie mógł nawet krzyknąć.

Quintus podniósł go i cisnął nim przez całą długość ściany, tak że Jack wylądował na barku tuż koło Randy'ego.

*A teraz oderwę ci ręce* - obiecał Quintus. - *Oderwę ci ręce i wepchnę do przetyku.* - Zbliżył się z podniesionymi rękami i z czymś w rodzaju wyrachowanego szaleństwa na twarzy, które zmieniło kręgosłup Jacka w lodowatą wodę.

Quintus chwycił prawą ręką Jacka, ale w tym samym momencie wzdrygnął się i odwrócił z wściekłością. A potem znowu wzdrygnawszy się, klepnął po ramieniu, jakby coś go ukąsiło i wypuścił Jacka.

Zamroczone, bez tchu, Jack zajrzał do pokoju i zobaczył, że Geoff stoi pośrodku ze swą butelką po perrierze, skrapiając ściany.

- *Ab insidis diaboli, libera nos Domine!* - wołał spuchniętymi, zakrwawionymi ustami. - *Audi nos!*



Quintus zawył ze złości, chrypliwym, rozdzierającym gardło głosem, który spowodował, że Jack mimo woli podskoczył.

Kapłani chrześcijańscy używali potężnych rytuałów Świętego Kościoła, by wyrugować druidów, a teraz Geoff używał tych samych rytuałów dla powstrzymania Quintusa Millera.

Każdy bryzg wody do egzorcyzmów skwierczał na ciele Quintusa Millera jak żrący kwas. Włosy na jego plecach skręcały się i płonęły. Ale znowu zwrócił się do Jacka, nie przestając uporczywie i przeraźliwie ryczeć:

*Kawałki! Do diabła z tobą! Kawałki! Tyle tylko z ciebie znajdą! Kawałki!*

Sylwetka Quintusa musiała uwypuklić się z powierzchni ściany, bo Geoff kropił teraz prosto na niego, prysznicem poświęconej solanki. Twarz Quintusa pokryły bąble, płatek jego ucha zaskwierczał, skóra skręciła się i przypaliła na boku jego ręki.

- *Ut inimicos sanctae Ecclesiae humiliare digneris, te rogamus, audi nos!*

Quintus złapał ręce Jacka palcami drżącymi z mocy i bólu. Popatrzył Jackowi prosto w twarz, on zaś w tym momencie uwierzył, że zostanie zabity. Ale święcona woda znów uderzyła w plecy Quintusa jak tnący batog, aż odepchnął Jacka z obrzydliwym, skrzeczącym wrzaskiem.

Jack przewrócił się do tyłu, ale gdy fikał koziołka, w ostatniej chwili zdołał pochwycić ramię Randy'ego.

Wspólnie wybuchnęli z heksagramu na ścianie i potoczyli się bezwładnie po podłodze.

Za nimi szara jak tynk płaskorzeźba Quintusa Millera, nadal uwięzionego, ryczała i wściekała się na nich we frustracji. Geoff podszedł do niego, polewając go wielokrotnie znakiem krzyża, aż Quintus nagle zniknął.

Karen na kolanach ciasno obejmowała Randy'ego ramionami, trzęsąc się z szoku i ulgi. Jack nie wypuścił Randy'ego z rąk, okrywając go swą zakurzoną koszulą. Na twarzy i we włosach miał grubą warstwę suchego tynku, a pod paznokciami czarną ziemię.

- *Dokonałeś tego, nie mogę uwierzyć!* - załkała Karen. - *Przeszedłeś przez ściany i dokonałeś tego!*

Jack podniósł głowę i popatrzył na Geoffa. Geoff przyciskał z boku do twarzy zakrwawioną chustkę do nosa, ale uśmiechał się.

- *To dzięki tobie, mój przyjacielu* - powiedział Jack.

- *Miałeś dość odwagi, by tego dokonać, mój stary* - odparł Geoff. - *I ocaliłeś także syna.*

- *Czy to boli?* - spytał Jack patrząc, jak Geoff przykładła chusteczkę do policzka.

Geoff potrząsnął głową.

- *Niewiele więcej niż zwykłe zadrapanie.*

- *Randy?* - spytał Jack. - *Jak się czujesz? Czy z tobą wszystko dobrze?*

Randy zakaszlał, przetarł oczy i tępym wzrokiem popatrzył na ojca. Jeszcze nie zdołał zrozumieć, że jest wolny.

- *Czy masz piwo bezalkoholowe?* - zapytał. Karen przytuliła go.

- *Kochanie, chcielibyśmy je mieć. Ale zdobędziemy dla ciebie trochę wody.*

Jack podniósł się z wysiłkiem.

- *Myślę, że ten sukinyś złamał mi zebro. Miałem szczęście, że mnie nie zabił.*

- *Uważam, że powinniśmy zniknąć stąd tak szybko, jak tylko zdołamy* - rzekł Geoff. - *Aby wydostać się ze ścian, Quintusowi potrzeba ostatniej ofiary, najlepiej Randy'ego, ale Karen też może być niezłą namiastką, a ostatecznie też któryś z nas... Nie sądź więc, że pozwoli nam łatwo odejść.*

- *Sądziłem, że musi zabić ośmiuset ludzi, nim będzie mógł wydostać się ze ścian* - zauważył Jack,

- Tak, ja też - zgodził się Geoff. - Tak mówił Lester i tak jest w książce Druggetta. Ale wygląda, jakby już był gotów. A wierz mi, nie cofnie się przed niczym. Widziałem część jego danych chorobowych. Od chwili gdy policja zaczęła mnie poszukiwać, ukrywałem się tutaj, w Dębach. Przejrzałem kartotekę Elmera Estergomy'ego i znalazłem niemało wzmianek o Quintusie Millerze. Jego karta chorobowa zniknęła... policja musiała ją zniszczyć, gdy tylko pacjenci znikneli. Ale Estergomy robił całą masę dodatkowych notatek, a także prowadził dziennik, który wiele ujawnia. - Pomógł wstać Randy'emu. A potem wyplątał się ze swego brązowego, włochatego swetra i nałożył go Randy'emu przez głowę. - Ano. Co o tym sądzisz? W ten sposób będzie ci ciepło, póki nie dostaniemy się do samochodu.

Opuścili pokój Quintusa Millera i zaczęli iść do wyjścia zaciemnionymi korytarzami, podążając za świecą na wszystkie strony latarką Geoffa. Jack obejmował jedną ręką Karen, a drugą Randy'ego. Był zdecydowany nie utracić żadnego z nich, szczególnie nie na rzecz Quintusa Millera.

Po drodze opowiedział Geoff'owi tyle, ile zdołał o swej surrealistycznej podróży wzdłuż linii *ley* i o sposobie, w jaki przywołał wariatów z powrotem do Dębów.

- Są teraz tam w dole i o ile wiem, nadal czekają.

- W takim razie - rzekł Geoff - zrobimy to, co zrobił ojciec Bell: otoczmy budynek kręgiem wody święconej i miejmy nadzieję, że nie wydostaną się po raz drugi.

- Ale musimy załatwić Quintusa Millera - zauważył Jack.

- Tak - zgodził się Geoff. Zbliżali się już do podestu. - Notatki Elmera Estergomy'ego na jego temat były fascynujące. Quintus jest klasycznym paranoikiem, który wczytując się w książki Adolfa Krögera o druidyzmie uwierzył, że jest jedynym prawdziwym synem Awena, boga druidów. Miał manię wielkości, ale miał także manię, że wszyscy go prześladują. Dlatego dokonał zemsty na swej rodzinie; oślepił ich i zasztyletował.

Według Elmera Estergomy'ego miał też wielki charyzmat... choć oczywiście w notatkach nie użyto tego terminu. Personel i współpracownicy zawsze żywili wobec niego respekt, ale jego charyzmat od czasu do czasu wykraczał poza te ramy. Jakoby pewne osoby z personelu widziały, że toczył po stole ołówki samym wysiłkiem woli, raz zaś jak twierdzono, podarł stronicę gazety tylko na nie popatrzwszy. Dziwne, he? Elmer Estergomy wielokrotnie zapisywał w swym dzienniku, że Quintus jest prawdopodobnie najniebezpieczniejszym pacjentem, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia.

- Z tym bym się zgodził. - Jack skrzywił się i przycisnął dłoń do żeber. - Ale co o jego słabościach? Czy nie ma żadnych? Karen sugerowała, abyśmy wykryli, czego on się boi, jeśli czegoś w ogóle się boi, i wykorzystali jego obawy.

Już docierali do podestu, a Geoff ostrożnie przyświecał latarką to w jeden, to w drugi bok korytarza.

- Z tego, co wyczytałem w diariuszu Elmera Estergomy'ego, Quintus Miller odczuwa chorobliwy strach przed psami. Wydierał wszystkie zdjęcia psów z magazynów ilustrowanych i rozszarpywał je na strzępy. A jeśli ktokolwiek mówił o psach, Quintus dostawał ataku. Elmer Estergomy domyślał się, że ma to coś wspólnego z ową nocą, gdy pozabijał swych braci i matkę. Jego ojciec wrócił do domu, zastał go i spuścił na niego należącego do rodziny psa łańcuchowego... Zdaje się, że zwierzę nieomal go zabiło. Kazał się wytatuować, aby zakryć blizny, a także, by wyszydzić ojca. Ale to jedyna jego szczególna fobia, jaką wymienił Estergomy.

- Zapewne dzięki temu Joseph Lovelittle utrzymał się tak długo przy życiu - zwrócił się Jack do Karen. - Quintus Miller nie chciał zbliżyć się do niego na jakąkolwiek odległość, przynajmniej nie wówczas, gdy był z nim doberman.

Doszli do podestu. Jack rozpoznał blade, ślepe posągi, zwisającą, kościotrupią lampę i matowy połysk marmurowej posadzki. Boże, jak on nienawidził tego miejsca i jak bał się go zarazem. Nigdy nie nienawidził żadnego budynku do tego stopnia jak Dębów. Słyszał, że gdzieś deszcz przecieka przez sufit na podłogę, a w dali pomrukuje piorun.

Właśnie mieli zacząć schodzić schodami, gdy oślepiło ich światło latarki z holu i kobiecy głos odezwał się ostro:

- Kto tam?

Jack zrobił w ciemnościach złą minę.

- Geoff - powiedział - daj mi tę latarkę.

- Kto tam? - powtórzył kobiecy głos. - Jack? Czy to ty?

- Jezu Chryste - rzekł Jack. - To Maggie.

## ROZDZIAŁ XIII

Magie energicznym krokiem ruszyła po marmurowej podłodze, aż dotarła do stóp schodów, szeleszcząc płaszczem przeciwdeszczowym Burberry. Skierowała promień światła latarki do góry, najpierw na twarz Jacka, następnie na Karen, wreszcie trochę niżej na Randy'ego.

- Randy! - wykrzyknęła. - Dzięki Bogu, jesteś bezpieczny! Pobiegła w górę po schodach, stukając wysokimi obcasami wieczorowych pantofli i przytuliła go mocno. Randy wybuchnął płaczem.

- Co wyście mu zrobili? - warknęła Magie. - Co zrobiliście z jego ubraniem? - Spojrzała groźnie na Karen i oświadczyła: - Powinnam była się domyślić, że tu będziesz!

- A ja bym chciał wiedzieć, co, u diabła, ty tu robisz - odparował Jack. - Która to godzina? Słońce nawet jeszcze nie wzeszło!

- Zadzwoił do mnie sierżant Schiller, prawdę mówiąc by mnie ostrzec, że uciekłeś i że możesz być niebezpieczny.

- No, to dziękuję. Właśnie ocaliłem Randy'ego przed złożeniem żywcem na ofiarę, a teraz okazuje się, że jakoby jestem niebezpieczny.

- Nigdy nie wierzyłam, że go zabiłeś - odparła Magie. - Mogę cię nie kochać, Jack. W gruncie rzeczy sędzę, że zapewne cię nienawidzę. Ale znam jednak zbyt dobrze, by akurat o to posądzać. Po prostu przyszło mi na myśl, że mogłeś ukryć gdzieś Randy'ego i że jeśli uciekłeś, to pojedziesz do niego, aby go ze sobą zabrać. Jedynym miejscem, które przyszło mi na myśl jako możliwa dla niego kryjówka, było to właśnie. Wiedziałam, że muszę się śpieszyć, więc natychmiast tu przyjechałam.

- Pani Reed... - odezwał się Geoff - ten budynek jest skrajnie niebezpieczny. Musimy się stąd natychmiast wydostać.

- Kto to taki? - domagała się odpowiedzi Magie. - Ostrzegam pana... zaraz wezwę policję!

- W tej chwili, pani Reed, policja jest moim ostatnim zmartwieniem. A więc czy idziemy?

- Nie myśl, że pozwolę ci stąd umknąć, jeszcze coś cię czeka - zagroziła Jackowi Magie. -

Wtrąciłeś mnie do prawdziwego piekła!

Chwyciła Randy'ego za rękę i zaczęła maszerować z nim w dół po schodach, wymachując latarką. Geoff popatrzył na Jacka i uniósł brwi. Karen zaś powiedziała: - Jeśli ona wezwie gliny...

Ale Magie przebyła ledwie jedną trzecią długości schodów, gdy wrzasnęła i wrzasnął także Randy. Geoff skierował na nią światło własnej latarki i Jack ze zgrozą ujrzał, jak dwie szare, pokryte bąblami dłonie przepchnęły się w górę przez schody i zaczęły wciągać Magie wraz z Randym w marmurowe stopnie.

- Magie, trzymaj się! - krzyknął Jack. Zbiegli wraz z Geoffem ze schodów i podczas gdy Jack ze złością kopał Quintusa Millera palce, Geoff drżącymi rękami otworzył butelkę ze święconą wodą i prysnął nią wokoło. Magie wrzeszczała nieustannie, trzymając się nogi Jacka, aż wreszcie woda ze skwierczeniem wżarła się w ciało Quintusa, zmuszając go do zwolnienia chwytu, a Jack zdołał wciągnąć Magie w górę po schodach. Randy przybiegł za nimi, trzęsąc się i płacząc.

Geoff ciągle pryskał wokoło wodą, gdy inna dłoń wynurzyła się ze schodów za nim i chwyciła go za kostkę. Odwrócił się, poślizgnął i prawie stracił równowagę. Butelka po perrierze wypadła mu z dłoni, podskoczyła i odtoczyła się.

- Musimy natychmiast dać stąd dęba, by się ocalić! - krzyknął Jack. - Schodami w dół, przez hol i przez świetlicę na zewnątrz, tak szybko, jak potrafimy!

Rzucił się w dół po schodach, ale w tej samej chwili gdy docierał do ostatniego schodka, z podłogi holu wyrósł las marmurowych rąk, usiłujących złapać go na oślep. Wariaci opuścili suterene i wzniesli się do góry budynku w poszukiwaniu obiecaney ofiary. Hol wyglądał jak jakaś odrażająca szparagowa grzęda białych rąk.

- Do góry! - wrzasnął Geoff i znów pobiegł w górę po schodach. Gdy mijał miejsce, w którym wynurzyły się dłonie Quintusa Millera, marmurowe stopnie nagle pękły, wybuchły, i z gromowym hukiem ruszyła za nim w pogoń rozpryskująca się bruzda.

Geoff schwycił Karen i Magie i siłą pociągnął je w cwał korytarzem. Jack podskakując i potykając się podążył za nimi, czując za każdym krokiem dźgnięcia złamanego żebra, holując z sobą Randy'ego tak szybko, jak chłopiec zdołał biec.

Ledwie o stopy za nimi kryta linoleum podłoga pękała wściekle na dwoje, gdy Quintus Miller ścigał ich nieubłaganie, szalony żądzą zemsty, szalony żądzą złożenia ofiary, szaleńczo pragnący rozedrzeć ich na sztuki.

- Musimy biec w górę - wysapał Geoff, gdy dotarli do podestu przed gabinetem Elmera Estergomy'ego. - A potem górnym korytarzem... i w dół drugimi schodami!

- Co to jest, Jack? - wrzeszczała Magie. - Co to jest?!

- Nie ma czasu! - odkrzyknął Jack. - Biegnij do góry schodami!

- Ale co to jest?

- Magie! - ryknął Jack, gdy podłoga rozpadła się wokoło nich. - Leć na górę tymi pierdolonymi schodami!

Przedzierali się do góry na czworakach jak pierzchające dzieci, a tuż za nimi schody rozpadły się, poręcz rozpekła, a stalowa siatka na oknach grzechotała i wibrowała.

- Nie mogę... nie mogę biec już dalej... - wydyszała Karen.

- Weź Randy'ego za rękę! - powiedział Jack do Magie i uniósł Karen w ramionach. Ból żebra był rozdzierający, lecz chwiejnym krokiem, z dwiema strużkami krwi spływającymi mu z kącików ust, zdołał wspiąć się na następną kondygnację schodów, aż wreszcie dotarli do najwyższego podestu.

Za nimi schody uporczywie ryto krikkl-krakkl-krikkl-krakkl bruzdami, a tynk nieustannie sypał

się ze ścian oślepiającą szarą mgłą.

Jack znów postawił Karen na nogi. A potem, z trudem chwytając powietrze, powiedział:

- Dobrze... pobiegniemy tędy... na drugi koniec... potem znowu w dół... zobaczymy, czy się nie da...

- Patrz! - wykrzyknęła Karen pokazując palcem korytarz przed nimi.

Płynęła ku nim, spokojnym, spacerowym tempem, głowa Gordona Holmana, tego od przybijania języka gwoździem; twarz rozpychała powierzchnię podłogi jak boja ciągnięta za statkiem. Geoff poświecił w jego stronę latarką i przez sekundę oczy Gordona Holmana zaślniły na grzbiecie fali podłogi, tak czerwone, jak oczy kogoś sfotografowanego zniecka na balu kostiumowym.

Jack zakręcił się w miejscu. Quintus był już prawie u szczytu schodów. W obie strony drogę w dół mieli odciętą.

- Tędy! - powiedział Jack, wskazując na sufit. - Geoff, tam w górze musi być jakiś strych!

W sufit, dokładnie nad szczytem schodów, wbudowana była nieduża, kwadratowa kłapa. Z zatrasku zwisał postrzępiony sznur, ale gdy Geoff do niego sięgnął, okazało się, że jego koniec jest o cztery czy pięć cali za wysoko. Podskoczył, trącił go, ale nadal nie mógł chwycić w rękę.

Górny schodek rozpadł się z trzaskiem, a złamana poręcz głucho dzwoniąc zwała się po schodach. Głowa Gordona Holmana w korytarzu była już tylko o dwanaście stóp od nich, kołysząc się coraz bliżej. Jedna z jego rąk nagle wynurzyła się z podłogi, gotowa chwycić za kostki.

Jack podrzucił w ramionach Randy'ego do góry, mówiąc: - Łap to, Randy! Łap sznur!

Randy pociągnął za sznur, ale nic się nie stało.

- Jeszcze raz, Randy! - krzyknął Jack.

Tym razem kłapa nagle opadła, a wraz z nią z trzaskiem opadła też drewniana drabina. Ale równocześnie przemoczył ich ciężki, śliski strumień czarnej zgnilizny, śmierdzący tak ostro octem, że Karen głośno się odbiło.

- Jezusie, co to takiego! - kwiknęła Magie.

- Nie wiem. Do góry! - rozkazał jej Jack.

- Tam do góry? Nie mogę! O, Boże, nie mogę!

Geoff nagle krzyknął z bólu, a gdy rozejrzeli się wokoło, dostrzegli, że jedna z dłoni Quintusa Millera wychynęła z linoleum i złapała go za prawą kostkę.

- Do góry! - wrzasnął Jack na Magie. - Ty też, Karen! I zabierzcie Randy'ego!

Magie na ułamek sekundy zamknęła oczy, a potem popchnęła syna przed sobą po drewnianej drabinie. Jej szczeble ociekały czarnymi festonami rozkładającego się szlamu, a gdy pchali się do góry, jeszcze więcej strug nierozpoznawalnej cieczy zaczęło skapywać na podłogę, tworząc na niej pęcherze.

Jack kopał wściekle Quintusa Millera po dłoniach, ale tym razem Quintus był zdecydowany nie popuścić. Geoff z dzikim spojrzeniem mocno trzymał się Jacka.

- Jack... na miłość boską... ratuj się! Tylko upewnij się... upewnij się, że on nie złoży mnie na ofiarę... nie pozwól mu... nie obrzęd... inaczej... on się uwolni, Jack! Nie pozwól mu się uwolnić!

Quintus wciągnął prawą stopę Geoffa głęboko w twardą podłogę. Geoff wrzasnął, a jego kostka spłynęła krwią. Ale nie poddając się wypuścił Jacka, cofnął ręce i powiedział desperacko:

- Ratuj... się... Jack...

Jack odwrócił się. Gordon Holman był prawie tuż koło niego, z oczami roziskrzonymi żądzą krwi. Karen, wspinając się oślizgłą drabiną, już zniknęła na strychu.

Geoff uśmiechnął się do Jacka szeroko otwartymi ustami, sztywno potrząsnął głową, a potem z całej siły rzucił się w bok i do tyłu. Przekoziółkował przez poręcz, spryskując wszystko krwią ze

zmiażdżonej stopy i spadł na sam dół, na podest dwa piętra niżej. Gdy tam lądował, Jack usłyszał straszliwy odgłos miażdżenia.

Prawie poddał się w owej chwili, rzucając się za Geoffem. Ale powstrzymał się ze łzami frustracji i wściekłości przepelniającymi oczy i kopnął Gordona Holmana prosto w czoło. A potem chwycił śliską, śmierdzącą drabinę i szybko wspiął się na strych.

To, co zobaczył było przerażające ponad wszystko, co Jack kiedykolwiek potrafiłby sobie wyobrazić. Strych biegł przez całą długość Dębów, prócz iglic na obu końcach, a oświetlała go tylko latarka Magie i od czasu do czasu odblask błyskawic, wpadający przez maleńkie lukarny. Hałas deszczu, padającego prosto na drewniane gonty nad ich głowami był ogłuszający, a towarzyszył mu gulgot połamanych rynien i uporczywe kapanie wody, przelewającej się przez skorodowane obróbki blacharskie.

Magie, Karen i Randy stali pośrodku strychu, ogarnięci najgłębszym przerażeniem. Podłogę na głębokość stopy pokrywały rozłożone ludzkie szczątki, niektóre z nich zmumifikowane tak, że trzeszczały pod stopami, inne o wiele świeższe, przegniłe aż do rozpląnięcia się. Powietrze prawie nie nadawało się do oddychania. Wszystkie ciała zlane galonami octu, zapewne po to, by zamaskować ich zapach. Jack domyślił się, że Quintus znalazł w od dawna porzuconym zakładzie jedynie ocet. Przemieszany odór octu i gnijących ludzkich ciał był tak intensywny, że aż paraliżujący.

Jack pobrnął po oślizgłej podłodze. Ujrzał jakiś worek czy torbę, leżącą w szlamie i podniósł ją, obracając powoli w świetle latarki Magie. Przeczytał nazwisko na splamionej etykietce. „Gale McReady, Uniwersytet Wisconsin La Crosse”. Potem ją wypuścił.

- Widzicie, co Quintus tu zrobił? - powiedział głosem ochryplym z grozy. - On już odebrał życie swoim ośmiu setkom, a w każdym razie prawie wszystkim z nich. W ciągu sześćdziesięciu lat zabijał wszystkich odwiedzających Dęby; włóczęgów, autostopowiczów i kogo tam jeszcze; każdego uciekiniera, dzikiego lokatora czy zwykłego zwiedzającego. Wszystkich ich pozabijał. I zapewne niektórych z nich tutaj także zwabił za pomocą tego małego, szarego dziecka, którym się posługiwał; małego, szarego dziecka, które nie było niczym więcej, jak gazetą. - Próbował przełknąć, próbował odetchnąć, ale nie potrafił. - Wiecie, że on mógł to robić. Drzeć papier nie dotykając go, poruszać przedmiotami. Takim sposobem zaprowadził mnie tutaj, do Dębów. To była jedyna metoda, by do mnie dotrzeć. - Rozejrzał się, ale łzy smutku i obrzydzenia płynęły mu tak obficie, że mało co widział. - Musiał być już tak cholernie bliski swych ośmiuset pozbawionych życia... być może inni wariaci o tym wiedzieli, a może i nie. Ale sam Quintus... Jezu, popatrzcie, co on zrobił!... Był już prawie gotów do wyrwania się stąd... do rzeczywistego świata. To jedyny powód, dla którego nie zabił także mnie. To jedyny powód, dla którego ja także tu nie leżę. Ktoś musiał zostać wysłany po ojca Bella. Jakiś nieszczęsny, łatwowierny sukinsyn.

Magie chwiejnie zbliżyła się do Jacka z wyciągniętymi ramionami, dławiąc się ze strachu.

- Jack... musisz nas stąd wydostać. Jack! Musisz nas stąd wydostać! Ja tego nie wytrzymam! Nie wytrzymam! Nie wytrzymam!

Chwycił ją za nadgarstki, osadzając na miejscu.

- Cokolwiek zrobisz, nie wypuszczaj latarki. Popatrz... tam jest większe okno. Możemy przedostać się nim na dach... a potem może zdołamy spuścić się po rynnach.

- Ja tego nie wytrzymam! Nie mogę tego zrobić! Jack, musisz mnie stąd wydostać!

Jack zaciągnął ją do półkolistego okna. Jego szyby były pokryte grubą warstwą tłuszczu i kurzu, ale gdy je przetaił kantem dłoni, ujrzał na zewnątrz gzyms mansardowego dachu, zalanego wodą. Deszcz spadał kaskadami ze wszystkich stron, a błyskawice migotały nad czubkami dalekich drzew jak języki węży. Jack świadomie nie patrzył w dół, by nie widzieć, co depcze, ale czuł, jakby stąpał

po tłustym stosie gumowych rękawiczek.

Zbadał zaczep okna. Była to staromodna mosiężna dźwignia, pozieleniała ze starości. Zadeła się, więc musiał oburącz przełamać jej opór, ale ku jego zaskoczeniu wreszcie się otworzyła, okno z jękiem odchyliło się na bok, a na twarz spadły mu strugi zimnego, odświeżającego deszczu.

Wychylił się, mrużąc powieki w obronie przed wiatrem i deszczem. Gzypsy zalewała woda, bo rynnę zatkały gromadzące się przez sześćdziesiąt lat liście i odchody gołębi, ale gdyby tylko udało się utrzymać równowagę na dziesięciu czy dwunastu stopach odległości do wschodniej wieży... W samym kącie między nią i frontową ścianą widział pionową rynnę, której wygląd wskazywał, że względnie łatwo będzie zejść nią w dół. Co cztery stopy znajdowały się obejmy, a także pełno było uchwytów dla rąk. Odwrócił się do Magie.

- Widzisz to? Widzisz tę rynnę?

- Co? - zapytała, zatykając uszy rękami i mocno zaciskając powieki.

- Magie, popatrz na mnie! Posłuchaj! Czy widzisz tę rynnę? Tam, w rogu?

Zerknęła pośpiesznie, a potem kiwnęła głową. Chwycił ją za ramię i powiedział:

- To, co masz do zrobienia, to... przejść po tym gzypsie... dobrze? Dla podtrzymania chwyć się rękami za dach... a potem opuść się po rynnę na ziemię. A potem pobiegnij. Czy mnie rozumiesz?

Magie kiwnęła głową, nadal mocno zamykając oczy.

- Magie, na litość boską, czy ty mnie rozumiesz? Musisz opuścić się po rynnę!

- Tak! Tak! Tak! - rozdarła się na niego. - Tak, rozumiem!

- To dobrze, więc leć! Randy pójdzie zaraz za tobą, następnie Karen.

Magie otworzyła oczy i popatrzyła na Jacka dzikim wzrokiem. Źrenice miała zwężone od szoku jak łebki od szpilek.

- Nie potrafię tego zrobić! - wrzasnęła. - Jak możesz oczekiwać, że to zrobię?

- Jack... - odezwała się właśnie w tym momencie Karen - coś tu wchodzi. Jack, pośpiesz się, proszę! Coś się tu rusza.

Jack chwycił Magie w pasie i na pół podtrzymując, na pół unosząc, pomógł jej wydostać się za okno. Stała na gzypsie po kostki w wodzie, w powiewającym na wietrze płaszczu Burberry, z zamkniętymi oczami, dłońmi zaciśniętymi na pokryciu dachu.

- Posuwaj się powoli naprzód! - krzyknął na nią Jack. - Powoli, aż do rogu... a potem opuszczaj się po rynnę!

Magie tępo skinęła głową i zaczęła przemieszczać się wzdłuż gzypsu, przesuując po jednej stopie w bok, zaciskając kurczowo dłonie. Jack z bolesną niecierpliwością patrzył, jak stopniowo Magie zbliża się do rogu wieży. Tam zatrzymała się i opuściła za siebie jedną stopę, nadal mając oczy zamknięte.

- Zrzuć pantofle! - krzyknął do niej Jack. - I na litość boską, otwórz oczy! - Zwrócił się do Randy'ego, bladego i drżącego w ogromnym, brązowym swetrze Geoffa. - Co ty na to, kosmonauto? Uważasz, że dasz sobie radę? Wzdłuż gzypsu, aż dostaniesz się do rogu, a potem w dół po rynnę. Wystarczy, gdy będziesz zwracał uwagę na to, co robisz i mocno się trzymał.

- Tak jest, dowódco - powiedział trzęsąc się Randy.

Jack podniósł go i przeniósł za okno, Randy zaś podążył za matką w deszcz, chlapiąc stopami po zalanym wodą gzypsie.

*Boże, dzielny chłopak* - pomyślał Jack. - *Pewny siebie, wie, co ma robić.*

Poświecił latarką do wnętrza strychu. Próbował nie skupiać wzroku na żadnej z przerażających stert błyszczącego mięsa. Karen przeciskała się do niego, z nosem zmarszczonym z obrzydzenia i nogami w smugach gnilnego szlamu. Wyciągnął do niej dłoń.

- Chodź, kochanie, teraz kolej na nas. Chodź tak szybko, jak możesz!

Ale zatrzęsała się kupa ludzkich szczątków o dziesięć stóp za nią. Ktoś przeciskał się spod niej do góry. Zwoje błyszczących jelit szybko i ponuro odpęzły na bok, zgalaretowaciałe mięso ześlizgnęło się na boki, czaszki unosiły się i opadały jakby na fali pływu. Podłoga rzeźni Quintusa Millera zdawała się kipieć, gdy potężna fala energii przebijała się w ich stronę; fala, którą mogła spowodować tylko mściwa i nieomylna postać Quintusa Millera.

- Szybciej! - krzyknął Jack.

Karen odwróciła się i wykrzyknęła tylko jedno, krótkie:

- Ach!

- Szybciej!

- Jack, proszę... - Karen wyciągnęła do niego ręce. Jej drżały w panice i desperacji.

Blond peruka przekrzywiła się na bok, twarz miała wykrzywioną ze strachu. Prawie go dotykała, gdy poślizgnęła się, potknęła i padła na kolana.

Natychmiast żarłoczne dłonie Quintusa Millera wynurzyły się z krwawej masy zgniłych ciał, chwyciły ją za kostki i odciągnęły.

- Karen! Trzymaj się! - wrzasnął Jack i pobrnął przez ciała w jej stronę.

Karen wrzeszczała i młóciła rękami. Ale Quintus odciągał ją coraz dalej i dalej.

- Trzymaj się! - zawył Jack. - Nie przestawaj kopać!

Lecz w tym samym momencie w oknie pojawił się Randy, poblady, z włosami ociekającymi wodą deszczową, w swetrze pociemniałym i przemoczonym.

- Tato! Tato! Mama spada! Tato, chodź szybko!

Jack ze zgrozą popatrzył na Karen, a potem znów na Randy'ego.

- Proszę, tato... mama spada! Nie potrafi się utrzymać!

- Ja-a-a-a-ckkkk! - wrzeszczała Karen.

Jack zrobił parę kroków przez grząską breję w stronę Karen. Ciągnięto ją teraz twarzą w dół przez całą podłogę w kierunku klapy. Uniosła głowę z kleistego mułu, jaj twarz ze skrajnego przerażenia była sztywna jak maska.

- Tato! - zawodził Randy. - Tato, proszę!

Jack zwrócił się do okna, potem znów odwrócił do Karen, wreszcie ponownie do okna. Zakrył twarz rękami i głośno zawył z udręki.

Nie wiedział, czemu zdecydował się odwrócić plecami do Karen. To nie była świadoma decyzja. Ale gdy się ocknął, brnął z powrotem w stronę okna. Chwycił ramę okienną i już miał przedostać się na zewnątrz, gdy usłyszał, jak Karen wydaje pełen rozpaczony bulgot, a potem ostatni, zduszony okrzyk:

- Jack! Ratuj mnie!

Trzęsąc się przeszedł na zalany wodą gzyms i chwiejnie podążył ku rynnie w kącie wieży. Deszcz ciał go w twarz jak zimny, stalowy drut, ale niemal pragnął tego. Maskował łzy, spływające mu ciurkiem po twarzy i usprawiedliwiał jego drzenie. Randy podążał tuż za nim, powtarzając:

- Szybko... szybko, tato, szybko!

Jack przyklęknął i popatrzył ponad skrajem dachu. Magie była ledwie o sześć czy siedem stóp poniżej gzymsu, ściskając rynnę i jęcząc ze strachu.

- Wszystko w porządku! - krzyknął Jack. - Magie, wszystko jest w porządku! Schodzę! Tylko trzymaj się mocno i zostań na miejscu!

Przerzucił się przez gzyms, czując, jak złamane zebro wbija mu się w płuco i ostrożnie zszedł aż do miejsca, gdzie skuliła się Magie.



- Przejdę nad tobą... rozumiesz? Przejdę nad tobą tak, bym się znalazł niżej niż ty... a potem pomogę ci zejść!

Magie nie odpowiedziała, nie przestając się trząść i jęczeć.

- Margaret-Ann! - wrzasnął na nią Jack. - Trzymaj się mocno, zejść na dół nad tobą!

Ostrożnie, przyciskając jedną dłoń do ściany wieży, Jack przedostał się nad Magie, aż znalazł się tuż za nią. Rynna zatrzeszczała groźnie i jedna z obejm zaczęła się wysuwać z muru.

- O, Boże, panicznie się boję - powiedziała Magie z zamkniętymi oczami. Jej mokre burberry ciągle owijało się na wietrze wokół Jacka, prawie uniemożliwiając mu uwolnienie się.

- Posłuchaj - powiedział - zejść w dół tuż pod ciebie. Pokieruję twoje stopy rękami. Tylko trzymaj się mocno i nie zatrzymuj, a nie spadniesz.

- O, Boże - błagała.

- Margaret-Ann, do cholery, rób to, co ci mówię, i złaż na dół! - wrzasnął Jack. - W przeciwnym razie zostawię cię tutaj, tak mi dopomóż Bóg!

- Zejść na dół, zejść na dół - obiecała mu Magie. - Już nie krzycz na mnie, Jack, zejść na dół.

Z wysiłkiem, cal po calu schodzili po rynnie. Gdy tylko Magie znalazła się w dużej odległości od gzymsu, Jack zawołał do Randy'ego, by też zaczął schodzić. Randy łąził po drzewach prawie tak wysokich jak Dęby, więc zszedł na dół bez żadnych trudności. Magie przez całą drogę aż do ziemi modliła się i jęczała, a gdy Jack pokierował jej ostatnim krokiem na żwir, odwróciła się, rzuciła mu się w ramiona i mimo okazywanej przez niego niechęci zasypała jego twarz mokrymi pocałunkami, płacząc histerycznie.

Jack odepchnął ją na bok i trzymał na odległość wyciągniętej ręki, by się nie zbliżała. Patrzył i czekał, aż Randy zeskoczył i dopiero wówczas zapytał:

- Gdzie jest twój wóz?

- Przy bramie - powiedziała Magie. Ale potem zadarła głowę i patrząc na dach zapytała: - Gdzie jest Karen?

- Nie pytaj o Karen, biegnij do samochodu, zabierz z sobą Randy'ego i wynoście się stąd do wszystkich diabłów. Jedź do domu, nie zatrzymuj się.

- Ale myślałam, że Karen jest tuż za nami!

- Magie, jedź do domu! Natychmiast!

Oszołomiona Magie wzięła Randy'ego za rękę i razem poszli szybko przez dębową aleję do bramy.

- Biegiem! - wrzasnął Jack i rzucili się do biegu.

Jack stał patrząc za nimi, przeżywając taką burzę uczuć, że ledwie zdolny był oddychać. A potem zwrócił się ku czarnym iglicom Dębów. Miał do wyrównania z nawiązką rachunki z Quintusem Millerem.

Obszedłszy kuchnie i tyły domu dostał się do oranżerii. Ulewnie deszcze powybiły jeszcze więcej szyb w szklanym dachu i woda głośno pluskała po płytkach podłogi. Zawahał się na chwile, a potem wszedł do środka, zostawiając za sobą drzwi szeroko otwarte.

Przez przyciemnioną świetlicę przedostał się aż do holu. Dwa ślepe posągi przyglądały mu się nie otwierając oczu. Po chwyatających dłoniach, które wyrosły z podłogi, nie było ani śladu. Ani śladu Quintusa Millera, Gordona Holmana czy któregośkolwiek innego z szaleńców.

W holu panowała cisza.

Jack oświetlił w krąg swą latarką całe pomieszczenie. I w końcu dostrzegł błysk zielonego szkła. Butelka Geoffa po perrierze ze święconą wodą. Czekał, słuchał, wytężając uwagę, by uchwycić zdradzieckie szszszsz... szszszsz... szszszsz... ale słyszał tylko padający deszcz. Być może Quintus

odpoczywał po swej orgii przemocy.

*Karen* - pomyślał z nagłym, ostrym bólem.

Na palcach przeszedł przez hol i podniósł butelkę. Potem cofnął się, świecąc szybkimi ruchami tu i tam, nerwowo szukając rąk lub twarzy, wystających ze ścian.

Poświęcona woda cicho przelewała się w butelce. Modlił się, by poskutkowała tak samo, jak podziałała w rękach ojca Bella. Nie znał żadnych modlitw egzorcystów, ale miał nadzieję, że szczerłość jego zdecydowania, by uwolnić świat od Quintusa Millera i wszystkich jego szalonych morderców wystarczy za egzorcyzm.

Ku swej uldze dotarł do drzwi oranżerii bez przeszkód. Wyszedł na deszcz, odkręcił butelkę i zaczął okrażać Dęby, oszczędnie kropiąc resztkami wody święconej i recytując własną wersję modlitwy dla zamknięcia nieczystych duchów na zawsze w więzieniu.

- O, Boże, jeśli kochasz świat... jeśli kochałeś świat... jeśli kochałeś życie i szczęśliwość... zachowaj tych ludzi zamkniętych wewnątrz tego kręgu na wieczne czasy... potęgą i chwałą, amen.

Zatoczył krąg prawie do końca, gdy usłyszał łomotanie głęboko w ziemi, prawie jak łoskot maszyn Morloków w „Wehikule czasu”.

A potem usłyszał wysoki, lamentujący głos i stojąc samotnie w deszczu zrozumiał, że to szaleńcy, wrzeszczący wewnątrz ścian. Wszystkich ich złapał ponownie w pułapkę Dębów. Schwytał ich, a tym razem na pewno już nie uciekną, bo to on ich uwięził i jedyną osobą, mogącą ich wyzwolić, był on sam. Albo on, albo trzech kardynałów.

- Skurwysyny! - wrzasnął w niebo. - Skurwysyny!

Cofnął się po żwirze i podniósłszy głowę spojrzał na ponurą, neogotycką sylwetkę Dębów, i zapragnął cały ten budynek zrównać z ziemią.

Ciągle jeszcze mrugał wskutek deszczu, gdy usłyszał niski dźwięk szszszsz w żwirze na prawo od siebie, blisko rozbieralni kąpielowej. Skierował światło latarki w stronę dźwięku, ale początkowo nie ujrzał niczego.

A potem usłyszał to ponownie. Szszszszszszszsz, coraz to szybciej i szybciej, narastające crescendo. SsssssssSSSZZZZZZZL...

Omiatał światłem latarki jedną i drugą stronę żwirowej ścieżki. Nagle ujrzał potężną falę pływową wśród kamyków, dążącą ku niemu szybciej niż biegnący człowiek.

Nie potrzebował widzieć, kto to jest. Wiedział. Quintus Miller musiał opuścić Dęby, zanim kropiąc zamknął swe koło wody święconej. A teraz Quintus Miller parł ku niemu przez glebę z bezdenną wściekłością i niepowstrzymaną siłą.

Żwir kipiał i pryskał na boki. Trawnik pryskał na boki. Dwie kamienne urny wybuchły jak bomby. A potem Jack pobiegł z boczem w stronę kortów tenisowych, ścigany potężną bruzdą rozsadzanej trawy i ziemi.

Quintus Miller był tak blisko za jego plecami, że Jack nawet nie ośmielił się zatrzymać i stawić mu czoło z wodą święconą.

Biegł i biegł przed siebie, aż nabrał takiego rozpędu, że nie mógłby się zatrzymać, nawet gdyby tego chciał. Przeciął zalane wodą korty, rozpryskując kałuże butami. Asfalt rozdarło ledwie o trzy stopy za jego piętami. Dotarł do skraju przepelnionego basenu kąpielowego, próbował go ominąć, ale poślizgnął się, machając rękami. *Trzymaj tę wodę święconą bez względu na to, co robisz* - powiedział sobie, a potem wpadł bokiem w mroczną, zimną, odpychającą wodę na głębszym końcu basenu.

Zimno zaparło mu dech, zaszamotał się... zgubił latarkę... ujrzał jej blednące światło, gdy opadała na dno.

Wówczas wyłożone płytkami boki basenu zostały roztrzaskane na oścież i Quintus Miller wpłynął do wody wśród ogromnego wybuchu baniek, błota i wirujących brudów. Jack wrzasnął pod wodą, machając kończynami wydobył się nad powierzchnię i wciągnął powietrze. Lecz Quintus natychmiast złapał go za kostki i powlókł znowu pod wodę.

Jack kopał i wił się, ale tym razem Quintus był zdecydowany go nie puścić. Objął Jacka w pasie, potem przez pierś i przegiął go do tyłu. Rozpaczliwie pragnąc powietrza Jack czuł, jak potężne palce Quintusa wbijają mu się w twarz, szukając oczodołów.

Uderzył Quintusa butelką po perrierze, nie trafił i wypuścił ją. W odwecie szalencie chwycił go za gardło, wcisnął kciuki pod szczękę, stopniowo próbując ją rozerwać. Jack wybałuszył oczy, a pomiędzy jego zaciśniętych zębów zaczęły wydobywać się banieczki powietrza. Czuł, że Quintus za chwilę rozerwie mu twarz na dwoje.

Jack machnął ręką... i poczuł coś odrażająco znajomego. Worek, zawierający rozkładające się szczątki dwugłowego owczarka alzackiego Josepha Lovelittle. Odruchowo przyciągnął go do siebie.

*On boi się psów... jego ojciec poszczuł go domowym psem, po tym jak zabił swych braci i matkę... prawie go zagryzł... boi się psów.*

Wciągając pełne nozdrza wody Jack uniósł kolano i ostro walnął Quintusa w pierś; raz, dwa, trzy razy. Quintus rozluźniwszy chwyt na twarzy Jacka, okrążył go, by chwycić w pasie i przegiąć do tyłu.

Jack otworzył worek, z obrzydzeniem poszperał w środku, a potem wyciągnął dwugłowego psa za przemoczony kark. Nie widział go w brudnej ciemności basenu, ale przecież Quintus będzie mógł uzmysłwić go sobie tak jasno, jak w świetle reflektora.

Przez ułamek sekundy Jack sądził, że to nie podziała. Ale nagle Quintus zwinął się w konwulsjach raz i drugi. Młóćąc ramionami odpłynął, ale Jack nadal czuł przez wodę jego epileptyczne spazmy i słyszał bulgoczący skrzek skrajnego przerażenia.

Kopnięciami wydobył się na powierzchnię basenu, ciągle trzymając potwornego psa. Widział, w którą stronę skierował się Quintus, dzięki drżącym zmarszczkom, prowadzącym do brzegu. Niebo zaczęło się już przejaśniać, choć deszcz nie ustawał.

Płytki po przeciwnej stronie basenu trzasnęły i rozprysły się, gdy Quintus konwulsyjnie wydobył się z wody i znów wypełznął do ziemi. Jack rzucił się za nim i dotarł do drabinki. W tym momencie usłyszał coś jakby bulgot tuż za sobą. Była to butelka po perrierze, wypływająca na powierzchnię. Wydobył ją, gotów ucałować.

Dźwignąwszy się po drabinie, z ubraniem ociekającym wodą, Jack podążył za przedostającym się pod trawą Quintusem. Trzymał trupa dwugłowego psa przed sobą jak tarczę, jak ponury talizman.

Quintus dotarł do niskiego murku oporowego, oddzielającego trawniki od lasu. Sądząc z przesuwania się i szurania w murze Jack mógł ocenić, że Quintus wpełza do dwunastostopowego odcinka konstrukcji pomiędzy dwoma rzędami kamiennych stopni, podobnie jak człowiek cierpiący na uporczywą gripę wpełza do ciepłego łóżka.

Jack upuścił worek z ciałem psa tuż koło siebie, a potem zdecydowanym ruchem otworzył butelkę święconej wody i obszedł dokoła odcinek muru, recytując swą modlitwę i pryskając w koło.

- Quintus! - krzyknął. - Czy słyszysz mnie, Quintus? Jesteś teraz w pułapce, nie wydostaniesz się!

Nie było odpowiedzi, lecz cegły otarły się o siebie, jakby ktoś z ustami pełnymi piasku zgrzytał zębami.

- Quintus, gdzie jest Karen? Co z nią zrobiłeś, Quintus? Nie pozwolę ci, Quintus, byś ją złożył w

ofierze! Słyszysz mnie?

*Ty nędzny idioto* - rozległa się nagle odpowiedź Quintusa, wypowiedziana z szorstkim środkowozachodnim akcentem. - *Nie magłem jej złożyć w ofierze, bo ona nie żyje. Nie dałeś mi nawet na to czasu, ty z twoją wodą święconą i twoimi kretyńskimi modlitwami. Przez ciebie ją zabiłem!*

- Kłamiesz! - wrzasnął do ściany Jack. - Ukryłeś ją! *Chciałbym bardzo. Ale ona nie żyje, panie Reed. Puree z pomidorów.* Jack zaczerpnął drżąco dwa razy powietrza.

- O, Panie, zachowaj tego grzesznika schwytanego w pułapkę tej ściany, bo zasłużył na wszystko, co go spotyka, amen.

Odwrócił się sztywno i ciężkim krokiem podążył na powrót do Dębów. Blisko tylnej ściany oranżerii widział szopę ogrodniczą, a tam gdzie jest szopa ogrodnicza, zwykle są i narzędzia.

Była zamknięta na kłódkę, lecz tak zrujnowana, że kopnięciem wywalił drzwi z przerdzewiałych zawias. Wewnątrz ujrzał stosy doniczek, skamieniałą kosiarkę do trawy, kanistry benzyny, wiązki palików ogrodowych i właśnie to, czego szukał: kilof.

Wrócił zmęczony przez trawnik do murku, w którym uwięził Quintusa. Białe słońce ukazało swe oblicze zza chmur i błyszczało na przemoczonej od deszczu trawie.

Podniósł kilof i odrąbał dwie górne warstwy cegieł. A potem dalsze i dalsze, aż murek zaczął walić się na trawę.

Quintus zaczął się na niego wściekać.

*Trzymaj się z daleka, ty skurwysynu. Trzymaj się z daleka! Zabiję cię za to, rozerwę cię na sztuki!*

Ale Jack nie odpowiedział. Był zbyt zmęczony, by odpowiadać. Nie przestawał bić kilofem i odrąbywać dalszych części muru, aż Quintus został zepchnięty na sam jego koniec.

*Nie!* - wrzasnął Quintus. - *Tylko mnie dotknij, a zabiję cię!*

Jack znów zamachnął się kilofem. Łup. A toczące się po trawie cegły warczały, ocierając się wzajemnie.

- Już nie masz dokąd pójść, Quintus. To koniec.

Quintus wrzasnął. Głosem tak przenikliwym, że Jack prawie go nie słyszał.

Machnął kilofem, cegły odpadły i ukazała się twarz Quintusa z oczami szeroko otwartymi, ustami rozciągniętymi skrzekiem paranoicznej męki.

Jack znów uderzył, odkrywając barki Quintusa, a potem jego korpus. Wreszcie nie było już nic, tylko trzęsący się półnagi człowiek, przykucnięty wśród rozrzuconych cegieł.

Quintus podniósł oczy. Metaliczne, niewybaczające, bez wyrazu.

*Powinieneś zostać za to potępiony na wieki i na zawsze.*

- Boże, wybacz mi - powiedział Jack i uderzył kilofem, trafiając jego ostrzem prosto w czoło Quintusa.

Quintus rozpadł się na dwoje, jak dwie połowy posągu, a potem rozleciał się na kawały. Jack schylił się, podniósł jedną z brył i ona też była cegłą... cegłą, która rozpadła mu się w palcach na proch.

Został na miejscu, przy rozwalonej ścianie, przez bardzo długi czas, a niebo zaczęło się przejaśniać, deszcz ustawać; Dęby za jego plecami okryła mgła. A potem upuścił kilof i ruszył w górę zbocza.

Dwa z kanistrów benzyny były jeszcze w trzech czwartych wypełnione. Jack wyniósł je z głębi szopy i poniósł do drzwi oranżerii, zgarbiony od ciężaru.

Zerwał pokrywki z kanistrów i cisnął je do wnętrza świetlicy. Trzasnęły, odezwały się echem i

przewróciły. A potem słyszał tylko bulgotanie benzyny, lejącej się na podłogę.

Nie miał już więcej modlitw, nie wydawał krzyków wścieklej zemsty. Drżącymi rękami wyciągnął książeczkę zapalek i jedna po drugiej wrzucił trzy, płonące, do świetlicy.

Dwie pierwsze zgasły skwierczące, lecz gdy rzucił trzecią, świetlica nagle wybuchnęła płomieniem.

Dęby paliły się widowiskowo. Piętro po piętrze, okno po oknie, ogień szalał w stronę dachu.

Wariaci schwytni w pułapkę struktury budynku musieli wznosić się coraz wyżej labiryntem jego ścian, bo dopiero gdy ogień sięgnął drugiego piętra, Jack usłyszał wrzaski.

Stał na trawniku, osłaniając dłonią twarz przed żarem, a gotycka sylwetka masywnej budowli pulsowała iskrami, ogień zaś falował w powiewie wczesnego poranka jak ogromna, pomarańczowa chorągiew.

Wrzeszczeli w panice z przestachu i bólu, pełni dogłębnej rozpacz, że przeżyli sześćdziesiąt lat tylko po to, by w taki sposób zginąć. *Szczury w pułapce* - pomyślał człowiek, który graniem na fujarce zwabił ich tutaj.

Iglice upadły, schody się załamały. Ślepe twarze odpadły od gzymsów. Wrzaski rozlegały się nieustannie, sto trzydzieści ludzkich dusz spalanych do zniknu. Jack patrzył i czekał spokojnie, z zapadniętymi oczami, aż ostatni wrzask ucichnął.

W dali usłyszał syreny. Otarł zaczerwienioną od gorąca twarz rękawem. Po raz ostatni spojrzął na Dęby, a potem odszedł przez las.

Sierżant Charles Schiller z rękami w kieszeniach płaszcza przeciwdeszczowego szedł przez trzeszczące, jeszcze tłące się popioły Dębów. Niedaleko od niego brygada rozbiórkowa wynosiła dwa blade, usmarowane sadzą posągi, które cudownym zrzędzeniem losu pozostały nienaruszone, gdy zawalił się hol.

Komendant straży pożarnej nadszedł ciężkim krokiem, pociągając nosem i zacierając ręce.

- Ależ płomień, he?

- Ile czasu potrzeba, nim nasi rzeczoznawcy sądowi będą mogli tu wejść? - spytał sierżant Schiller.

- Cztery do pięciu godzin. Trzeba mu pozwolić ostygnąć.

Sierżant Schiller obszedł ruiny, czując żar niedawnego pożaru przez podeszwy pożyczonych butów strażackich. Podnosił kawałki potrzaskanego marmuru, fragmenty rozbitej porcelany, pokrzywiony widelec. Były tu także kości, ale tych nie ruszał.

Dopiero gdy zbierał się do odjazdu, zobaczył w popiele coś błyszczącego. Przysiadł i ostrożnie wydobyl to z popiołu swym wiecznym piórem. Było jeszcze zbyt gorące, by mógł tego dotknąć. Podniósł przedmiot do góry, aż zwisnął na końcu jego pióra.

Tani złoty naszyjnik, złożony z liter K-A-R-E-N.

Jack nie wrócił już do domu. Podjął wszystkie pieniądze w Pierwszej Kasie Oszczędności Milwaukee i kupił sobie wypłowiałego, beżowego plymoutha od emerytowanego plantatora jabłek w Standard, Wisconsin, i nie wykryty przejechał na północy przez granicę kanadyjską.

Nazywa się teraz Jack Ponteneuf i pracuje jako brygadzysta w firmie Tłumiki St. Basile koło Quebecu. Mówi znośną francuszczyzną. Jego przyjaciele od kieliszka nazywają go Suchy Jack, bo wypija zawsze tylko trzy drinki, nienawidzi deszczu i nigdy wiele nie mówi, chyba że o tłumikach, a o tłumikach wiele nie da się powiedzieć.

Wynajmuje pokój w małym, pomalowanym na niebiesko domku na niczym nie wyróżniającym się przedmieściu Quebecu, a większość czasu spędza wyglądając przez okno na słupy telegraficzne, pogodę i bawiące się na ulicy dzieci.

Jego gospodynią jest kobieta zwana Cécile de Champlain. Czterdziestopięcioletnia wdowa, pospolita, łagodna i smutna. Co dwa lub trzy dni stawia w jego pokoju słoik po dżemie ze świeżymi kwiatami, ale rzadko z nim rozmawia.

Poprosił ją, by go natychmiast zawiadomiła, gdyby posłyszała szeleszczący dźwięk w ścianach albo gdyby kiedykolwiek ujrzała ziemię rozstępującą się bez żadnego powodu, a także gdyby kiedykolwiek napotkała małe dziecko w szarobiałym płaszczu przeciwdeszczowym.

Solennie obiecała, że tak zrobi.

Poprosił ją także - niezdarnie, ze wzrokiem utkwionym w coś zupełnie odmiennego, odległego - aby nigdy nie śpiewała dziecięcej piosenki „Lavender Blue”.

Solennie obiecała, że tego nie zrobi.

Cécile de Champlain myśli osobiście, że Jackowi prawdopodobnie potrzebna jest opieka psychiatryczna. Są przecież zakłady dla takich jak on.